

2.98/2046

6.13,-

351674

BUDOWNICTWO • ARCHITEKTURA • ZABYTKI

INDEKS 33328X ISSN - 1425-3917

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

Nr 8/10/ ROK II • SIERPIEŃ 1996

CENA 3 zł/30000 zł

Rozmowa z **Barbarą BLIDĄ**

NETZ o familokach

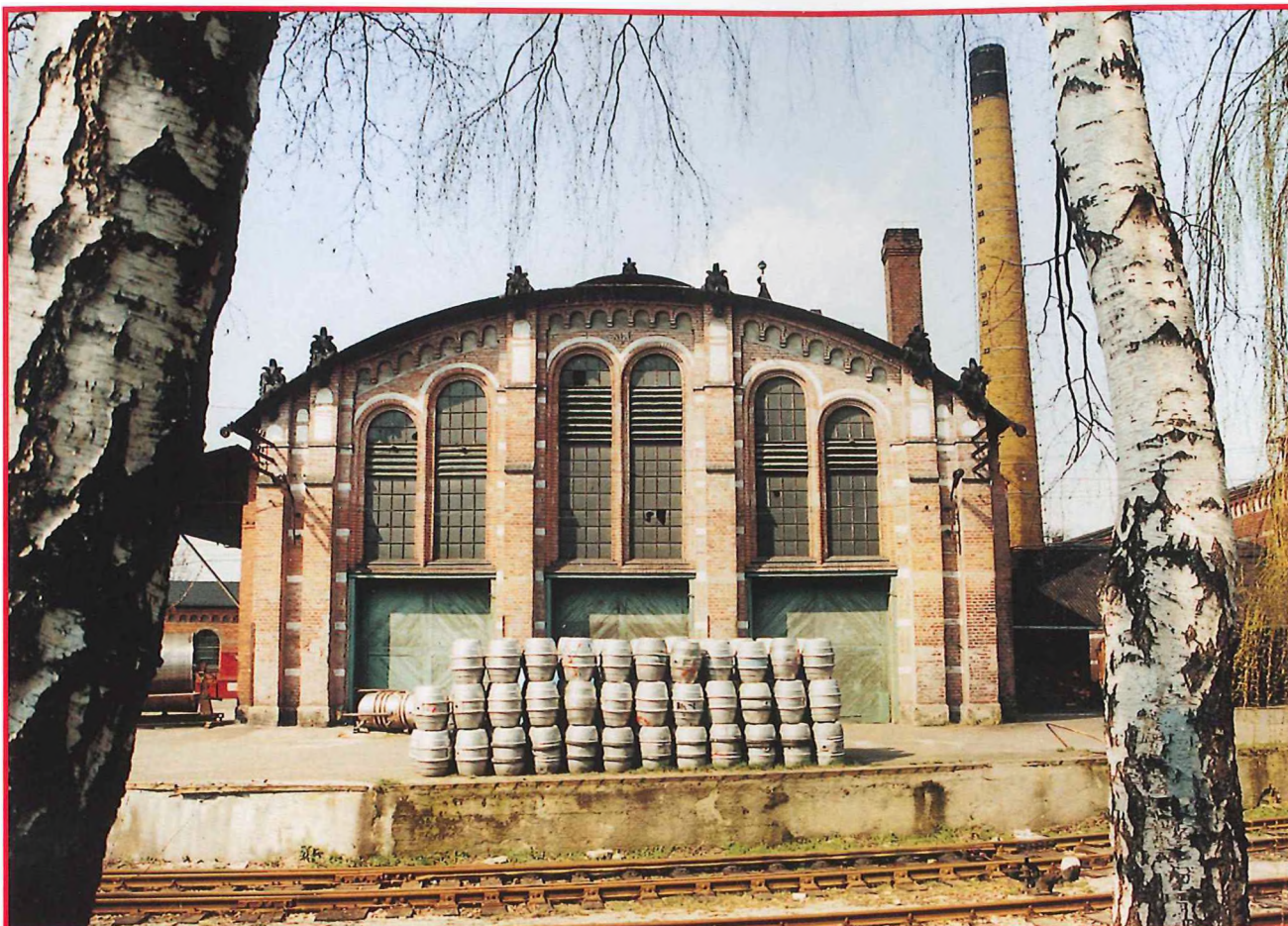
JURKIEWICZ Domy i blokowiska

ŁĘCKI Skazani na stres

Kawałki biograficzne **Horsta BIENKA**

HAŁAŚ Co zostanie z Bytomia?





Browary Tyskie... 367 lat udokumentowanej historii. Od 1966 cały „zespół browarny” w Tychach został uznany za dobro kultury i wpisany do rejestru zabytków.



Stara, zabytkowa warzelnia zbudowana w roku 1895 w ówczesnym Browarze Książęcym. Obiekt stanowiący przedmiot dumy tyskich piwowarów, podobnie jak warzelnia dawnego Browaru Obywatelskiego (od roku 1918 w składzie jednego przedsiębiorstwa). Zdjęcia: Jerzy Bierwiaczonek

K-97/7046

c.13.-

ce.

ŚLĄSK

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO -
KULTURALNY**

Nr 8(10). Rok II. Sierpień 1996

**WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH**

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ

zastępca redaktora naczelnego

WIEŚŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT

dział kulturalny

MARIAN KISIEL

dział krytyki i esej

JAN. F. LEWANDOWSKI

dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA

dział graficzny

MIROŚLAW KORBEL

nadzór techniczny i poligraficzny

ANNA STRUMIŁOWSKA

ANDRZEJ ROGIER

korekta

ADRES REDAKCJI:

40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7,
tel. fax 106-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:
MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI, WY-
DZIAŁ KULTURY URZĘDU WOJEWÓDZKIE-
GO I URZĄD MIEJSKI W KATOWICACH.

Skład i druk: FIBAK MARQUARD PRESS
S.A. 40-084 Katowice, ul. Opolska 22, zam. 1589
Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, popra-
wek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do
druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i
Delegatury „RUCHU” - na terenie całego kraju.
Bezpośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w
urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać
na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”,
PKO II Oddz. Katowice 27528-746272-136.
Prenumerata roczna - 36 zł., półroczna - 18 zł.
Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.
Cena egzemplarza - 3 zł (30.000).
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X
Numer zamknięto 10.07.1996

W NUMERZE

ŚLĄSKI MIESIĄC	2
REPLIKI I KOMENTARZE	
GORZKIE ŻALE	3
LISTY	4
<i>Rozmowa z minister Barbarą Bliąd</i>	
PAN BÓG STWORZYŁ ŚWIAT, RESZTĘ URZĄDZILI BUDOWLANI	6
<i>Anna Jurkiewicz</i> DOMY I BLOKOWISKA	10
<i>Rozmowa z Andrzejem Galkowskim</i> ARCHITEKTURA JEST WSZYSTKIM	14
<i>Rozmowa ze Zbigniewem Kamińskim</i> URBANISTYKA CZYLI ŁAD	15
<i>Wiesław Koterski</i> CZY ZIEMIA PRZEGRANA?	17
<i>Maria Zralek</i> MIESZKANIA DO KASACJI	18
<i>Marcin Halaś</i> CO ZOSTANIE Z BYTOMIA?	20
<i>Bogdan Prejs</i> MIASTO W ETYKIETACH	23
PISALI O NAS	25
<i>Krzysztof Łęcki</i> SKAZANI NA STRES	26
<i>Horst Bienek</i> KAWAŁKI BIOGRAFICZNE	28
<i>Horst Bienek</i> GLIWICKIE DZIECIŃSTWO (fragment)	30
<i>Bernadetta Fulek</i> NA POCZĄTKU BYŁ... BROWAR	31
<i>Anna Woś</i> W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI	32
<i>Rozmowa z dr. Jackiem Owczarkiem</i> STRAŻNIK PRZESZŁOŚCI	34
<i>Daniel Bienek</i> CZAS RUD	36
<i>Maciej Lukowski</i> NA UGORZE	38
<i>Antoni Halor</i> PEJZAŻ MITOLOGICZNY	40
SKARBY DO ODKRYCIA	40
<i>Marian Kisiel</i> STARTY I FALSTARTY	41
LUBIĘ WÓDKĘ I PAPIEROSY	41
<i>Rozmowa z Marcinem Świetlickim</i>	
NIE JESTEM PROGRAMOWYM INDYWIDUALISTĄ	42
WIERSZE	
<i>Lucyna Baron</i> *** („Czuję się jak mysz...”) *** („Mały ptak przycupnął...”)	44
<i>Bolesław Drzewiecki</i> *** („Posadź drzewo, drzewo...”)	44
<i>Adam Szymura</i> BAŁKANY, PIÓRA	45
<i>Urszula Zajkowska</i> TRAKTAT O KOBIETACH	45
<i>Feliks Netz</i> BALLADA O FAMILOKU	46
<i>Maria Lipok-Bierwiazzonek</i> ZNIKAJĄCY PEJZAŻ	48
<i>Tadeusz Kijonka</i> SPEŁNIONA MISJA	51
<i>Marek Baster</i> OBRAZKI TARNOGÓRSKIE	52
<i>Krzysztof Karwat</i> ŚCIEŻKI I ROZDROŻA	54
LITERACKA DZIURA	54
<i>Krzysztof Kłosiński</i> CZYTANE PO LATACH	55
BEZFORME	55
<i>Tadeusz Klak</i> ZAPOMNIANY WYWIAD TADEUSZA PEJPERA	56
<i>Bartosz M. Wrona</i> KRÓTKO, PIERWSZY TYDZIEŃ.	58
ZAHAMOWANIE. ANTYOKO	58
<i>Jan F. Lewandowski</i> WĘDRÓWKI PO KINIE	61
TANDEM Z „ANTENY”	61
<i>Rozmowa ze Stanisławem Niemczykiem</i> KOŚCIÓŁ WPISANY W KRAJOBRAZ	62
<i>Urszula M. Benka</i> MUJER de MAGIA NEGRA (O grafikach Marka Przybyły)	64
TEATR	
<i>Henryka Wach-Malicka</i> OBOK - NIE ZNACZY NA MARGINESIE	66
<i>Jan Picheta</i> LALKI CZUJĄ SIĘ ŚWIWITNIE	67
MUZYKA	
<i>Magdalena Dziadek</i> PIĘTNASTKA	68
FOTOGRAFIA	
<i>Marek Skocza</i> NIEMCY NA DAGEROTYPACH	68
KSIĄŻKI. Recenzje. Noty. Witryna nowości	69
<i>Marek Baster</i> BLOC-NOTES	73
NOTATNIK KULTURALNY. Katowice. Opole. Bielsko. Zaolzie	74
<i>Wojciech Janota</i> GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	79
<i>Marta Fox</i> LISTY SPOD KAPELUSZA	80
<i>Seweryn A. Wislocki</i> OBRAZY I OBIEKTY MANFREDA LUXA	80
W kolorze:	
● Radio O'K Katowice (str. A) ● Marek Przybyła - grafika (str. B) ● Manfred Lux - wystawa malarstwa w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach (str. C)	
Fotografia na okładce: Józef Wróbel	
Na zdjęciu: W konkursie ARCHITEKTURA ROKU gmach Oddziału Banku Handlowego w Katowicach przy ulicy Sokolskiej został uznany na najciekawszy obiekt zbudowany w województwie katowickim. Do konkursu zgłoszono 24 prace. Autorem projektu jest Andrzej Kapuściak (lat 47), absolwent Politechniki Gdańskiej i Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych w Gdańsku. Mieszka na stałe w Wiedniu, gdzie posiada własną pracownię.	
Prenumerata zagraniczna: 5 DM, 35 ATS, 17,5 FRF, 20 NOK, 20 SEK, 2 GBP, 80 Kč	

K-97/7046



ŚLĄSK

■ **EKSTRADYCCJA** z Wielkiej Brytanii podejrzanego o zastrzelenie w listopadzie 1994 r. dyrektora kopalni „Staszic”, Zbigniewa Maneckiego — opóźnia się. W katowickim Areszcie Śledczym czeka nawet jedoosobowa cela, gdyby podejrzanym o taką prosił.

■ **SHELL** — jeden z największych koncernów naftowych świata — przegrał z mieszkańcami katowickiego osiedla Tysiąclecia spór o budowę stacji benzynowej na zielonych terenach osiedla. Spór i protesty trwały dwa lata.

■ **NOWYM** rektorem Akademii Ekonomicznej w Katowicach został prof. Jan Wojtyła.

■ **PIĘCIOLECIE** obchodzi audycja katowickiej rozgłośni „Górnośląski Magazyn Mniejszości Niemieckiej”. Rząd Niemiec pokrywa jego produkcję w granicach ponad 60 proc. nakładów.

■ **AUTOKAR** ze śląskimi turystami wracającymi z Włoch spadł w okolicach austriackiego Grazu z 5-metrowego nasypu. Dwie osoby zginęły, 17 zostało ciężko rannych, pozostali doznali mniejszych lub większych obrażeń. W autokarze znajdowały się 44 osoby i jedno dziecko. Katastrofa zdarzyła się ok. 2 nocy.

■ **MIĘDZYNARODOWE** sympozjum lekarskie nt. „Dziecko a środowisko” obraduje w Wiśle. Udział w nim bierze ok. 400 specjalistów otolaryngologii a organizatorem jest Oddział Laryngologii Dziecięcej Szpitala w Chorzowie.

■ **TRADYCYJNA** procesja w uroczystość Bożego Ciała przeszła ulicami Katowic — od kościoła pw. Przemienienia Pańskiego przy ul. Sokolskiej do archikatedry pw. Chrystusa Króla. Procesję prowadził metropolita górnośląski abp. Damian Zimoń, który przy czwartym ołtarzu na schodach archikatedry odprawił wraz z bp. Gerardem Bernackim mszę świętą i wygłosił homilię.

■ **PO ROCZNEJ** grze w II lidze chorzowski Ruch powrócił do ekstraklasy.

■ **WYSTAWĘ** pamiątek po gen. „Grocie” Roweckim otworzył w gliwickim Muzeum prezes Oddziału Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Gliwicach Tadeusz Rowecki — bratanek legendarnego gen. „Grotę”.

■ **TURYSTYCZNA** kolejka wąskotorowa ruszyła na trasie Bytom — Tarnowskie Góry — Miasteczko Śląskie. Bilety (dla młodzieży zniżki) po przystępnej cenie a atrakcja wielka.

■ **AWARYJNE** lądowanie wojskowego śmigłowca Mi-2 w Myślachowicach koło Trzebini zakończyło się pożarem śmigłowca. Pilot i czterech pasażerów uszło z życiem — maszyna splonęła.

■ **WĘGIERSKI** matematyk mieszkający w Kanadzie prof. Janos Aczel otrzymał honorowy doktorat Uniwersytetu Śląskiego.

■ **CZŁOWIEK-instytucja**, dr Arieh Ben Tov zmarł nagle 6 VI w Holandii. Urodzony w Będzinie, przeżył — jako jeden z nielicznych Żydów — piekło Oświęcimia. Był prezydentem Światowego Związku Żydów Zagłębia. Z rodzinnym miastem i Zagłębiem utrzymywał stale i żywe kontakty.

■ **OLIMPIJSKIE** nominacje z naszego regionu otrzymało piętnastu sportowców.

■ **DO 14** promilli zmniejszyła się w ub. r. umieralność noworodków w woj. katowickim, ale i tak jest to o 0,4 promille więcej od średniej krajowej.

■ **JUŻ 23** górników zginęło w tym roku w śląskich kopalniach. Zdaniem fachowców jedną z przyczyn wzrostu liczby wypadków w ogóle jest brak górników z dłuższym stażem zawodowym, a zwłaszcza sztygarów.

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca poprzedzającego
zamknięcie numeru

■ **SUPERROLADA** z truskawkowym nadzieniem miała 42,5 m, ważyła ponad 100 kg a przy jej pieczeniu pracowało 8 cukierników przez 40 godzin. Dosmaczyła tradycyjne Święto Trzech Braci ochodzone w obu Cieszynach — polskim i czeskim.

■ **500 KILOGRAMÓW** śniętych ryb wypłynęło na odcinku między spływem z oczyszczalni a ujściem Soły do Jeziora Żywieckiego. Sprawca zatrucia jeszcze nie ustalony.

■ **75-LECIE** wybudowania kościoła bardzo uroczystie obchodziła parafia w Niedobczycach — rodzinna parafia metropolity górnośląskiego abpa Damiana Zimonia, który wziął udział w uroczystości odpustowej.

■ **DOBRA** passa chorzowskiego Ruchu trwa. Wrócili do I ligi i zdobyli Puchar Polski.

■ **POMNIK** Pokoju zamierza wystawić na cmentarzu Jeruzalem w Raciborzu Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców.

■ **RZĄD** zdecydował, że w województwie katowickim powstanie Specjalna Strefa Ekonomiczna. Strefa będzie obejmowała cztery podstrefy — gliwicką, tyską, jastrzębsko-żorską i sosnowiecko-dąbrowską. Poważni inwestorzy otrzymają specjalne preferencje podatkowe.

■ **50 PRYMUSÓW** ze szkół podstawowych i średnich przyjął wiceprezydent Rybnika Jerzy Kogut.

■ **DYREKTOR** „Passauer Neue Presse” — Franz Hirtreiter oświadczył, że nie ma mowy o pozbyciu się akcji tam, gdzie jego firma ma nawet 100 proc. udziałów (np. w „Dzienniku Zachodnim”). Spółka z Pasawy jest również właścicielem „Trybuny Robotniczej”.

■ **DYPLOM**, puchar i 1.200 zł nagrody otrzymała gmina Łazy za zwycięstwo w turnieju gmin woj. katowickiego zorganizowanego z okazji Międzynarodowego Dnia Sportu.

■ **PREZYDENT** Edmund Sroka spotkał się z laureatami konkursów i olimpiad przedmiotowych z Rudy Śl. Byli też rodzice, nauczyciele, prezenty, nagrody i kwiaty.

■ **PIERWSZE** dwa niemieckie samoloty 1 września 1939 r. stracił nad wsią Żurada pod Olkuszem pilot myśliwski Władysław Gnyś na swoim PZL P-11c. 20 czerwca pplk. Wł. Gnyś przybył do Olkusza. Otrzymał honorowe obywatelstwo miasta a szkoła w Żuradzie — gdzie stoi też Pomnik Pilota — otrzymała jego imię.

■ **NIEZNANI** sprawcy oblali łatwopalnym środkiem drzwi kościoła św. Barbary w Dąbrowie Gómiczej i podpalił je. Mimo, że było to w środku nocy, ogień ugaszono, ale drzwi trzeba wymienić.

■ **IMIĘ** gen. broni Stanisława Maczka otrzymało IV Liceum Ogólnokształcące w Katowicach. Mają w tym swój udział podkomendni generała mieszkający w Katowicach.

■ **JUBILEUSZ** stulecia piekarskiej Kalwarii uczczono uroczystą mszą św. odprawioną przez abpa Damiana Zimonia, metropolitę górnośląskiego. Cytat z pięknej homilii: „Kalwarię wybudowali nie możni, ale pobożni”.

■ **DWAJ** mężczyźni — Remigiusz Kiernozek i Grzegorz Nartowicz — złapali spadające z 7 piętra dziecko. Skończyło się na potłuczeniu, gdyż obaj z dzieckiem przewrócili się.

■ **PODCZAS** przebudowy przekopu przewozowego w kopalni „Gliwice” został śmiertelnie porażony prądem 46-letni górnik.

■ **ŚLĄSKIE** przedsiębiorstwa zatrudnią w lipcu ponad stu bezrobotnych z Nowosądeckiego. W końcu: czy na Śląsku są bezrobotni, czy nie?

■ **24 TYSIĄCE** butelek piwa znalazło się w rowie po wywrotce browarowego TIR-a na trasie Tychy — Katowice. Kierowca TIR-a ratując przed zmiążdżeniem „malucha” — stracił panowanie nad kierownicą.

■ **GENERAL MOTORS** i rząd doszły do ostatecznego porozumienia w sprawie budowy fabryki Opla w Gliwicach. Na wybudowanie wytwórni samochodów General Motors wyda ok. 300 mln dol., a ponieważ inwestuje w katowickiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej, przez 10 lat będzie zwolniony z podatku dochodowego, a przez następne 10 będzie płacił połowę podatku.

■ **PORZĄDKOWANIE** wszelkich spraw między Muzeum a Urzędem Miasta w Oświęcimiu ma być zakończone do roku 2007. „Strategię dla Oświęcimia” rząd ma opracować do 15 września br. Minister finansów (autor „Strategii dla Polski”) ma znaleźć w przyszłorocznym budżecie środki na przebudowę miasta. Ile jeszcze odbędzie się niezaplanowanych manifestacji w tym czasie — trudno przewidzieć.

■ **PO PÓŁROCZNYM** dochodzeniu Prokuratura Rejonowa w Olkuszu skierowała do sądu akt oskarżenia przeciw ks. Markowi Ł. z Bukowna oskarżonemu o pobicie 13-letniego Tomka J.

■ **PIERWSI** absolwenci opuścili katowicką Międzynarodową Szkołę Nauk Politycznych. 24 absolwentów płynną francuszczyzną dziękowało wykładowcom i gościom z Francji.

■ **ZMARŁ** Andrzej Czajkowski — dziennikarz śląski z ponad 30-letnim stażem. Pracował najdłużej w katowickim „Sporcie” i w „Wieczorze”. Miał 52 lata.

■ **JAK OBLICZONO** na Górnym Śląsku znajduje się 150 hałd górniczych, zawierających ok. 730 mln ton odpadów, głównie żwiru i kamienia. Naukowcy z Głównego Instytutu Górnictwa przeprowadzili ekspertyzy i przygotowują opracowania wskazujące jak zlikwidować hałdy względnie jak je przystosować do rekreacji.

■ **KATOWICCY** meteorolodzy prognozują, że lipiec będzie wyjątkowo ciepły i suchy. Odmiennego zdania są synoptycy warszawscy — będzie chłodno i deszczowo. Na razie górą są warszawscy prognostycy — początek wakacji rzeczywiście i chłodny i deszczowy. Ale warto przypomnieć sobie czerwcowe upały i zeszlizoczną wakację — upał wszystkim dokuczył. Młodzieży na razie wszystko jedno bo już wakacje!

KRONIKARZ

Tryumf honoru

Jedną z ważniejszych bramek w historii Ruchu. Końcowe minuty finałowego meczu o Puchar Polski na stadionie warszawskiej „Polonii”. Wynik wciąż bezbramkowy. W 86 minucie Dariusz Gęsiór wykonuje rzut wolny. Chytry strzał, kąśliwy rykoszet i faworyzowany GKS Bełchatów traci bramkę. Puchar zdobywa Ruch, po raz trzeci w swej historii. Wcześniej chorowska drużyna odzyskała miejsce w ekstraklasie. Wspaniały sukces sportowy, choć nie jest to jeszcze drużyna na miarę wielkiego Ruchu. Tym bardziej jednak liczy się podwójny tryumf drużyny bez wielkich nazwisk: piłkarski, lecz także – co jeszcze ważniejsze – tryumf honoru!

Gdy przed rokiem Ruch obsunął się z I ligi, dla kibiców „niebieskich” był to szok. Do degradacji nie musiało przecież dojść; spadek z ekstraklasy tego wielce zasłużonego klubu nastąpił głównie z powodu przewlekłej dekoncentracji, bo nawet po doznanych personalnych stratach drużyna chorowska wcale nie musiała znaleźć się nad nieuchronną przepaścią.

Był to więc szok, a jednocześnie moment zatracenia kryteriów i sportowego etosu. Po nagłym spadku z I ligi pojawiła się niespodziewana okazja odzyskania w niej miejsca drogą fuzji (z Olimpią Poznań, bądź Sokolem Pniewy). W grę wchodził w istocie kontrakt finansowy – upozorowane fuzją kupno miejsca w ekstraklasie... rzecz przecież nie do pojęcia w przypadku „Ruchu”! Ten robotniczy klub utworzony na fali niepodległościowej w okresie powstań śląskich, od początku służył z ambicji i sportowej godności. W krótkim czasie znalazł się w gronie najlepszych polskich drużyn, zaś jego pojedynki z I FC Katowice, zamożnym klubem niemieckim, w tym prestiżowe zmagania w Pucharze Polski w roku 1925, wytworzyły wokół robotniczej drużyny z Hajduk Wielkich aureę szczególnej sympatii w całym kraju.

Ruch był zawsze klubem respektującym reguły sportowego honoru: miał swój styl i wysokie kryteria wymagań. Toteż kiedy pojawiła się oferta powrotu do I ligi drogą dwuznacznego kontraktu, rozległy się protesty wielu oddanych działaczy i sławnych zawodników „wielkiego Ruchu”, w tym głos piłkarza symbolizującego szczytowe osiągnięcia i honor chorzowskiego klubu – Gerarda Cieślaka, sportowca nieposzlakowanej opinii, który nigdy nie zmieniał klubowych barw a jako reprezentant Polski stał się wzorem postawy na boisku i w życiu prywatnym. Jego słowa, które odbiły się szerokim echem, zawstydziły zwolenników powrotu do ligi nie poprzez boisko, lecz podejrzany kontrakt.

I stało się jak chciał i przewidywał wielki Gerard. Ruch wrócił do I ligi o własnych siłach, w stylu godnym Ruchu, tradycji Ruchu i jego sportowego etosu. Nie tylko odzyskał miejsce w ekstraklasie, lecz zdobył także Puchar Polski i oto chorowska drużyna znów pojawia się na wielkiej, europejskiej arenie.

Ten tryumf honoru wykracza daleko poza sportowe ramy wydarzenia. Okazuje się, że nie wszystko można kupić i są wartości ważniejsze niż pieniądze. W decydującym momencie musi jednak odezwać się ktoś z takim autorytetem, jakim dysponuje w świecie piłki nożnej Gerard Cieślak, zawsze wierny zasadom – na boisku i poza nim. Dlatego był i pozostał autorytetem.

TADEUSZ KIJONKA

REPLIKI I KOMENTARZE

Do sparaliżowanego strajkiem Katowic, w towarzystwie grupy ministrów, przyjechał 17 lipca premier Włodzimierz Cimoszewicz. Kontekst zatem – niezbyt korzystny a nawet zapalny. Prasa codzienna jednak zauważyła, że od wielu lat była to pierwsza wizyta rządowa, zakrojona na taką skalę. Oczekiwano ważnych deklaracji, zwłaszcza w odniesieniu do górnictwa węglowego. Liczono na to, że premier wyraźnie potwierdzi wcześniejsze zapowiedzi rządowe, że nie będzie w tej branży zwolnień grupowych. I tak też się stało. Czy uspokoiło to nastroje? Chyba tylko do pewnego stopnia, wszak wiadomo, że program restrukturyzacji górnictwa został przyjęty i nierentowne kopalnie, choć etapami – bo o to głównie chodzi – będą jednak zamykane.

Jak to zwykle w takich przypadkach, program wizyty był bardzo napięty i nakierowany na zagadnienia ekonomiczne i ogólnospoleczne. Udało się przecież premierowi Cimoszewiczowi, na zakończenie dnia, zajrzeć na godzinę do katowickiego „MARCHOŁTA”, gdzie był gościem przedstawicieli środowisk twórczych i artystycznych.

Gospodarzem spotkania było Górnśląskie Towarzystwo Literackie. Włodzimierz Cimoszewicz był już zresztą gościem GTL-u w grudniu 1993 r., kiedy to podczas pobytu w Katowicach, w dniach odbywającej się w Domu Literatury imprezy „Z nad Willii i Olzy”, z udziałem pisarzy polskich z Wilna i Zaolzia, spotkał się z elitą kulturalną Śląska, reagując żywo na pytania i poruszone kwestie. Tym razem towarzyszyło mu aż czterech ministrów – Barbara Blińska, Klemens Ścierny, Andrzej Bączkowski i Jerzy Markowski – oraz wojewoda katowicki Eugeniusz Ciszak, toteż już choćby z tego powodu wizyta ta miała nadzwyczajną rangę.

Prowadzący spotkanie jego organizator, prezes GTL-u, Tadeusz Kijonka mocno zaznaczył niezwykłość faktu, że po raz pierwszy urzędujący premier spotkał się na Śląsku z przedstawicielami środowisk twórczych, po raz pierwszy w ogóle... i to z własnej inicjatywy, choć program całodziennego pobytu był nadzwyczaj napięty. Tym samym, nie tylko w sensie symbolicznym, stało się jasne, że o Śląsku można i trzeba mówić również w innym kontekście. Degradacja tego regionu to nie tylko wynik dymiących hut i fabryk i rozbudowania ponad wszelkie granice przemysłów najcięższych, z czym teraz nie wiadomo co począć. Wieloletnie zaniedbania sprawiły, że niemal wszystkie instytucje artystyczne funkcjonują w obiektach sprzed pierwszej wojny światowej o fa-

Rys. Eugeniusz Rzeźucha

talnym stanie technicznym, bądź w budynkach doraźnie adaptowanych dla potrzeb kulturalnych. Teraz zaś tym bardziej nie ma pieniędzy na tego typu, wielokrotnie w przeszłości planowane inwestycje (nowa siedziba Biblioteki Śląskiej jest wyjątkiem, ale przecież bój o nią trwał przez wiele lat). Brakuje także środków na remonty, tzw. pracownicy kultury opłacani są skandalicznie, często poniżej minimum socjalnego, zaś stan zatrudnienia zespołów osiągnął najniższe granice, grożące degradacją artystyczną i repertuarową (wyjątkowo mocno i zgodnie zabrzmiały głosy dyrektorów – Tadeusza Serafina z Opery Śląskiej, Bogdana To-

szczy – Teatru Śląskiego, Dariusza Miłkowskiego z Teatru Rozrywki oraz Bernarda Poloka – prezesa SPAM-u).

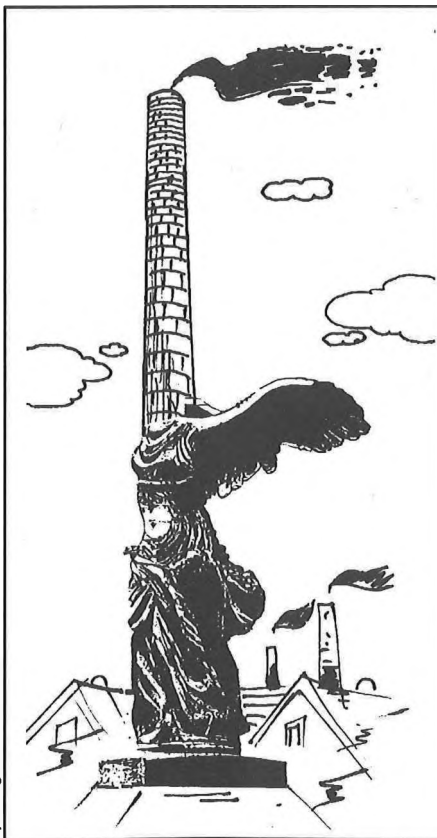
Choć czas wizyty był ograniczony do godziny, już w trakcie dyskusji został przedłużony o kwadrans, bo wypowiedzi i pytania dotyczyły kwestii wymagających wyjaśnień premiera wykraczających znacznie poza ramy tego zaimprovizowanego w istocie spotkania. Premier już na wstępie zapowiedział, że przygotowywane są podwyżki płac i w ogóle nowy system finansowania kultury, choć nie należy się ludzi, że to będą wielkie pieniądze...

Czy można się zatem dziwić, że szefowie instytucji artystycznych wykorzystali to spotkanie do wylania rzeki gorzkich żalów? Ton wypowiedzi był więc dość jednorodny, momentami nawet dramatyczny, gdy poruszona została bulwersująca kwestia eksmisji literatów z Domu Literatury wyznaczona właśnie na 17 lipca!... Do takiego tonu i dramatycznych akcentów zdążyli się już co prawda przyzwyczaić, to jednak dobrze, że te ciężkie słowa wypowiedziane zostały publicznie. I to u nas, w Katowicach,

podczas wizyty premiera i jego ministrów. Tu, gdzie kultura miała być tylko pewnym ozdobnikiem kolejnych ekip rządzących, bądź przedłużeniem optymistycznej propagandy sukcesu.

Nie tak dawno gościła w Katowicach sejmowa Komisja Kultury, zaś tematem głównym spotkań stał się problem parametryzacji, czyli wprowadzenia obiektywnych kryteriów w przyznawaniu środków z budżetu na kulturę. Po miesiącu z przedstawicielami środowisk twórczych i artystycznych Katowic spotkał się z kolei premier. Tak więc dramatyczna sytuacja kultury śląskiej nie jest naszą wewnętrzną sprawą, którą można uzdrowić środkami lokalnymi. Co do tego nie było różnicy zdań. K.K.

Gorzkie żale



Prawo Megaserca

W numerze 6(8), z białą kózką na okładce na tle rozłożystych hańd, pośród pozycji anonsowanych w numerze znalazła się także rozmowa z profesorem Janem Miodkiem, zapowiedziana jako „Prawo mego serca”, bo takich właśnie słów użył zacny autor „Ojczyzny-Polszczyzny” w ostatnim zdaniu, które wydawały się godne szczególnego podkreślenia.

No i stało się – lecz z czyjej winy... dojsz nie sposób. Oto bowiem w druku zamiast „Prawo mego serca” pojawiło się na okładce przypisane Profesorowi Miodkowi określenie: „Prawo mega serca”... co oczywiście nie oznacza tego samego. W pierwszym przypadku chodzi bowiem o osobiste wyznanie, w drugim – o metaforyczne określenie szczególnej wielkooduszności, ofiarności i altruizmu udzielającego się otoczeniu na prawach porwijającego przykładu o wielkiej, społecznej sile.

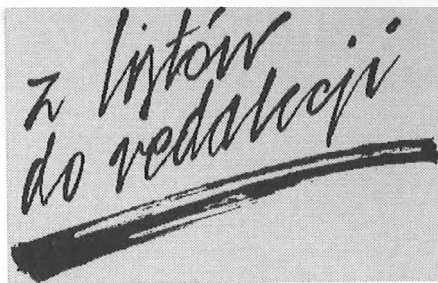
Spojrzałem na okładkę okazowego numeru i – mały szok. .. Sytuacja bez wyjścia: cały nakład (5000 egzemplarzy!) już w oprawie! Jak zareaguj na błąd Czytelniczy – błąd do zniesienia, lecz dla redakcji rzecz zawsze przykra. Dni miały – i cisza: żadnych listów, telefonów, choć zawsze reakcje są natychmiastowe!

Co w takim razie począć dalej – położyć uszy po sobie, czy też dowieść, że nie był to błąd, lecz celowa hiperbolizacja zdradliwego zaimka, w celu efektownego wykorzystania gry słów. Przecież mega znaczy duży, wielki, zaś w złożeniu z nazwą miary – milion razy większą wartość niż jednostka podstawowa. A nikt na pewno nie wątpi, iż porwijające serce językoznawcy rodem z Tarnowskich Gór ma taką właśnie moc jeśli chodzi o miłoścy do ojczyzny-polszczyzny, więc może ono uchodzić za jednostkę miary.

Lecz skoro tak, czy był to błąd – czy też narzucające się samorzutnie określenie, które dzięki tajemniczym działaniom przewrotnych duszków poligrafii, zwanych chochlikami, pojawiło się w druku, by stać się odąd nazwą miary wielkiego serca. A jeśli tak – czy rzecz prostować, bo może należy uznać ten fakt jako odkrycie nowej jednostki miary?

Nie każdy błąd po czasie okazuje się błędem, skoro niejedna pomyłka stawała się potem odkryciem, że przywołały w tym miejscu chociażby przykład Kolumba. Niech więc już ten efektowny termin pozostanie jako nowa jednostka miary na określenie wielkości uczuć, ofiarności i szczególnej pasji w społecznym posłannictwie. W tym oczywiście przypadku obowiązuje pisownia łączna – chodzi bowiem o PRAWO MEGASERCA, jednostki, która wzięła swoją miarę od serca Profesora Miodka w wymienionym na wstępie numerze „Śląska”.

T.K.



Numer 5 „ŚLĄSKA” (powstańcy) spotkał się z żywym zachelnieniem. Prezentujemy część listów ukazujących reakcję na te problemy, które nie tylko są ważne dla zawodowych historyków.

TO NIE BYŁ

PLEBISCYT PRZEGRANY!

Szanowny Panie Redaktorze!
Z wielką uwagą przestudiowałem numer 5(7) miesięcznika „Śląsk” poświęcony 75 rocznicy trzeciego powstania śląskiego i wydarzeniom towarzyszącym tamtym czasem. Spośród spraw do których wracać będą historycy najbardziej sporną jest ocena wyników plebiscytu. Problem ten wnikliwie skomentował Edward Długajczyk w artykule: „Od powstania do plebiscytu”, rzeczowo i obiektywnie.

W moim przekonaniu to, że za pozostaniem Śląska w granicach Niemiec opowiedziało się 55,3 proc. głosujących, a 44,7 proc. za Polską, nie oznacza, że był to plebiscyt politycznie przegrany. Trzeba pamiętać, że Niemcy dysponowali nie tylko przewagą organizacyjną i propagandową. Reprezentowali także państwo, które mimo przegranej wojny było nadal potężne i stwarzało mniejsze ryzyko niż wynurzająca się z historycznego niebytu Polska uwikłana w konflikty na wschodzie, która nie gwarantowała niczego.

Dla wielu polskojęzycznych Ślązaków a nawet prawdziwych Polaków zmiana przynależności państwowej oznaczała wielkie życiowe ryzyko. Chcę zwrócić uwagę na chociażby jeden istotny fakt. Na prawa emerytalne i system ubezpieczeń. Dziesiątki tysięcy Ślązaków miało wypracowane renty i opłacone ubezpieczenia. W byłym zaborze rosyjskim prawa te nie były zabezpieczone a młode państwo polskie nie mogło zapewnić przejęcia tych zobowiązań.

Także kapitał niemiecki dysponował ogromnym instrumentem ekonomicznego nacisku, którym posługiwał się bez skrępowań. O tym wszystkim należy pamiętać, gdyż mechaniczne zestawienie procentowe wyników nie wyjaśnia złożoności motywów głosowania, szczególnie w przypadku ludzi starszych.

Przewaga 10 procent głosów oznaczała polityczną przegraną Niemiec jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności składające się na wynik plebiscytu.

Z szacunkiem i życzeniami pomyślnego rozwoju pisma

mgr JERZY KOŁODZIEJ
Rybnik

OSZEK NA „PANCERNYM”

Szanowna Redakcjo!
W artykule Pana Jana F. Lewandowskiego „Śladami Roberta Oszka” w „Śląsku” z maja br. podano, że Oszek służył od 1919 roku w Flotylli Pińskiej, patrolującej wody Prypeci.

Warto dodać, że Robert Oszek odznaczył się od wagą w bojach, zwłaszcza w największej bitwie Flotylli Pińskiej stoczonej na Prypeci pod Czarnobylem z wiele licniejszym zespołem okrętów rosyjskiej Wojennej Flotylli Dnieprzańskiej w dniu 27 kwietnia 1920 roku.

Robert Oszek był wtedy jako podporucznik marynarki wojennej zastępcą dowódcy największego wówczas polskiego okrętu wojennego „Pancerny 1”. Zwycięstwo polskich okrętów pod Czarnobylem zmusiło Rosjan do wycofania się z wód Prypeci

i ułatwiło wojskom lądowym opanowanie portów dnieprzańskich i osiągnięcie głównego celu polskiej ofensywy wiosennej – zdobycie Kijowa.

Okręt „Pancerny 1” była to zdobyczna kanonierka rosyjska „Trachtomirow” uzbrojona w połowę armatę na kolach 75 mm i 4 ckm 7,62 mm. Był to pierwszy polski okręt bojowy od czasów floty Władysława IV w bitwie pod Oliwą w XVII wieku. W bitwie pod Czarnobylem, gdy rosyjskie kanonierki rozpoczęły ostrzał okrętów polskich zza zakrętu rzeki ponad lasem, na „Pancernym 1” punkt kierowania ogniem przeniesiono na okrętowy komin. Na wylot komina nałożono zbity z desek blat na którym stanął z lornetką ppor. Oszek i kierował ogniem, mimo uchodzącego z komina gorącego dymu. Przy takim systemie kierowania ogniem uszkodzone zostały rosyjskie kanonierki „Mudryj” i „Małodieckij” i pozostałe okręty rosyjskie uszły z walki.

Z poważaniem
LESŁAW MYŚLIWIEC
Brzeg

W CZYJIM INTERESIE?

Droga Redakcjo!

Bardzo ważny problem poruszył Tedeusz Kijonka w swoim świetnym szkicu zamieszczonym w numerze majowym „Śląska” poświęconym generacji powstańców śląskich, zwracając uwagę na „koniunkturalne próby reinterpretacji powstań śląskich, coraz częstsze w ostatnich latach, a zmierzające do pomniejszenia całości tego trzykrotnego zbrojnego czynu — by Śląsk był polski, niepodzielnie polski”.

To stało się dziś częste — unikanie jasności kim się jest i jaką opcję się reprezentuje. Szczególnie wielu tzw. autonomicznym Ślązakom, którzy uprawiają skryty separatyzm, pamięć o powstaniach śląskich wadzi. To, że były i przeważyły sprawę przynależności Śląska do Polski.

Próby reinterpretacji zmierzają do zatarcia granic ówczesnych podziałów, rzeczywistych konfliktów społecznych i narodowościowych, które doprowadziły do wybuchu trzech kolejnych powstań na Śląsku. Także niektórzy badacze, którzy nagłe przestawili się na tzw. „opcję europejską” zmieniło punkt widzenia. Jakby politycznym okupem za wejście do wspólnej Europy musiała być rezygnacja z tożsamości narodowej i historycznej.

Dokąd prowadzi ta droga — łatwo przewidzieć. Uznanie powstań śląskich za „śląską tragedię” zmierza do podważenia sensu tamtych wydarzeń. W czym interesie — na pewno nie polskim.

Łączę wyrazy poważania
Dr RYSZARD LIGOCKI
Katowice

DZIŚ, W WOLNEJ POLSCE?

Szanowna Redakcjo!

Gratulacje za numer poświęcony powstaniom śląskim. Bogaty, dobrze skomponowany, do czytania. Nie tylko znawcy problematyki znajdą tu ważne artykuły. Ten numer powinien znaleźć się w każdej bibliotece i w każdej czytelnicy, bo popularnych pozycji o dziejach powstań śląskich dziś brak.

Przy okazji zwracam uwagę na malejącą uwagę poświęconą tamtym wydarzeniom. Także zaniedbania miejsc pamięci musi budzić niepokój. A już na bojkot zakrawa stan otoczenia Pomnika Czynu Powstańczego na Górze św. Anny i samego monumentu dłuta Dunikowskiego.

Wstyd przyznać, lecz z czasów tzw. „komuny” rocznicom powstań poświęcono większą uwagę a śląskie gazety były przez wiele dni wypełnione tymi treściami. Oczywiście władze miały w tym swój polityczny cel, ale akurat dobrze służyło to wychowaniu patriotycznemu, poczynając od szkolnictwa i harcerstwa szczególnie po roku 1956. A dziś w wolnej Polsce...?

Proszę zwrócić uwagę jak prasa śląska obeszła się z 75. rocznicą III powstania. Żadnych większych publikacji, nie licząc zdawkowych rocznicowych not i artykułów. A może jednak to, że znacząca część prasy nie jest już w polskich rękach, także ma wpływ na stosunek do tej problematyki. Nie tylko ja tak uważam. Dlatego tak cenny jest „powstańczy” numer „Śląska” za który należy się Redakcji słowa podziękuję.

z wyrazami szacunku
ERNEST RDUCH
Zabrze



Hotel „Myśliwski” w Gliwicach.
Foto: Maciej Kaliszan



Bank PKO BP w Katowicach.

Foto: Marcin Kaniak

Zmienia się krajobraz Śląska, zwolna, lecz zauważalnie. Coraz więcej dowodów na respektowanie reguł architektury i urbanistyki jako dziedzin sztuki, które zmierzają do stworzenia obiektów o wysokim poziomie atrakcyjności, usytuowanych w harmonii z otoczeniem kreowanym na miarę wyższych potrzeb życiowych i duchowych. Nowe obiekty publiczne, domy i osiedla chcą się czymś wyróżnić, zyskać akceptację nie tylko walorami użyteczności. Zróżnicowane formy bryły, efektywne fasady i elewacje, loggie, tarasy, przeszklenia i mozaiki. Już nikt nie buduje domów-klocków z płaskim dachem. Pojawiły się kolorowe pokrycia, w tym efektowne dachówki. Nowe materiały pozwalają osiągnąć co tylko kto zapagnie, bo możliwe jest dziś w budownictwie wszystko, jeśli są pieniądze.

Ale i pogłębiają się kontrasty. Większość społeczeństwa z trudem utrzymuje swoje skromne mieszkania. Wielu w ogóle nie stać na stworzenie domowego gniazda. Toteż narasta materialne rozwarstwienie, gdy łatwiej o rezydencje niż średniej klasy mieszkanie.

Dom. Jedno z najważniejszych słów, które nigdy nie utraci elementarnego znaczenia w życiu człowieka. Dom skupia w sobie wszystkie funkcje bytu w znaczeniu dosłownym i symbolicznym. Dom był i zawsze pozostanie głównym celem każdej rodziny. To dom jest świadectwem stabilizacji, życiowej pozycji i bogactwa więzi emocjonalnych. Dom to coś znacznie więcej niż samo mieszkanie, które często bywa miejscem przejściowego adresu — gdy już rozpadnie się dom, względnie nie

możemy jeszcze tego z przekonaniem stwierdzić: mam swój dom.

Pojęcie to mieści w sobie całość więzi rodzinnych i związków międzyludzkich. Szczególnie spajają one ludzi w starych robotniczych osiedlach, które charakteryzuje najwyższy poziom poczucia dziedzicznej wspólnoty, choć dom po domu to stare, zużyte budynki, nie gwarantujące żadnych wygod i życiowych perspektyw. Jak oni mogą tam jeszcze miesz-

DOM

kać, co ich przykuwa do tego miejsca, dlaczego tak upierają się, by nie burzyć tych ruder, lecz doposażyć je, podnosić ich standard — powiedzmy: rewalidować, jak to robią na Zachodzie.

Dom, osiedle, dzielnica, miasto, region... W tym przypadku: Górny Śląsk — jeden z najbardziej wyrazistych obszarów kraju także pod względem charakteru zabudowy oraz wielorakich funkcji gospodarczych i społecznych. Wynikają one również ze szczególnego nawarstwienia i przemieszania obiektów przemysłowych z osiedlami mieszkalnymi, wcale często aż do zatarcia granic pomiędzy strefami produkcji i środowiskiem ludzkiego życia. Tylko tutaj zróżnicowane ze sobą obrzeżami miasta tworzą niepodzielny obszar stłoczonej zabudowy zdominowanej przez przemysłowe obiekty z górującymi nad horyzontem

sylwetkami górniczych szybów i wysokich kominów. A pośród tego — w otoczeniu ziejących hałd, zdziczałych wysypisk i zapadłisk po wyrobiskach — robotnicze osiedla. Pejzaż, który poraża. Jak oni tutaj mogą i chcą żyć? ... Wielu pyta — i nigdy nie zrozumie.

Lecz ten świat zwolna już odchodzi, choć zmiana tego krajobrazu wymaga wielkiej pracy nad przywróceniem podstawowych wartości godnych miejsca ludzkiego życia. I ogromnych, niedostępnych wciąż środków. A także wizji Górnego Śląska w realnej przyszłości, choć nie wyrzekajmy się tak łatwo przemysłów, które Śląsk zdominowały. Węgiel był i winien najdłużej pozostać jego naturalnym bogactwem, lecz nie za wszelką cenę, przy rabunkowych systemach eksploatacji, które stały się klęską i przekleństwem ludzi tej ziemi.

Zmienia się krajobraz Śląska. W wizjach naszych miast coraz częściej odkrywamy nieznane, czy niedostrzegane wcześniej walory. Zaczynamy wreszcie cenić i podnosić to co zbyt długo uchodziło naszej uwadze. I coraz częściej trapi nas poczucie zbiorowej winy, że tyle wartościowych obiektów architektury i budownictwa przeszłości przepadło skazanym na barbarzyńskie wyburzenia i dewastacje w wyniku prymitywnych aktów modernizacji. Inaczej też postrzegamy odziedziczone z przeszłości robotnicze osiedla — jako zwarte zespoły urbanistyczne i niepowtarzalne, wielopokoleniowe środowiska społeczne, które wytworzyły własny model życia i dziedzicznej kultury.



z BARBARĄ BLIŃSKĄ

– Ministrem
Gospodarki
Przestrzennej
i Budownictwa,
posłanką

Ziemi
Śląskiej

rozmawia

MIKOŁAJ

MAŁACHOWSKI

PAN BÓG STWORZYŁ ŚWIAT, resztę urządzili budowlni

– W minionych ponad dwu i pół latach, odkąd pełni Pani urząd ministra gospodarki przestrzennej i budownictwa, przeprowadzono ogromną pracę legislacyjną, od prawa budowlanego poczynając a na ustawach o formach popierania budownictwa kończąc, pracach legislacyjnych porządkujących tę dziedzinę życia społecznego w warunkach wolnorynkowych. Kiedy więc, skoro mamy odpowiednie prawo, nastąpi boom budowlany.

– Nie bardzo odpowiada mi kategoryzowanie: albo mamy zapaść, albo oczekujemy boomu. Otóż porządkowanie, tworzenie prawa związanego z budownictwem sprzyjać ma normalności. Ustawy, które z mojej inicjatywy przyjął parlament służyły podporządkowaniu wszystkiego co jest związane z budownictwem, gospodarką komunalną, warunkami ustroju społecznego wybranemu przez obywateli w głosowaniu

w 1989 roku. Przyjęte ustawy w znacznym stopniu ograniczyły wpływ centrum na decyzje, które obecnie w wielu przypadkach podejmowane są na szczeblu gminnym. Ustawy te mają stanowić również zachętę dla przysłowiowego Kowalskiego, Nowaka, tego który ma dużo pieniędzy i tego, który ma ich mniej, do oszczędzania, inwestowania środków w dom, mieszkanie.

– **Oszczędzanie bądź inwestowanie musi się opłacać...**

– To jest oczywiste.

– **Niektórzy wolą kupić „na szrocie” ośmioletnie uszkodzone BMW by zadawać szyku, aniżeli oszczędzać na dom. Może się nie opłaca...**

– Ulgi w podatku dochodowym są zdominowane i wpisane pod kątem budownictwa; zarówno nowego jak i remontów. Istotną sprawą, o której toczyłam boje z ministrem finansów, było utrzymanie siedmioprocentowego

VAT-u na usługi i materiały budowlane do roku 2000.

– **Samochodu nigdy państwo nie dawało za darmo. System talonów, asygnat był wyłącznie dodatkowym premiowaniem, natomiast mieszkania w PRL-u były w praktyce za darmo. Czekano się w coraz dłuższych kolejkach, ale był to towar, który nie miał określonej wartości.**

– I ten rodzaj polityki państwa wraz z PRL-em się skończył. Mieszkanie stało się również towarem. Oczywiście, państwo ma obowiązek opieki nad najbardziejymi, nad tymi, którzy z powodów przez siebie niezawinionych nie potrafią się przystosować do nowych reguł, stąd konieczność budownictwa socjalnego...

– **... ale przysłowiowy przeciętny Kowalski mieszkania nie dostanie...**

– Nie, będzie musiał na nie zarobić. Jego finanse decydować będą o standardzie jakości.

– **Marne perspektywy dla Kowalskiego.**

– W 1995 roku po raz pierwszy od 1989 roku nastąpił wzrost produkcji budowlano-montażowej, sprzedanej netto o 14 procent. Był to wskaźnik najwyższy od 10 lat. W 1995 roku znajdowała się również największa ilość mieszkań w budowie: 539 tysięcy. To o 4 procent więcej aniżeli w roku 1994 i 7 procent więcej niż w 1989. Uważam, obserwując całość zjawiska w budownictwie, że trudny okres jego adaptacji do warunków wolnorynkowych, także dzięki legislacyjnemu uporządkowaniu mamy za sobą.

– **Przypomnę o Kowalskim...**

– W 1989 około 90 procent budownictwa stanowiło budownictwo spółdzielcze, zaledwie dziesięć procent indywidualne; w roku 1995 proporcje były dokładnie odwrotne. To określa miejsce Kowalskiego.

– **Po prostu mieszkania mu nikt nie da.**

– To już nie wróci. I trzeba mieć tego świadomość.

– **Nie mało mamy obecnie besserwiserów, powtarzających, że przewidywali upadek poprzedniego systemu...**

– Czy poprzedni system był niewydolny, dotarł do swego kresu... Czy środki, które były przeznaczone na budownictwo, a które pozostały w spadku po PRL-u, winny były w Rzeczypospolitej tak być wydatkowane jak zostały?... Na to bardzo trudno odpowiedzieć i sądzę, że jednej ostatecznej odpowiedzi nie będzie. W 1989 roku do większość społeczeństwa opowiedziało się za gospodarką rynkową, dając przyzwolenie rządowi T. Mazowieckiego na realizację polityki znacznych wyrzeczeń, ograniczeń socjalnych. W 1993 roku do kolejnych wyborów, Sojusz Lewicy szedł z hasłem: „Tak dalej być nie musi” uznając jednocześnie wybór wolnorynkowej drogi za obowiązujący.

– **To co z hasłem „Tak dalej być nie musi”?**

– Znaczyło to, że konieczny jest interwencjonizm państwa oraz złagodzenie trudności okresu przejściowego. Przekładając to na kwestie budowlane należy wyjaśnić, że w 1989 roku ustawą o uporządkowaniu stosunków kredytowych z 31 grudnia naruszono prawa nabyte spółdzielców. Mianowicie dla tych, którzy zaciągnęli kredyt mieszkaniowy, wprowadzono zmienną stopę odsetkową. Ta ustawa spowodowała efekt śnieżnej kuli, zaś przysłowiowy Kowalski niepomnie się zadłużył, przy czym wykup odsetek obciążył również budżet państwa. Dlatego – ktoś może zapytać – w toku naszej rozmowy wprowadzam mało efektowne elementy prawno-ekonomiczne? Otóż między innymi dlatego, bo uważam, iż kierowania państwem, gospodarką nie można zawężać do teoretycznych rozstrzygnięć ekonomiczno-prawnych. Podejmując decyzję trzeba zdawać sobie sprawę z konsekwencji jakie pociągnie ono w różnych grupach społecznych.

– **Ktoś może powiedzieć: kiedy powstawały osiedla-kłocki, mieszkania-**

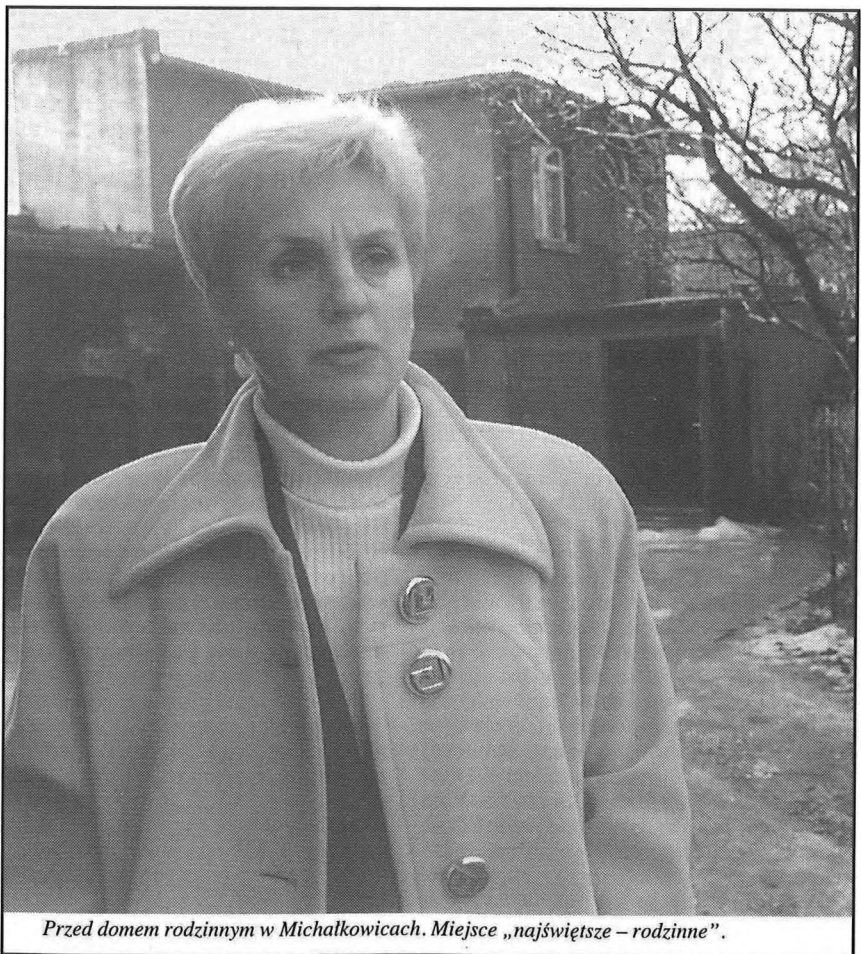
karzelki nikt nie pytał ludzi o zdanie czy w tak zaprojektowanych blokowiskach pragnie przysłowiowy Kowalski mieszkać...

– To prawda, że w tamtych latach postawiono wiele blokowisk, o których mówi się, że są nieprzyjazne dla środowiska, człowieka. Dzisiaj łatwiej o taką ocenę kiedy buduje się mieszkania ładnie, oryginalnie zaprojektowane, o znacznie większym metrażu itd. Warto jednak przypomnieć jaką radością były w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych klucze wręczone do własnego M-ileś. I warto także przypomnieć, że w większości otrzymywali je ludzie z migracyjnej wędrowki ze wsi do miast, dla których woda w mieszkaniu była wyznacznikiem awansu, a do tego jeszcze ciepła, gdyż do tej pory przyzwyczajeni byli do czerpania jej ze studni. I dla nich to niewielkie, nieciekawie, czy szablonowo zaprojektowane mieszkanie było dumą, radością. Pracując przy wznoszeniu niejednego budynku, użerając się z wykonawcami, brakami materiałów, terminami, tysiącem różnych problemów, sytuacjami kiedy słowo, które wstydziłabym się teraz powiedzieć, było najdelikatniejszym, otóż miałam wówczas poczucie, że jestem potrzebna, realizuję siebie, własne ambicje. Dlaczego? Dlatego, że widziałam efekty swojej pracy. W tamtych latach budowy całych osiedli, do wykończonych budynków – przy czasami jeszcze księżycowej, bądź niewykończonej infrastruktury – wprowadzali się pierwsi mieszkańcy. Przywozili swój dotychczasowy dobytek i wnosili go do budynku przeskakując z kamienia na ka-

mieni, bądź tworząc tymczasowe ścieżki z desek, które zawsze znajdują się na budowie. A później, po jakimś czasie, wieczorem zapalały się światła żyrandoli (zawsze nowych), bądź jeszcze prowizorycznie zawieszonych żarówek, w oknach pojawiały się firanki i to miejsce, które wcześniej było jakimś tam polem, nieużytkiem, później rozpraną błotnistą masą, w której gubiło się gumki, jeszcze później betonową pustką, nabierało życia, ciepła. I te zapalające się w oknach światełka pozwalały zapomnieć o wcześniejszych problemach, użeraniu się, pretensjach. Nigdy nie zgodzę się na potępienie w czambuł tego wszystkiego co było przed 1989 rokiem. Taką postawę reprezentowałam będąc posłanką zasiadającą w opozycyjnych do kolejnych rządów „solidarnościowych” ławach, tak myślę również obecnie, będąc ministrem w koalicyjnym rządzie kontynuującym reformy podjęte w 1989 roku.

– **Zapamiętałam posłankę Barbarę Bliedę z Sejmów lat 1989-1993, kiedy lewica była w wyraźnym odwrocie, a niektórzy jej członkowie szukali tylko okazji by z niej czmychnąć. Otóż zapamiętałam Barbarę Bliedę jako jedną z niewielu posełek lewej strony mającą odwagę w tamtym czasie podważyć, czy nie zgadzać się z „końską kuracją” serwowaną przez Leszka Balcerowicza.**

– Nie chciałabym ażeby zostało to odczytane jako wyraz sprzeciwu wobec polityki Balcerowicza. Miał odwagę, miał przyzwolenie społeczne na dokonanie ogromu przemian gospodarczych. Pracowałam wówczas jako poseł przy



Przed domem rodzinnym w Michalkowicach. Miejsce „najsłodsze – rodzinne”.

opracowaniu pakietu ustaw reformujących gospodarke. Będąc politykiem mającym doświadczenie gospodarcze zwracałam uwagę na te kwestie, które były związane z budownictwem, mieszkalnictwem, przemysłem materiałów budowlanych, firmami budowlanymi a wtedy prawie wszystkie były przedsiębiorstwami państwowymi, doświadczyłam też dość nieprzyjemnej reakcji, gdy mówiąc o swoich wątpliwościach, zastrzeżeniach, usłyszałam opinię jednego z posłów ówczesnej koalicji rządzącej „pani jest przeciwna temu rządowi, gdyż pani jest z ZPZR-u!”. Był to czas, gdy naszych argumentów nie słuchano jako głosu merytorycznego, a wyłącznie odbierano je w kategoriach politycznych. Ja zawsze byłam i jestem na lewicy. I chyba zawsze będę. Niezależnie wszakże od tego gdzie bym się sytuowała w 1989 roku, mówiłabym dokładnie to samo, gdyż doświadczenie zawodowe, to co się wie o budownictwie, tej wiedzy nie można podporządkować takiej czy innej opcji politycznej. Zawsze powtarzam, że budownictwo jest ponadpolityczne, chociaż pewne style mogą zdradzać preferencje polityków. Natomiast zarówno w gospodarce centralnie sterowanej, jak i wolnorynkowej mieszkanie jest wartością bardzo cenną i w każdym systemie obowiązuje interwencjonizm państwowy...

– ... by przypomnieć, że w państwie tak dalece obywatelskim jakim są Stany Zjednoczone, w którym państwo do minimum ogranicza swoją interwencję co do ludzkich losów, wyborów, po rozruchach murzyńskich w Chicago w latach sześćdziesiątych, prezydent John F. Kennedy podjął decyzję o budowie domów z przeznaczeniem dla kolorowych.

– Nie ma nowoczesnego państwa, które pozostawiałoby obywateli własnemu wyłącznemu losowi. W gospodarce centralnie sterowanej państwo zobowiązane było budować dla ludzi, natomiast w gospodarce rynkowej państwo tworzy instrumenty takie, dzięki którym osoba, bądź rodzina, mogą uzyskać kredyt na zakup, wynajęcie mieszkania, ale też wspomagają te rodziny – a tych jest w każdym państwie niemało – które nie są w stanie wybudować bądź wykupić mieszkania i dla tych ludzi państwo musi znaleźć system pomocy.

– Czy w gospodarce centralistycznej nie można było uniknąć tych błędów?

– Po roku 1989 niektórym wydawało się, że wchodzimy w czas jedynie mądrych decyzji, wzniosłych postaw, i jeszcze mnożyć był można przymiotniki. Teraz usprawiedliwiamy brak tego wszystkiego tzw. okresem przejściowym. Prawdą jest, że w budownictwie PRL-u popełniono wiele błędów, było wiele absurdów. Budowano wówczas bardzo dużo. Patrzone na efekt ilościowy, a nie jakościowy. Dla nas, budowlanców, zawsze istniała symboliczna marchewka w postaci premii za wykonane zadanie i goniliśmy – przynajmniej za nią. Płacimy za ten pośpiech, czasami bylejąkość do dzisiaj. Część materiałów budowlanych była toksyczna.

Tej wiedzy wówczas nie posiadaliśmy. Wymieniamy te części, dotujemy spółdzielnie mieszkaniowe w usuwaniu wad toksykologicznych i technologicznych. W pewnym okresie chcieliśmy aby budynki były lżejsze. Pocieniono wielką płytę, co spowodowało, iż uzyskała ona bardzo niewielką izolacyjność cieplną. Dziś wykładamy spore pieniądze na program dociepleniowy.

– Według opracowań, oraz dziennikarskich komentarzy w Polsce należy wybudować 1,5 mln mieszkań.

– Pozwolę więc sobie również na komentarz. Skąd się bierze wielkość 1,5 mln mieszkań? Z kalkulacji, opracowań wynika, że każda rodzina, każdy pełnoletni Polak i Polka mieszkający z rodzicami jest potencjalnym „kolejkowiczem” do mieszkania. Praktyka przekazuje, że tak nie jest. Rodziny posiadające domy, najczęściej przyjmują młodych, co stanowi kontynuację tradycji rodziny wielopokoleniowej. To tylko jeden z przykładów. W naszych resortowych obrachunkach liczba rodzin, czy też pojedynczych osób oczekujących na mieszkania kształtuje się pomiędzy 600-700 tysiącami mieszkań. Natomiast 1,5 mln mieszkań potrzebnych jest po to ażeby w Polsce stworzyć to czego nigdy nie było: rynek mieszkaniowy, czyli możliwości zamiany mieszkania w zależności od sytuacji finansowej, czy życiowej. Jesteśmy poniekąd niewolnikami miejsca, miasta, czy – tam gdzie lepiej funkcjonuje komunikacja – regionu, gdyż do tego przymusza nas mieszkanie. Przy zwiększonej podaży, nastąpi rynkowe zróżnicowanie czynszów. Im obywatelowi stworzy się więcej szans wyboru, tym większa będzie jego zdolność poruszania się w warunkach rynkowych. To są życzenia. W przygotowanym i przedstawionym Sejmowi dokumencie „Polityka mieszkaniowa państwa” do roku 2000 chcemy wybudować około 600 tysięcy mieszkań. Wraz z obniżeniem inflacji będzie się rozwijał rynek budownictwa indywidualnego.

– A ten postulat życzeniowy: wolny rynek mieszkaniowy z wyborem mieszkania, a nie koniecznością.

– Przymiarkuję, że rok 2010 jest realnym terminem?

– I wtedy skończy się potrzeba interwencjonizmu państwa?...

– Myślę – co powiedziałam wcześniej – że ono nigdy się nie skończy.

– To dlaczego już w przyszłym roku w ramach reformy centrum ma ulec likwidacji resort gospodarki przestrzennej i budownictwa, poprawnie: pozostanie swoiste „księstwo warszawskie” czyli Urząd Mieszkalnictwa. Zresztą nazwa jest jeszcze nieprecyzyjna i nie bardzo wiadomo co to ma być, z jakimi uprawnieniami.

– We wszystkich prawie krajach o rozwiniętej gospodarce rynkowej istnieje resort budownictwa o różnie pojmowanych funkcjach i różnej strukturze. Są to państwa, w których potrzeby mieszkaniowe są w znacznej mierze zaspokajane. Ministerstwo Budownictwa nie może być postrzegane jako organ kreujący rozwiązania wyłącznie dla mieszkaniówki. Budownictwo, w największym skrócie, to uzbrojenie terenu,

cały wielki sektor budownictwa przemysłowego, dalej infrastruktura społeczna, techniczna: szkoły, szpitale. U nas często szkoły budują nauczyciele, zaś szpitale lekarze – to znaczy, że osoby nad kwotami koniecznymi dla danej inwestycji. Gwoli dyskusji nad reformą centrum choć tylko uzupełnić: w Niemczech Federalnych Urząd Ministra Budownictwa zatrudnia 5,5 tysiąca osób. W państwie gdzie nikt nie czeka na mieszkanie! Ale to Ministerstwo ma jednak co robić. Opracowano program rewitalizacji wielkiej płyty w byłej NRD, system dotacji dla poszczególnych obywateli. W którejś z moich wypowiedzi, będącej skrótem myślowym, na plan pierwszy wysunięto zdanie, że nie będę szefem urzędu jeżeli nie uzyskam statusu ministerialnego. Ktoś, a zapewne tak było, pomyślał: „odbiło” jej, choruje na stanowisko ministra. Zawsze walczę o sprawę, nigdy nie interesowałam się stołkiem. Mam taki charakter, że jeżeli się czegoś podejmuję, pragnę mieć na to wpływ. To się nazywa odpowiedzialnością. Przez dwa i pół roku – będzie to przejawem nieskromności – przygotowałam wraz ze swoimi współpracownikami dziewięć podstawowych ustaw dla budownictwa i gospodarki przestrzennej. Nie pozorowałam pracy, może czasami podchodziłam do niektórych kwestii nazbyt emocjonalnie. Niektórzy przekonują mnie: ucz się spokoju, opanowania, dyplomacji, więcej tym możesz osiągnąć. Uczę się, powtarzam sobie: Barbara, spokojnie... spokojnie. Czasami się udaje.

– A może kiedy zlikwidowany zostanie resort budownictwa zniknie problem mieszkaniowy?

– Być może ktoś sobie tak wy kalkulował...

– ... no i znów się pomyli...

– Nie będę komentowała, gdyż zawsze może w takim przypadku paść zarzut o bronienu swojej pozycji, natomiast odsyłam do przeanalizowania funkcjonowania resortu budownictwa w sąsiadujących Niemczech i odległej Japonii.

– Skoro o dalekiej Japonii, wróćmy bardzo blisko, na Śląsk. Jest niedziela, siedzimy w małym mieszkaniu w Michałowicach.

– Za kilka godzin wyruszę na swoje „wygnanie” do Warszawy. Ale nie narzekam, sama o tym zdecydowałam. Już niedługo przeprowadzę się z powrotem do wyremontowanego rodzinnego domu, który zbudował mój dziadek.

– Też w Michałowicach, przy torach kolejowych.

– Wiem, że dla niektórych to nie jest dobre miejsce. Ale dla mnie najświętsze – rodzinne. W takiej zresztą atmosferze dorastałam – domu rodzinnego, w którym wspólnie zawsze żyło kilka pokoleń. Sądzę, że w tym domu gdzie mieszka moja starsza siostra, osiadzie syn z żoną, córka i jak dawniej będziemy razem.

– To rzadko prezentowany, sentymentalny wizerunek Barbary Błidy.

– Może nie tyle sentymentalny, chociaż w każdym drzemiamy różne pokłady, co świadczący o przywiązaniu do tradycji. Pamiętam, mój ojciec Józef Szwarz-

noch po powrocie od Andersa podjął pracę w chorzowskich Azotach. Później i ja tam zawędrowałam, będąc wyłącznie córką swojego ojca, który był wzorem pracownika, po którego, gdy już był na emeryturze, przyjeżdżano, aby pomógł w rozwiązaniu ciężkiego problemu związanego z instalacją wodną. Nikt tak jak on nie znał wszystkich tajemnic kilometrów rur, przełączy itd. Był mistrzem w swym fachu. Bardzo mi tym imponował. Gdybym się nie wyrwała z Azotów do emerytury byłabym wyłącznie kojarzona jako córka Szwejnocha.

– **Gdzie ta, przepraszam, twarda baba, która podczas posiedzeń kierownictwa ministerstwa potrafi rzucać gromami, a jak korytarzowa wieść niesie, kiedy jeden z wiceministrów wziął debiutujący udział w „kierownictwie” to wyszedł z przerażeniem w oczach i chciał do razu związać manatki.**

– Warszawa jak zwykle ma skłonności do konfabulacji. Ta twarda baba tkwi we mnie. Musiałam się tego nauczyć. Pracowałam, wychowywałam syna, studiowałam wieczorowo. Czasami mąż widząc moje zmęczenie mówił: po co się tak męczysz, rzuć to wszystko! Jestem ambitna. Płacę za to wysoką cenę. Lecz każdy wybór związany jest z jakąś ceną.

– **Władza zmienia człowieka...**

– Może dlatego ażeby nie ulec, „grajdołowi” sejmowo-rządowemu, który tworzy własną mimikrę, nie dałam się zwariować i nie przeniostałam się z rodziną do Warszawy, co mi proponowano. Często, tak chętnie wracam do Michałkowic. Na pewno władza w jakimś stopniu mnie zmieniła, ale nie na tyle, by ktoś z sąsiadów nagle przechodził na drugą stronę ulicy bojąc się kontaktu ze mną twarzą w twarz. Nie, nie odczuwam, aby ktoś mi się w inny sposób kłaniał, a ja wiem, gdyż to jest kultywowanie tradycji, że starszym pierwsza muszę powiedzieć „dzień dobry”. Na uderzenie „wody sodowej” jestem zabezpieczona. W końcu posiadam dyplom inżyniera instalacji wodnych. Nie chcę być kimś innym niż jestem. Nie buduję fałszywego obrazu. Czasami zartem wspominam jak w domu brakowało węgla by go ogrzać, stąd paliło się w jednym piecu, reszta mieszkania była zimna, lecz wtedy nigdy nie chorowałam na gardło, nie przycepił się katar. Gdy jesteśmy między sobą, lubimy pogadać gwarą, a w końcu tyle lat byłam z budowlańcami, więc z przyzwyczajenia toast wnoszę czystą wyborową.

– **Ten Śląsk maluje Pani szalenie sielsko i swojsko.**

– Potrafię patrzeć nań również bardzo krytycznie. Na opieszałość, zachowawczość, brak inicjatywy charakterystycznej dla Ślązaków. Przy całym szacunku dla przeszłości, pozostawmy ją serdecznie wspomnieniu. Współczesny Śląsk i ten w przyszłości nie będzie znacząco wyłącznie górniczym, hutniczym trudem. To się kończy. Potrzeba zmiany mentalności wśród młodych Ślązaków. Jakże często na Śląsku występuje swowolność lenistwo, konformizm. Skończyłeś szkołę podstawową, idź do roboty: do kopalni, huty. Jak dziadek, ojciec. Po



Barbara Blida podczas wizytacji budowy Biblioteki Śląskiej. Po prawej – profesor Jurand Jarecki, autor projektu.

co się masz uczyć, to kosztuje, a tu już będziesz przynosił pieniądze. Tej tradycji nie da się utrzymać. Świat potrzebuje wyszkolonych fachowców, techników, mechaników. Tutaj na Śląsku mieliśmy wspaniałych ludzi tworzących przemysł, menedżerów – chociaż wtedy ich tak nie nazywano. Mamy takich również teraz, którym życie nie szędziło problemów, lecz potrafili je rozwiązywać. Oni powinni być wzorcami do naśladowania.

– **Ostatnie pytanie do ministra: czy budownictwo może być dobrym interesem?**

– Najlepszym. Nim cokolwiek się wyprodukuje, trzeba zbudować, wyremontować halę, fabrykę. Do budynków, do których wprowadzają się ludzie, trzeba mebli, wykładzin, urządzeń domowego użytku, nici, talerzy, garnków. To co mówię brzmi banalnie, ale czasami takie podstawowe prawdy należy przypominać. Dlatego cieszy mnie, że w liście, który skierował prezydent

Aleksander Kwaśniewski do premiera Włodzimierza Cimoszewicza przypomniana została rola i ranga budownictwa. Wszak Pan Bóg stworzył świat. Całą resztę u rządźbili budowlani.

– **I ostatnie pytanie o Śląsk. Obraz szczególnie zapamiętany, ten który mimo upływu lat stanowi fotografię niezniszczalną, której barwy nigdy nie płowieją.**

– Takich obrazów jest wiele, ale pan swoim pytaniem jakby wymusił podróż w czas odległy. Ojciec do pracy w Azotach poza zimą jeździł rowerem, czyli „na kole”, na skróty wzdłuż torów, które przebiegały tuż przy naszym domu. I kiedy wracał, wychodziłam mu na przeciw, a wtedy sadzał mnie na rurkę i jechaliśmy wspólnie, a ja wtulona w jego pochyloną pierś czułam się bardzo spokojna i bezpieczna. I bardzo szczęśliwa.

**Rozmawiał:
MIKOŁAJ MAŁACHOWSKI**



ANNA JURKIEWICZ

Domy i blokowiska

Z jednej strony domy jak z obrazka, z drugiej – kanciaste prostopadłości. Na południu Katowic, w dzielnicy Kokociniec – dwie epoki budowlanej rzeczywistości. Na szczęście czas blokowisk jest już za nami. Jak dziś na Śląsku budować. Jak – i za co?...

O siedle, które mogłoby stanowić ozdobę reklamowego folderu było kilka lat temu forpocztą odtechnicyzowanej architektury. Stanowiło protest przeciw szarym, jednokolorowym jak mundury wojskowe, blokom. Niestety, takie zespoły mieszkaniowe jeszcze i dziś trafiają się nieczęsto i tym samym gubią w gęstej masie bliźniaczo podobnych osiedli, które jednak na Śląsku bardziej rzucają się w oczy. Rzecz w tym, że jakkolwiek w woj. katowickim mieszkań

powstawało niewspółmiernie mało w stosunku do potrzeb zdeterminowanych głównie przez wyjątkowo chłonny przemysł, to ilościowo było ich jednak więcej niż gdzie indziej i to na skąpej, zatłoczonej przestrzeni.

Pod dyktat przemysłu

Trzeba od razu powiedzieć, że w aglomeracji katowickiej budownictwem właściwie od zawsze rządził przemysł. Był jego kreatorem, ale i bezwzględny władca. Najpierw domy szły śladem wytyczonym przez zakłady, głównie huty i kopalnie, obrastające patronackimi osiedlami. Później tenże przemysł, sam zaczął się od budownictwa dystansować. Granice miast puściły i domy wylały się na obrzeża, na tereny, które urbanizacja ledwie musnęła. Działo się to wszystko na deglomeracyjnej fali, która wyniosła na powierzchnię takie twory jak

miasta-satelity. Były osobliwością nie tylko Śląska, nie tylko Polski, także wielu krajów europejskich. Nigdzie jednak się nie sprawdziły i nie obroniły.

Wbrew złorzeczeniom na Śląsku Tychy zrobiły jednak karierę, lecz dopiero wtedy, gdy wybiły się na samodzielność. U zarania rozgłos zyskały jako miasto-sypialnia. Ileż atramentu zużyto wówczas na uszczypliwe artykuły, gnębiące miasto niespełnionych nadziei. W sukurs przyszedł... oczywiście przemysł! Zbliżył się do granic Tychów, a nawet zaczął mościć sobie miejsce wewnątrz miasta, które dzięki temu normalniało. Ale nie ujmując Tychom nic z bezsprzecznie wysokich walorów architektonicznych, urbanistycznych, a także funkcjonalnych trudno przejść mimo takiej ułomności, jak brak zdecydowanie ukształtowanego centrum. A nie trzeba tłumaczyć, że śródmieście z rynkiem to najbardziej miarodajny dowód bliskości. Tychy śródmieście

budować chciały, pomysły były, ale pieniędzy nigdy nie starczało. W biegu do kasy nieodmiennie wygrywały mieszkania. Nacisk na klucze miał swoje odbicie w „żywej” kolejce, natomiast śródmieście równie mocnego atutu nie posiadało. W tym roku został rozstrzygnięty konkurs na centralną, prestiżową dla każdego miasta dzielnicę. Pytanie: czy uniknie losu wcześniejszych planów i programów? Gdy brakowało środków uśpiono opinię ogłoszeniem konkursów.

Jak mieszkamy w województwie katowickim

mieszkania ogółem	1279,6 tys.
na 1000 ludności*	324
liczba izb/M	3,39
średnia pow. użytkowa w m. kw.	58,5
pow. użytkowa na osobę	19,5
liczba osób/M	3,00
liczba osób/izbę	0,88

*wg. spisu powszechnego z 1988 r.

Tychy były pierwszym, ale nie ostatnim przykładem nie trafionego sposobu na mieszkanie dla Śląska. Mimo bicia na alarm nauka poszła w las. **Wiele lat potem manewr ze stawianiem sypialni został powtórzony w Jastrzębiu, ze skutkami wielokroć gorszymi;** mówiąc łagodnie: trudnymi do odwrócenia. Złego początki były takie: w latach 50-tych, górnictwo po raz wtóry przysięściło szturm na rybnicki węgiel. Wcześniej pochód przemysłu górniczego posuwał się miarowym krokiem, więc i urbanizacja miała łagodny przebieg. Gdy budowę jednej kopalni zaczęła gonić następna potrzeby mieszkaniowe urosły do niespotykanych nigdy rozmiarów. Uznano, że mogą je zaspokoić wyłącznie uprzemysłowione systemy budownictwa. Górnictwo zafundowało – specjalnie dla Rybnickiego – dwie fabryki domów, które pasowały do tego terenu jak przysłowiowa pięść do nosa. Ale stało się... **Na pofalowanej ziemi, między głębokimi jarami wystrzeliły wysoko w górę przepastne mrówkowce!** Istne maszyny do mieszkania. Technika zdominowała architekturę; więzi społeczne nie znajdowały tu dla siebie miejsca.

Kutz i buldożery

Dla Rybnickiego był to koszmar, **tym większy że blokowisko zderzyło się ze specyficzną zabudową, mocno osadzoną w naturalnych warunkach i w lokalnej tradycji.** Prym zawsze wiodło budownictwo niskie, w przewadze jednorodzinne. Małe domki lokowały się kępami tworząc z przyrodą jedną, harmonijną całość. Ale i ten rodzaj budownictwa nie obronił się przed nachalnością brzydoty. Niedobrym wzorem blokowisk również domki przybierały klockowate formy.

Co by nie powiedzieć krytycznego o przytłoczeniu sielskiego pejzażu przez bezkształtne, betonowe osiedla, **to o niespotykany barbarzyzm otarł się katowicki Giszowiec.** Tu właśnie na początku naszego stulecia powsta-

ło, według angielskiego wzoru, **jedynie w Polsce i jedno z niewielu w Europie osiedle-ogród.** Do dziś uchodzi za fenomen urbanistyczny; w czasach swojej świetności było zespołem o rzadko spotykanych, wysoce rozwiniętych funkcjach społecznych. Zostało tak zbudowane, że poza indywidualnym dachem nad głową istniała całkowita wspólnota usługowa. Nikt nigdy ani w części nie wykorzystwał tego szablonu. Mimo, iż czasem zauważano występowanie pewnych cech bliskich budownictwu na Śląsku – spadziste dachy, facjatkę, a nade wszystko zieleni szczerle otulająca domki. Gorzej – na Giszowiec puszczono buldożery! Skubały go po kawałku robiąc miejsca, a jakże, blokom. Kop. „Staszic” potrzebowała mieszkań; wobec domków „czuła się w prawie” ponieważ zawsze były górnicze. Bloki weszły do kwitnących ogrodów wdeptując je w ziemię.

W obronie brutalnie potraktowanego osiedla murem stanęli konserwatorzy zabytków, historycy sztuki, architekci. Najdonioślej przemówił jednak reżyser Kazimierz Kutz. W filmie „Paciorki jednego różańca” niezwykle plastycznie ukazał całą bezwzględność, czy wręcz głupotę w postępowaniu wobec Giszowca. Rzadki to przypadek, by wielka sztuka tak jednoznacznie opowiedziała się po stronie konkretnych wartości historycznych, ale i materialnych. Film może nie tyle skruszył serca, co podzielał na rozsądek. Część niepowtarzalnego osiedla uciekła spod młotka.

Mierniki komfortu

wodociąg	98,1 proc.
ustęp spółkiwany	86,4 proc.
łazienka	85,0 proc.
c.o.	65,9 proc.
gaz z sieci	59,9 proc.

Spółeczny motyw „Paciorków” ukazał z całą ostrością jak bardzo człowiek potrafi się przywiązać do domu, który jest mu czymś więcej niż czterema ścianami. Pod kilof poszły już dziesiątki familoków, a żaden nie okazał się godny taśmy filmowej. Domek to jednak coś więcej niż mieszkanie w standardowym budynku; jak nie w tym, to w innym. Kto wie czy głośny film nie przyczynił się do utrwalenia w świadomości Polaków przekonania jakoby na Śląsku najmocniej zakorzeniło się budownictwo jednorodzinne. Wiadomo wszakże – pod domkiem, na przyzbie górnik, jak to w tej piosence, pyk, pyk z fajeczki... Satystyka temu przeczy. W woj. katowickim mniej niż co czwarte mieszkanie lokuje się w domku. Tutaj indywidualni inwestorzy nie rozwinęli skrzydeł. Dlaczego? Z wielu powodów, lecz także i dlatego, że koszt wzniesienia tradycyjnego domu kształtuje się tu znacznie wyżej. Warunki dyktuje przemysł wydobywczy, który wymusza mocne uzbrojenie z fundamentami, jak pod fortece. A i tak szkody górnicze robią swoje, pustosząc jednorodzinne osiedla.

Z pięter na ziemię

Od dawna z należą powagą traktowana jest także kwestia **jak na Śląsku budować: nisko czy wysoko.** W okresie urzędowego, odgórnego zadekretowania wysokościowców i mrówkowców dyskusja na ten temat miała raczej nurt podskórny. Toczyła się na marginesie życia budowlanego, a ściślej: projektowego. Ton nadawali architekci. Pojawiały się projekty osiedli kształtowanych, jak wtedy mawiano, w ludzkiej skali; plac, zaułek, ulica w starym stylu miały podkreślać związek współczesnej myśli urbanistycznej i architektonicznej z przeszłością. W tym miała się wyrażać ciągłość istnienia miasta. Większość zdecydowana tych projektów spotkał los „półkowników”, trafiły na archiwalne półki.

A jednak w latach 80-tych zapuszczano sondę. Najważniejszy z niej wniosek brzmiał: blokowiska nie mają społecznej akceptacji. Ledwie drobny odłam ankietowanych byłby skłonny wyciągnąć ręce po klucze do mieszkań w budynkach wysokich. **Bo na Śląsku ludzie zawsze szukali bliskości drugiego człowieka.** Instykt społeczny manifestujący się również w sąsiedzkiej wspólnocie był od pokoleń bardzo rozwinięty. Inna rzecz: w takim tyglu ludnościowym, jaki powstał na skutek masowego werbunku do pracy, mogły nastąpić zmiany obyczajowe.

Gdyby nawet dla ludzi problem: nisko czy wysoko nie istniał to i tak niebagatelnym argumentem przeciw windowaniu budynków wysoko w górę są oczywiście szkody górnicze. Około 80 proc. domów stawiano na obszarach objętych eksploatacją. A tam gdzie kopią węgiel obiekty wymagają specjalnych zabezpieczeń przed następstwami ruchów tektonicznych. Operacja jest kosztowna, oscyluje wokół 20 proc. wartości inwestycji, bez 100-procentowej gwarancji bezpieczeństwa. Bo gdy tąpnie – a nie ma dnia żeby nie zakłócało – to domy aż się kołyszą. Lecz nie jest to kołysanie, które usypia; trwa ledwie sekundy; dla lokatorów najdłuższe w życiu. Im wyżej tym mocniejsze wrażenia. Co to znaczy mieszkać „na węglu” doświadczają ostatnio mieszkańcy osiedla „Paderewskiego” w Katowicach. Strach przeplata się z wymiernymi stratami materialnymi, bo domy nie wytrzymują skutków zabierania węgla z górotworu. Protest społeczny zmusza górnictwo, chyba po raz pierwszy na taką skalę, do korygowania wielkości wydobywania. Widać tu jak na dłoni narastające sprzeczności interesów przemysłu i człowieka zagrożonego w swoich czterech kątach.

Jak przybywało mieszkań

1950	1952	1953	1954
12	17	21	27

W 1995 r. oddano do użytku 100-tyśiętną izbę; ówczesna statystyka posługiwała się izbami, przyjmując średnio na mieszkanie trzy izby.

Co toaczy – dom?...

Na liście przyczyn dyskredytujących wysokośćowiec mieści się jeszcze i ta, że pozbawiają one człowieka... domu. Bo dom to dla jednych większa chałupa, nawet kryta strzechą; także bezosobowe pudełko, byle niskie, stawiane gdzie popadnie, ale z dostępem do zieleni. Dom to również zabytkowa kamienica przy śródmiejskiej ulicy. Tylko w nowych osiedlach pojęcie: dom zostało wyparte przez bloki, wieżowce i dziwołagi w rodzaju: superjednostki. Anonimowe, obce, wręcz odpychające.

Narodziny wielkich osiedli

rok 1948 katowicka Koszutka
sosnowiecka Rudna
lata 1949-51 osiedla w Chorzowie
Gliwicach
Bielsku
Rybniku
Tychach

Współczesna cywilizacja odegrała nieomałą rolę w pozbawianiu człowieka domu będącego mu bliską, rodzinną przystanią. Do pewnego czasu zafascynowany techniką wynoszącą zabudowę ponad dachy starych dzielnic nie zauważał tego. Dopiero zmęczony tempem życia, przytłoczony betonową masą poczuł potrzebę powrotu do natury, do środowiska społecznego. Marzy o domu, który mu to zapewni. Trudno tego oczekiwać po zunifikowanej zabudowie, jednakowej pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. **Socjologowie i architekci nawołują, w imię ludzkiego dobra, do indywidualizowania budownictwa poprzez wiązanie go z narodową tradycją każdego kraju. Żeby człowiek miał to, co dziedziczył z pokolenia na pokolenie.**

Na Śląsku, gdzie człowiek – np. górnik w kopalni – całymi godzinami jest odcięty od słońca, od naturalnego światła, od przyrody, marzenia o przyjaznym środowisku mieszkaniowym są całkowicie uprawnione. Tymczasem środowisko bywa mu nieprzyjazne. Tak gęsto, jak w woj. katowickim chyba nigdzie domów nie stawiano. Wręcz popis ciasnoty daje się zauważyć w miastach Zagłębia Dąbrowskiego. Huta „Katowice” wywołała wielki boom mieszkaniowy. Cieszyć mógł ilością stawianych domów, smuci do dziś niewyobrażalnym partactwem. Zmorą domów z wielkiej płyty stały się, wszędzie w Polsce, przemierzające ściany. Jednak doświadczenia mieszkańców Zagłębia są nie do pobicia. Mają w tym niechlubny udział również przedsiębiorstwa z innych regionów Polski, które wniosły spory wkład w budowę mieszkań dla hutniczej załogi. Nie pierwszy to przykład „pospolitego ruszenia” budowlanych. Po wojnie cały naród dźwigał z gruzów stolicę, śląska społeczność położyła na tym polu duże zasługi. Ale stolicy szło się na pomoc z odzuchu serca, na Śląsk z przymusu, przeto skutki nie dały na siebie czekać.

Zdegradowany ekologicznie Śląsk powinien się rządzić w budownictwie zasadami nieco innymi niż regiony, którym przemysł nie daje się tak mocno we znaki. Rzecz głównie w urbanizacji, czyli upraszczając: innym gospodarowaniu przestrzenią. Tutaj nie ma czym szafować; miasta już zachodzą jedno na drugie. Ale z zagęszczeniem zabudowy też przesadzać nie można. Domy nie powinny się o siebie ocierać, a mieszkańcy zaglądać sobie w okna.

W symbiozie z naturą

Stowarzyszenie Architektów Polskich z uporem i konsekwencją promuje budownictwo niskie, co nie znaczy, że tylko jednorodzinne; również domy po kilka czy kilkanaście mieszkań. W sam raz na zamówienie uczestników cytowanej ankiety. Były już na ten temat konkursy; ostatni trzy lata temu. Organizatorzy mieszkali wysoko, mieli ambicje wylansować model mieszkania dostosowany do śląskiej specyfiki tak bardzo zdeteminowanej przez przemysł i ekologię. Nie powiodło się w tym sensie, że inicjatywa nie zmaterializowała się na jednym, konkretnym placu budowy uprawniającym do stosownego szyldu, choć taki plac był wybrany. Lecz kto chce, to reminiscencji konkursu jednak się doszuka. Kiedy nie tak dawno zapaliło się zielone światło przed małymi spółdzielniami, a członkowie ławą ruszyli do budowy domków własnymi rękami, chyba wszystkie błysnęły urodą; domki-potworki przestały straszyć. Bez fermentu wywołanego przez SARP byłoby to mało prawdopodobne. Ów ferment wciąż procentuje; dzięki niemu właśnie budownictwo schodzi z wysokich pięt na ziemię.

Województwo w nowych granicach mieszkania w tysiącach

1971-75	1976-80	1981-85	1986-90
136	197	121,6	78

Na zadane pytanie: gdzie życie w osiedlu najbardziej zbliżyło się do warunków, jakie starano się modelować w konkursach i dyskusjach zawodowych na czoło rankingu najpewniej wysunąłby się Kokociniec: efektowny architektonicznie, bogato wyposażony w zieleń, dopracowana w najdrobniejszych szczegółach plastyka elewacji, balkony, loggie, tarasy formowane nie tylko pod ostrym kątem, a wszystko prze-myślane i zaprojektowane nawet z takimi drobiazgami jak skrzynki na kwiaty. Mała architektura: murki oporowe i schody z cegły klinkierowej, parkingi z płyt perforowanych, co umożliwia zazielenienie nawet miejsc postoju samochodów. Najdrobniejszy szczegół nie wymknął się uwadze projektanta. Wescie samo położenie osiedla – domy zbliżają się do lasu na przysłowiowy rzut kamieniem. A pod lasem polana w sam raz na niedzielne pikniki. Zimą spacerki na nartach-biegówkach. Oswojona

zwierzyna wyznacza sobie trasy w kierunku przeciwnym pod domostwa. Pełna symbioza człowieka z naturą. Szczęśliwie nie jest Kokociniec wyjątkiem na śląskiej mapie. Równie ciekawie poczynają sobie inwestorzy w Mikołowie, w Zorach, w Tychach, w Czeladzi...

Jak chce tradycja

Pomni nawoływań samych architektów, żeby miast globalizować się, budownictwo czerpało pełną garścią z lokalnej tradycji; żeby sięgało znowu do regionalnych korzeni. Może ktoś się zachnąć: ale na Śląsku nie ma o co kruszyć kopii. Nic bardziej mylnego! Oczywiście nikt nie porwie się na wierne odtwarzanie Nikiszowca, czy nawet Giszowca, ale przecież familo-ki też swoje cnoty mają. **Weźmy, dla przykładu, czerwień cegły tak pięknie współgrająca z zielenią.** Kto nie wierzy niech obejrzy osiedle w Katowicach usytuowane naprzeciw Międzynarodowych Targów Katowickich (dawny Ośrodek Postępu Technicznego). „W cegle” robione są i domki, i duże budynki. **Cegła, materiał znany i stosowany od kilku tysięcy lat, zdegradowana na krótko przez wielką płytę, wraca znowu do łask.** Jej walorów technicznych i użytkowych nie sposób przecenić. Na Śląsku została spauperyzowana na skutek barbarzyńskiego się z nią obchodzenia – osmalone sadzą budynki masowo odświeżane są emulsją. Świat do tego celu używa wody i stosownych środków czyszczących. Odkryto je także w Katowicach doprowadzając do porządku elewacje Muzeum Śląskiego i Liceum im. Mickiewicza. Co za wdzięk i uroda smutnych do niedawna gmachów. Wartość cegły polega również na jej plastyczności, co pozwalała na formowanie niebanalnych kształtów architektonicznych. W osiedlu, o którym mowa wielorodzinny dom wygląda jak dostojna willa zamoznego właściciela.

Podobno do tradycji zamierza nawiązać Bank Śląski. Planowana budowa, w samym centrum Katowic, reprezentacyjnej siedziby ma otrzymać regionalne akcenty. Banki w ogóle – i te całkiem nowe, i te modernizowane – wnoszą do śląskich miast powiew wielkiego świata. Na zewnątrz budynki zwracają uwagę szlachetnymi kształtami, wewnątrz bogactwem, czasem nieco przesadnym. W Katowicach właśnie banki dały impuls do kolejnego przeorania środowiska.

Mieszkania oddane do użytku w ostatnich latach

1991	1992	1993	1994	1995
9.149	7.845	3.933	3.220	2.503
średnia pow. w m. kw.				
71,2	74,3	86,4	94,9	101,3

Mieszkań coraz mniej, ale większych, co tłumaczy się głównie aktywnością inwestorów indywidualnych. Rośnie cena metra kwadratowego (dane bez budownictwa jednorodzinne). W roku 1995 – 785 zł; w I kwartale, 1996 – 1145 zł.

Pierwszego naruszenia starych struktur dokonano jeszcze w latach 60-tych pod batutą generała Jerzego Ziętka. Wtedy Katowice złapały wielkomięjski oddech. Stolica województwa, podobnie jak inne historyczne miasta aglomeracji katowickiej nie posiadała – z wyjątkiem

Stare, coraz starsze

Prawie co czwarte mieszkanie pochodzi sprzed 1944 r.

Domy z lat 40-tych zbliżają się do 50-tych.

W latach 80-tych wyburzono ponad 22 tys. mieszkań.

10 lat temu pod kilof typowano 173 tys. mieszkań.

chyba tylko Gliwic – wyraźnie zarysowanego śródmieścia. Był taki czas, kiedy niemal wszystkie przymierzały się do wypełnienia tej luki. Udało się tylko Katowicom. Dziś trudno je sobie wyobrazić bez charakterystycznej sylwetki „Spodka”, bez hoteli, domów handlowych, bez nowego dworca kolejowego. Operacja: śródmieście pociągnęła za sobą dośrodkowe tendencje rozwojowe, co z reguły miewa ten dobroczynny skutek, że miasta stają się bardziej zwarte, wymusza porządkowanie istniejących struktur przestrzennych.

Powyższy wniosek ma głębszy sens. Nijakość naszych osiedli bierze się i z tego, że jak okiem sięgnąć snują się siermiężne bloki. Nie ma na czym zatrzymać wzroku. Czasem trafi się indywidualnie zaprojektowana szkoła, co widać przede wszystkim

w Tychach; czasem pawilon handlowy odbiegający od sztamby. Przez całe dziesięciolecie tego rodzaju przejawy indywidualizmu tępią, na Śląsku szczególnie ostro.

Budować – lecz za co?...

Na inwestycjach, które skutecznie rozładowują osiedlową nudę najczęściej zyskują regiony silnie penetrowane dziś przez obcy kapitał za którym idzie popyt na biurowce i hotele. Zresztą i zakłady przemysłowe technicznie nowoczesne, przyjazne dla środowiska też nie muszą uciekać na peryferie. Śląsk, jak na razie tego swoistego mecenatu ze strony wielkiego kapitału się nie doczekał; może opel jest zapowiedzią zmian na lepsze?

Nie ujmując niczego jednorazowym inwestycjom w kreowaniu nowego oblicza miast, nie można tu pomniejszać roli i znaczenia budownictwa mieszkaniowego. Niestety, w tej materii ostatnio też nie ma ono głosu. Nie do wiary jak bardzo podupadło. **Miarę kryzysu najwierniej oddaje statystyka. W ub. roku przybyło raptem 2,5 tys. mieszkań. Na wyjąłowym rynku budowlanym jaki taki fason trzyma budownictwo jednorodzinne. „Urobek” indywidualnych inwestorów w ubiegłorocznych efektach sięgał 1.600 mieszkań. Pytanie, powtarzane aż do znudzenia, gdzie budować – zastąpił dylemat o nie mniejszym ciężarze gatunkowym: za co budować. Okazuje się, że z miejscem dla domów nie jest tak źle. Oferta gmin**

jest niczego sobie: na inwestorów czekają tereny mogące pomieścić około 120 tys. mieszkań.

Pomysły na rozruszanie tego działu gospodarki dopiero kiełkują – budowa mieszkań na wynajem, nowe systemy oszczędzania na własne lokum. Chętnych do łapania rzuconej z góry rękawicy jednak nie widać. Postronni obserwatorzy żywią niezłomne przekonanie, że mieszkaniami na Śląsku sypnie Kontrakt Regionalny. Nic bardziej mylnego; poza hasła i ogólniki

Wielka płyta

Wytwórnice wielkowymiarowych elementów budowlanych tzw. fabryki domów

lata 80-te ogółem: 20

1991 r. 13 (w tym 4 w górnictwie)

1992 r. całkowity odwrót od wielkiej płyty

w szczytowym okresie (lata 80-te) z fabrycznej taśmy pochodziło około 90 proc. budowanych mieszkań.

nie wychodzi. Zdaje się że na razie na budownictwo nie ma mocnych. Co nie znaczy, że na inwestycjach mieszkaniowych trzeba położyć krzyżyk i ani mru, mru. A na to, że bywa zbywane machnięciem ręki, wskazywałby opracowany w tym roku przez lokalne gazety „Raport z Górnego Śląska”, w którym budownictwo świeciło nieobecnością. Milczenie sprawy nie zatuszuje. Należy dyskutować właśnie dlatego, że jest jak jest. ■



Katowice-Panewniki. Zespół Mieszkaniowy, ul. Uroczna. Biuro autorskie: „AiR Jurkowski architekci”; autorzy: arch. Ryszard Jurkowski, współpraca arch. Anna Jurkowska, inwestor: Sp-nia „Sadyba”.

— Myślę, że naszą rozmowę powinno zapoczątkować pytanie o to, czym jest architektura?

— Wie pani, dla mnie architektura jest wszystkim. W tej chwili rozmawiamy, siedzimy na krzesłach, siedzimy w jakiejś sali, przy jakimś świetle i to jest wszystko architektura. Architektura jest jak gdyby takim określeniem przestrzeni, w której jesteśmy od narodzin aż po śmierć. Wszystko co nas otacza, jest przestrzenią i w związku z tym architekturą. Rzecz jasna, aby obiekt był architekturą, oprócz zwykłej funkcji trzeba jeszcze czegoś więcej i chyba dopiero, gdy to coś już jest, możemy mówić o dziele architektonicznym. Tutaj rodzi się jeszcze inna kwestia: my nie potrafimy docenić w budowlu tego co stanowi o jego architektonicznej doskonałości. Czy winni są temu architekci? Myślę, że nie do końca, winni są również dziennikarze, którzy o architekturze mówią coraz mniej albo nie mówią o niej wcale. Pamiętam złe czasy architektury, ale jednocześnie coraz częściej mam wrażenie, że te złe czasy nie minęły. Mam na myśli twórców architektury. Odbiegając od tematu chciałem powiedzieć, że sami twórcy są niedoceniani, a przecież architektura jest dziełem, jest wytworem sztuki. I tutaj przypomina mi się coś, co mnie niedawno wielce zaskoczyło: z wielką pompą oddawano Teatr Nowy we Wrocławiu, do jego powstania przyznawali się wszyscy, był cały program w telewizji od rana do wieczora, przyznawali się nawet ci, którzy może tylko chcieli wokół tego obiektu coś zrobić, a to dzieło przecież stworzył architekt, nie było o nim ani słowa, ani raz nie padło jego nazwisko. To tak jakby mówić o znakomitym obrazie, ale zapomnieć o samym malarzu, a docenić np. tego, kto zrobił ramę... Ja może przejastrawiam, ale widzę, że występuje brak zainteresowania architekturą, chociaż możliwe, że to powoli się zmienia.

— **Najtrudniejszy okres dla architektów mamy już chyba za sobą. Mam tutaj na myśli, czasy, gdy architekt, jako twórcę, ograniczała chociażby wielka płyta.**

— Wielka płyta należy do przeszłości. Zresztą, wielką płytę przeżywaliśmy nie tylko my, ale należy pamiętać, że przyszła ona do nas z Niemiec i te trudności przeżywali również nasi sąsiedzi. To był pewien okres cywilizacji i tutaj już nie ma o czym dyskutować. Natomiast jeśli chodzi o zmiany jakie nastąpiły w naszym zawodzie, to trudno powiedzieć, że my możemy wszystko. Oczywiście, że możemy wszystko. Architektura dzięki nowoczesnej technice jest obecnie taką sztuką, że można zrobić w zasadzie wszystko. Istnieje tylko pytanie po co, lub pytanie za ile? I w tej sytuacji, w jakiej my jesteśmy, interesuje nas w zasadzie to drugie pytanie. Ponieważ obecnie inwestor ma określone pieniądze, które musi wydać na określony cel. Jego rolą jest wydać jak najmniej za jak najlepszy obiekt, naszą zaś rolą jest za jak najmniejsze pieniądze zrobić jak najlepszy obiekt. To oczywiście będzie zawsze rodzić pewne konflikty, ale nie należy rozumieć, że dawniej takie konflikty nie istniały. One istniały zawsze i pewnie nigdy się nie skończą, bo również te relacje: inwestor — architekt tworzą architekturę. I my musimy uczyć się troszeczkę innego funkcjonowania w tym zawodzie, dlatego, że my również odpowiadamy za pieniądze klienta. Ale nie tylko, bo proszę sobie wyobrazić, że jakiś Bank X tworzy w mieście budynek i chce by był on różowy. My odpowiadamy więc nie tylko za to, ile będzie on kosztował, ale jak wpisze się w otoczenie i co zrobić, by w tym mieście wyglądał on jak najlepiej.

— **Ale do jakiego stopnia architekt może sam formować ten obiekt, może ingerować w jego formę?**

— Wie pani, to zależy od jakości architekta i ja nie ukrywam, że z tą jakością w naszym zawodzie jest różnie, tak jak chyba w każdym zawodzie. Dobry architekt z racji swojej wiedzy i swojego zawodu ma obowiązek takiego formowania obiektu i przestrzeni, aby były one jak najlepsze, bo to przecież jest tutaj fachowcem.

Rozmowa
z **ANDRZEJEM GAŁKOWSKIM**,
prezesem Stowarzyszenia
Architektów RP

Architektura jest wszystkim

— I myślę, że to właściwa pora, by na ten problem spojrzeć biorąc za przykład własne otoczenie, patrząc na architekturę Śląska. Wiadomo, że w dużej mierze kształtują ją stare familoki, przedwojenne mieszkania górnicze. Obecnie powstaje tutaj coraz więcej nowoczesnych obiektów, budowanych według najlepszych standardów europejskich. Jaka rolę powinien odegrać w tym przypadku architekt?

— Nowe obiekty obok starych powstawały zawsze, to jest nieuniknione. Ale ważne jest tutaj to, by robić to bezboleśnie. Mądre cywilizacje potrafiły to robić budując nowe obiekty, które w pewien sposób nawiązywały np. dia-

log estetyczny z tymi, które już się tam znajdowały, bądź wręcz z nimi kontrastowały, co też jest możliwe. Natomiast najgorzej jest jeśli robi się to gwałtownie, wskutek zapaści wywołanych brakiem pieniędzy. Wtedy jest trudno. W tej chwili dowiedzieliśmy się, że nasi koledzy próbują może nie ratować, ale przynajmniej inwentaryzować stare familoki. Jest to bardzo dobry pomysł. Proszę pamiętać, że na Śląsku architektura stała zawsze na wysokim poziomie. Wystarczy pokazać tutaj chociażby takie osiedla robotnicze, jak Giszowiec, Nikiszowiec, zabudowę Rudy Śląskiej, czy wielu innych śląskich miast, które są budowane na korzeniu prawa niemieckiego. To są obiekty, które mają swoją klasę. Po wojnie i po nowych zmianach ta architektura też była silna. Południowa część Katowic jest znakomita. To co się stało po socrealizmie, czyli np. Skarbek, Spodek, Dworzec Kolejowy, budynki mieszkalne wielu moich kolegów — to również bardzo dobre obiekty. Natomiast teraz najtrudniej jest pogodzić swego rodzaju brak związku między starym a nowym. Pogodzić akurat teraz, kiedy na te działania jest najmniej pieniędzy. Przykładem jest chociażby Rynek katowicki. On w tej chwili musi być zorganizowany i to nie tylko przez nas, architektów, bądź przez dobre chęci władz miejskich, ale w działaniach całego społeczeństwa. To znaczy, my wszyscy powinniśmy czuć, że coś jest zmieniane i to coś powstaje za nasze pieniądze. Przykładem jest wspomniany już Rynek katowicki, na którego przebudowę powstały aż cztery projekty. Oczywiście, projekty architektoniczne to nie wszystko, do tego muszą dojść inżynierowie, komunikanci, musi zostać przeprowadzonych wiele dyskusji, by powstało to coś, co zadowoli większość społeczeństwa.

— **A jak pan sam wyobraża sobie nowy Rynek katowicki. Czy jest pan zwolennikiem wyburzenia wokół Rynku tego, co brzydkie i wybudowania rzeczy nowych, spełniających określone wymagania?**

— Nie, nie. Ja jestem zwolennikiem, by to miejsce o złych, moim zdaniem, proporcjach, w jakiś sposób scalić. W mojej koncepcji tkwi dobudowanie jednego elementu. Otóż na osi, która prowadzi od Spodka do Rynku wybudowałbym coś na kształt wrót-okna, które by pomogło zachowaniu znakomitej perspektywy, czyli od Ronda na Katedrę i z Rynku na Spodek i Koszutkę. To pozwoliłoby uzyskać pewną lekką, zwiwną prawie przezroczystą pierzeję północną tego rynku. I wtedy mielibyśmy szansę na stworzenie Rynku w Katowicach, w miejscu dość tradycyjnym, natomiast to, co teraz nazywamy Rynkiem stworzone zostałoby na zasadzie kontrastu w postaci zielonego skweru, z dobrze ułożonymi drzewami, z zadbanyimi skwerami i z kilkoma kawiarenkami, gdzie moglibyśmy spotkać się ze znajomymi, wypić w ciszy herbatę i mieć wgląd na stosunkowo ruchliwy Rynek, gdzie byłoby np. różnego rodzaju imprezy. I tutaj powinien zaistnieć głos architektów, by te plany udało się zrealizować. Musimy rozwiązać również kolejne kwestie, jak chociażby to, co zrobić z komunikacją? Czy tramwaje wyrzucamy z Rynku, czy też pozostawiamy. Pojawiają się głosy, że tramwaj powinien pozostać po to, by ludzie starsi, niepełnosprawni mogli szybko dotrzeć do głównego punktu miasta. Dalszą kwestią jest również posadzka, ławki na Rynku itd. Katowice naprawdę mają szansę, by stać się miastem takim, jak wiele miast w Europie.

dokończenie na str. 16

— Czym zajmuje się urbanista?

— Kiedyś na to pytanie łatwiej było odpowiedzieć niż obecnie. Samo słowo urbanistyka, jak wówczas urbaniści myśleli, wiązało się z miastem i gdy cokolwiek trzeba było naprawić, zmienić, to przede wszystkim w mieście. Wtedy, kiedy te miasta zaczynały się rozrastać, powstał problem tworzenia większych układów osadniczych, swego rodzaju komplikacji. W pewnych punktach na kuli ziemskiej, jak również u nas na Górnym Śląsku, warunki życia stały się tak złe, że były potrzebne jakieś większe działania o charakterze planowym. Cały sens urbanistyki, to jest właśnie próba przeciwstawienia się żywiołowości, chaosowi, próba sterowania tymi procesami na tyle, na ile to możliwe. Kiedyś myślano również o tej urbanistyce w kategoriach czysto architektonicznych. To znaczy myślano, że z projektami urbanistycznymi jest tak, jak z projektem budynku; że tak, jak projektuje się poszczególne budowle, tak samo można zaprojektować miasto i poprawić tym samym stan życia w tej aglomeracji. Dzisiaj patrzymy na to trochę inaczej: jest to związane z ekonomią, z naukami społecznymi, coraz mniej z myśleniem czysto technicznym i jedynie w kategoriach estetycznych. Bo nie jest w sumie ważne to, czy mnie się coś podoba, z tej prostej przyczyny, że ja sam nie jestem w stanie wybudować miasta, nie ma nawet takiego budżetu, który byłby w stanie pokryć wydatki z tym związane. My urbaniści możemy raczej zastanawiać się nad tym, co zrobić aby już zastaną sytuację zmodernizować na tyle, by mieszkało się ludziom wygodnie, lepiej. Przy czym możemy robić to w niewielkich elementach większej całości — i tym zajmuje się planowanie przestrzenne.

— A jak odnaleźli się urbanisci w momencie, gdy minęło wielkie budownictwo i tzw. wielka płyta.

— Miałem okazję być w Manchesterze w roku 1991 i 92 i tam obserwowałem taką dzielnicę zbudowaną właśnie z takiej wielkiej płyty, a która to dzielnica w latach 70-tych dostawała nagrodę brytyjskich urbanistów za wybitne osiągnięcia twórcze. W roku 92 władze miejskie Manchesteru podjęły decyzję o wyburzeniu tej dzielnicy i kiedy teraz ostatnio znowu tam byłem zobaczyłem jak wygląda obecnie to miejsce. Jest ono zupełnie zmienione i trudno byłoby szukać tych obiektów, które jeszcze nie tak dawno otrzymywały tam nagrody. Więc sprawa wielkiej płyty, sprawa myślenia kategoriami dużych założeń, metodami uprzemysłowionymi to nie jest tylko problem działania na naszym gruncie lokalnym, ale jest to również problem szerszego myślenia, które spotykamy na całym świecie, a które wiąże się z problemami mieszkalnictwa, problemami społecznymi, jakie w pewnych okresach bardziej bądź mniej jaskrawie dają się we znaki.

— To znaczy, że z owych osiedli, o których myślałam, można obecnie zrobić coś zupełnie nowego, coś co nie będzie przypominało budownictwa lat 70-tych, ale stanie się nowym wizerunkiem tego samego miejsca.

— Jeśli zaistnieje taka potrzeba to będzie się to robić. Kiedyś była potrzeba stworzenia wielu nowych mieszkań w stosunkowo krótkim czasie. I w takich niegdyś bardzo biednych krajach jak Szwecja rozwiązywano ten problem tworząc jeden wielki program budownictwa dla całego kraju. Myśmy nigdy takiego programu nie zrealizowali i skutek tego jest taki, że jeżeli faktycznie nie podejmiemy się w najbliższym czasie jakichś działań dotyczących tak budowy nowych struktur mieszkaniowych, dawania mieszkań ludziom, jak i renowacji urbanistycznej tych starych zasobów w sposób poważny uwzględniający warunki ekonomiczne, które tworzy nam gospodarka rynkowa, to sytuacja może stać się coraz trudniejsza.

— Pan jako urbanista najlepiej potrafi ocenić sytuację na Śląsku. Jaka ona jest faktycznie, czy znalazłby pan tutaj

Rożmowa
ze ZBIGNIEWEM KAMIŃSKIM,
prezesem Towarzystwa
Urbanistów Polskich

Urbanistyka czyli ład

rozwiązania urbanistyczne, którym mógłby pan wystawić piątkę.

— Trudno byłoby wskazać takie miejsce. Może gdybyśmy mówili o jednym osiedlu, czy może o pewnym miasteczku, które jest mniej lub bardziej zadbane. Generalnie rzecz biorąc myślę, że kiedy mówimy o tych walorach urbanistycznych, to powinniśmy pomyśleć o walorach życia. To znaczy, jeżeli są takie miejsca: gminy, miasta czy wioski, w których ludziom się dobrze żyje, w których można zrealizować wszystkie swoje potrzeby życiowe i korzystając z dogodnej komunikacji przemieszczać się

i realizować potrzeby wyższego rzędu gdzieś indziej to myślę, że można powiedzieć, że to są właśnie te miejsca prawdziwe, dobre pod względem urbanistycznym. Oczywiście, nie jest to urbanistyka związana z projektowaniem ulicy tej czy innej, ale z projektowaniem służącym wygodnemu życiu. Może brzmi to nieco patetycznie, ale jest to chyba ważniejsze niż zaprojektowanie jednego sklepu, czy jakiegoś placu.

— W rozmowie z architektem Andrzejem Gałkowskim powstała kwestia przebudowy Rynku katowickiego. Jestem ciekawa co nowego do tej dyskusji może wnieść urbanista.

— Widziałem cztery projekty przebudowy Rynku katowickiego. Przyznam, że żaden z nich nie spełnia oczekiwań urbanisty do samego końca. Najbliższy dobremu rozwiązaniu tego problemu był projekt Andrzeja Gałkowskiego wraz z zespołem. Ale była też inna praca, która zwróciła moją uwagę. Była to mianowicie praca patrząca przyszłościowo i rozwiązująca problem komunikacji. Przy czym jej autorzy nie zawęzili myślenia o komunikacji tylko do Rynku, ale do całości miasta. Bo przecież poza Rynkiem powstają miejsca równie atrakcyjne w charakterze Centrum Businessu, czy jakieś nowe centra biurowe lub rekreacyjne. To jest kwestia połączenia tych elementów w jakąś jedną sensowną całość i myślę, że praca powinna pójść w takim właśnie kierunku.

— Wspomniał pan o wielkich budynkach, nowoczesnych strukturach... Jak one godzą się z istniejącymi na Śląsku fabrykami, dużymi zakładami przemysłowymi.

— Ja myślę, że ten przemysł będzie się zmieniał. Poszczególne jego gałęzie będą przechodziły różnego rodzaju procesy restrukturyzacyjne. Będzie to np. odchodzenie od uciążliwych technologii, zastępowanie ich technologiami mniej szkodliwymi, których oddziaływanie na środowisko jest mniejsze, co wcale nie oznacza, że ma to być aglomeracja gdzie tego przemysłu nie będzie w ogóle. Nie, ma to być po prostu inny przemysł, który ma inne wymagania. Kiedyś myślano o segregacji kryteriami: mieszkalnictwo, przemysł, komunikacja, rekreacja - był to w pewnym czasie jakiś kanon rozwiązywania układów przestrzennych, myślenia o mieście. Dzisiaj myślimy zupełnie inaczej, mówimy o mieszanu tych wszystkich funkcji, ale w taki sposób, by nie rodziło to jakichś kolizji. A więc również myślenie o przemyśle jest zupełnie inne niż było to 40, 50 lat temu.

— Niemniej jednak powstają nowe fabryki. Już niebawem w Gliwicach powstanie np. fabryka Opla.

— Oczywiście. Powtarza się to, co było w latach 80-tych, kiedy poszczególne regiony, miasta konkurowały o jak najlepszego inwestora, takiego, który stworzy nowe warunki i nowe miejsca pracy dla ludzi. Przy czym praca ta miałaby być satysfakcjonująca dla tych osób, praca złożona - dająca satysfakcję nie tylko określonej grupie społecznej, ale szerszemu przekrojowi społeczeństwa, tak kobiet jak i mężczyzn. Dlatego też należy się tylko cieszyć z tego, że można tutaj kogoś ściągnąć i to w dodatku nie na zasadzie sprzedania się, ale na prawach partnerskich. Dzisiaj nie można myśleć o restrukturyzacji przestrzeni bez trzech rzeczy. Nie można tego robić bez my-

dokończenie na str. 16

Architektura jest wszystkim

dokończenie ze str. 14

— **A oprócz Rynku co jeszcze należałoby poprawić?**

— Dla mnie bardzo ważną rzeczą jest przywrócenie miastu rzeki, nawet wówczas, gdy o Rawie mówimy, że jest brudna, że jest wręcz ściekiem. Myślę, że Rawa może być rzeką. Jeśli nie mamy pieniędzy teraz, to przynajmniej nie zasypujemy jej, nie zanieczyszczamy tak, by później naprawę już nic nie dało się z nią zrobić. W przyszłości Rawa ma szansę być czystą rzeką. Nie zabierajmy jej tej możliwości, bo miasto które ma rzekę jest miastem szczęśliwszym.

— **Czyli rynek, rzeka...**

— I wiele innych obiektów. Katowice stają się coraz bardziej atrakcyjnym miastem. Pojawiają się inwestorzy, pojawi się wiele nowych hurtowni, może nie w centrum miasta, ale gdzieś na obrzeżu. To znowu są prace dla architektów i urbanistów, jak to opanować. Dalej... ważną rzeczą jest również scalanie miasta. Myślę tutaj o połączeniu południowej i północnej części miasta. Dotychczas dzielą to tory, a my mamy do wyboru tylko dwa wąskie punkty, przez które możemy przedostać się z jednej strony na drugą. Natomiast samo miasto jest wyraźnie połączone przestrzennie. Przecież jadąc ulicą Kościuszki już na wysokości placu Miarki widzimy wyraźnie Rynek, muzeum. Tak więc jest połączenie przestrzenne, teraz należy zastanowić się co zrobić, by uzyskać również połączenie drogowe. Może wokół kina Rialto powinien powstać jeden wielki plac, powinno zmienić się i odnowić wiadukt, poszerzyć przestrzeń, która jest pod nim i stworzyć nowe punkty usługowe w tych miejscach. Od Rynku po plac Miarki powinien powstać ciąg pieszy. Moim zdaniem jest to cel bardzo bliski i bardzo ważny dla miasta.

rozmawiała: KATARZYNA WIDERA

Urbanistyka czyli ład

dokończenie ze str. 15

ślenia o poprawie sposobu funkcjonowania tego miasta w tych kategoriach technicznych, nie można myśleć poważnie bez większych zmian ekonomicznych jak tworzenie nowych miejsc pracy, likwidacji bezrobocia i nie można myśleć bez zmiany wizerunku tego miasta. Wizerunku, który może być tworzony przez to wszystko o czym już mówiłem i przez nowe budynki, które będą temu miejscu nadawały swoisty charakter, będą inne niż te, które znajdują się w mieście sąsiednim. O tym wszystkim będą już wkrótce decydować poważni inwestorzy, którzy w tym czy innym miejscu będą chcieli stworzyć swoje biura, swoje miejsca pracy.

— **Czyli zadaniem urbanistów na najbliższe kilkanaście lat będzie poprawa warunków życia w mieście i udane wkomponowanie nowych budynków.**

— Tak, przy czym trzeba spojrzeć na to jeszcze w innych kategoriach. Jeszcze nie tak dawno, kiedy projektowano zmiany w okolicznych miastach, to wszystkim się wydawało, że tych mieszkańców będzie ciągle przybywać i że tym najważniejszym problemem będzie budowanie coraz to nowych osiedli dla coraz to większej liczby ludzi. Potem się okazało, że wcale tak się nie dzieje i tych mieszkańców naprawdę nie jest coraz to więcej, ale bywa, że wręcz coraz mniej. Może więc się okazać, że nagle dane rejony staną się na tyle mało atrakcyjne, że ludzie mając pewne możliwości zaczną je wykorzystywać np. przenosząc się w inne okolice. Więc myślę, że jeśli faktycznie myśli się poważnie o urbanistyce, to należy mierzyć to w kategoriach dobrego życia, wygodnego i to nie tylko dla wąskiej grupy ludności, ale dla ogółu.

rozmawiała: KATARZYNA WIDERA

Foto: Józef Makal





**Warszawa
zaczyna
myśleć
poważnie
o Górnym
Śląsku
zwykle wtedy,
kiedy
górnicy
opanują
Aleje
Ujazdowskie
i śrubami
obrzucą
Urząd Rady
Ministrów.**

Czy ziemia przegrana?

Optyka widzenia nie zmienia się jednak na długo. Rząd podpisał wprawdzie kontrakt regionalny dla województwa katowickiego, ale dokument ten staje się iluzją, bo nie ma pieniędzy na przebudowę śląskiego przemysłu, od czego zależy powodzenie restrukturyzacji całej polskiej gospodarki. Jeśli Śląsk utonie, razem z nim pójdzie na dno polska reforma.

Każda epoka ma swoje regionalne filary gospodarcze. W XIX i XX wieku siłą sprawczą był właśnie Śląsk ze swoim potężnym przemysłem. Teraz ustępuje pola szybko rozwijającym się regionom ściągającym do siebie rozwiązania o najwyższym stopniu zaawansowania technologicznego. Jego miejsce zajmuje coraz wyraźniej Wielkopolska mająca świetne położenie na linii Berlin — Warszawa — Moskwa. Właśnie wokół takich europejskich osi gospodarczych prognozowany jest najszybszy rozwój ekonomiczny w najbliższych kilkadziesiąt latach. Wielkiej szansy nie przegapi zapewne Wrocław. Duże aspiracje zgłasza Szczecin.

Śląsk — by odnieść się do europejskich doświadczeń — czeka los Zagłębia Ruhry, które kilkadziesiąt lat temu przestało być w Niemczech motorem rozwoju. Ciężar gospodarki przeniósł się do Bawarii i Badenii-Wirtembergii.

Region śląski wpadł w pułapkę inwestycji. Przez 45 lat prowadził samobójczą politykę polegającą na dokładaniu kolejnych zakładów przemysłowych. Ambicją każdego sekretarza i wojewody było otwarcie nowej kopalni, przecięcie wstęgi, wmurowanie kamienia węgielnego. Śląsk stał się kolonią Polski? A może odwrotnie — może Polska była kolonią Śląska ściągającego nadmierne ilości inwestycji, które w innych województwach mogły być znacznie lepiej wykorzystane?

Śląską ziemią zajęto się poważnie na początku lat 50. Opracowany wówczas przez autorski zespół projektowy inż. arch. Raomualda Pieńkowskiego plan deglomeracji, zatwierdzony uchwałą prezydium rządu w czerwcu 1953 roku, był pierwszą próbą zmiany XIX-wiecznego modelu rozwoju regionu. Węgiel i stal spróbowano ubrać w ludzki garnitur.

Zespół Pieńkowskiego przez dwa lata szukał pomysłu na Śląsk, by w końcu wpisać do projektu abecadło dla wszystkich branż przemysłowych, począwszy od górnictwa, które miało przygotować wieloletnią koncepcję roz-

woju, a skończywszy na hutnictwie, gospodarce komunalnej, budowie miast, autostrad i kanałów rzecznych łączących Polskę z Europą.

Architekci podzielili region na dwa obszary. Pierwszy — „A” — obejmował 700 km kwadratowych terenów o największej koncentracji przemysłu i miast w centralnej części GOP-u. Ta część Śląska — m.in. Katowice, Chorzów, Bytom, Zabrze — miała podlegać deglomeracji. Część „B” liczyła 1700 km kwadratowych powierzchni i rozciągała się wokół obszaru „A”. Tu chciano budować nowe miasta i zakłady. Całość miała połączyć sieć dróg i tras kolejowych zapewniających szybki dowóz tysięcy ludzi do pracy.

W oparciu o tak pomyślaną koncepcję zaczęto zaludniać puste do tej pory tereny — budować Nowe Tychy (pomyślnie odeszli jednak od tej nazwy) oraz rozwijać mniejsze miejscowości — Gołonóg, Grodziec, Piekary Śląskie, Tarnowskie Góry i Pyskowice. Niestety, nowe i rozbudowane miasta pełniły przez dziesięciolecia rolę klasycznych sypialni. Tak wyglądała choćby dzielnica Zagórze w Sosnowcu dla kilkadziesiąt tysięcy ludzi, z której uczyniono zaplecze noclegowe dla huty „Katowice”.

Plan chronił jednak interesy górnictwa, zezwalając kopalniom na niczym nie skrepowane wydobywanie węgla. Przemysł ten został zwolniony z konieczności ochrony powierzchni. Państwo za wszelką cenę chciało mieć węgiel. I miało go, nie licząc się ze zniszczeniem otoczenia. To, co było bogactwem i chlubą tej ziemi, stało się jej przekleństwem.

Pomysły Pieńkowskiego nie były oryginalne. Nawiązywały do wyników opracowań regionalnych, które wykonał w okresie międzywojennym Polacy (inż. Piotrowski) i Niemcy. Paradoksalnie — Niemcy pierwsi zaczęli realizować ideę deglomeracji, rozpoczynając budowę Nowego Bytomia (teraz jest to dzielnica Rudy Śląskiej). Węgiel chcieli wydobyć do końca spod Bytomia, a miasto zlikwidować.

Projekt miał zrobić ze Śląska region z bardziej ludzką twarzą, a w rezultacie stał się jego karykaturą. Upadł, bo nadal forsowano inwestycje ponad miarę. Już w 1960 roku Rada Ministrów podjęła uchwałę o znacznej rozbudowie hutnictwa i branży chemicznej w strefie „A”, gdzie rozwój przemysłu i miast miał być zahamowany.

Mało tego. W obszarze „B” — w strefie obrzeżnej-ochronnej — powstały nowe zakłady (elektrownie: „Łągisza” na terenach rolniczych i ekologicznie czystych, „Łaziska” oraz kopalnie: „Halemba” i „Sośnica”) niezwykle uciążliwe, powodujące rozszerzenie skali zagrożeń. Smok zjadł własny ogon.

Mało kto liczył się z warunkami życia mieszkańców. W latach 1960—1980 nakłady na przemysł były na Śląsku — w przeliczeniu na jedną osobę — sześciokrotnie wyższe niż w woj. warszawskim, osiemnastokrotnie niż w województwach: gdańskim, szczecińskim, krakowskim i łódzkim i aż trzydziestokrotnie niż w woj. poznańskim, podczas gdy na infrastrukturę społeczną — na jednego mieszkańca — wydawano 1,6 razy mniej niż w woj. warszawskim.

Jedną z wizji rozwoju GOP-u oparto na rozwiązaniach komunikacyjnych. Przewidywano budowę autostrad z węzłem w centrum regionu, kanałów Wisła — Odra, i Odra — Dunaj, zapewniających tani transport i połączenia z zachodnią i południową częścią Europy. Był nawet pomysł wybudowania lotniska międzykontynentalnego (!) koło Balina do obsługi Katowic (biznes) i Krakowa (turystyka).

— Gdyby ostatni plan z 1980 roku zrealizowano w 100 procentach, Śląsk byłby poprzecinany autostradami i szerokim torem ze wschodu na zachód z odbiciem na południe do Pragi, a prawdopodobnie w okolicach Siewierza byłaby zlokalizowana elektrownia atomowa — twierdzi dyrektor Wydziału Architektury i Krajobrazu Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach Zygmunt Konopka.

Projekt skończył życie w 1994 roku. Rzecz w tym, że nowy jeszcze się nie narodził. Wyniki dotychczasowych badań i analiz znalazły się w kontrakcie regionalnym. Niestety, trzeba poczekać na studium zagospodarowania przestrzennego Śląska, które będzie gotowe dopiero za kilka lat. Ślamazarnie idzie reforma górnictwa węgla kamiennego, które — jak twierdzą niektórzy specjaliści — będzie hamować restrukturyzację całej gospodarki. W lutym zadłużenie tej branży przekroczyło 8 bilionów starych zł.

— W XXI wieku na pewno część mieszkańców województwa katowickiego będzie żyła z kopalni i hut — ocenia Konopka. — Wojewoda nie może przecież powiedzieć, że zamknie kopalnie, ponieważ decyzje te podejmowane są na szczeblu centralnym. W Polsce pokutuje stereotyp, że tutaj był tylko węgiel i stal, że zostało to wyzerpane i pozostała dziura w ziemi, że o tym terenie trzeba jak najszybciej zapomnieć, a jak się jedzie na południe, to należy nabrać powietrza w płuca i szybko przeskoczyć ten obszar. Kontrakt regionalny próbuje to zmienić.

Wedle nowej wizji, koło Gliwic powstanie potężne centrum komunikacyjne i handlowe przy skrzyżowaniu europejskich tras. Będzie to coś na wzór stref biznesu jakie powstały przy autostradach w Jankach pod Warszawą i koło Wrocławia. General Motors chce postawić na Śląsku fabrykę „Opla”. Niby wszystko gra, ale nie do końca. Polska jest przecież na etapie budowy sieci autostrad, podczas gdy — na przykład Niemcy w Zagłębiu Ruhry — odchodzą od takich pomysłów w kierunku komunikacji zbiorowej. — Musimy, tak jak oni, przejść tę chorobę, by — również jak oni — stwierdzić w przyszłości, że autostrady nie są najszybszym rozwiązaniem — dodaje Konopka.

Doświadczenia krajów Europy Zachodniej wskazują, że oparty na węglu i stali model rozwoju już się przżył. Śląsk stanie się więc ziemią przegraną? A może już nią jest? Czy śląski establishment pogodzi się z wyrokiem historii, skazującym ten region na drugoplanową rolę?

A może nastąpi wreszcie odblokowanie błędnego koła gospodarki opartej wyłącznie na przemyśle najcięższym z ciężkich — i pojawią się nowe koła zamachowe gospodarki śląskiej, jak chociażby budowa fabryki „Opla” w Gliwicach. Choć Śląsk w latach ostatnich przegrywa, przecież przegrać nie musi, o ile właściwie odczytane zostaną znaki nowego czasu wolnej gospodarki.

Czy Śląsk stanie się ziemią przegraną?

WIESŁAW KOSTERSKI

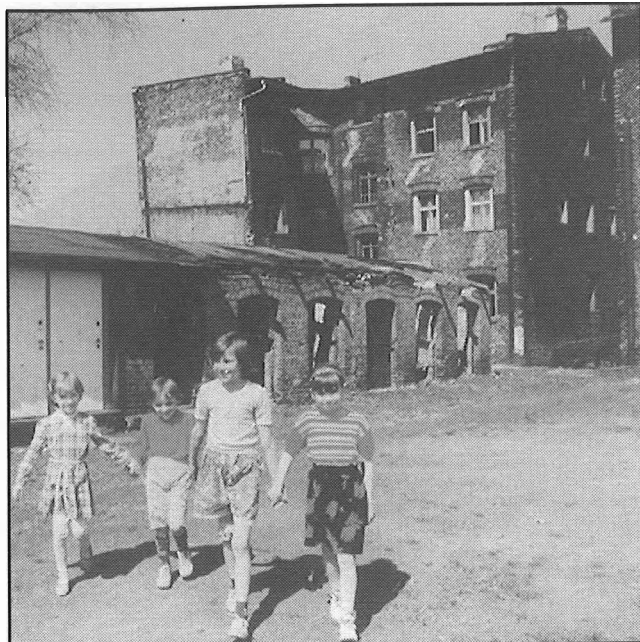


Foto: Stanisław Jankowski

Mieszkania

Symbol śląskiego budownictwa patronalnego — familok — odchodzi w przeszłość. Pozostają jednak problemy mieszkaniowe.

Sytuację mieszkaniową w woj. katowickim charakteryzuje od lat duży deficyt mieszkań, a także zła jakość zasobów mieszkaniowych, wynikająca ze stanu technicznego budynków i znacznych szkód górniczych. Do tego dochodzi załamanie budownictwa mieszkaniowego.

W 1988 r. deficyt mieszkań w woj. katowickim wynosił 127 tys. mieszkań, z czego 103 tys. w miastach. Oznacza to, że główna koncentracja niedoboru występuje właśnie w miastach. (W 1994 r. województwo katowickie dysponowało 1.28 mln. mieszkań, w tym 1.14 w miastach).

Od kilkudziesięciu lat mieszkania budowane w województwie są ok. 1,5-2 m.kw. mniejsze niż średnio w kraju, posiadają także przeciętnie mniejszą liczbę izb. Nieco korzystniej kształtują się natomiast wielkości dotyczące liczby osób w mieszkaniu oraz średniej powierzchni przypadającej na 1 osobę. Cechą charakterystyczną dla sytuacji mieszkaniowej w województwie jest także relatywnie niski udział mieszkań dużych — 4. i więcej izbowych, przeważają mieszkania małe — 2. i 3. izbowe. Co prawda w latach ostatnich sukcesywnie zmniejszał się udział mieszkań małych lecz z powodu regresu w budownictwie nie poprawiło to jednak w sposób istotny sytuacji.

Istotnym wyznacznikiem warunków mieszkaniowych jest stopień wyposażenia mieszkań w instalacje. Sytuacja w miastach woj. katowickiego jedynie w przypadku liczby mieszkań posiadających wodociąg jest nieco lepsza niż średnio w miastach Polski. We wszystkich pozostałych urządzeniach stopień ich wyposażenia charakteryzuje się mniej korzystnymi wskaźnikami. Szczególnie widoczne jest to w przypadku odsetka mieszkań z centralnym ogrzewaniem. Wynika to z preferencji ogrzewania piecami węglowymi, a podstawą są deputaty węglowe, ciągle popularne w naszym regionie.

Udział mieszkań w miastach wg. wyposażenia w urządzenia (w odsetkach).

Wyszczególnienie	Polska	Katowickie
wodociąg	96,4	98,1
ustęp	87,9	86,4
łazienka	85,6	85,0
gaz sieciowy	74,3	59,9
centralne ogrzewanie	77,3	65,9

Źródło: Rocznik Statystyczny 1995. GUS Warszawa.

W latach 1990-1994 odnotowano wzrost odsetka mieszkań wyposażonych w poszczególne rodzaje instalacji. Przyrost ten jest szybszy niż wzrost liczby mieszkań. Jest on efektem nie tylko oddawania do użytku nowych mieszkań w pełni wyposażonych w instalacje, ale także dokonywanych różnego rodzaju modernizacji w już istniejących zasobach.

Najniższy standard części zasobów mieszkaniowych w miastach wynika ze stosunkowo dużego udziału mieszkań w starszych budynkach, często pozbawionych podstawowych urządzeń, nie modernizowanych, a także z zaniedbań w konserwacji i remontach nowych zasobów.

Specyficznym problemem regionu jest odmienna niż w kraju struktura własności zasobów mieszkaniowych. Udział mieszkań znajdujących się w budynkach stanowiących własność zakładów pracy jest w woj. katowickim ponad dwukrotnie większy niż średnio w kraju. Mieszkania zakładowe to ok. 22% ogółu mieszkań miast śląskich, gdy w miastach Polski jedynie 11%. Spośród nich zasoby stare, a więc wybudowane przed 1945 r., stanowią ponad trzecią część. Często są to mieszkania o znacznym stopniu zużycia technicznego i mocno zdewastowane.

Wiek i przyspieszone zużycie budynków stanowi w woj. katowickim istotny problem. Niemal co trzecie mieszkanie zostało wybudowane przed zakończeniem II wojny światowej, a niemal 16% zasobów stanowią mieszkania sprzed 1918 r.

Najstarsze mieszkania znajdują się w budynkach będących własnością prywatną i w budynkach komunalnych.

do kasacji

Na trudne warunki mieszkaniowe ludności złożyło się wiele przyczyn. Jedną z nich była prowadzona przez dziesięć lat polityka mieszkaniowa.

Obszar Śląska był zawsze terenem, do którego migrowali ludzie z całej Polski. Wysokie zarobki, szansa szybkiego otrzymania mieszkania, szczególnie uprawnienia pracowników, przy ciągłym deficycie siły roboczej, powodowały ustawiczny napływ młodych ludzi do pracy, zwłaszcza do górnictwa. Część z nich zamieszkiwała w hotelach pracowniczych, by w stosunkowo krótkim czasie otrzymać nowe mieszkanie. Odbywało się to niewątpliwie kosztem ludności rodzimej. Preferowano przybyszów przyjeżdżających do pracy spoza Śląska i przydzielano im w pierwszej kolejności mieszkania w nowym budownictwie kosztem ludności rodzimej zamieszkującej w starych dzielnicach, w mieszkaniach o niskim standardzie. W wyniku tak realizowanej polityki mieszkaniowej ukształtowały się w miastach różne strefy będące konsekwencją selekcji i segregacji społecznej. Spowodowało to narastanie poczucia nierówności i krzywdy – szczególnie ludności miejscowej.

Mieszkania w miastach według okresu budowy i form własności budynku w woj. katowickim (w odsetkach).

Wyszczególnienie	Ogółem	Lata			
		przed 1945 r.	1945 -1970	1971 -1978	1979 -1988
Ogółem	100,0	29,2	29,4	20,8	20,6
Mieszkania w budynkach komunalnych	100,0	44,1	45,4	8,0	2,5
Mieszkania w budynkach spółdz. mieszkaniowych	100,0	0,7	20,7	36,2	42,4
Mieszkania w budynkach zakładów pracy	100,0	29,0	24,0	23,6	23,0
Mieszkania w budynkach indywidualnych	100,0	51,2	30,9	10,4	7,5

Źródło: Obliczenia własne na podstawie danych NSP 1988 dla woj. katowickiego.

Na trudne warunki mieszkaniowe województwa katowickiego składa się także problem daleko posuniętej dekapitalizacji zasobów mieszkaniowych. Zjawisko to obserwuje się zarówno w starej jak i nowej zabudowie, choć przyczyny tego stanu są różne. Jeśli chodzi o dzielnice stare, to znajdowały się one praktycznie poza zainteresowaniem gestorów, którzy koncentrowali się głównie na nowym budownictwie. Poszczególne właściciele budynków mieszkalnych — zakłady pracy, gminy,

właściciele prywatni nie byli i nie są na ogół zainteresowani ich konserwacją i modernizacją. Wynika to zarówno z nieuporządkowanych stosunków własnościowych, jak i niewystarczających środków z opłat czynszowych.

Zdecydowanie najtrudniejszy problem stanowią zasoby stare, chociaż także zabudowa nowsza, powstała po wojnie, nie spełnia aktualnych wymogów dotyczących standardu i wielkości mieszkań. Część zasobów realizowanych w tym okresie wykazuje poważne wady technologiczne (zwłaszcza tzw. „wielka płyta”). Nie ulega wątpliwości, że pewna część tych zasobów osiągnęła kres trwałości technicznej i musi ulec likwidacji. Zmniejszy to liczbę mieszkań będących w dyspozycji ludności. Szacunek potrzeb wymiany miejskich zasobów mieszkaniowych opracowany w 1990 roku w IGKiP w oparciu o dane NSP 1988 wykazuje, że orientacyjne wielkości koniecznej likwidacji zasobów obliczane dla województwa katowickiego obejmują od 91 tys. do 151 tys. mieszkań.

Zagrożenie stanowi także pogębiający się kryzys budownictwa mieszkaniowego. W latach 1981-1985 przeciętnie w roku oddawano do użytku 24,3 mieszkań, w latach 1986—1990 już tylko 15,7 tys. mieszkań. Kolejne lata przyniosły dalszy spadek. W 1990 roku wszyscy inwestorzy przekazali łącznie 9,7 tys. mieszkań, a w 1994 roku liczba ta zmniejszyła się do 3,2 tys. mieszkań. Oznacza to, że w 1994 roku w porównaniu z 1990 przekazano 3 razy mniej mieszkań. Nasilenie budownictwa mieszkaniowego, liczone liczbą oddawanych mieszkań na 1000 ludności, osiągnęło w 1994 roku zarówno w Polsce, jak i w województwie katowickim najniższy poziom w okresie powojennym. Średnio w województwie katowickim oddano w 1994 roku 0,8 mieszkania na 1000 osób i jest to najniższy (poza woj. wałbrzyskim) wskaźnik w całej Polsce, gdzie na 1000 osób wskaźnik ten wynosi 2 mieszkania. Oznacza to, że właśnie woj. katowickie i woj. wałbrzyskie z dominującym przemysłem schyłkowym (górnictwo i hutnictwo) odnotowują największy regres w inwestycjach budownictwa mieszkaniowego.

Istotnym zagrożeniem z punktu widzenia realizacji racjonalnej polityki mieszkaniowej jest niezmiernie powolny proces prywatyzacji zasobów mieszkaniowych. W województwie katowickim przebiega on także znacznie wolniej niż średnio w kraju. W woj. katowickim w 1994 roku odsetek mieszkań zajmowanych na podstawie prawa własności wynosił 33,0% (w kraju 51,3%).

Władze komunalne dążą co prawda do sprzedaży mieszkań ze względu na wysokie koszty eksploatacji. Jednakże wśród mieszkań komunalnych jedynie 3,2% stanowiły w 1994 roku mieszkania wykupione na własność (w Polsce 13,0%). Najmniej efektywnie przebiega proces prywatyzacji mieszkań zakładowych. W 1994 roku na terenie województwa udało się sprywatyzować jedynie 0,8% tych zasobów, tzn. 10 razy mniej niż w Polsce.

Przyczyn nikłego zainteresowania wykupem mieszkań szukać należy w daleko posuniętej ich dekapitalizacji. Także czynniki makroekonomiczne, związane z restrukturyzacją przemysłu, powodują brak poczucia stabilizacji ludności, co nie sprzyja decyzjom o wykupie. Również niekorzystne doświadczenia właścicieli sprywatyzowanych mieszkań, których zaskoczył obowiązek partycypacji w kosztach remontów, nie zachęca współmieszkańców budynku do wykupu.

Zachodzi zatem pytanie, jakie kierunki zmian są niezbędne, by zmienić trudną sytuację mieszkaniową w województwie?

W Europie Zachodniej od co najmniej 20. lat znane są różne programy rewitalizacji zdegradowanego społecznie i przestrzennie obszaru. Różnią się one wieloma kwestiami. Jednakże wspólną ich cechą jest traktowanie modernizacji i przebudowy jako działań kompleksowych. Efektem ich ma być trwałe przywrócenie wartości użytkowej istniejącego zespołu mieszkaniowego i osiągnięcie przestrzeni przychylniej społecznie.

Świadomość narastających potrzeb społecznych i postępującej degradacji miast śląskich zaowocowała wieloma programami modernizacji zabudowy miejskiej. Przykładem programu opracowany dla dzielnicy Biskupice (kolonia Borsig) w Zabrze, dzielnicy Bobrek w Bytomiu i w dzielnicach Zagłębia oraz Welnowiec w Katowicach czy dzielnicy Pogoń w Sosnowcu.

Wszystkie te koncepcje z braku pieniędzy stanowią — w różnym zresztą stopniu — eksperyment i nie są stosowane we wszystkich dzielnicach, które wymagają podjęcia działań naprawczych.

MARIA ZRAŁEK

CO ZOSTANIE Z BYTOMIA?



Foto: Roman Kucia

Co zostanie z Bytomia — miasta przeżywającego dramatyczną zapaść, zagrożonego materialną degradacją, zniszczeniem i śmiercią, która od lat zdobywa tutaj coraz to nowe przyczółki?

Bytom to miasto niknące. W 1945 roku przybyli doń wsiadający z innego niknącego miasta — Lwowa. Lwów powoli szarzał i topniał w ich pamięci, miejsca realnych ulic, domów i placów zajmowały coraz piękniejsze wspomnienia. Bytom powoli znikał w rzeczywistości, miejsca kamienic zajmowały sterty gruzu, a potem puste, uporządkowane i niehumanitarne martwe przestrzenie.

Kto pamięta jeszcze dokładnie, ze wszystkimi szczegółami architektury, wyburzone kamienice z samego serca miasta, z miejsca mogącego być piękną, jakich niewiele w przemysłowym krajobrazie Śląska, starówką. Chociażby dom towarowy, gdzie jako mały chłopiec (lat temu piętnaście czy może już osiemnaście) kupowałem wędkarskie szałwiki i żyłki. Te wszystkie bramy, klatki schodowe, małe sklepiki i warsztaciki. Nienaturalnie poszerzony (wyburzenia) plac Kościuszki jest śródmiejskim cmentarzem. Do czego wracają mieszkańcy nieistniejących domów?

Albo ta kamienica na rogu Krakowskiej i dzisiejszej Korfantego. Mieszkała w niej moja babcia. Na pierwszym piętrze, z okna kuchni (chyba kuchni, raczej nie pokoju) widać było bliską niemal na wyciągnięcie ręki figurkę Matki Boskiej z kapliczki. Taka wysoka kapliczka na kolumnie, jakby Madonna chciała być bliżej tych wybrańców — lokatorów mieszkania mojej babci. Dziś domu już nie ma, nikomu Matka Boska nie jest bliska na wyciągnięcie dłoni, wychylenie z okna. Poszerzyła się pustka wokół Niej.

Bytom to miasto dotknięte potrójną dewastacją: materialną, ekologiczną i kulturową.

Dewastacja materialna to przede wszystkim trwające od lat wyburzenia, które dalej będą prowadzone. W czerwcu 1995 roku w Galerii „Rotunda” Miejskiej Biblioteki Publicznej odbyła się wstrząsająca wystawa: „Wypominanie pamięci. Bytom na starych i nowych fotografiach”. Wykonane przed wojną fotografie miasta zestawiono z wizerunkami tych samych miejsc utrwalo-nych współcześnie. Bez słowa komentarza. Bo i komentarz był niepotrzebny. Pomysłodawcy ekspozycji chcieli pokazać jak przeobrażał się miejski krajobraz, tymczasem ukaza-no kronikę jego śmierci, unicestwienia, zagłady. Miasto nie zmieniało swego wyglądu, lecz traciło jego kolejne cechy. To tak samo jakby z twarzy zniknęły poszczególne zmarszczki, bruzdy, ciepłe uśmiechy, grymasy, zamyślenia i powoli zamiast ludzkiego oblicza pojawiała się gładka, chłodna kula. Bez wyrazu, nieosobowa.

Porażony skalą wyburzeń artysta rzeźbiarz i społecznik działający w Towarzystwie Opieki nad Zabytkami, Stanisław Pietrusa zaproponował niedawno, stworzenie muzeum detali architektonicznych zdejmowanych z przeznaczonych do rozbiórki kamienic. Skoro nie możemy uratować całych budynków — ocalmy chociaż fragmenty stanowiące o ich urodzie. Niech będą wspomnieniem, świadectwem.

Nic nie wskazuje, aby chociaż tę ideę udało się zrealizować. W końcu 1995 roku rozebrano zabytkową kamienicę w centrum miasta, przy ul. Lwowskich Dzieci. Jeszcze kilka lat temu władze gminy szumnie zapowiadały, iż powstanie w niej Agenda EWG. Polsko-włoska spółka, która

budynek zakupiła, zwróciła go miastu, kiedy uznała, iż nie stać ją na remont. Później długo poszukiwano inwestora, który kupiłby i sam gmach i grunt pod nim za symboliczną złotówkę i zobowiązał się przeprowadzić renowację. Bezskutecznie.

Te fakty muszą przerażać, a przecież proces niszczenia miasta trwa. W ubiegłym roku wyburzono w Bytomiu około 40 domów. W latach 1990-94 — ponad trzysta. Nikt nie ma wątpliwości, że górnictwo, które przyczyniło się niegdyś do rozwoju miasta, teraz je niszczy. „Antybytomska” działalność górnictwa objawia się zresztą nie tylko pękającymi murami kamienic, zapadliskami, łpanięciami. Jak garb ciężą gminie długi Bytomskiej Spółki Węglowej, wynoszące prawie 300 miliardów starych złotych. Jest to realne zagrożenie dla równowagi miejskiego budżetu. Samorządowcy obawiają się, że miasto, aby płacić własne zobowiązania, będzie musiało zaciągać kredyty bankowe.

2 kwietnia tego roku odbyła się nadzwyczajna sesja Rady Miejskiej Bytomia, poświęcona właśnie wierzytelnościom BSW SA. Mimo rozesłanych wcześniej zaproszeń, nie przybyli ani minister Klemens Ścierński ani minister Jerzy Markowski. W geście rozpaczony uchwalili posłanie do premiera Włodzimierza Cimoszewicza, prosząc go, aby osobiście zajął się sprawą.

„Bytomska Spółka Węgłowa zamiast współtworzyć miasto — degraduje je. Wysysa z niego siły żywotne. Odnoszę wrażenie, że to nie BSW działa w mieście, lecz miasto jest dodatkiem do BSW” — mówił radny Krzysztof Wójcik, obecnie wiceprezydent Bytomia.

Wśród wyburzanych domów są również zabytki. W lipcu sprawa dotarła do prokuratury. Powstał konflikt pomiędzy władzami miasta a wojewódzkim konserwatorem zabytków, Jackiem Owczarkiem. Złożył on w Prokuraturze Rejonowej w Bytomiu zawiadomienie o przestępstwie, oskarżając służby miejskie o bezprawne wyburzenie dwóch zabytkowych kamienic przy ul. Rycerskiej 13 i 15 oraz o zamiar nielegalnej rozbiórki czterech zabytkowych domów przy ul. Kwietniewskiego (dawna Krzyżowa).

Jacek Owczarek mówił w wywiadzie udzielonym lokalnej gazecie: „Te domy stoją już tak dawno i niszczeją. Nic nie robiono. Nagle zaczęły zagrażać. Jeżeli zaczniemy wszystko wyburzać, zrobimy szczyrby, to Bytom przestanie być Bytomiem”.

Retorycznie można zapytać — czy Bytom, pozbawiony centrum, pozbawiony tyłu już kamienic, pozbawiony części architektonicznej tożsamości, ciągle jeszcze jest w pełni Byto-

miem? Na pewno jest już Bytomiem innym, okaleczonym.

Władze miasta konieczność rozbiórki zabytków, kwestionowaną przez wojewódzkiego konserwatora, tłumaczą stanem wyższej konieczności: zagrożeniem dla życia, zdrowia i mienia ludzkiego, gdyż domy były w stanie technicznym, stwarzającym zagrożenie katastrofą budowlaną.

Czy, decydując o wyburzeniu kolejnych zabytków nie naruszono prawa — wyjaśni w dzień postępowanie prokuratorskie. Zdaniem szefa Prokuratury Rejonowej, Władysława Czekaja dochodzenie potrwa około trzech miesięcy.

Jak na ironię doniesienie o popełnieniu przestępstwa dotyczyło tych, którzy jedynie likwidowali skutki wieloletnich zaniedbań. Na razie głośno nie mówi się tego, co wszyscy wiedzą: proces katastrofalnej degradacji substancji mieszkaniowej zabytkowego Bytomia będzie trwał nadal, a nawet nabierał tempa. W kasie gminy nie ma po prostu pieniędzy na żadne przeciwdziałania. W obliczu katastrof budowlanych podejmowane są ostateczne decyzje o wyburzeniach.

Pewnym paradoksem jest, że mniej więcej w tym samym czasie gdy trwały wyburzenia udaje się pozyskać od Niemców milion marek na renowację... Kolonii Zgorzelec, osiedla robotniczego z początku wieku położonego na obrzeżach miasta, w jednym z rejonów największego w Bytomiu zatracenia środowiska. Do starych familoków doprowadzana jest kanalizacja oraz gaz, nic jednak nie wskazuje, aby spełniły się plany snute kilka lat temu przez samorządowych wizjonerów, zapowiadających powstanie osiedla artystów. Wieścił to najzupełniej serio wiceprezydent miasta do spraw architektury, proponujący, aby osiedlić tam tancerzy Śląskiego Teatru Tańca oraz rozproszonych po całym Bytomiu artystów, muzyków i pisarzy. Wydzielone bloki dla artystów znamy z innych nieco czasów i innego systemu, ale ich wizja może przestać nie dziwić, kiedy przypomnimy sobie, że w tym samym czasie wiceprezydent ów ogłaszał datę, po której w rzece Bytomce pojawić się miały — niby w Tamizie łososie — najprawdziwsze żywe pstrągi. A w tym samym czasie niszczały kolejne secesyjne kamienice...

Rozpoczęte wykopaliska w Rynku utknęły z braku środków po odkopaniu kilku zabytkowych piwnic. Nic nie wskazuje, aby zrealizowane miały zostać śmiałe plany ich zagospodarowania na kawiarnie, podziemne ekspozycje czy sklepiki.

Ostatnio powołano fundację na rzecz odbudowy i modernizacji substancji mieszkaniowej w Bytomiu.

Stworzono ją jednak według „polskiego wzoru”, stawiającego wszystko jakby do góry nogami. Naprzód ma się cel i powołuje się fundację, aby przez nią szukać (co niekoniecznie oznacza znaleźć) środki, zamiast naprzód mieć środki i zakładać fundację, aby dzięki niej środki skierować na cel, który chcemy poprzeć. Nie zważano na niekorzystne doświadczenia z powołaną przez samorząd kilka lat temu fundacją na rzecz Opery Śląskiej, która praktycznie nie rozpoczęła działalności.

Sprawa ekologicznej degradacji Bytomia to materiał do szkicu o innym charakterze. Jako swego rodzaju symbol przytoczmy jedynie fakt pozorowanej likwidacji otoczonej złą sławą Huty „Bobrek”. Umarł truciciel, niech żyje truciciel — takim okrzykiem chciałoby się skomentować całą sprawę. Zlikwidowano bowiem hutę jako byt prawny (zresztą okropnie zadłużony), zaś jej majątek przejęły dwie utworzone przez pracowników spółki — „Zakłady Metalurgiczne” i „Duo-stal”, kontynuujące produkcję i zanieczyszczanie środowiska. Rada Miejska specjalną uchwałą wykreśliła Hutę „Bobrek” z listy zakładów najbardziej uciążliwych dla środowiska naturalnego tylko po to, aby zaraz potem na ową czarną listę wpisać „Duo-stal” i „Zakłady Metalurgiczne”. Mieszkańcy Szombierki — dzielnicy położonej najbliżej huty — twierdzą, że nocny smród wydobywający się z kominów zakładu jest o wiele intensywniejszy od kiedy sprawę wzięły w swoje ręce owe spółki.

Jeżeli zaś mówić chcemy o kulturowej degradacji Bytomia — to zastanawiać powinniśmy się przede wszystkim nad niewykorzystanymi szansami. Nie chcę po raz kolejny z łezką w oku wspominać okresu sprzed dwudziestu lat, czasu festiwalów „MULIMARE” (MUzyka — LIteratura — MAlarstwo — REszta). Fenomenem był fakt, iż Bytom — nie posiadając wyższej uczelni — stał się centrum studenckiego życia kulturalnego. Tutaj działał Teatr „Wiatyk”, tutaj rodziło się wiele innych inicjatyw. Przyjmijmy, że tamte czasy minęły bezpowrotnie, że dziś inne są okoliczności. Niemniej nie sposób nie zauważyć, iż mimo, że istnieją w tym mieście dwie artystyczne szkoły średnie (muzyczna i baletowa), dwa teatry (Opera i Śląski Teatr Tańca), Centrum Sztuki z profesjonalną galerią plastyczną — życie środowiskowe uległo atomizacji, zamarło. Chociaż są i odbiorcy i twórcy kultury.

Nie da się ukryć, że spore nadzieje wiązano z mecenatem władz samorządowych, które zwłaszcza w poprzedniej kadencji głośno deklarowały w tej materii zapał i dobre chę-

ci. Ale najwięcej energii zużywano na puszczanie pary w gwizdek. Stracono Galerię Autorską Jerzego Dudy-Gracza (różnie można oceniać jego polityczną postawę, ale nie sposób zaprzeczyć, że cenionym artystą Duda jest), nie potrafiono powołać do życia już nie — jak deklarowano — Muzeum Lwowa i Kresów Wschodnich, ale takiego działu w Muzeum Górnośląskim, który mógłby aktywnie pozyskiwać (były deklaracje potencjalnych darczyńców) i opracowywać zbiory.

Z kolei Galeria „Kronika” w Centrum Sztuki zupełnie zignorowała miejscowe środowisko plastyczne, a jej szefowie wręcz dawali niedwuznacznie do zrozumienia, że nie interesują ich kiepscy miejscy pacykarze. W rezultacie bytomscy plastycy zaczęli okazjonalnie wystawiać w operowym holu, zaś ci najwybitniejsi (Edward Ingłot) wystaw żadnych nie mieli. Ingłot zresztą w końcu z Bytomia się wyprowadził.

Urzednicy zaczęli arbitralnie decydować komu warto przyznać parę groszy. I przyznawali temu kogo akurat lubili. Wprawdzie kilka interesujących przedsięwzięć się urodziło, jednak tego, że do pewnych środowisk dłoni nie wyciągnięto

zmienić się nie da. Organizowane co roku „Święto Miasta” (dawne Dni Bytomia) sięgnęły do wzorców kultury masowej w najgorszym wydaniu — jakaś parada, koncert szarpidrutów, baloniki, cukrowa wata, piwo i krupniok. I więcej nic, czyli miks odpustu z pochodem pierwszomajowym.

Nową jakością stał się bez wątpienia Śląski Teatr Tańca. Pisząc o nim staję przed pewnym dylematem: z jednej strony dociera do nas mit jego sukcesów w Stanach Zjednoczonych. Sądząc z relacji, wypadaloby jednak zawezwać: Klękajcie narody! Z drugiej strony wydaje mi się, że w Bytomiu Śląski Teatr Tańca nie potrafił mimo wszystko zdobyć własnej publiczności, stać się ośrodkiem kulturotwórczym.

Młody i błyskotliwy krytyk teatralny Artur Wawryszuk (mieszkający w Bytomiu), poddał zespół Jacka Łumińskiego próbie ostrej oceny: „Ciągłe jeszcze nie wyzwolono się z koszmarnego mitu Ameryki. Sukces tam, to sukces wszędzie, najczulszy miernik wartości. Co za wielka bzdura! (...) Przez większość wieczorów spędzonych w Śląskim Teatrze Tańca nie traćłem wrażenia zupełnej przypadkowości prezentowanych

układów. Raziła warsztatowa niedolność młodych tancerzy”. („Wiadomości Kulturalne”, 16 VII 1995). Trzeba przyznać, że Wawryszuk wykazał sporo odwagi. Część śląskich recenzentów zachowywała w stosunku do ŚTT dość długo powściągliwość, jeśli by nie rzec: milczenie. Oczywiście — ktoś może rzec: nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Ale chyba nie popularny cytat jest tutaj dobrym komentarzem.

Nie ulega natomiast wątpliwości, iż na artystycznej mapie regionu i kraju jest Bytom wciąż obecny dzięki Operze Śląskiej. Chociaż oprócz spektakularnych sukcesów zdarzają się tutaj spektakle słabsze — to ciągle chyba dobre duchy czuwają nad tutejszą sceną. Szlachectwo nadane przez Didura, Hiolskiego, Paprockiego, Stokowacką, Siesza zobowiązuje i temu zobowiązaniu bytomski zespół potrafi wciąż sprostać.

I jeszcze dygresja literacka: najciekawsze debiuty bytomskich poetów ukazały się bynajmniej nie dzięki dofinansowaniu Wydziału Kultury tej gminy, lecz wojewody stołecznego, staraniem warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich (tomiki Bożeny Paluch „Cztery razy kobieta” i Janusza Mrzigoda „Z placu tworzenia”). A przecież koszt wydania jednej książeczki stanowi mniej niż jedną piątą ceny jednego tylko katalogu wystawy, jakich dziesięć było organizowanych w ciągu roku przez Centrum Sztuki.

Władze gminy dofinansowywały również m.in. kwartalnik „Fa-Art”, natomiast nikt nie pomyślał o wydaniu pośmiertnego wyboru wierszy Stanisława Horaka, najwybitniejszego literata związanego z miastem, który napisał tu wszystkie swoje wiersze. Horak prozaikiem był średnim, jednak poetą przejmującym. Wstydliwie o nim zapomniano ze względu na życiorys politycznego działacza, który nie przynosi mu chwały. Za jeden z wierszy, „Rublowa”, z pewnością został jednak przez Pana Każdej Strofy przyjęty do Nieba Poetów: „zawziął się/po rosyjsku/nie umarł/z ikon/wygląda/nawet po rewolucji/zmusza do modłów”. Horak część swojego życia związał z ideami złej rewolucji, jednak jego poezja zawsze szukała tego, co zmusza do modłów i tylko po tej jednej, jedynej, właściwej stronie się opowiadała. Ale kto to przetłumaczył urzędnikom od kultury?

Co zostanie z Bytomia? Popiół jego czy diament na jego dzień? Mam nadzieję, że mimo wszystko zostanie z tego miasta kilka diamentów. Mimo, że codziennie trzeba w nim rozgarniać jedynie popiół. I to nie tylko ten z kominów „Bobrka”.



Budynek Poczty Głównej w Bytomiu

MIASTO W ETYKIETACH

„Miasto socjalistyczne”, „sypialnia” Górnego Śląska, Nowe Tychy — niespełna jedenaśmiesięczne przedwojenne miasteczko, słynące wcześniej z dwóch browarów, doczekało się w latach pięćdziesiątych co najmniej kilku etykietek.

Jednym z ulubionych zajęć książąt pszczyńskich były polowania. „Najdawniejsza informacja o wielkich łowach w tych stronach pochodzi z 1368 roku, kiedy to na zaproszenie włodarza Cielmic, rycerza Wawrzka, przybył tu Jan I, książę raciborski, aby wraz ze swoją drużyną uczestniczyć w polowaniu na jelenie” — podają w książeczce „Zameczek myśliwski w Promnicach” Alojzy Lysko i Roman Nyga. Zameczek ten wznosił w latach 1760 — 1766 Jan Adam, ostatni z rodu Promniców na pszczyńskim dworze. Stał w Promnicach, należących obecnie do Kobióra. Starszy od niego był jednak wystawiony w połowie XVII wieku zamek myśliwski w Tychach, osadzie w pobliżu miast — Bierunia i Łędzin, o rodowodzie sięgającym XV wieku. Jako główny ośrodek łowiectwa na Ziemi Pszczyńskiej, miejscowość otrzymała własne godło w postaci rogu myśliwskiego, widocznego na pieczęci z 1769 roku.



Blok na osiedlu „O”

Foto: Tomasz Jodłowski

Biało-żółty róg na niebieskim tle jest ponownie jej herbem. Tychy od trzydziestu lat są największym miastem Ziemi Pszczyńskiej. Cielmice są jedną z ich peryferyjnych dzielnic. Bieruń i Łędziny są niewielkimi miastami, a Kobiór gminą. Wszystkie usamodzielnili się w 1991 roku po kilkunastoletniej przynależności do Tychów.

Do Tychów, czy do Tych? Rdzenni mieszkańcy wracają zawsze do Tychów, napływowi do Tych. Dziś tysiąc z dziada pradziada stanowią minimalny procent obywateli 140-tysięcznego miasta, które w 1938 roku liczyło, jak podaje **Ludwik Musioł** w wydanej rok później monografii „Tychy”, dokładnie 10.966 mieszkańców.

Nowe Tychy

Pod koniec 1933 roku Śląska Rada Wojewódzka przyznała Tychom prawa gminy miejskiej. Osiemnaście lat później identyczne prawo Tychy otrzymały na mocy rozporządzenia prezesa Rady Ministrów. Uznano widać, że miasto, które miano zbudować na nowo obok istniejącego — miasto Nowe Tychy, miasto socjalistyczne — nie może funkcjonować na zasadach ustalonych w innym ustroju. Nawet godło zmieniono na skrzyżowane górnicze młotki na tle czerwonego ceglaneanego muru.

Nieco wcześniej, 4. października 1950 roku, Prezydium Rządu podjęło decyzję o rozbudowie miasteczka Tychy do metropolii ponad 100-tysięcznej. Od początku zaczęto wobec niej używać nazwy Nowe Tychy. To tak, jak Nowa Huta. Jak piszą w opracowaniu „Jak powstawało miasto” prof. **Hanna Adamczewska-Wejchert** i prof. **Kazimierz Wejchert**: „Prasa chętnie używała tej nowej nazwy. Prezydium MRN rozważało kilkakrotnie sprawę wystąpienia z wnioskiem do władz województwa o zmianę nazwy miasta na Nowe Tychy. Jednakże zdecydowano, że należy pozostać przy starej tradycyjnej nazwie Tychy”. Profesorstwo kilkadziesiąt lat było generalnymi projektantami miasta, ale budować zaczął je ktoś inny.

Miasto — sypialnia

Pierwszy dom w Nowych Tychach stanął w roku 1951, czyli roku rozpoczęcia inwestycji. Wówczas zaczęto budować pierwsze z przewidzianych osiedli. Otrzymało „kryptonim” A, do dziś używany w oficjalnym nazewnictwie wymiennie z określeniem „Osiedle Górnicze”, jako że w pierwotnym założeniu mieli tu mieszkać pracownicy okolicznych kopalń. Jego projektantem został prof. Tadeusz Teodorowicz-Todorowski z Politechniki Śląskiej w Gliwicach.



Osiedle „B”.

Foto: Tomasz Jodłowski

Było ono zalążkiem przyszłego miasta, w którym zamieszkać mieli ludzie zatrudnieni w zakładach znajdujących się w innych miastach. Rano do pracy, wieczorem z powrotem, noc w Tychach. I tak codziennie. „Przez dzień w Tychach panuje sielankowa cisza” — pisała w 1958 roku Halina Lipowczan w artykule „Prawda o Nowych Tychach” zamieszczonym w zbiorze „Za siedmioma hałdami”. „Miasto-łóżko” określił to Stefan Kozicki w reportażu „W Bardzo Dziwnym Mieście” zamieszczonym w zbiorze „Szukam miss powiatu” z 1961 roku. Od jakiegoś czasu funkcjonowała już jednak inna nazwa: „miasto-sypialnia”.

Osiedle A powstawało w pobliżu Starych Tychów, bo takiej właśnie nazwy doczekało się dotychczasowe miasto Tychy. Plac budowy rozciągał się tuż przy XIX-wiecznej jeszcze stacji kolejowej. Nieco dalej postawiono miasteczko barakowe dla robotników.

Budowa stała się jedną ze sztandarowych obok Nowej Huty i odbudowywanej Warszawy, ale nie doczekała się poświęconych jej piosenek propagandowych, jak „O Nowej tu Hucie piosenka”, czy też „Budujemy nowy dom...”. Za to opisał ją literaci. W 1952 roku ukazała się wydana przez „Książkę i Wiedzę” książeczka „Nowe Tychy. Narodziny miasta”, klasyczny „produkcyjniak” firmowany przez Bogdana Ostromeckiego. Rok później to samo wydawnictwo opublikowało

poświęconą budowie miasta książkę Grażyny Woysznis-Terlikowskiej „Zaminowane pola”. Żadna z nich nie weszła do kanonu polskiej literatury socrealistycznej. Może dlatego, że pierwsza z nich była zbyt schematyczna nawet dla ówczesnych speców od propagandy, zaś autorka drugiej, choć zachowywała wymóg ukazania walki klas i sojuszu robotniczo-chłopskiego, jakoś nie mogła utrzymać się, nawet w tych latach, wyłącznie w stanie entuzjazmu oraz euforii i nie potrafiła powstrzymać się przed ukazaniem chaosu decyzyjnego, organizacyjnej destrukcji i zwykłego lenistwa oraz złodziejstwa na budowie.

Miasto socjalistyczne

Jako powstałe za nowej władzy, Tychy ochrzczone mianem miasta „socjalistycznego”. W tym nazwaniu kryła się propagandowa funkcja inwestycji, mającej dać tysiące mieszkań ludziom dotychczas ich pozbawionym i nowej władzy zawdzięczających poprawę swego losu. „Nowe Tychy — miasto socjalistyczne” było hasłem jednoznacznym i oczywistym. W tym tonie utrzymany był wstęp do opracowania „Nowe Tychy”, wydanego w 1960 roku. Ryszard Nieszporek, ówczesny poseł i przewodniczący prezydium WRN w Katowicach pisał w nim, że „Nowe Tychy są widomym znakiem realizowania przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą i Rząd Polski Ludowej polityki zmierzającej

do ciągłej poprawy warunków bytowych ludzi pracy”.

Osiedle A powstało wedle znanego wzorca obowiązującego w architekturze tych lat po tej stronie Łaby. Zwarta zabudowa blokowa, o wyraźnych cechach neoklasycystycznych, z monumentalnymi gmachami użyteczności publicznej i pomnikami ukazującymi ludzi pracy. Osiedle dość szybko doczekało się krytyki, podobnie jak Nowa Huta, o której Wejchertowie napisali, że zarzucano jej „brak wyraźnych cech miasta socjalistycznego”, jednocześnie odmawiając temu określeniu nacechowania propagandowego. Dodają, że „w roku 1951 rozprawiano na ten temat w środowisku profesjonalnym bez akcentów politycznych, z całą powagą i zaangażowaniem pragnąc uniknąć w nowych zespołach mieszkaniowych cech uznanych powszechnie jako złe w miastach kapitalistycznych”. Tą negatywną cechą była głównie intensywna i ujednolicona zabudowa. Jej właśnie pragnęli uniknąć, wygrywając w 1951 roku konkurs na kontynuowanie budowy miasta.

Miasto Wejchertów

Hanna Adamczewska-Wejchert i Kazimierz Wejchert przybyli do Tychów z Warszawy. Oboje po architekturze na Politechnice Warszawskiej, ukończonej na tajnych wojennych kompletach. Mieli zbudować miasto. Nie dzielnicę, nie miasto kiedyś istniejące, lecz całkowicie nowe, od podstaw, na polach między rozrzuconymi wśród nich przysiółkami Starych Tychów.

„Profesorowie twierdzą, że miasto można budować tylko we dwoje, nie we dwie, ani we dwóch. Zespół dwojga uzupełnia się po prostu pod każdym względem” — pisała w 1977 roku Małgorzata Szejnert w artykule „Raczej o Cyterze” zamieszczonym w zbiorze „Ulica z latarnią”.

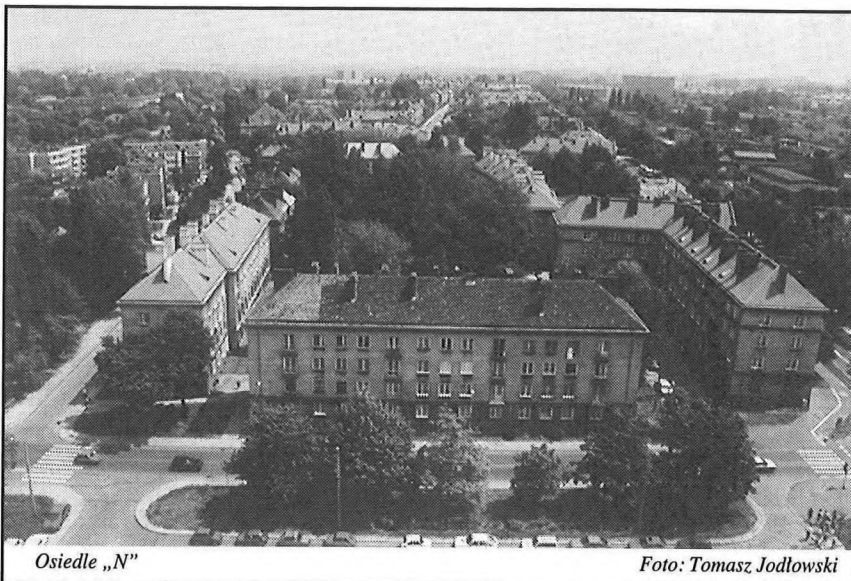
Zaczęli od osiedla oznaczonego literą B, a ostatnią w „alfabecie” zamierzali postawić do 1980 roku. W ciągu prawie trzydziestu lat, co rok nowa litera oznaczająca kolejne osiedle. Co rok budowa przenosiła się w nowe miejsce. Wejchertowie ścignęli do Tychów grupę współpracowników, też architektów.

Powstawały dziesiątki planów, koncepcji, opracowań. Wciąż zmieniano, poprawiano. Miało powstać miasto na miarę swoich czasów. „Daj Boże każdemu dziecku w Polsce chodzić do takich szkół, jakie są tu, w Tychach” — pisała entuzjastycznie Halina Lipowczan w 1958 roku.

„Nowe Tychy są obecnie największym placem budowy na Śląskim Zagłębiu Przemysłowym” — stwierdzał w przywoływanym już tekście z 1960 roku Nieszporek. W latach sześćdziesiątych inwestycja straciła wiele ze swego impetu, przyszedł zastój. A później ponownie ożywienie lat siedemdziesiątych. Znowu zawrzało na budowach. Powstawały kolejne osiedla.

Miasto bez centrum

Obecnie Tychy, bo zrezygnowano wreszcie z używania przymiotnika Nowe, są miastem, na które patrzy się już bez emocji. Budowane w latach pięćdziesiątych osiedla przypominają dzisiaj podobne budownictwo w innych miastach; osiedla lat siedemdziesiątych są w dużej części postawionymi z wielkiej płyty odhumanizowanymi blokowskimi, jakich wszędzie sporo. Może tylko dwie główne arterie, Aleje: Bielska i Niepodległości (dawniej Rewolucji Październikowej), przy której stoi charakterystyczna sylwetka Urzędu Miasta, odróżniają się od



Osiedle „N”

Foto: Tomasz Jodłowski



Rzeźba na osiedlu „A”.

Foto: Tomasz Jodłowski

drog w większości miast. Ale cóż z tego, budowane od podstaw Tychy nie mają centrum, a podobnego przykładu trudno byłoby szukać poza nimi. W domniemanym centrum znajdują się dwa ważne skrzyżowania, między nimi osiedle i Ratusz, poza tym Dom Towarowy, trochę sklepów i siedzib firm. Wszystko. Nie ma miejsca, takiego jak w innych miastach, które są ich wizytówką, ulubionym miejscem spotkań, głównym placem i celem niedzielnych wycieczek, czy choćby zwykłym centrum handlowym. I cóż z tego, że nieco więcej tu, niż gdzieś indziej, wypełnionej trawnikami i placami przestrzeni, jeśli w tym wypadku przeciwstawia się ona ludziom, którzy wszędzie mają daleko.

Podczas budowy mówiło się o podporządkowaniu architektury człowiekowi oraz jego oczekiwaniom i rzeczywiście starano się to robić. Cóż, po latach nawet nowoczesne wówczas i na ówczesną miarę funkcjonalne budownictwo traci masyżkę lub schematem, budynki się spią, konieczne są remonty. Trudno nawet winić Wejchertów. Budowali w latach, kiedy często bardziej liczył się narzucony „przez górę” termin i okazja do odsłonięcia kolejnego obiektu, niż normy, kiedy decydenci polityczni starali się zastępować architektów w decyzjach budowlanych.

Jakże symboliczna jest w tym kontekście grafika na okładce ich książki „Jak powstawało miasto”, będącej monografią jego planowania. Narysowano na niej dwa drzewa. Jedno, jasne, z konarami pełnymi liści stoi prosto, a obok pnący się w górę podpis: „Teoria”. I drugie drzewo — czarne, uschnięte, pozbawione liści, pochylone, a właściwie chylące się ku upadkowi. Obok, tuż przy ziemi, napis: „Praktyka”.

Kazimierz Wejchert zmarł w roku 1993. Hanna Adamczewska-Wejchert zmarła drugiego stycznia 1996. W najbliższym czasie Rada Miejska w Tychach nada jednej z ulic w mieście ich imię. 24 lutego rozstrzygnięty został konkurs architektoniczny na opracowanie urbanistycznej koncepcji centrum miasta.

BOGDAN PREJS

■ W „Twórczości” (nr 5, str. 157–159) Leszek Bugajski przedstawił pierwsze numery naszego miesięcznika oraz jego założenia programowe. Przytaczamy fragmenty obszernego omówienia „Śląska” w tym wysoce cenionym piśmie.

...Ukazujący się od jesieni 1995 roku miesięcznik społeczno-kulturalny *Śląsk* jest pod wieloma względami kontynuacją *Poglądów*, nie tylko dlatego, że jego redaktor naczelny Tadeusz Kijonka przez wiele lat związany był z tamtym pismem, ale przede wszystkim dlatego, że nowy miesięcznik ma otwarty profil, nie ogranicza się do spraw literatury, ani nawet wyłącznie do kultury — otwarty jest na problematykę społeczną, obyczajową, chętnie sięga do tradycji śląskiej, przypomina o wydarzeniach z historii tego regionu. Sprawia to, że do spraw Śląska redakcja podchodzi z różnych stron, pokazuje je w różnym oświetleniu, na różnych poziomach. To wróży piśmu długi żywot, bo niepodobna sobie wyobrazić, że piśmo wyczerpie temat, że nie będzie miało o czym pisać, gdy zamrze jakiś literacki nurt czy zniknie artystyczne zjawisko, z którym byłoby związane na dobre i złe. Śląskość traktowana bardzo szeroko i nie tylko w wymiarze współczesnym jest obszarem, po którym można buszować bez końca (...)

...Cztery dotąd opublikowane numery *Śląska* (od listopada 1995 do lutego 1996) są w zdumiewający sposób wierne temu, co zadeklarował redaktor naczelny, realizują to różnymi metodami, ale wyraźnie zaznaczając za każdym razem, że akcentowana śląskość miesięcznika nigdy nie prowadzi i nie będzie prowadzić do jego zamknięcia się w kręgu partykularnych interesów regionalnych, ale że będzie nieustanną działalnością na rzecz podkreślania i wzmacniania więzi kultury śląskiej i szerszym układem, którego jest ona ważną częścią.

Temu służy — jak myślę — stała prezentacja wybitnych artystów, którzy albo pochodzą ze Śląska, albo byli przez dłuższy okres życia z nim związani (...)

To chyba warto podkreślić — redagowany jest *Śląsk* bez zaciętrzewienia politycznego, bez angażowania się w doraźne polityczne rozgrywki. Spokojnie i rozważnie, jakby jego redaktorzy szukali i podkreślali to, co łączy wszystkich, nie dzieli, jakby chcieli przetrwać pomosty ponad wszystkimi antagonizmami zrodzonymi dawno i w całkiem nieodległej przeszłości. Taka postawa jest, moim zdaniem, główną wartością miesięcznika, jak również wytrwałe odwoływanie się do korzeni, do przeszłości wspólnej wszystkim (...)

Tematów jest tu rzeczywiście mnóstwo i to takich, które wymagają rzeczywiście poważnego i głębokiego podejścia, bo przemysł ciężki czeka ją gruntowne przeobrażenia, które muszą bardzo głęboko oddziaływać na region, gdzie

wszystko było dotąd podporządkowane górnictwu i hutnictwu.

A obok tego znajdujemy w *Śląsku* materiały, jakie powinny się znaleźć w normalnym miesięczniku społeczno-kulturalnym: wywiady z uczonymi historykami literatury, eseje, fragmenty prozy, recenzje, nie tylko literackie, szkice, poezję, kronikę wydarzeń kulturalnych, reprodukcje prac plastycznych, bardzo interesujące fotografie, felietony... I stała troskę o to, by wśród przemian gospodarczych, obyczajowych, nie zgubił się interes kultury, bo to ona świadczy o tożsamości tego i każdego innego regionu. (...)

Myślę, że miesięcznik *Śląsk* chce zgrupować wokół siebie ludzi, którzy stworzą podstawy sformułowania wizji przyszłości regionu wychodząc właśnie od kultury i na nią kładąc główny nacisk. To, zdaje się, jest celem działania piśma.

Pisali o nas

■ W „Wiadomościach Kulturalnych” (nr 20, str. 2) omówienie pierwszych numerów „Śląska” przedstawił Kazimierz Koźniewski, w stałej rubryce warszawskiego tygodnika „Czytelnia pism literackich”. Znany

pisarz i publicysta stwierdził:

Śląsk, robiony w Katowicach — wydawca Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach (...), redaktor naczelny Tadeusz Kijonka, jego zastępca Feliks Netz, obaj znani pisarze. *Śląsk* nawiązuje do dawnej *Szewczykowskiej Odry*; w tegorocznym pierwszym (a trzecim w ogóle) numerze przypomina postać i twórczość Wilhelma Szewczyka, dzisiaj jakby już zapomnianego wielkiego animatora śląskiej kultury i literatury, przez całe dziesięciolecie prezentującego w krakowskim *Życiu Literackim* aktualny stan powojennej niemieckiej literatury. *Śląsk* drukuje nader charakterystyczną korespondencję, listy Horsta Bienka i paru innych pisarzy niemieckich związanych ze Śląskiem do Wilhelma Szewczyka. Czytając teraz w Śląsku to, co Feliks Netz pisze o Szewczyku, czytając tam wspomnienie profesor Grażyny Szewczyk, historyka literatury niemieckiej, o ojcu, czytając listy pisane ongiś z Niemiec do Szewczyka i pamiętając jego dawne felietony w *Życiu Literackim* — myślę, że właściwie dopiero teraz przychodzi prawdziwy czas Wilhelma Szewczyka, zacieklego antyhitlerowca z lat wojny ze Śląska (musiał uciekać do GG, tam się kryć), który rzeczywiście współtworzyć chciał to, co wreszcie teraz się realizuje: kulturalną, intelektualną, pełną współpracę polsko-niemiecką. (...)

Pierwsze numery tego miesięcznika pełne są bardzo interesujących — również prowokujących dyskusje — materiałów publicystycznych, reportaży (agonia kopalni Paryż, kłopoty Chorzowa), współczesnych i historycznych dotyczących Górnego Śląska, Opolszczyzny, Cieszyńskiego. Piśmo rejestruje wydarzenia kulturalne, artystyczne. Wydane z ogromną starannością oraz inwencją graficzną.

„Jesteśmy zestresowani” — powtarzamy często. Coraz częściej. Bo właśnie na kogoś nakrzywdziliśmy, bo czegoś nie zrobiliśmy, bo o czymś zapomnieliśmy, bo coś tam jeszcze (już — z tego stresu właśnie — nawet nie pamiętamy, co jeszcze); bo — wreszcie — chcemy już wyjechać na urlop. Po co? Żeby wypocząć, żeby się odstresować; nie oglądać choć przez tych parę tygodni w roku swego nieznośnego szefa. Chyba że w złych snach.

„Jesteśmy zestresowani” — powtarzamy często. Coraz częściej. By uspokoić się prostą diagnozą, by się usprawiedliwić. Przed sobą i innymi. Jakże się tu zresztą nie stresować, skoro spotykamy wokół siebie coraz więcej zestresowanych ludzi...

Trudno oprzeć się wrażeniu, że ostatnich kilka lat zmieniło nasze odczuwanie stresu. Nie tylko częściej czujemy, że jesteśmy zestresowani, nie tylko częściej o tym mówimy. Żywimy także bardziej czy mniej wyraźne przekonanie, że jesteśmy dzisiaj jakoś bardziej zestresowani niż kiedykolwiek wcześniej. To „wcześniej”, naszą przeszłość po prostu, skłonni jesteśmy w tym względzie widzieć w cokolwiek różowych barwach. To co stresowało nas jeszcze kilka lat temu, dzisiaj jawi się często jako błaha czy zgoła zupełnie nieistotne. I niewiele wyjaśni tu wpływający czas, który ponoć koi rany. Niedobra zdaje się też analogia z wiekiem człowieka, że niby jak mu lat przybywa, to uśmiecha się już tylko na wspomnienie młodzińskich trosk. Analogia to niedobra, bo zdarza się nam przecież budzić zlanymi potem, bo właśnie skończył się kolejny koszar z maturą czy klasówką z matematyki w roli głównej. Nie słyszałem zaś, by komukolwiek śniły się ostatnio koszmarne kolejki, bony żywnościowe, czy czarna noc stanu wojennego.

Ta zwiększająca się „popularność” stresu nie jest przypadkowa. Dobrze odzwierciedla dokonujące się wokół nas procesy modernizacyjne, które wielu z nas wyrwywa z dziesiątek lat poukładanego, zrutynizowanego życia. Te procesy, których symbolem stał się komputer, wymagają od nas znacznie

SKAZANI NA STRES

KRZYSZTOF ŁĘCKI

większych przestawień, niż nauka posługiwania się pocziwym PC-tem...

Amerykański socjolog Peter L. Berger zatytułował swój głośny esej — *Człowiek Zachodu: wyzwolenie i samotność*. I otóż te same procesy społeczne, kulturowe i gospodarcze, które człowieka Zachodu wyzwoliły ze wspólnotowych więzów, skazując go zarazem na samotność, te same siły wpędziły go w stres; skazały go na życie w stresie na skalę niespotykaną w innych czasach, a i dzisiaj nieznany w wielu miejscach naszego globu. Za częste zmiany, za wiele nieprzesiewanych informacji, za silną potrzebę osiągnięć, za silną potrzebę podkreślania własnej wyjątkowości, rozbuchany konsumpcjonizm, brak sprawności komunikacyjnych — to tylko niektóre przyczyny stresu naszego współczesnego. Reagując nań młodzi, zamykający filozofię swego pokolenia w puszczyce „pepsi”, uzupełniając to cukierkiem potwierdzającym wyjątkowość ssącego, stają się albo pracochołikami, albo narkomanami. Niewesoła to alternatywa.

A są przecież miejsca na ziemi, gdzie ludzie żyją spokojniej, choć w miarę, jak świat się westernizuje, liczyć się trzeba z tym, że miejsc takich będzie coraz mniej. Przyznać zresztą trzeba, że w wymuszaniu swego rodzaju „życia na stresie”, wyrwania ze swojskich, nie do przyjęcia dla stale modernizującej się, a obecnie nawet postmodernizującej Europy, obyczajów i rytuałów, byłwał Zachód niegdyś bardziej brutalny niż dzisiaj. Bolszewicki — a cóż bardziej europejskiego niż komunizm! — śledczy w powieści Arthura Koestlera *Ciemność w południe* obrazowo pokazuje jak uprzemysławiała się (a więc w ówczesnych

czasach westernizowała — Rosja) — *Miałem szesnaście lat, kiedy mnie nauczono, że godzina dzieli się na minuty. Gdy chłopci z mojej wsi musieli jechać do miasta, szli na stację o świcie i spali w poczekalni aż do nadejścia pociągu, co zwykle zdarzało się w południe; czasem pociąg przyjeżdżał dopiero wieczorem, albo następnego ranka. Ci chłopci pracują teraz w naszych fabrykach. W mojej wsi na przykład stoi teraz*

największa w świecie fabryka szyn żelaznych. W ciągu pierwszego roku nadzorcy kładli się spać między jednym spustem pieca hutniczego a drugim; robili to z takim uporem, że trzeba było ich rozstrzelać. We wszystkich innych krajach chłopci mieli sto lub dwieście lat, aby wyrobić w sobie nawyk precyzji przemysłowej (...) Tutaj dano im na to tylko dziesięć lat. Gdybyśmy za każde przewinienie nie wyrzucali i nie rozstrzeliwali, stanąłby cały kraj, a chłopci położyliby się spać na podwórzach fabryk i spali, póki by trawa nie wyrosła ponad kominy i wszystko nie byłoby znowu tak jak przedtem.

Prawda, że niezbyt zachęcająca wizja pogoni za standardem fabryk z Manchesteru? A dzisiaj co najwyżej grzecznie podziękują za pracę w koncernie „jakimśtam”. Jest szansa, że pozbawiony pracy człowiek zabija się sam. Bo powrotu pod gruszę już nie ma, a i trawy nie przerosną fabrycznych kominów. Innymi słowy — nie ma odwrotu.

Ale może jednak się nie zabije. Stres nie dotyka w takim samym stopniu wszystkich ludzi. Codzienne doświadczenie podpowiada nam, że są oni w różnym stopniu odporni (podatni na stres). Wystarczy poczytać choćby wspomnienia obozowe Stanisława Grzesiuka, by zobaczyć całe bogactwo postaw adaptacyjnych w sytuacji stresowej skrajnie, bo taką tworzy obóz koncentracyjny. Ale w reakcji na stres różnią się tylko pojedynczy osobnicy, różni się nie tylko nadwrażliwiec cały świat postrzegający jako jednego wielkiego stresora, od pana Zenka, który wszystko olewa...

Zróznicowania te dotyczą również kultur. I to niekoniernie tych wielkich, takich, które okre-

śla się jako europejska, polska itd. Istnieją odcienie bardziej lokalne. Siedząc w białostockiej restauracji można do woli obserwować nietkniętą stresem załogę — tak bardzo umiejącą odgrodzić się od niepotrzebnych informacji o zniecierpliwieniu zestresowanego klienta. Czas tam płynie wolniej, ludzie są może i szczęśliwsi, bo nie muszą jak pracownicy McDonalds'a potwierdzać w każdej chwili swego szczęścia sztucznym uśmiechem. Ale to, że wzbudzają irytację swoją flegmą jest znakiem czasu. Właściwie znakiem braku czasu.

Stres to nie tylko najlepszy sposób, by zapaść na którąś z cywilizacyjnych chorób. To także znak rozpoznawczy, emblemat człowieka Zachodu. W Polsce to osobnik, który na nic nie ma czasu, ale przyjmuje najróżniejsze zobowiązania, któremu do wszystkich starych trosk przyplątały się nowe — zdobycie pieniędzy na wykształcenie dzieci, hipoteka, kredyt, bezrobocie... To stres powoduje rosnącą popularność grup terapeutycznych, to stres próbujemy utopić w alkoholu, to własny stres wyladowujemy na innych. „Denerwujesz się? To świetnie, to znaczy, że ja nie muszę się już denerwować” — powiadał pewien szef dobrze znający tajniki ludzkiej natury, który własnych stresów pozbywał się skutecznie obdarowując nimi podwładnych.

Można zaryzykować hipotezę, że co charakteryzuje współczesne społeczeństwa zachodnie to fakt, że o stresie można mówić, choć nie zawsze wypada. Nie podważając wartości naukowych dociekań badacza, który pojęcie stresu wprowadził do naszego słownika — Hansa Seyle, trzeba powiedzieć, że dostarczył w II połowie XX wieku Zachodowi nie tylko diagnozy, ale właśnie odpowiedniej nazwy dla bólu wieku. Bardzo demokratycznej dodajmy — bo jeśli migrena uchodzić mogła za dolegliwość elitarną (niższe warstwy społeczeństwa mawiały po prostu „o patrzaj, znowu ją łeb boli”), to zestresowany może być naprawdę każdy, choć pewnie nie każdy chce.

Istnieje być może pewna „stała stresowa”, tj. zestaw takich sytuacji, którym stres w społeczeństwach zachodnich stale towarzyszy, i towarzyszył będzie. Przychodzi mi na myśl np. poznanie dziewczyny, pierwsza randka. Choć dająca się zaobserwować dzisiejsza bezceremonialność młodych ludzi w tej sferze każe wątpić, czy stres ten utrzymuje się na odpowiednio wysokim poziomie.

Stresory zresztą nie zawsze mają twarz. Coraz częściej przybierają postać anonimowych sił, których nawet dobrze nie umiemy rozpoznać, cóż dopiero mówić o panowaniu nad nimi...

Stres jest ceną jaką płaci się za udział w grze jaką tworzy współczesne społeczeństwo. Kusi nas swymi błyskotkami, by za chwilę bezwzględnie zepchać nas w stres. To obok nas i to w nas. Rzeczywistość i — niekiedy zupełnie zdeformowane — wyobrażenia o niej. Jeżeli chcemy zaspokajać swoje bardziej czy mniej wyrafinowane potrzeby, musimy być przygo-

towani na to, że zawsze znajdzie się ktoś, lub zdarzy się coś, co realizację potrzeb będzie uniemożliwiać. A jeśli gra się w społeczeństwo konsumpcyjne, to niezaspokojona potrzeba oznacza po prostu nieszczęście, z którym trudno się pogodzić, z którym trudno żyć.

Co innego w tzw. „kulturach nędzy”. Kiedy przed laty czytałem książkę amerykańskiego antropologa Oscara Lewisa *Sanchez i jego dzieci*, byłem zdumiony wewnętrznym spokojem człowieka, który przechodził przez życie w otoczeniu takiego wianuszka problemów, że obiektywnie rzecz biorąc stres mógłby go zjeść. Ale nie — żył szczęśliwie...

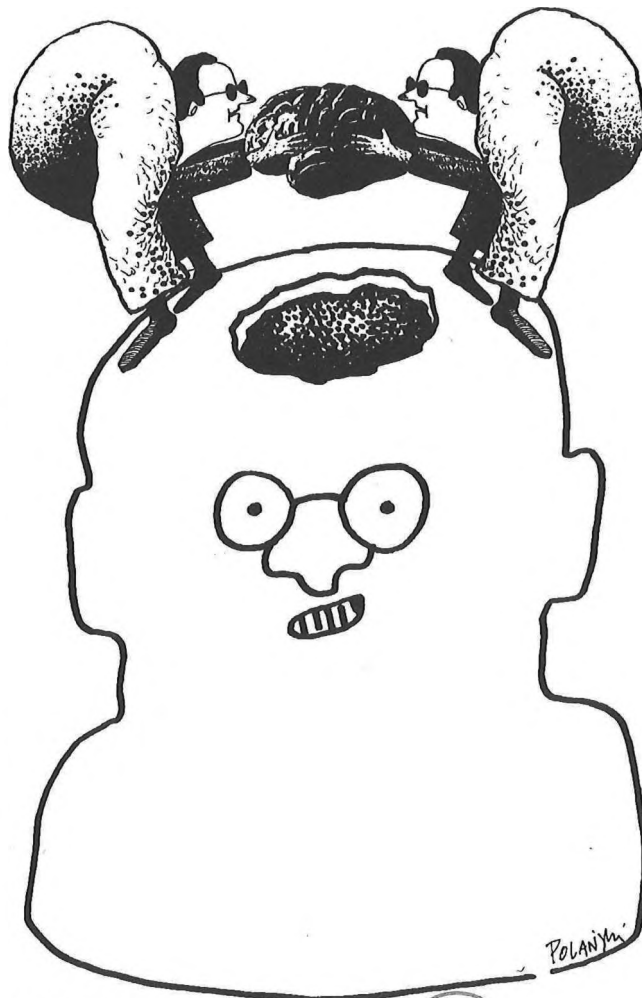
Na podstawie książki Lewisa nakręcono głośny film *Dzieci Sancheza*. To nie przypadek, że Sancheza grał w nim Anthony Quinn. Ten sam Grek Zorba, który wiele lat wcześniej leczył tańcem zestresowanego katastrofą angielskiego pisarza...

Jak można wnioskować, stres zależy od naszego poglądu na świat. Są światopoglądy, które stanowią spokojną przystań, do której zawsze można przybić chowając się przed burzliwymi, stresogennymi zdarzeniami życia codziennego.

Stres męczył pewnie człowieka „od zawsze”. Nie mamy doprawdy powodów sądzić, że nasi odlegli przodkowie nie przeżywali stanów, które dzisiaj określibyśmy jako stresowe. A jeśli dzisiaj śmiesz nas sytuacje, które wywoływały stres niegdyś, to pamiętajmy, że i nasz stres powszechnie śmieszyl będzie nasze późne wnuki.

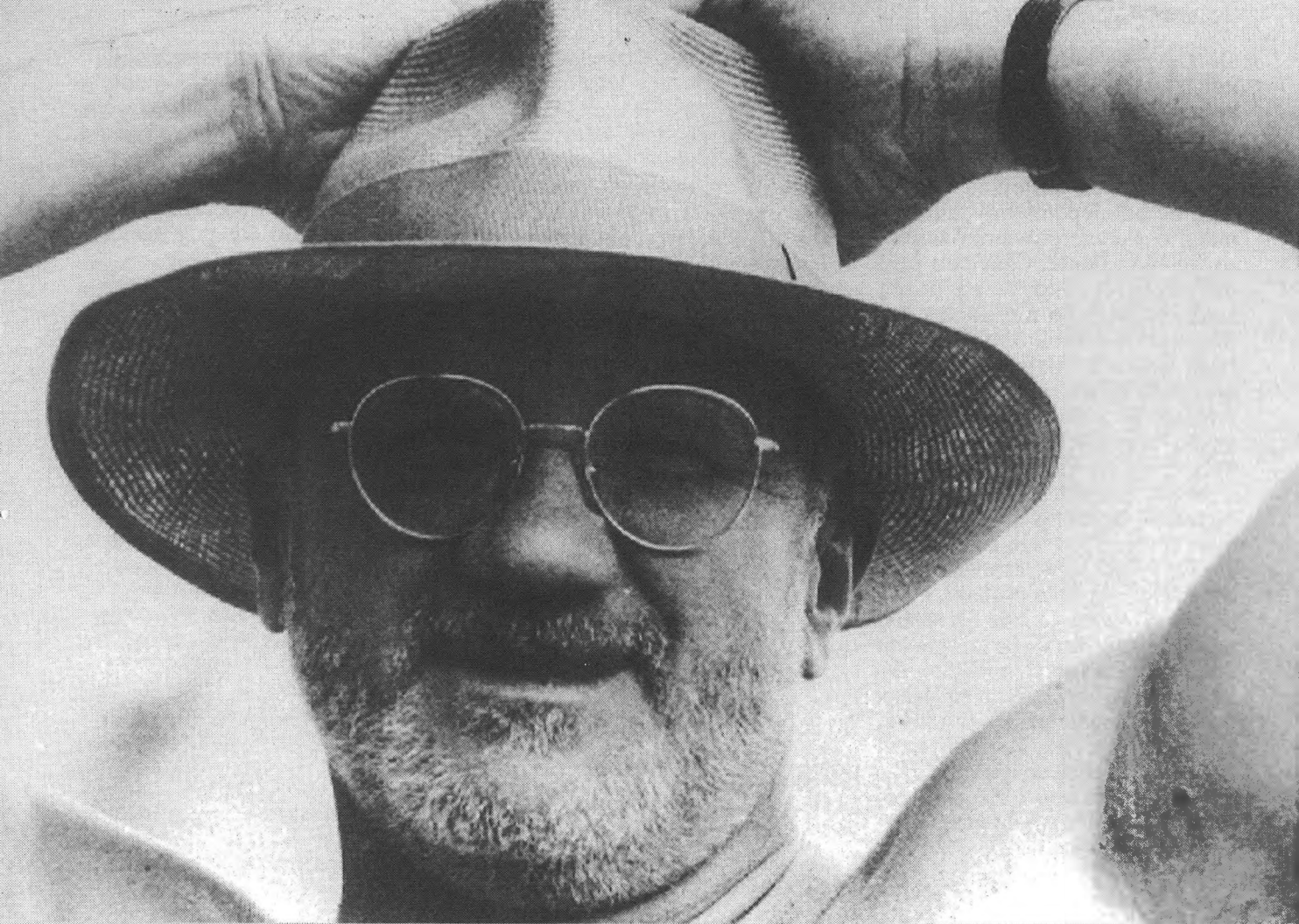
Zresztą, nie narzekajmy. Gdyby nie stres, człowiek może chodziłby po drzewach. Postawiony w sytuacji lekkostresowej może dać z siebie więcej. Ktoż z nas — wreszcie — wytrzymałby bez stresu?

Przezuwająca krowa nie wie pewnie, co to stres. No cóż, ale krowa nie tylko nie zmienia poglądów. Być może po prostu ich nie ma.



Rys. Marek Polański





HORST BIENEK

Kawałki biograficzne

O swoich przodkach wiemy tylko tyle, że przybyli z bezkresnych przestrzeni wschodu, każda generacja wędruje bowiem odrobinę dalej na zachód, zgodnie z ruchem słońca. Ojciec, maszynista lokomotywy pruskich kolei państwowych, wyruszył z Lublinitz po Plebiscycie w 1921 roku, który został polskim Lublińcem, do pewnego miasta zaraz za nową granicą państwową, do Gliwic, gdzie urodził się jako szóste i ostatnie dziecko na początku czwartego dziesięciolecia. Matka była osobą energiczną, dorywczo występowała w teatrze miejskim jako śpiewaczka i dawała lekcje fortepianu, aby poprawić budżet domowy i przyodziać dzieci w takie ubrania, żeby wyglądały jak inne w wytwornej, zachodniej dzielnicy miasta. Sama nosiła zimną futro z baranków krymskich a latem białego lisa, i ludzie mówili o niej, że żyje ponad stan. Nie była to jedyna rzecz, jaką odziedziczyła.

Jego dzieciństwo jest rozkołysanym wspomnieniem wielkich, mrocznych la-

sów, wołania kukutek, placu ćwiczeń ósmego regimentu kawalerii przed oknami, zabaw z chłopcami stajennymi, którzy za koszarami w lasku miejskim w wieczornym świetle czyścili konie, procesji na Górę Św. Anny i do Piekar z polskimi i niemieckimi pieśniami pątniczymi, jedne były niemieckie, inne zaś polskie, obie jednak katolickie; wspomnienie brudnej, leniwie płynącej tam rzeki Kłodnicy, ulicy kopalnianej, drogi królewskiej do Przechlebia, dworca towarowego i sygnałów manewrującej lokomotywy. Było lato, kiedy zakwitał rzepak. Była jesień, kiedy paliły się ogniska kartoflane.

Pewne dzieciństwo, które od początku było zanurzone w błękitnym świetle pożegnania.

Dzieciństwo pomiędzy katolicyzmem, seksem a faszyzmem. Dzisiaj brzmi to jak abstrakcja, ale wówczas było to dlań zmysłowym doświadczeniem. Zagrożenie, strach, ekstaza.

Niedzielna msza w kościele Chrystusa Króla. Gromy, jakie ciskał z ambony proboszcz Pattas na grzeszników. A któż z nich był bez winy? Panie, zmiłuj się nad nami, powiedział i pięścią uderzył się w piersi. Panie, zmiłuj się nade mną. I uderzył się mocno. Był winny. Zajmował się rzeczami sprośnymi, z sobą i z innymi. Kapłan w konfesjonale chciał wiedzieć dokładniej.

Na przedwiośniu, kiedy topniał śnieg i rzeka wzbierała, balansował na krze, którą Kłodnica pędziła w kierunku Odry, kiedyś został porwany przez nurt i wpadł do lodowatej wody, nieomal byłby utonął.

Wędrował boso wzdłuż szosy, pędził przez płonące pola rzepaku, pokrzywy chłostały jego kolana, jaśmin odorzał go swoim zapachem, dziewanna wabiła go złotymi dzwoneczkami, gonił za zgiełkiem, szczękiem wież wydobywczych, syrenami hut, wołaniem ptaków w żernickim lesie, gdzie kiedyś zabłądził, umierał prawie ze strachu, gdy zapadła noc, bowiem za polską granicą,

jak wiedział, grasowały jeszcze wilki; nauczył się obcować z cieniami i z ciemnością, zasnął na miękkim poszyciu z mchu, i śniło mu się, że wilki zbliżają się cichutko i delikatnie liżą jego oblicze.

Kiedy wybuchła wojna, przeciwko Polsce, widział żołnierzy, jak maszerowali do granicy, która leżała tylko parę kilometrów dalej, stukasy przelatywały nad miastem w szarości poranka. Jego starszy brat został powołany, matka wetknęła mu do kieszeni soli i mirtem ozdobiła jego czapkę nazywaną „stateczkiem”. Życzył sobie, żeby wojna potrwała tak długo, aż wszyscy starsi bracia zostaną żołnierzami. Był bowiem najmłodszym, i już dawno doszedł do takiego przekonania, że starsi bracia istnieją właściwie tylko po to, żeby młodszemu garbować skórę. Ale on życzył sobie młodszego brata po to, by móc być dla niego dobrym.

Jak z soku wiśniowego i wody kolońskiej swej matki mieszał czerwony likier, wtedy z Marią zaszywał się w leśnym ustroniu, gdzie stale ją zapraszał, aby tam popijać, i jak właśnie położył się obok niej, w lesie, wrześnieowe słońce strzelało promieniami, i odsunął jej pofalowaną spódnicę i całował ją i nie dotarł daleko, bowiem sam zbyt mocno upijał się tą lurą, a kiedy ksiądz pytał, jak daleko się posunął, wtedy mówił, że właśnie nie posunął się daleko, wielebny kapitanie.

Jak w kąpielisku Victoria, pod teatrem miejskim, kupował bilet na kąpiel w wannie, na co nieczęsto mógł sobie pozwolić, jedynie kiedy babcia darowała mu piątką, wówczas kazał się prowadzić kobiecie ubranej na biało do kabiny, i podczas gdy ciekła gorąca woda, rozglądał się za jakąś szparą w ścianie, bowiem widział już tam kiedyś podniecające obrazy, skóra, ramię, udo, kobiecie ciało: twarz, włosy, dłonie, ramiona, męskie ciało. Jakież oko.

Raz w tygodniu chodził do związku Don Bosco. Dwa razy na służbę do HJ. Jednak każdego wieczoru był przy swej bandzie, ferajnie, i przysłuchiwał się innym, którzy byli starsi, i kolegowali się z nimi, ale trzymał się na końcu. W Związku Boromeusza za pięć fenigów mógł wypożyczać książki, a w owym czasie czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, najchętniej Sir Johna Retcliffe'a i Zane Grey i Dostojewskiego i cudowne przemowy pewnego męża, który zwał się Zarathustra.

W Wielki Piątek obrzucił kamieniami okna ewangelików, bowiem powiedziano mu, że właściwie nie są wierzącymi, i nauczono go, iż Żydzi przybili do krzyża Jezusa z Nazaretu, dawno temu i w dalekim kraju. Za jego czasów nie było już w mieście Żydów. Oświećmiem leżał zaledwie w odległości 60 kilometrów, a 75 kilometrów było do Wadowic. Panie, zmiłuj się nad nami.

Przyszła zima tak mroźna, jak już dawno nie było takiej zimy, styczeń 1945, gdy przez miasto bardziej zataczał się niż maszerował pochod więźniów kacetu, w więziennych ubraniach, widział ich na ulicy następcy tronu, kapo popędzali ich, bili kijami i pejcjami, essesmani maszerowali obok, z wycelowaną bronią maszynową, zapadał zmierzch, zaczynał padać śnieg, nadchodzili ze wschodu, gdzie toczył się już głuchy loskot dział.

Parę dni później Rosjanie zajęli miasto. Zabici długo jeszcze leżeli na skrajach dróg, mróz konserwował ich ciała; całe miasto by-

ło jedną kostnicą. Potem wszyscy mężczyźni powyżej 16. roku życia zostali zarejestrowani i popędzeni na Syberię do robót przymusowych. Był młodszy, mógł więc pozostać, w fabryce drutu z betonowego podłoża demontował maszyny i ładował je na wagony kolejowe, z jednym nie znanym mu słowem: reparacje.

Skończyła się wojna. Znikli żołnierze z czerwonymi gwiazdami na futrzanych czapkach, a przyszli inni z czworokątną rogatywką; nadeszli Polacy, których wypędzono z Lwowa. Zasiadlali mieszkania Niemców, i tak wypędzeni zaczęli wypędzać. Panie zmiłuj się nad nami. Kiedy Niemcy byli stąd wypędzani odrobinę dalej na zachód, wtedy nie mogli zabrać ze sobą nic więcej poza jedną walizką czy plecakiem, a czasami nawet nie mieli i tego. I Gleiwitz nazywało się teraz Gliwice.

Zanim został dzieckiem, skończyło się dzieciństwo.

I znowu znalazł się w innym kraju, pośród ludzi, którzy już nie mówili bliskim, ostrym, powolnym językiem niemieckim peryferii, lecz szybkim, płaskim, eleganckim językiem stolicy. Z wolna odnajdywał się i najpierw z pewnymi oporami zdobywał dla siebie kawałki tego nowego świata. Przez pewien czas mieszkał w Köthen, gdzie Bach napisał swoje koncerty brandenburskie. Chciał zostać tancerzem u Jeana Weidta, który powrócił z emigracji. Zapędził się do Poczdamu. Był ciekawy. Każdego dnia godzinę jeździł kolejką podmiejską do Berlina Wschodniego. Znalazł sobie mistrza, owego mężczyznę, którego wiersze przetrwały do stulecia. Ale wówczas nikt nie mówił o jego wierszach, a tylko o małych i dużych dokonaniach teatru epickiego. I tego uczył się właśnie. Był to świat, który był zmieniany od góry, a który z dołu szukał harmonii, tak w dawało mu się w każdym razie.

Również pragnął zmian, na inny sposób, za pomocą słów i zdań i gestów. Wtedy przyszli, w pewien listopadowy wieczór 1951 roku, zatrzasnęli kajdanki wokół jego nadgarstków i wyprowadzili go. Cela, lager, katorga, archipelag gułag, dalej, do Workuty nad morze polarne, i jeszcze dalej, z pamięci żywych, innych. Parę jego wierszy wydrukował przedtem Huchel w swoim czasopiśmie.

Także o tym zapomniał, gdy po czterech latach powracał do wspólnoty żywych. W gułagu nauczył się kochać język rosyjski, czytać rosyjskich poetów, przede wszystkim Dostojewskiego i Czechowa. Później Sergiusza Jesienina, dandysa rewolucji, który w pewną noworoczną noc powiesił się w oknie Piotrogradzkiego Hotelu. I następnych: Isaaka Babla, Annę Achmatową, Michaiła Bułhakowa. I Osipa Mandelstama, który nędznie zginął w stalinowskim obozie pracy. Zaklinał się: nie chciał o tym zapomnieć. Chociaż czynili to inni wokół niego.

Jeszcze nie zadamował się w nowym kraju, kiedy w radiu usłyszał strzały z Budapesztu. Spiker mówił: czołgi przedarły się do miasta. Na wieżach tysiącletnich Węgier wygaszono ogień wolności. Panie zmiłuj się nad nimi.

Nie chciał zapomnieć.

Pisywał własne rzeczy. Wiersze, opowiadania, powieść celę. Uczył się nowego życia. Rozumiał się na tym, jak przysłuchiwać się temu, co mówią inni, i dokonał tego w ogło-

szonych rozmowach warsztatowych. Tkwiła w nim niecierpliwość. Zaczynał nowe rzeczy, próbując innych form, innych środków, i wiedział, że — mimo wszystkich różnorodności — wciąż mówił jeno to samo i po staremu. Odkrywał się w twarzach innych, w zastanych gestach, w tym, co było i co jest, rozpoznawał siebie we fragmencie jakiegoś wiersza, w jakiejś linijce prozy — albo po prostu z wolna wyświetlanej sekwencji jakiegoś filmu: *la cella*.

Czuł, że nie oderwał się od swego dzieciństwa. Napisał o tym prawie dwa tysiące stron. W gruncie rzeczy wszystko było jednym powtórzeniem. Pierwsza polka i dolegliwy wrześnieowy brzask, czas bez dzwonów i ziemia w ogniu. W gruncie rzeczy wszystko było religią, instynktem i stłumieniem. Wszystko było inaczej. I wszystko było takie samo. Jak napisał już Andre Gide? Każdy autor szuka drogi ku swemu dzieciństwu.

A wyznania ciała? W środku tej książki umarł Foucault. Tak, w namiętnościach naszego dzieciństwa odczytujemy pismo naszego przyszłego życia.

Dożo podróżował. Szukał czegoś. Po co? Sam nie wiedział dlaczego. Piętnaście lat mieszkał w pewnym miasteczku pod Monachium. Następnie przeprowadził się. Ciągłe na to poszukuje odpowiedzi. Tak, po co?

Zyskiwał przyjaciół pośród malarzy, pośród rysowników, między rzeźbiarzami. Więcej niż pośród swoich kolegów, pisarzy. Wierzył, że plastycy są bliżsi rzeczywistości, bliżsi prawdzie. A może po prostu też jeno bliżsi rzeczy, materii. W każdym razie czytywał chętniej obrazy Bacona, Kooninga, Motherwella, Salomé. Niż książki Mailera i Bellowa, Lenza i Grassa. Otóż był jeszcze inny wymiar, jak zauważył w literaturze. Czasem odnajdywał go w książkach pisarzy pochodzących ze wschodu. U Siniawskiego i Sołżenicyna, u Lidii Czukowskiej i Nadieżdy Mandelsztam, u Zbigniewa Herberta i Oty Filipa. Rozbite ludzkie oblicze. Tak, rozbite; jednak oblicze. Człowiek.

Wygnanie. Rozliczni żyli w innych krajach, mówili i pisali w odmiennych językach. Ale marzyli i modlili się w języku dzieciństwa. Tylko wieczność nie jest wygnaniem, powiedziała kiedyś Else Lasker-Schüler. O tym chciał pisać. Przeciękający czas. Niebo albo piekło: wygnanie. Wygnani. Wypędzeni. Zawsze w drodze. Czyż wszyscy nie jesteśmy wypędzeni z królestwa dzieciństwa?

Na koniec więcej pisał o sztuce niż o literaturze. Ponieważ wierzył, że w tej epoce wizualne dobitniej i oszczędniej wyrazi sytuację człowieka niż napisane słowa. Nie był pewny siebie, czy tak było w istocie. Każdym tekstem, każdym artykułem, każdą książką próbował upewnić się w tym. Także rysunkami, obrazami, kółkami, rzeźbami.

Obraz i odbicie, rzeczywistość i fantazja, idea i inwencja, myśli i ich wizualna interpretacja, słowo, metafora, rzeźba — to było to, co zajmowało go aż do naszych dni. To, co pozostaje, mówi Borges, to słowo i obrazy.

Z nimi chciałby się żyć.

Przełożył:

ANDRZEJ PAŃTA

GLIWICKIE DZIECIŃSTWO

(fragment)

Wspomnienie zimowego lasu
 rozbójnika Pistulki
 lepiąco brudnej ociążale płynącej rzeki
 procesji Bożego Ciała
 albo pijackich wrzasków z sąsiedniego
 mieszkania Mainki
 nagłego zamknięcia głośnika
 strzałów
 na krótko przed wielką wojną.

I to wszystko.
 Kilka zdjęć
 z prześwietlonego filmu
 czasem cienie
 być może twarz
 gdy się długo wpatrywać
 ruch
 gest
 uśmiech niewiadomoczyj

Czy dzieciństwo jest wspomnieniem
 czy wspomnienie dzieciństwem?
 Czytam Borgesa i myślę o bezlitosnej
 pamięci

Ireneo Funesa
 u Sartre'a ciekawi mnie
 stosunek do Kartezjusza
 chciałbym wiedzieć, o czym myślał
 Coriolan

w chwili uwięzienia.
 Lecz potem nagle
 trzask rozłupywanych migdałów
 zapach ryby smażonej w buncloku
 krzyk sójki w łąbeckim lesie
 i film zbliża się
 zamazane obrazy drżą
 na siatkówce oka:
 górniczy w drodze do domu
 karuzela z białymi końmi
 i grzywami z konopi
 proboszcz Szewczyk i pięciu ministrantów
 spieszących z ostatnim namaszczeniem
 Na prostej drodze do Chorzowa
 jarzębiny
 ścięte czołgami we wrześniu
 i zaplątana w gałęziach piosenka:
 Ich danze mit Djär innen Himel chinein...

Czekolada na kartki
 witaminowa drażetka jak hostia
 nowej Rzeszy wolno topniejąca na języku.
 Później wycinanie z „B. I!” z „Eriki”,
 a także

z „Oberschlesischer Wanderer” obrazków
 ukazujących wojnę

i nauczyciel Skowronek: Wklyjcie łobroski
 do zeszytów
 i łopiszcie zwyciynski najazd na Polska.

I znowu las i znowu rzeka
 Kłodnica spławia śmierć do Koźła
 W roku 1944
 zobaczyłem pierwszego trupa
 z tabliczką na szyi,
 który chciał do Wrocławia, Kolonii lub
 raju.

Hoppek, Jozef, Alfongs i ja
 staliśmy na brzegu
 i szczali w sitowie,
 jeszcze pamiyntom, że Hoppek miał
 nojwiywnkszego ciulika,
 ty dupo, jo już rojs Hejdla –
 to miejsce smagały później pociski
 wtedy gdy gnali przed siebie w pasiakach,
 tych z Auschwitz
 – było przecież tak blisko –
 gdy obraz nieruchomieje, widzę wózek
 malarski

z wysokimi kołami
 złamaną rękę między szprychami
 na deskach zwłoki
 przymocowane drutem
 z twarzami nakrytymi chustami
 i stopami w łachmanach;
 ten obraz wyraźniejszy od innych:
 22 stycznia 1945.

Jeszcze wyraźniejsze strzały,
 podarty film zniekształcone
 twarze.
 Potem płonęło miasto
 i szliśmy przez rzeki szliśmy przez lasy
 szliśmy przez krzyki procesją uciekinierów
 (bez pieśni)

Myślę o tym
 kupując w kasie
 bilet do kina
 na nowy film:
 Lemmy Caution gegen Alpha 60.
 Każdy nowy dzień ścina jedną godzinę
 dzieciństwa.

Pozostaw czas dla oczu
 i rozrzutność dla czasu.
 Dworzec towarowy para
 lokomotywy i brudna ociążale płynąca
 rzeką ulica Górnicza
 królewska droga do Przezchlebia:
 wieczne dzieciństwo
 gdzie twe obrazy rosna z dymu i snu
 i płomienia.

Browar w rejestrze zabytków? Piwo wytwarzane w obiektach znajdujących się pod ochroną konserwatora zabytków. Choć to nieprawdopodobne, lecz Browary Tyskie istnieją od 1629 roku na tym samym terenie co dziś, a większość jego obiektów oraz wiele urządzeń ma wartość zabytkową. Chociażby te wspaniałe, lśniące miedzią i mosiądzem, liczące sto lat warzelnie. Jest to dziś także ważny atut reklamowy tyskich piwowarów: idące w stulecia bogate tradycje.

Niewiele jest takich miast w Polsce, na których aktualny rozwój i charakter miałyby wpływ historia i wielokierowa działalność jednego z istniejących na tym terenie przedsiębiorstw. Do takich miast zaliczyć trzeba Tychy, które, aby oddać sprawiedliwość historii, powinny mieć w swym herbie także symbole piwowarstwa. Mimo, że historia miasta zamyka się w drugiej połowie XX wieku, to jednak korzenie Tychów sięgają daleko w przeszłość, której znaczna część spłata się z rozwojem piwowarstwa. I jakby na to nie spojrzeć, faktem jest, że na początku był... browar. Książęca (księcia pszczyńskiego) wytwórnia piwa i gorzałki mimo zmiennych kolei losu przetrwała, podlegając różnorodnym metamorfom, od początku XVII wieku do dzisiaj.

Zapis w urbarzu państwa pszczyńskiego z 1629 roku to pierwsze potwierdzone źródło mówiące o istnieniu na terenach obecnych Tychów browaru.

Kolejną istotną datą w dziejach browaru jest rok 1861, kiedy rozpoczęto jego odnowę i rozbudowę. Ulepszenia i modernizację przeprowadził wraz ze swoimi współpracownikami ówczesny właściciel browaru — książę pszczyński Jan Henryk XIX. Dzięki temu pod koniec stulecia browar tyski mógł się zaliczać do największych i najnowocześniejszych w Europie.

Wielka rozbudowa browaru z manufaktury na typowe przedsiębiorstwo nowej ery nastąpiła w latach 1880—1905; z tego okresu pochodzi cały ciąg budowli istniejących do dzisiaj. Pieniądze na ten cel otrzymał ówczesny właściciel browaru — książę pszczyński Jan Henryk XIX. Jednak motorem wszystkich działań, które doprowadziły browar do świetności był Johannes Miller — specjalnie powołany dyrektor, zajmujący się modernizacją i rozbudową zakładu.

Tak więc w roku 1864 rozpoczęto rozbudowę piwnicy leżakowej, tzw. „Toszka”, nieco później „Ameryki”. W 1895 — budowę nowej warzelnii, na miejscu funkcjonującej dotychczas starej, jeszcze z XVII wieku z drewnianymi kadziami, opalanymi węglem. O „nowoczesności” tej warzelnii, którą teraz chlubi się, jako jedną z najstarszych w Polsce, świadczy fakt, że sto lat temu pojemność kadzi wynosiła 100-150 hektolitrow, co było olbrzymią ilością w porównaniu do 20-70 hektolitrowych, starych drewnianych.

W 1860 roku powstały także zabudowania bednarni; ich zmodernizowany w 1905 roku kompleks istnieje do dzisiaj. Budynek, w którym znajduje się obecnie siedziba Zarządu Spółki to także budowla istniejąca w zachowanym kształcie od 1905 roku. Kolejnym zabytkiem jest tzw. Willa, istniejąca w formie murowanej od 1870 roku, będąca w przeszłości budynkiem mieszkalnym, który zajmował m.in. dyrektor Miller. Na piętrze Willi znajdowały się pokoje gościnne dla księcia i jego gości, gdy ten odwiedzał browar.

W 1897 roku powstał, początkowo jako konkurencja dla Książęcego, Browar Obywatelski. Podobnie jak w tym starszym, i tutaj



NA POCZĄTKU BYŁ... BROWAR

BERNADETTA FULEK

wszystkie budowle zostały oddane do 1905 r. Jednak historia tego obiektu sięga daleko wcześniej. I tak np. kotłownia istnieje mniej więcej od 1895 roku, budynek Kasyna z charakterystycznym malowidłem kozy pijącej „Tyskie”, widocznym z tyskiego dworca kolejowego, datuje się co prawda na 1905 r., ale na pewno istniał już 10—20 lat wcześniej.

Tak więc w pełni uzasadniona była decyzja ówczesnych władz, które postanowiły 28 maja 1966 roku uznać „Zespół Browarny” w Tychach za dobro kultury i wpisać do rejestru zabytków. Od tego dnia pieczę nad Browarami dźierży Wojewódzki Konserwator Zabytków, który nadzoruje każdą przebudowę, modernizację lub remont na terenie tego prawdziwego „muzeum”... „Muzeum”, które produkuje piwo w takich ilościach, że sytuuje tyszan na drugim miejscu w kraju. Tak, co dziesiąta butelka piwa pochodzi stąd. Za Browarami Tyskimi pod względem wielkości produkcji znajdują się konkurencyjne browary w Żywcu i Okocimiu i tylko Elbląg wyprzedza piwowarów tyskich.

Prawdziwym przełomem dla browarnictwa w Tychach był rok 1918, kiedy to Browar Obywatelski, po wykupie akcji, przeszedł pod zarząd książęco-pszczyński. Od tego momentu oba browary zaczęły działać pod „wspólnym szyldem”: Browary Tyskie. I tak jest do dziś.

W 1938 roku produkcja obu browarów wyniosła już 180 tys. hektolitrow. Silne tradycje browarnicze w Tychach znalazły swoje odbicie także w innych dziedzinach. Jakość warzonego tu piwa i dobre perspektywy rozwoju tej gałęzi przemysłu pozwoliły na przeniesienie, właśnie tutaj, jedynej w Polsce szkoły browarniczej — Technikum Przemysłu Browarniczego, które otwarło swoje podwoje w 1949 roku. Obecnie Zespół Szkół Spożywczo-Usługowych to połączenie kilku jednostek szkolnictwa zawodowego, w tym jedynej w kraju średniej szkoły kształcącej browarników. Większość kadry kierowniczej polskich browarów wywodzi się właśnie z tej szkoły.

Od 1 sierpnia 1991 roku działające pod nazwą Browary Tyskie Górny Śląsk S.A. tworzą jednoosobową spółkę Skarbu Państwa, w skład której wchodzi: Browar Książęcy założony w 1629 roku, Browar Obywatelski (1897 r.) oraz Wytwórnia Napojów i Zakład Transportu — istniejące od 1979 roku.

Jakość „Piw Tyskich” opiera się nie tylko na czterowiekowej tradycji, lecz także na oryginalnej technologii oraz bogatym zasobie doświadczeń — pielęgnowanych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie przez rzesze mistrzów sztuki piwowarskiej. Te tra-

dycje w połączeniu z najnowszą wiedzą i techniką, wyłącznie szlachetne gatunki surowców i woda (o wyśmienitych walorach smakowych, odpowiadających wodzie miocenińskiej), pochodząca z własnych studni artezjskich, czynnych od 1898 roku oraz studni głębinowych — to właśnie gwarancja najwyższej jakości tyskiego piwa.

Browary Tyskie są producentem 8 gatunków piw i ośmiu gatunków napojów gazowanych. Tyskie piwa to: Special, Obywatelskie, Książęce, Gronie, Ale!!! Piwo, Książęce Pils, licencjonowany Gold Fassl oraz ciemne — Porter i napój słodowy „Kuracyjne”. Tyskie marki nie tylko uzyskały silną pozycję regionalną, lecz także zdobywają popularność w krajowych rankingach piwa. Wyroby z Tychów prezentowane są na wszystkich znaczących polskich imprezach handlowo-wystawienniczych, biorą także udział w targach międzynarodowych. Tylko w ubiegłym roku tyskie piwa i napoje zdobyły 19 nagród i wyróżnień. Silny rozwój promocji i działań marketingowych firmy został zauważony i doceniony przez Międzynarodowe Centrum Promocji Biznesu Polskiego „InterProm”, które przyznało Browarom Tyskim tytuł promocyjny „Lider Promocji Biznesu Polskiego '94” za profesjonalną prezentację swoich wyrobów i europejski standard oferty asortymentowej. Sukcesem zakończyła się prezentacja tyskiego piwa na Targach Żywności i Produktów Gotowych w San Diego, USA. Polsko-Kalifornijska Izba Handlowo-Przemysłowa przyznała złoty medal wystawionemu tam „Książęcemu Pilsowi”; świadczy to o tym, że produkt ten może z powodzeniem funkcjonować na rynku amerykańskim. Czego dowodem jest olbrzymie zainteresowanie amerykańskich handlowców importem „Tyskiego”.

Lecz Browary w Tychach to nie tylko producent piwa. W 1994 roku prawdziwym przebojem weszły na rynek napoje „Tyskie”, czyli 8 wyśmienitych gatunków napojów gazowanych i wód mineralnych, produkowanych w oparciu o własną technologię. Za ten produkt Browary otrzymały wyróżnienie „Promocja XXI wieku” oraz nominację do tytułu promocyjnego „Najlepszy Produkt 1995 r.”.

Przyszłość firmy zależy od dalszego wzrostu i rozwoju produkcji. Podstawa, to nowe inwestycje, zwiększające możliwości przedsiębiorstwa. Przetawiamy produkcję na najnowsze technologie, dlatego w browarach pracuje już 20 tankofermentorów o pojemności 2,5 tys. hl każdy. Właśnie trwają uzgodnienia na temat możliwości zamontowania w najbliższych latach dalszych tankofermentorów, docelowo 46-ciu. Trwa także rozbudowa sieci tanków pośredniczących, modernizacja i powiększanie linii rozlewniczych, zakończono modernizację warzelnii nr III. Ma nastąpić rozruch tych urządzeń po modernizacji. Najważniejszym efektem tych działań będzie podwojenie do 2000 roku obecnej produkcji, która wyniosła w roku ubiegłym 1.581 tysięcy hektolitrow piwa. Ale też zaden polski browar nie ma tak piwochłonnego zapleczka co tyskie: Śląsk pije i zawsze wypijał najwięcej piwa. I choć nie ma rynkowych blokad w wejściu z piwem na śląski rynek — miejscowi piwosze piją jednak najchętniej piwa tradycyjnie tu spożywane, zaś tyskie zaliczają się zawsze do szczególnie cenionych.

Pili „tyskie” pradziadawie i piją potomkowie. Ponad 300 lat piwowarskich tradycji i zabytkowa wartość obiektów — to także się liczy w coraz mocniej eksponowanym dziedzictwie tej firmy.

W poszukiwaniu tożsamości



Foto: Aleksandra Morchen

Budynek walcowni Zakładów Metalurgicznych „Silesia” w Świętochłowicach-Lipinach.

Jeśliby z centrum Chorzowa wyeliminować hutę, a na jej miejscu wznieść nowe obiekty, wówczas patrząc z lotu ptaka, okazałoby się, że to miasto nie ma sensu. Podobnie jak wiele innych miast na Śląsku powstało dlatego, że wiek temu przekształciło się w ośrodek przemysłowy, skupiający coraz to liczniejsze grupy ludności - pracowników huty i ich rodziny.

Dzisiaj coraz liczniej pojawiają się, z gruntu jednakowo wyglądające, szklano-aluminiowe budowle przekształcające wygląd miast, tworząc z nich nowoczesne twory. Wkrótce może okazać się, że są one tylko kilkoma spośród wielu tysięcy im podobnych w Europie.

Śląsk to region, który jako obszar kulturowy w dzisiejszej postaci ukształtował się w połowie XIX w. Wprawdzie wyjątki stanowią średniowieczne miasta jak Bytom, Tarnowskie Góry czy Gliwice, ale pod względem ilości zabytków nie mogą równać się z Krakowem, Gdańskiem czy Wrocławiem. Sztuka gotycka nigdy nie rozwinęła się w nich tak imponująco. Nie oznacza to jednak, że są w jakimkolwiek stopniu od nich gorsze. Są po prostu inne. O ich tożsamości decydują obiekty przemysłowe i wszystko to, co powstało wokół nich i w związku z nimi.

Jeśli dobrze rozejrzeć się po ulicach śląskich miast, to łatwo zauważyć, że w znacznej mierze tworzą je szeregi kilkupiętrowych kamienic pięknie zdobionych bogatą ornamentyką. Często w oknach klatek schodowych widnieją liczne witraże zachowane w zupełnie dobrym stanie. Niestety, w minionych latach bezlitosne pędzle robotników budowlanych „odnawiały” wiele z nich, pokrywając najwykleszą farbą to, co wymagało szczególnej troski. Kilкома uderzeniami młotka usuwano nadszarpane zębem czasu lub zniszczone działaniem zanieczyszczeń powietrza fasady. Wtedy prym wiodło przeświadczenie, że tam gdzie przemysł, tam powinna królować nowoczesność, jakże swoiście rozumiana.

Na szczęście zmienia się podejście do tego co nowoczesne, a co zabytkowe, co

w imię tzw. postępu lub zrywania z niechlubną przeszłością polityczną należy zmięść z powierzchni ziemi. Do lat 70. do rejestru zabytków wpisanych było w całym kraju ok. 40 tys. obiektów, dzisiaj jest ich prawie 60 tys. To skutek zmiany myślenia o przeszłości. Rozszerzono też pojęcie zabytku. Do rejestru trafiły budowle i obiekty powstałe w okresie socrealizmu. Niestety niektóre zniszczono z pierwszym powiewem najnowszej historii. Znakomitym przykładem jest Pałac Kultury w Dąbrowie Górniczej zajmujący już miejsce w spisie zabytków. Chociaż nasz stosunek do socrealizmu jest określony, to trudno wymazać go z pamięci i uznać za niebyły. Zapewne, kiedy po latach opadną emocje, a i znikną ideologiczne skojarzenia, kolejne pokolenia upomną się o obiekty ze swej przeszłości. Tak przecież stało się z secesją uważaną do niedawna za kicz.

Jednak zasadniczą sprawą dla Śląska jest rozpoznanie jego dziedzictwa kulturowego, decydującego o tożsamości, odrębności, także o przyszłości. Prof. Wojciech Kowalski, któremu niespełna rok temu powierzono funkcję dyrektora utworzonego przed kilkoma laty przy Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, postawił przed sobą ogromne zadanie. Czerpiąc z własnych doświadczeń, jak i doświadczeń znakomitych fachowców z wielu krajów Europy, upowszechnia i realizuje odmienny sposób myślenia o przeszłości Śląska. Wskazuje na te elementy, które obecnych właścicieli hut, kopalń i innych zakładów przemysłowych skłaniają do spojrzenia na nie jak na coś, dzięki czemu zaledwie w przeciągu jednego stulecia Śląsk niesłychanie się rozwinął i stał się jednym z największych i najnowocześniejszych ośrodków przemysłowych Europy. Dzięki czemu ludzie tu mieszkający czuli się związani ze swym miejscem na ziemi.

– Do niedawna w Centrum Dziedzictwa Kulturowego skupiano się na gotyckim zespole w Rudach Wielkich – mówi prof. Wojciech Kowalski. – To ważny obiekt

z różnych względów. Niestety w znacznej mierze zrujnowany. Rudy trzeba widzieć takimi jakimi one są, we właściwych proporcjach. My nie odcinamy się od gotyku, ale uważam, że o tożsamości Śląska zdecydowało to, czego dokonał dwieście lat temu John Baildon, który rozpalil tu swój piec w 1796 roku. Od niego rozpoczął się raptowny rozwój przemysłu, który zdecydował o dzisiejszym obrazie Śląska. Kiedy na naszych oczach ulegają likwidacji wielkie zakłady, wraz z nimi tracimy coś, co za kilka lat będzie nie do odzyskania. W wielu krajach Europy – głównie w Niemczech i w Anglii - od dawna znajduje się sposoby na nowe użytkowanie dawnych obiektów przemysłowych. Oczywiście wraz z każdym takim projektem zostaje uruchomiona ogromna machina - przedsięwzięcie obliczone na wiele lat, które w efekcie przynosi zyski i splendor danemu regionowi, czy miejscowości. Dlatego należy korzystać z tych doświadczeń, uczyć się na błędach. I w Europie, w imię postępu, zniszczono wiele cennych obiektów, które dziś są przywracane. Przykładem niech będą Niemcy, gdzie w niektórych miastach likwiduje się zabudowę z lat 50., a jej miejsce zajmują stopniowo rekonstruowane zabytkowe kamienice. Oczywiście o ich świetności przypominają wyłącznie niezwykle piękne fasady, bowiem standard domów mieszkalnych jest wysoki i w niczym nie przypomina tych sprzed wieku. Na tym właśnie polega istota zachowania zabytkowych kamienic. W naszym przypadku nie zawsze jest to związane z wydatkowaniem wielkich pieniędzy, bo na ogół śląskie kamienice są w niezłym stanie technicznym, nie gorszym niż te w Niemczech czy Paryżu. Natomiast wiele z nich tworzy zespoły unikalne, zachowane w oryginalnej formie.

Zadaniem Centrum jest również przeprowadzenie inwentaryzacji wszelkich wartościowych obiektów mieszkalnych i przemysłowych. To ogromne przedsięwzięcie, bo tylko w nielicznych

miastach, w tym m.in. w Katowicach, dokonano takiego spisu. W przypadku kamienic zachowało się sporo oryginalnej XIX-wiecznej dokumentacji. Sytuacja obiektów przemysłowych jest nieco gorsza, bo często taka dokumentacja znajduje się - niestety - za granicą. Pracownicy Centrum przygotowują również dokumentację fotograficzną, która prezentowana jest w postaci ekspozycji, a także publikowana jest w różnego rodzaju wydawnictwach informacyjnych, katalogach i folderach.

Zebrany w ten sposób materiał przedstawiany jest konserwatorowi zabytków, który może podjąć decyzję o ewentualnym wpisie obiektu do rejestru zabytków.

Zatem w strukturze organizacji zajmujących się ochroną zabytków Centrum Dziedzictwa jest instytucją działającą równoległe z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków. Jednocześnie współpracuje z centralnym Ośrodkiem Dokumentacji Zabytków w Warszawie, ale w porównaniu z podobnymi ośrodkami w innych województwach posiada więcej samodzielności zapisanej w odrębnym statucie. Nie jest, oczywiście jak Wojewódzki Konserwator Zabytków, egzekutorem prawa o ochronie dóbr kultury.

W przypadku naszego regionu ogromnie cenna jest współpraca Centrum z wybitnymi, światowej sławy fachowcami w dziedzinie ochrony obiektów przemysłowych. Są nimi bez wątpienia Anglicy. Nie tylko w własnym kraju, już od wielu lat przeobrażają oni wyjęte z użytkowania przemysłowego obiekty jak i znajdującą się wokół nich zabudowę.

Sir Neil Cossons – dyrektor Science Museum w Londynie, Lester Borley – specjalista do spraw turystycznego wykorzystania obiektów zabytkowych, Viktor Middleton – profesor marketingu oraz Robin Wade – znany w świecie projektant wnętrz muzealnych i twórca wielu adaptacji obiektów przemysłowych podczas niedawnego pobytu na Śląsku zachwycali się

tym, czego przeciętny mieszkaniec na co dzień nie dostrzega. Jak Śląsk zagranicznym specjalistom i turystom Śląsk kojarzył się z brunatną pustynią (bo tak wygląda większość rejonów przemysłowych na świecie). Tymczasem, to co fascynowało angielskich gości to... ogromne ilości zieleni, znajdujące się na tym terenie, także możliwość przemieszczania się przy pomocy sieci tramwajów, będącej ewenementem w skali europejskiej. – To właśnie w imię postępu – uważa prof. Kowalski – zlikwidowano w wielu krajach tramwaje, a dziś zastanawiają się tam nad ich rekonstrukcją.

Zdaniem prof. Wojciecha Kowalskiego w owych niezwykłościach należy upatrywać szansy: Śląsk może stać się celem podróży wielu turystów zagranicznych zafascynowanych zabytkami techniki, do których dostęp przez wiele dziesiątków lat był u nas niemożliwy.

Kolejna grupa Anglików gościła na Śląsku w drugiej połowie lipca tego roku. Byli to specjaliści zchreszeni w brytyjskim Stowarzyszeniu Ochrony Dziedzictwa Przemysłowego. W ciągu trzech dni pobytu zwiedzili kopalnię „Polska” w Siemianowicach Śląskich, Zakłady Metalurgiczne „Silesia” w Katowicach - Wełnowcu i Świętochłowicach-Lipinach, szyb „Pułaski” w Nikiszowcu. Zobaczyli wieżę wodną i szyb „Andrzej” w Rudzie Śląskiej, w Zabrze skansen „Krolowa Luiza”, w Gliwicach Muzeum Techniki i radiostację. Oglądali osiedla robotnicze w katowickim Nikiszowcu i Giszowcu oraz w Rudzie Śląskiej. Kolejnym celem ich podróży była Fabryka Urządzeń Mechanicznych w Porębie i kopalnia srebra w Tamowskich Górach. Wszystkie obiekty cieszyły się ogromnym zainteresowaniem; wiele z nich - w postaci rysunkowych szkiców - znalazło się w podręcznych notatnikach. Zebrane materiały staną się, bez wątpienia, podstawą do wielu opracowań w specjalistycznych biuletynach wydawanych przez Stowarzyszenie.

Pierwszy krok dla Śląska został zrobiony. Ale jest jeszcze inna, nader istotna wartość, dziś przez niewielu dostrzegana, a która ma zasadnicze znaczenie przy dokonywaniu wszelkich przeobrażeń. To – zdaniem prof. Kowalskiego – przywiązanie mieszkańców i ich rodzin do swego miejsca. W jednym i tym samym zakładzie pracował dziad, ojciec a dziś syn. To ich zakłady, ich huta, ich kopalnia. Życie, jakie wiedli, uwarunkowane było zatrudnieniem, które tu znajdowali. Całe pokolenia mieszkali w tych samych kamienicach, chodzili do tych samych kościołów. Dlatego te miasta, te osiedla, ulice są także ich. Nie lubią zbytnich zmian, są przyzwyczajeni do siebie i swego otoczenia. Nie chcą by niszczone to, co dawało im pieniądze i utrzymanie, co tworzyło rodzinne i sąsiedzkie więzy. Wszystko to należy wziąć pod uwagę przy budowaniu nowoczesnego spojrzenia na przeszłość, którego celem winno być poszukiwanie własnej tożsamości. Dopiero w dalszej kolejności można myśleć o nowym sposobie zagospodarowania miejsca, obiektu, o wprawieniu w ruch machiny, którą w świecie nazwano przemysłem turystycznym.

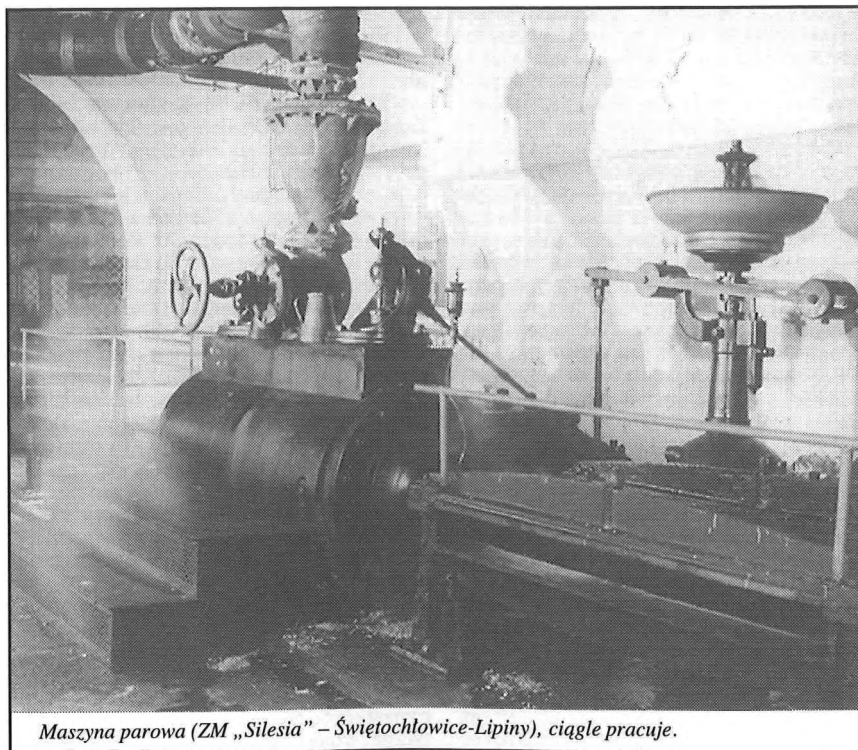
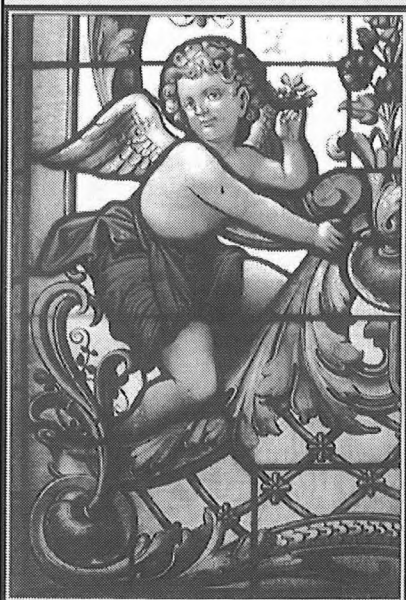


Foto: Aleksandra Morchen

Maszyna parowa (ZM „Silesia” – Świętochłowice-Lipiny), ciężko pracuje.

Rozmowa
z dr. inż. arch.
**JACKIEM
OWCZARKIEM,**
Wojewódzkim
Konservatorem
Zabytków
w Katowicach

Straznik przeszłości



Witraż łazienki Pałacu Dietla w Sosnowcu

– Na początku naszej rozmowy trzeba chyba najpierw uściślić, co dziś rozumiemy pod pojęciem zabytku, bowiem posługujemy się tym terminem mówiąc i o budowlach sprzed co najmniej wieku, i o wiejskich chałupach, także o dawnych narzędziach pracy chłopca, ale również o znakomicie funkcjonujących do dziś dnia obiektach przemysłowych w wielu miastach naszego regionu.

– Z prawnego punktu widzenia zabytkiem jest każdy obiekt wpisany do rejestru zabytków, przez co podlega ochronie prawnej. Druga definicja zabytku mówi, że jest to obiekt objęty ochroną prawną poprzez prawo lokalne, którym są miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego. Ustaleń takich dokonuje się w porozumieniu z wojewódzkim konserwatorem zabytków, co pozwala chronić wartości wskazane przez daną gminę. Ochronie podlega również krajobraz, a także zwyczaje czy stare nazwy. W naszym języku pojęcie zabytku jest nieprecyzyjne i nie zawsze oznacza ono obiekty sprzed kilku wieków. Szczególnie pojemne jest pojęcie „zabytki techniki”, obejmujące obiekty od wiejskiej chałupy po kopalnie i huty.

– Nie tylko zmieniło się, a raczej rozszerzyło pojęcie zabytku, ale też zniesiona została cezura czasowa w stosunku do obiektów, które za zabytkowe należy uważać.

– W latach 60. istniał podział zabytków na grupy: od najwyższej zerowej do czwartej. Niestety, w naszej świadomości funkcjonuje on do dziś. Doprowadziło to do wielu zniszczeń, bo ocena dawnej architektury wynikała z ducha tamtych czasów. Nie uważano za zabytkowe tego, co powstało po 1850 roku. Na początku wieku przyjęto cezurę, że zabytek to coś, co powstało wcześniej niż 50 lat temu. Owe „50 lat” przetrwało do lat 80.

– Województwo katowickie nie może pochwalić się imponującymi obiektami sprzed kilku wieków. Najpiękniejsze budowle pochodzą właśnie z przelomu XIX i XX wieku, kiedy to nastąpił rozkwit kultury przemysłowej. Właściciele kopalń, hut i innych wielkich zakładów nie tylko mieszkali ale i urzędowali w okazałych pałacach, które mimo późniejszego ich przechodzenia z rąk do rąk aż do całkowitej zmiany swojej funkcji, mimo począynionych zniszczeń, przetrwały w sporej ilości po dziś dzień, choć ich stan techniczny jest bardzo różny. Obecnie najczęściej ich właścicielem jest Skarb Państwa lub gmina, chociaż od czasu do czasu słyszy się o zainteresowaniu potomków dawnych właścicieli pozostawionym majątkiem.

– Mamy w naszym województwie wiele znakomych przykładów tak zwanych zespołów patronackich. Były to kompleksy obiektów – prócz pałacu właściciela wraz z pomocniczymi zabudowaniami należały do nich m. in. szkoły, a wszystko to związane było z funkcjonowaniem zakładu przemysłowego. Były więc odpowiednie środki na utrzymanie tych zespołów. Ówczesne miasta na ogół składały się z zespołów patronackich. Na przykład piękne sosnowieckie pałace Schoena i Dietla utrzymywane były przez fabryki włókiennicze. Dziś w dawnych zakładach Dietla prace likwidatorskie prowadzi syndyk masy upadłości. Pałac Schoena jest własnością miasta. Urządzono w nim Muzeum Miejskie. Z kolei pałac Dietla jest w posiadaniu Skarbu Państwa. Uważam, że sytuacja, w której Skarb Państwa jest właścicielem zabytku, jest najmniej korzystna, bowiem środki na jego utrzymanie są bardzo skromne, a na ogół są to najcenniejsze i najbardziej wartościowe obiekty, co znaczy – najdroższe w utrzymaniu ich we właściwym stanie.

– Akurat pałac Dietla jest obiektem szczególnym – zachował się w świetnym

stanie budynek jak i wnętrza oraz wyposażenie.

– Tak, pałac ten to gotowe muzeum. Zachowały się wspaniałe sale utrzymane w konwencji II połowy XIX w. Są w nim unikatowe przykłady secesji i najwspanialsza chyba w Polsce łazienka z wanną o powierzchni 9 m kw. ! To jest rewelacja. Właśnie ze względu na wystrój wnętrza nakłady ewentualnego innego właściciela byłyby ogromne.

Przypomnę, że kiedy Henryk Dietel budował zakłady włókiennicze, powstał również zespół patronacki, w skład którego wchodziła najnowocześniejsza szkoła w Europie, czyli szkoła im. Staszica, dziś jest to Wydział Techniki Uniwersytetu Śląskiego.

– A co ze spadkobiercami?

– W przypadku dóbr po dawnych właścicielach niemieckich mamy często do czynienia ze skomplikowaną sytuacją, także narodowościową. Po I wojnie światowej powstało państwo polskie i takie rody jak Donnersmarckowie czy Hochbergowie von Ples znaleźli się w niezwykle dla siebie sytuacji. Natomiast nie sądzę, by dziś ktokolwiek z ich spadkobierców chciał to przejąć. Oczywiście obecny właściciel może zbywać zabytki, ale rządzą takimi transakcjami prawa o ochronie dóbr kultury, wynikające z odpowiedniej ustawy, i w takich przypadkach wymagana jest zgoda ministra kultury i sztuki (jeśli właścicielem jest Skarb Państwa). W przypadku kiedy właścicielem jest gmina lub osoba prywatna istnieje obowiązek niezwłocznego powiadomienia o fakcie sprzedaży wojewódzkiego konserwatora zabytków. Zdarzają się sytuacje, kiedy w trakcie załatwiania transakcji sprzedaży znajdują się potencjalni spadkobiercy, jak to miało miejsce w przypadku nabycia pałacu w Pilicy przez Barbarę Piasecką-Johnson. Sprawa została zawieszona, a pałac stoi i niszczeje. Na szczęście prace, które wykonano, choć dla wielu kontrowersyjne, zmieniające do zmiany układu przestrzennego pałacu rozpoczęto od prac podstawowych: wzmocnienia, konsolidacji muru i podbitcia fundamentów.

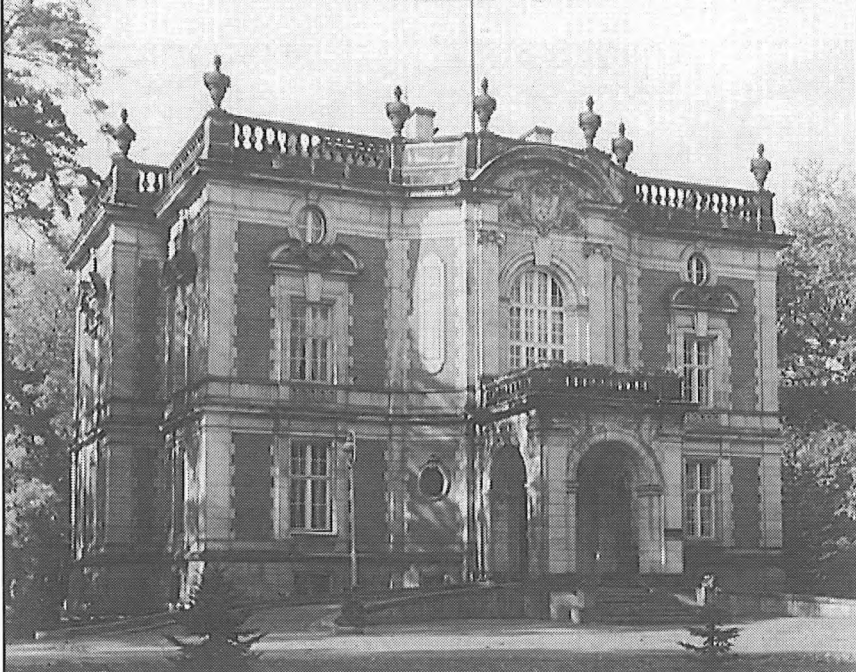
W myśl ustawy o ochronie dóbr kultury właściciel nie może dowolnie dysponować obiektem zabytkowym. Stoje na straży tego ograniczenia.

– Ale obok zespołów patronackich są ogromne zespoły parkowe, m. in. właśnie w Pilicy albo w Świerklańcu, które również wymagają odpowiedniego traktowania.

– Utrzymywanie ich jest ogromnie trudne. Klasycznym przykładem jest Świerklańiec. Kiedyś nazywano go Wersalem Północy, bo był to jeden z największych i najbogatszych pałaców w latach 70. XIX wieku, jakby przeniesiony zamek z Loary. Pałac i zamek zniszczono w latach 50. i 60. naszego wieku w sposób barbarzyński – zburzono i rozjechało je spychaczami. Motywacje, rzecz jasna, były absurdalne – podobno coś w nich straszno! Pozostał tylko Pałac Kawalera czyli pawilon pomocniczy. Sam obiekt przynosi zyski, ale usytuowany jest w parku o powierzchni 160 hektarów o znaczeniu ponadgminnym i służy wszystkim mieszkańcom tej części województwa, lecz utrzymanie go nie może spoczywać wyłącznie na barkach jednej gminy.

– Inny przykład: zespół pałacowy w Siemianowicach Śląskich – ogromnie zniszczony obiekt, ciągle nie może doczekać się dobrego zagospodarowania.

– Kiedyś był własnością Skarbu Państwa, ale został skomunalizowany; zajmował o wiele większy teren. Dziś pałac jest nową ruiną, to znaczy, że nie można potraktować go jak zamek w Ogródziecu, czyli romantyczną ruinę. Jest to po prostu nieestetyczne. Konieczne jest wykonanie rewalory-



Pałac w Świerklańcu

Foto: Jarosław Krawczyk

zacji i adaptacji na inne cele, co w tym przypadku nie jest łatwe.

Zawsze gmina powinna najpierw dobrze zastanowić się czy przejmować takie obiekty wraz z odpowiedzialnością za nie.

– Podobnie w ruinę popada gotycki zespół klasztorno-pałacowy w Rudach Wielkich k. Raciborza, o którym jeszcze do niedawna tak wiele się mówiło. Chyba zabrakło i pomysłów i pieniędzy na realizację entuzjastycznych wizji.

– To szczególna historia. Zespół w Rudach był opactwem cystersów do 1810 roku. Później nastąpiła sekularyzacja dóbr, a w 1945 r. został spalony przez Rosjan. Powodem było znalezienie trumny syna księcia von Rattibor, który walczył w armii niemieckiej, owiniętej w sztandar z hitlerowską swastyką. W latach 50. odbudowano wchodzący w skład zespołu kościół, który dziś znajduje się w fatalnym stanie. Jest bardzo płytko fundamentowany i właściwie narażony na katastrofę budowlaną. Częściowe zabezpieczenia objęły dach, ale nie zachowały się wnętrza i to jest jakby atutem do poczynienia nowych adaptacji.

Niedawno temu, po raz pierwszy od długiego czasu znaleźli się kontrahenci, którzy chcieli kupić cały zespół. Wówczas zaprestował Kościół, który nie życzył sobie przy obiekcie sakralnym hotelu z restauracją itd. Sądziłem, że odmowę mogą potraktować jako nową ofertę zagospodarowania obiektu, ale do dzisiaj nie mam żadnej odpowiedzi.

– Jednak bez wątpienia tym co wyróżnia województwo katowickie to specyficzna zabudowa przeznaczona dla pracowników kopalni i hut, po prostu śląskie familoki. Wiele mówiło się o wpisaniu tych osiedli do rejestru zabytków, o przeprowadzaniu w nich remontów adaptacyjnych, pozwalających ich mieszkańcom na nowo-

czesne życie w zabytkowym „opakowaniu”. Co pozostało z tej idei?

– Familoki to również część owych zespołów patronackich. Ale wiąże się z tym problem zupełnie innego rodzaju: czy istnieje społeczna świadomość potrzeby ochrony ich jako zabytku? Wydaje mi się, że zdecydowanie takiej świadomości nie ma. Przez lokatorów postrzegane są jako substandardy. Powstawały przecież tylko dlatego, że wówczas obowiązywały takie przepisy prawne, poza tym chciano przywiązać robotnika – a i urzędnika również – do fabryki. Kto przestał pracować w danym zakładzie tracił prawo do mieszkania.

Niemniej jednak wiele tych zespołów jest niezwykle cennych, ze względu na wartości estetyczne, lecz one nie mogą decydować o ich wartości zabytkowej. W tym kręgu szczególnie wyróżnia się w skali europejskiej Giszowiec – to absolutna rewelacja. To jedna z pierwszych, albo prawdopodobnie pierwsza realizacja miasta teoretycznego typu ogród według założeń Anglika Howarda, niestety tylko częściowo zachowana.

Natomiast bardzo wiele zachowało się kompletnych zespołów patronackich i wszystkiego nie uda się ocalić.

– Zatem jeszcze większym problemem jest to, co nazywamy zabytkami techniki, a czego w zakładach przemysłowych Śląska jest bardzo wiele. Na dodatek są to bardzo często sprawnie funkcjonujące pełne linie technologiczne i tym podobne obiekty, które zwykle dotąd nie przynosiły chwały tym zakładom. Najchętniej pozbywano się ich, zastępując nowoczesnymi maszynami. Produkcja ma swoje prawa.

– Rzeczywiście, zabytki techniki to jeszcze większy problem. Są trudne do uratowania. Co zrobić na przykład z halą wielkich pieców w Welnowcu? Wprawdzie wpisane

są do rejestru zabytków, ale ja nie widzę możliwości ich realnego użytkowania.

– W wielu krajach Europy znajduje się takie sposoby.

– Sądzę, że jest to związane z ciągłością funkcji. Kiedy funkcja danego obiektu pozostaje ta sama, to ułatwia zadanie. Klasyczne przykłady to kościoły, zespoły mieszkalno-pałacowe. Zabytkowość obiektów przemysłowych stoi jakby w prostej sprzeczności z postępowaniem technicznym, który wymusza nowoczesność. My mamy w stosunku do Europy coś, co trudno nazwać szczęściem, ale są to w ciągłym użytkowaniu linie technologiczne jeszcze XIX-wieczne – zarówno w górnictwie jak i hutnictwie.

– Czy należałoby się tego pozbyć?

– Najlepszym rozwiązaniem jest utworzenie czegoś w rodzaju skansenu, ale to wymaga ekstra środków. W tej chwili nikogo u nas na to nie stać. A więc w grę wchodzi adaptacja. I tu zaczynają się kłopoty. Są takie przykłady jak szyb „Elżbieta” w Chorzowie, który przerabiany jest na zespół gastronomiczny. Znakomitym przykładem jest również browar w Siemianowicach – prywatny właściciel nadal użytkuje go jako browar.

– Koronnym przykładem jest na pewno browar w Tychach.

– To piękny zespół, głównie XIX-wieczny, chociaż ma jeszcze tradycje XVII-wieczne. Zachowała się stara wazelnia, oryginalne wyposażenie wnętrza, płytki, wykładziny, secesyjne dekoracje. Ale browar ma też potrzebę rozwoju. W tej chwili browarnictwo przeszło na nowoczesny system produkcji, a niektóre z tych urządzeń nie dodają uroku dawnym budowlom. Niestety, przy istniejącej konkurencji musimy wyrażać zgodę na ich instalowanie. Dzięki takim ustępstwom może być zachowana część zabytkowa.

– Co Śląsk może mieć z tego, że znacznie przykładać większą wagę do ochrony zabytków techniki, do ich adaptacji i nowego wykorzystania?

– Sądzę, że wiele. Imponujemy Europie ruchomościami. Jakiś czas temu odbył się transport lokomotyw do Anglii. U nas zawędrowały na złomowisko, bo było ich wiele i nikt się nimi nie przejmował. Natomiast kiedy w latach 60. te lokomotywy były czymś zupełnie normalnym, w Europie były już zabytkiem. Na pewno część Polaków będzie się tego faktu wstydzić, ale to kwestia świadomości. Innym rarytasem są maszyny parowe i elektryczne pracujące w naszych kopalniach.

Zatem moda na tego rodzaju zabytki to coś, na co czekamy. Chociaż dzisiaj jeszcze nikogo nie promuje się za to, że utrzymuje stare obiekty przemysłowe.

Powstał również program rządowy dla ratowania zabytków techniki, szczególnie w zakładach zagrożonych restrukturyzacją czyli prywatyzacją. W tej chwili są one ewidencjonowane. Trzeba również zdecydować, które z nich pozostaną na miejscu, bo wtedy ich wartość in situ jest znacznie większa, a nowy właściciel zostanie zobligowany do ich ochrony. Ma to również swoje złe strony – może odstraszać potencjalnych nabywców.

Część obiektów, o ile pozwolą fundusze, będzie przenoszona do Muzeum Techniki Przemysłowej, które powstaje przy „Królowej Luizie” w Zabrze. Zarysowuje się też możliwość powołania Fundacji im. Johna Baildona. Mija 200 lat od chwili postawienia przez tegoż Anglika pierwszego na kontynencie europejskim pieca napędzanego koksem.

Z kolei zabytki hutnicze znajdujące się na terenie huty w Gliwicach. Opuszczone hale może stać się muzeum tego pierwszego przemysłu Śląska.

Rozmawiała:

WIESŁAWA KONOPELSKA

Ilość obiektów i zespołów woj. katowickiego wpisanych do rejestru zabytków

Zabytki nieruchome

(ok. 1100 decyzji o wpisie)

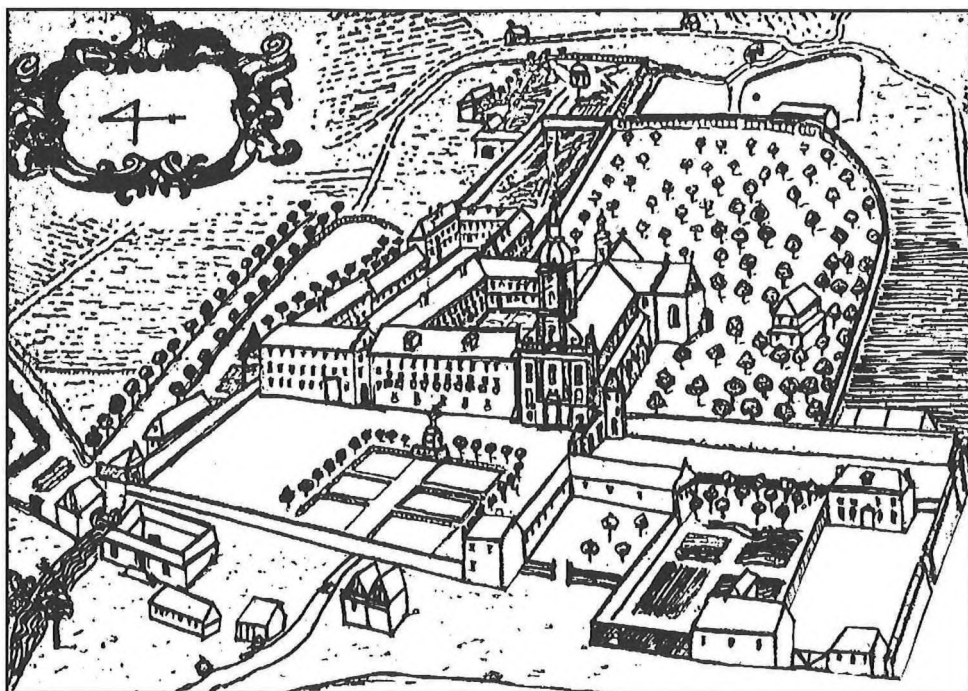
pałace – 54	osiedla i kolonie robotnicze – 16
zamki – 25	układy urbanistyczne miast – 24
dwory – 47	cmentarze – 8
przemysł – 54	

Zabytki ruchome

(ok. 600 decyzji o wpisie)

łącznie do rejestru wpisanych jest ponad 2 tys. obiektów

Na początku
 był niezmierny bór,
 wolno płynąca
 wśród drzew
 krystaliczna rzeka,
 nieskażona przyroda
 i spokój.
 Któregoś dnia
 w tę odwieczną ciszę
 wdarł się
 stukot siekier
 i ludzkie głosy
 nawołujące do pracy
 i zwracające się
 o pomoc i łaskę
 do Wszechmocnego.
 Trzynastu mnichów
 odbyło długą drogę
 z Małopolski,
 by tu na
 „surowym korzeniu”
 założyć swą
 nową siedzibę.



Czas Rud

Mężczyźni w białych habitach byli cystersami. Przynieśli do tego bezmiennego miejsca między Gliwicami, a Raciborzem cywilizację z Jędrzejowa. Mnisi umieli pisać, liczyć i budować. Znali zasady dobrego gospodarowania i mieli całkowitą pewność, że pracują na chwałę Pana. Za nimi stała potężna Kościół, ponadnarodowa, perfekcyjna organizacja jaką był ich sławny zakon oraz pomoc i przychylność śląskich feudałów. Przeciwno sobie mieli tylko przyrodę i... Tatarów, którzy jednak na krótko pokrzyżowali i opóźnili ich plany.

I cystersi zrobili to, co nakazywał im święty Bernard z Clairvaux oraz zapobiegliwy rozsądek. Przyłączyli do łacińskiej Europy kolejny kawałek dzikiej i bezładnej ziemi, każąc mu pracować i wydawać owoce.

Ora et labora

Za oficjalną datę powstania klasztoru we Władislavi, tak nazywały się początkowo Rudy, przyjmuje się rok 1252, choć wiele wskazuje, że już wcześniej mnisi dostali nadanie na tym obszarze. W 1258 roku książę Władysław III Opolski wystawił w Raciborzu dokument potwierdzający fundację, który podpisali również jako świadkowie przedstawiciele m.in. Mikołowa, Oświęcimia i Cieszyna. W 16 lat później dokument ów potwierdził z kolei papież Grzegorz X.

Wraz z mnichami — Francuzami, Włochami i najprawdopodobniej również Niemcami — pojawił się w Rudach zachodni kapitał: wiedza i rozum. Natomiast fundusze na przedsięwzięcie pochodziły od księcia opolskiego, traktującego swe działania być może jako zastępczą formę udziału w wyprawach krzyżowych. Jak chce znana legenda, w dowód wdzięczności za szczęśliwe zakończenie polowania

i znak od Boga, nadał on klasztorowi immunitety gospodarcze i prawne.

Cystersi mieli więc wszystko czego potrzebowali i wzięli się ostro do pracy. Powstawały wokół Rud nowe wsie, rozwijało się rolnictwo, a później również przemysł. Zakonnicy przyczynili się do rozwoju nie tylko upraw zbóż i hodowli bydła, ale także popierali warzywnictwo, bartnictwo, leśnictwo w borach otaczających ich siedzibę. Popularyzowali również sadownictwo, a trzeba dodać, że byli mistrzami w tym fachu. To właśnie im zawdzięczamy wyhodowanie renety szarej, smacznego i niezwykle odporne go gatunku jabłka.

Oprócz zajęć rolniczych trudnili się smolarstwem, gorzelnictwem i browarnictwem. Z czasem kowalstwem oraz hutnictwem żelaza i miedzi, co było tym łatwiejsze, że posiadali także kopalnie i wielkie piece. Wytwarzali szkło i bieliłi płótno.

Misja cystersów wymagała jeszcze ambitniejszych przedsięwzięć. Mnisi zgromadzili bogatą bibliotekę oraz zajmowali się przepisywaniem i oprawianiem ksiąg. Być może tutaj (wokół sprawy tej toczą się polemiki) narodziło się także dzieło niezwykle: „Katalog magii brata Rudolfa”, książka mająca być podręcznikiem dla spowiedników, a zajmująca się także opisem różnych zwyczajów ludowych i praktyk magicznych uprawianych przez XIII-wiecznych mieszkańców Śląska.

Już w średniowieczu powstała przy klasztorze szkoła publiczna, potem, w XVIII wieku, łacińska szkoła średnia, natomiast w 1781 roku coś w rodzaju studiów półwyzszych. Efektem polityki kulturalnej prowadzonej przez zakon były całe zastępy inteligencji — nauczycieli i księży, na czele z najwybitniejszym i najslawniejszym wychowankiem

Rud, urodzonym w 1781 roku w Makoszowach synem leśniczego Karolem Godulą, który zanim został właścicielem ogromnego majątku i „królem cynku”, w latach 1793 — 1798 zdobywał wiedzę w rudzkim gimnazjum.

Książę zastępuje opata

Opactwo w Rudach początkowo było zbudowane z drewna. W drugiej połowie XIII wieku powstał murowany kościół klasztorny, pozostałe zaś pomieszczenia aż do końca XVII wieku były drewniane. W 1671 roku zaczęto stawiać murowane, piętrowe budynki klasztoru pod nadzorem nyskiego architekta Melchiora Wernera. Po 1730 roku do północnego skrzydła klasztoru dobudowano piętrowy pałac opacki. W taki mniej więcej sposób powstał, później oczywiście nieco przebudowany, zespół architektoniczny opactwa. Niedługo jednak służył on cystersom. Ich misja trwająca prawie sześć wieków skończyła się pewnego jesiennego poranka 1810 roku.

Bernard Galbiers, ostatni rudzki opat opisał jak to 26 listopada niespodziewanie do klasztoru wtargnęli pruscy żołnierze, którzy kazali zebrać się zakonnikom w kapitułarzu. Królewski komisarz Korn odczytał im następnie edykt Fryderyka Wilhelma II o kasacji klasztoru. 32 mnichów musiało podpisać przyjęcie dekretu do wiadomości i wykonać jego postanowienia czyli przekazać cały dobytek klasztoru i opuścić opactwo. Kilku jednak zostało i jeszcze w 1813 roku, gdy podczas wojen napoleońskich w klasztorze mieścił się szpital, opiekowało się rannymi.

Mienie klasztoru sprzedano, podobno z nienajlepszym skutkiem, na aukcji. Cysterski kościół stał się kościołem parafialnym. Sam zaś klasztor i majątek król pruski przekazał kurprincowi von

Hessen-Kassel, później zaś landgrafowi von Hessen-Rothenburg. Ponieważ ten zmarł bezpotomnie dobra pocysterskie przekazane zostają mocą testamentu Wiktorowi von Hohenloche-Waldenburg-Schillingfurst, który otrzymał w 1840 roku tytuł księcia raciborskiego. Jego następcy rządzili tu do 1945 roku.

Chociaż książęta raciborscy byli oczywiście Niemcami, na ich ziemiach mieszkała głównie ludność polska. „Kłopoty” z polskością tych ziem mieli już sami cystersi. Choć założycielami opactwa byli przybysze z zachodniej Europy to jednak w XIV wieku zakonnicy rekrutowali się głównie z mieszczaństwa i szlachty polskiego pochodzenia. Opatami do XV wieku bywali Polacy. Nawet po wydaniu przez cesarza Rudolfa II edyktu zakazującego piastowania stanowiska opata przez obcokrajowców, konwent w 1585 roku dwukrotnie wybiera Polaków, później historia ta powtórzyła się, cesarz jednak nigdy nie zatwierdził tych wyborów i w końcu na czele zakonu musieli stanąć Niemcy.

W XIX wieku nadal ludność polska dominowała w Rudach i okolicznych pocysterskich wsiach. Wiedział o tym doskonale nadworny medyk księcia raciborskiego dr Juliusz Roger, człowiek niepospolity i znakomity lekarz z Wittenbergii, który przez wiele lat mieszkał w Rudach i przyczynił się do rozwoju miejscowego szpitalnictwa. Poza obowiązkami medycznymi Roger interesował się etnografią. Dzięki tej pasji powstał fundamentalny zbiór „Pieśni ludu polskiego na Górnym Śląsku”.

Mimo, że Roger napisał w swym dziele, iż „lud wiejski, górnośląski prawie wszędzie w przeważającej większości jest polski”, to jednak w 1922 roku przy podziale powiatu rybnickiego Rudy znalazły się w Republice Weimarskiej. Paradoksalnie, ale jak pokazała najbliższa historia, najgorzej wyszedł na tym książę raciborski. Gdyby jego dobra weszły w skład Rzeczypospolitej (oddalonej od Rud zaledwie o 6 kilometrów) egzystowałby dostаточно i spokojnie jak książę pszczyński czy też żywiecki Habsburg w państwie demokratycznym i praworządnym, a pałac w Rudach być może by ocalał tak, jak to stało się z pszczyńską rezydencją. Tymczasem ostatniemu księciu przyszło żyć w czasach hitlerowskiego totalitaryzmu, do którego zdaje się miał stosunek niechętny. Spotkała go także osobista tragedia. Jego syn i następca wyruszył w 1939 roku jako dowódca czołgu na wojnę przeciwko Polsce i zginął w słynnej i wielokrotnie później opisywanej potyczce w Puszczy Kampinoskiej pod wsią Pocięcha.

W styczniu 1945 roku do Rud wkroczyli Rosjanie. Książę uciekł przed nimi do swej drugiej siedziby w Corvey, gdzie zresztą wkrótce zmarł. Pałac był nietknięty. Jednak w miesiąc później spłonął. Według niektórych relacji Sowietci podpalili go dlatego, że w podziemiach kościoła odnaleźli trumnę ze zwłokami poległego syna księcia okrytą hitlerowską flagą. Jeden z mieszkańców Rud pragnący zachować anonimowość twierdzi jednak, że żołnierze rosyjscy „podpalili pałac dla zatarcia śladów po hulankach ze sprowadzanymi pod przymusem kobietami i strzelania w ich obecności do obrazów oraz wyposażeni

komnat. Zaś czego nie zniszczyli to wywieźli swoimi służbowymi samochodami”.

Takie wyjaśnienie przyczyny pożaru — trochę podobne do sienkiewiczowskiego opisu ekcesów pana Kmicica i jego kompanów z „Potopu” — jest prawdopodobne i chyba lepiej tłumaczy niszczycielski szal Sowietów. Dziś jednak trudno je zweryfikować.

Po podpaleniu pałacowo-klasztornych zabudowań, spłonął również sam kościół, ocalała tylko wieża i kaplica. W przeciwieństwie do klasztoru, kościół już w dwa lata później zaczęto odbudowywać. W ten sposób uratowano go. Pałac takiego szczęścia nie miał, choć po pożarze nie był tak poważnie zniszczony jak świątynia, to jednak niezabezpieczony — narażony był na wszystkie kaprysy aury i wandalizm ludzi. Czas zrobił swoje i dziś obok odrestaurowanego kościoła straszy ogromna ruina reszty pocysterskich zabudowań — wyrzut sumienia i problem, którego nie można jakoś rozwiązać.

Szansa niewykorzystana

Gdy w 1991 roku rozmawiałem z Augustynem Holeksą i Jackiem Bachniakiem, reprezentującymi wówczas w samorządzie gminnym Rudy, obaj byli ostrożnymi optymistami co do dalszej przyszłości wsi. Widzieli szansę jaka otwiera się przed ich miejscowością w związku z atrakcyjnym położeniem i posiadaniem pocystersko-książęcych dóbr, widzieli także zagrożenia. Wtedy wydawało się, że przed samym klasztorem rysuje się wspaniała przyszłość. Dr Philip M. Ponitz, nasz emigracyjny rodak chciał go kupić i założyć tu centrum hotelowo-kongresowe. Ówczesny wojewoda Wojciech Czech, od lat zafascynowany Rudami, był przeciwny takiemu — popieranemu zresztą przez dość trzeźwo myślący samorząd — rozwiązaniu i chciał stworzyć w pałacu wydział leśny i parkowy Akademii Leśnej, która miała powstać na Górnym Śląsku. Z tych i innych podobnych planów wiele nie wyszło. Pałac nadal jest niszczącą ruiną.

Jednak po 89 roku Rudy stały się miejscowością atrakcyjną dla turystów, a także pielgrzymów przybywających tu do obrazu Matki Boskiej Rudzkiej. Piękne położenie i niezwykła historia powodują, że coraz więcej osób odwiedza to miejsce. Przyjeżdżają wycieczki szkolne i indywidualni turyści z kraju i z zagranicy. Prowadząca obok pałacu księgarnię Lidia Bachniak niektórych nawet zna osobiście, gdyż zawsze pytają o nowe wydawnictwa dotyczące Rud. Dziś jest ich już kilka. Opisują same dzieje opactwa, historię sanktuarium maryjnego, oraz piękny choć zaniedbany przypałacowy park.

Coraz większą wiedzę o swej przeszłości mają również sami mieszkańcy Rud, kiedyś dość obojętnie podchodzący do swej jakże bogatej historii. Poznawanie małej ojczyzny propaguje wreszcie miejscowa szkoła, w której mali rudzianie znajdują dzięki dyrektorowi Henrykowi Siedlaczkowi sporo wiadomości o swych korzeniach.

Ruina, jaką jest w tej chwili pałac i klasztor w Rudach, jest obecnie przedmiotem delikatnych i dyskretnych negocjacji. Chęć kupienia zabytku (prawdopodobnie za przysłowiową złotówkę) wyraziło górnośląskie konsorcjum firm budowlanych, które zamierza w wyremontowanym budynku utworzyć centrum hotelowo-kongresowo-muzealne. Zainteresowanie przejęciem, ale tylko pomieszczeń przylegających do kościoła klasztoru, wyraziła także Kuria Gliwicka.

Koszt prowadzonego zgodnie z kanonami sztuki konserwatorskiej remontu ruiny ocenia się na ok. 500 mld. starych złotych. Na sprzedaż zabytku zgodę musi wyrazić minister kultury i sztuki. Rozstrzygnięcie decydujących o przyszłości Rud najprawdopodobniej można spodziewać się pod koniec tego roku.

Wydaje się, że tak niezwykle miejsce jakim są Rudy przyszłość ma zapewnić. Po okresie niepowodzeń muszą w końcu nadejść lepsze czasy dla tej pięknej i tak ważnej dla Górnego Śląska miejscowości.

DANIEL BIENEK



Foto: Daniel Bienek



Familok w Łagiewnikach

Foto: Jarosław A. Krawczyk

Tego słowa nie znajdziecie w słownikach. Słyszysz się jednak coraz częściej o rewitalizacji rzek (np. Rawy), rewitalizacji miast, a nawet pewnych społeczności.

Rewitalizacja, to dosłownie: przywracanie do życia, choć niektórzy woleliby zastąpić je polskim „odnowa”. Jest to termin wielce przydatny i aktualny.

Przełom XVIII i XIX wieku w najbardziej rozwiniętych cywilizacyjnie regionach Europy (w tym na Górnym Śląsku) był początkiem gwałtownego rozwoju przemysłu i związanej z tym urbanizacji. W ostatnim ćwierćwieczu naszego już stulecia w Nord-Pas de Calais, Zagłębiu Ruhry, wielu okręgach Anglii, Belgii, Holandii i właśnie w aglomeracji katowickiej wystąpiły niemal identyczne problemy i zagrożenia.

Zdaniem prof. Niny Juzwy z Politechniki Gliwickiej w krajach Europy Zachodniej obraz przestrzenny regionów przemysłowych zaczął się zmieniać już w latach siedemdziesiątych. Upadek ciężkich branż — górnictwa, hutnictwa, czarnej metalurgii, spowodował powstawanie terenów martwych, które w literaturze angielskiej określa się mianem „derelicted area”, Francuzi zaś ukuli termin „la friche industrielle”. Obydwa terminy odnoszą się do zjawisk opuszczenia, zaniedbania, bezużyteczności, co trafnie zastąpiono polskim odpowiednikiem — ugor przemysłowy.

Na ugorze

Nikomemu dziś niepotrzebne hale, wieże ciśnień, magazyny, najrozmaitsze obiekty inżynierskie i umierające wraz z nimi domy mieszkalne, mogą jednak przetrwać. Więcej nawet. Jeżeli wykorzystasz się je umiejętnie do nowych celów i funkcji, zmodernizuje, nada przebrzmiałej formie nową treść — ożyją. Na tym właśnie polega

Rewitalizacja ugorów

Agglomeracja górnośląska obejmuje około 1200 km kw. powierzchni. Skupia 14 miast i stanowi około 30 proc. obszaru województwa. W całym województwie żyje około 4 mln mieszkańców, z tego ponad połowa to mieszkańcy sa-

mej aglomeracji. Skupiska mieszkalne są tu jakby wciśnięte w tereny przemysłowe. Charakterystyczne jest właśnie owo przemieszanie obiektów przemysłowych, hałd, torowisk, wysypisk i zespołów mieszkalnych. W rękach przemysłu zostaje około 25 proc. obszarów zabudowanych (tereny zdegradowane przez produkcję stanowią dodatkowe 9 proc. powierzchni aglomeracji).

Kopalnie węgla zajmują aż 4363 hektary (28 proc. powierzchni zajętej przez przemysł), hutnictwo i branża pokrewna — 3780 ha, a energetyka 1537 ha. Są to wprawdzie dane z 1993 r., ale przecież w okresie minionych trzech lat niewiele się zmieniło. Przytoczone dane najlepiej wyjaśniają dlaczego na Górnym Śląsku jest tak ciasno i dlaczego tak trudno tu cokolwiek zmienić.

200 czy 100 lat temu przemysł ciężki był dla śląskiej ziemi błogosławieństwem, dziś staje się jej przekleństwem. Tym bardziej, że do obiektywnych zjawisk i procesów doszła jeszcze radosna twórczość władzy ludowej. Prymat produkcji za wszelką cenę prowadził — mimo centralnego planowania — w istocie do działań żywiołowych i bezmyślnych. Historycznie nawarstwiające się skutki eksploatacji środowiska doprowadziły do tego, że w latach osiemdziesiątych aglomeracja górnośląska stała się najbardziej chyba zdegradowanym ekologicznie terenem Europy.

Nasz region wcale nie był — jak to się niektórym zdaje — jakąś zapyziałą prowincją. Górnictwo, hutnictwo i związane z nimi branże przynosiły pracę i dobrobyt mieszkańcom tej ziemi. Aby zachęcić ich do pozostawania na miejscu i podejmowania pracy w przemyśle — cynkowi, stalowi i węglowi baronowie, budowali

Osiedla patronackie

— owe skupiska familoków, które ignorantom kojarzą się wyłącznie z wrednym kapitalistycznym wyzyskiem polskiego robotnika. Wiele osiedli robotniczych z przełomu wieków nawet i dzisiaj wygrywa porównanie z socjalistycznymi sypialniami (które zresztą zaczynają się już rozpadać).

W 1907 roku spółka Georg von Giesches Erben zainicjowała budowę kolonii robotniczej nazywanej oficjalnie Giescheswald (znajdowała się bowiem w lesie), a przez okoliczną ludność — Giszowcem. Przy budowie zatrudniono 2000 osób. Całkowity koszt inwestycji wyniósł 5 mln marek. W ciągu około trzech lat wybudowano 330 domków o — bagatelka — 40 wzorach architektonicznych. Zamieszkało w nich 1000 górniczych rodzin. Część tych domków stoi do dziś, a czasy bezmyślnej likwidacji osiedla przedstawił Kazimierz Kutz w „Paciorkach jednego różańca”.

Ludzie werbowani do pracy w pobliskiej kopalni pochodzili z najbliższej okolicy — Janowa, Mysłowic, Nikiszowca. Owe domy to były budowane z cegły budyneczki z ogródkami. Dzięki temu każda rodzina mogła hodować drobny inwentarz, a także warzywa i kwiaty. W wodę zaopatrywano się z ulicznych pomp usytuowanych co 100 m. Prało się natomiast w wielkiej osiedlowej pralni. Były też specjalne „piekarniki”, w których gospodynie mogły piec chleb i kołocz. Giszowiec był więc całkowicie samowystarczalny. Spółka wybudowała nie tylko domki, ale trzy szkoły, salę gimnastyczną, boisko, kąpielisko... Była oczywiście gospoda i sklepy. Brakowało tylko kościoła.

Firma dbała o porządek w osiedlu, nie było kłopotów z usługami, remontami czy transportem. Starsi katowiczanie pamiętają jeszcze poczciwy Balkan. Małe wagoniki kolejki wąskotorowej dowoziły górników do pracy, a w niedziele i święta całymi rodzinami podróżowali oni (oczywiście bezpłatnie) do janowskiego kościoła.

Takich osiedli robotniczych było w katowickiej aglomeracji około 200. Dziś jest ich znacznie mniej. Powoli giną one, podobnie jak firmy, które je stworzyły. W bytomskiej dzielnicy

Bobrek

istnieją do dziś aż 4 takie osiedla (piąte „Rubież”, w latach pięćdziesiątych zlikwidowano, a jego teren zajęła hałda). Na początku ubiegłego stulecia żyło tu 180 osób. Sto lat później w Bobrku mieszkało już 4000 osób i ich liczba nadal wzrastała. Dzisiaj na obszarze 189 ha zamieszkuje 5914 osób.

„Rozwój Bobrka — mówi prof. Nina Juzwa, współautorka obszernego stu-

dium poświęconego możliwościom i kierunkom przekształcania dzielnicy — wiąże się z powstaniem i wzrostem dwu wielkich zakładów przemysłowych — huty i kopalni. Historia wzrostu i upadku widoczna jest bardzo wyraźnie w strukturze urbanistycznej.

Najbardziej intensywny rozwój przemysłu przypadł na lata 1822—1922. Wówczas skrytalizowały się wszystkie podstawowe elementy układu przestrzennego: główna droga łącząca Szombierki z Zabrzem i Rudą Śląską, powstały kościoły, szkoły, zabudowa mieszkaniowa. Wtedy to wybudowano cztery istniejące do dziś osiedla patronackie.

Najstarszy w Bobrku zespół mieszkalny — kolonia Huty „Julia” — powstał w latach 1888—89. Składał się z 16 domów robotniczych i urzędniczych, szpitala, hotelu, łaźni... Obecnie składa się z 17 domów mieszkalnych, bardzo prostych w formie o zabudowie obrzeżonej, lecz zbliżonej do tendencji geometrycznych. Wyraźnie wyróżnione są zazielenione przestrzenie wewnętrzne.

Nowa Kolonia Robotnicza, to zespół również wybudowany przez hutę. Budowany w 1907 r. składa się z 60 domów robotniczych przeważnie dwukondygnacyjnych. Struktura zespołu wyraźnie geometryczna. Domy ustawione są w formie szachownicy, w grupach po cztery, zróżnicowane w rysunku dachów i drobnych detalach elewacji.

Nowa kolonia powstała w latach 1909—1912. Inwestorem była kopalnia. Składa się z 51 domów usytuowanych wzdłuż nieregularnie prowadzonej linii. Zabudowa głównie dwukondygnacyjna, rośnie w kierunku ulicy Zaburskiej. Budynki są do siebie podobne głównie dzięki kolorystyce i wyraźnemu rysunkowi połaci dachowych. Zróżnicowanie widoczne jest w detalach elewacji.

Najmłodszy jest zespół wybudowany przez kopalnię w 1922 r. Wówczas składał się z 33 domów (pozostało 31) o kompozycji swobodnej. Typy budynków powtarzają się. Ich zróżnicowanie widoczne jest w detalu: rozwiązaniu wejść, okien, a szczególnie w bogatej architekturze dachów. Pomimo najlepszego stanu technicznego budynków i ich otoczenia, zespół zaliczyć można do najciekawszych w aglomeracji.”

Stan techniczny, a także walory architektoniczne owych robotniczych osiedli są zróżnicowane. Większość z nich jednak zachwyca dziś swoją urodą i funkcjonalnością. Zdaniem pani profesor „swoisty genius loci dzielnicy wyraża się najlepiej właśnie w czterech zespołach urbanistycznych osiedli patronackich. Są one wyrazem indywidualizacji lokalnego krajobrazu, ich walor kulturowy wiąże się z przekazem tradycji małych społeczności, które w tym miejscu żyły i pracowały”.

Naturalne jest więc pytanie czy takie zespoły architektoniczne warto ratować, czy też lepiej wszystko

Wyburzyć

a na tym miejscu postawić coś nowego? Spośród uczestników niedawnego seminarium poświęconego rewitalizacji historycznych dzielnic mieszkalno-prze-

mysłowych niektórzy powiedzieli się zdecydowanie za tym drugim rozwiązaniem.

Uważam, że nawet z czysto finansowego punktu widzenia jest to rozumowanie bzdurne. Wątpię czy ktoś policzył rzeczywiste koszty całej operacji (o kosztach kulturowych i społecznych już nie wspomnę). Umiejący dobrze kalkulować Anglicy, Francuzi, Niemcy, Holendrzy — jeśli tylko pozwalają na to względy techniczne i brak przeciwskażeń ekologicznych — opowiadają się zawsze za ratowaniem. Kalkuluje się to bowiem taniej.

To nasze „burzymurstwo”, niefrasobliwa skłonność niszczenia wszystkiego, co tylko oparło się rozmaitym kaktlizmom i upływowi czasu, to zaiste temat dla psychologów, psychiatrów i socjologów. Jestem przekonany, że zarówno względy ekonomiczne, jak i szacunek dla przeszłości, przemawiają za tym by większość owych osiedli patronackich rewitalizować. Oczywiście nie mówię o substandardowych, rozsypujących się i szpetnych familokach, ale o takich zespołach urbanistycznych jak właśnie w Bobrku, Nikiszowcu czy choćby zabrzańskim Borsigwerku.

Ratunek jest możliwy, choć rzecz jasna zadania nie udźwigną pozostawione samym sobie samorządy lokalne.

Pozorny jest w dużej mierze problem braku środków. Wynika bowiem głównie z braku odpowiednich rozwiązań prawnych i organizacyjnych. Z ankiety przeprowadzonej w Bobrku wynika, że wprawdzie zaledwie 30 proc. rodzin wiąże przyszłość z dzielnicą, ale aż 66,6 proc. chciałoby wykupić zajmowane obecnie mieszkania czy domki, a ponad połowa mieszkańców gotowa jest własnym wkładem partycypować w kosztach remontu i modernizacji.

Tych ludzi warto wesprzeć odpowiednim, przemyślanym działaniem. Nie trzeba odkrywać Ameryki. W Anglii na przykład mieszkańcy tamtejszych familoków otrzymują je w posiadanie za symbolicznego pensa. Gmina będąca dotychczas właścicielką remontuje uprzednio pokrycia dachowe domów. Koszty innych remontów oraz ewentualnej modernizacji ponosi już nowy posiadacz.

Pytanie: burzyć czy rewitalizować jest pytaniem pozornym. To nie jest żadna alternatywa. Warto natomiast zastanowić się nad tym z czyich doświadczeń korzystać, skąd czerpać środki, jak pozyskiwać sojuszników, a przede wszystkim — jak najefektywniej spożytkować nasz własny potencjał intelektualny, techniczny i finansowy.

MACIEJ ŁUKOWSKI

Dr hab. inż. arch. Nina Juzwa jest profesorem na Wydziale Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Urodzona w Rybniku, po ukończeniu studiów architektonicznych we Wrocławiu w 1961 r. podjęła pracę w Politechnice Śląskiej. Jest Kierownikiem Zakładu Architektury Przemysłowej, a kieruje także Studium Doktoranckim w zakresie Urbanistyki i Architektury.

Większość podań o skarbach, zwłaszcza popularna na Śląsku grupa legend o matce zapominającej w jaskini ze skarbami dziecko, mimo wyraźnych często odsyłaczy terytorialnych, nie ma żadnego związku z rzeczywistością. Co innego skarby przypisywane konkretnym postaciom i wydarzeniom historycznym. Choć często otaczane równie baśniową, fantasmagoryczną poświatą, dla wielu do dziś opowieści te skrywają mniej lub bardziej misternie zaszyfrowaną wiedzę o miejscach ukrycia niewyobrażalnego bogactwa prawdziwych skarbow. Oto niektóre z długiej listy:

W Bytomiu (gdzie ich najwięcej) czekają na śmiałka m.in. wciąż podobno nie wydobyte płonące skarby na miejscu zapadłego klasztoru w Goju, srebrne kołyski w piwnicach ratusza, 12 srebrnych apostołów w kościele Minorytów, skarb na miejscu cmentarza francuskiego na Kochłówce, skarby Dyngosa na Wzgórzu Małgorzaty, w tym samym miejscu łupy Eliasza. W Chorzowie Starym skarb schowany jest pod kaplicą św. Jana, w Chudowie w ruinach zamku wodnego. W podziemiach zamku w Głogówku zakopano srebrną kaplicę. W Katowicach jest do odkrycia m.in. skarb pod mostem na Kłodnicy. W Kotłarni koło Koźła skarb Hუსytów, w Krapkowicach skarby w domu przy ul. Opolskiej. W Leboszowicach koło Gliwic skarb zakopano pod tzw. dębem szwedzkim, w Łągiewnikach pod krzyżem pokutnym. Na granicy Mikołowa i Łazisk w lesie Wieżyisko. W Markowicach k/Raciborza skarby ukryte są w kaplicy. W Radlinie w „zamku”. W Rydułtowach gdzieś w lesie. W Siemianowicach pod murem parku zamkowego pilnuje francuskiego grobu ze skarbami popularna „Panienska”. O dwunastej w nocy otwierała się w Sylwestra ziemia za Pszczelnikiem. W Sońnicy koło Gliwic skarb rozbójnika ukryty jest pod głazem. W Straduni we francuskim grobie pod krzyżem przydrożnym. W Szarleju czekają na odczarowanie zatopione srebro. W Szombierkach dukaty w jaskini Dyngosa. Skarby Goduli tkwią gdzieś w podziemiach zamku (spalonego i rozebranego po wojnie, ale w zasypanych ziemią fundamentach można sporo znaleźć). W Świerkłańcu (w również zasypanych) piwnicach zamku czeka skarb Donnersmarcków. Nie mówiąc już o znanym każdemu dziecku śląskiemu skarbie na wyspie podziemnego jeziora w Toszku, gdzie złota kaczka wciąż spoczywa na złotych jajach, etc, etc.

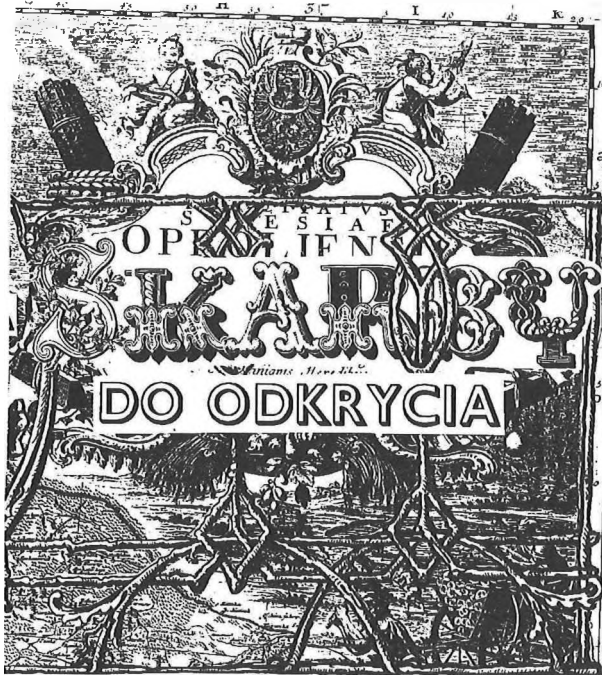
Jak już stwierdziliśmy, przekazy ludowe należące do tej grupy podań w znacznej mierze zachowały swą żywotność do dziś. Dotyczy to nie tylko miejsc zakopania talarów Goduli, czy łupów Eliasza i Pistulki, ale także skarbow szwedzkich, francuskich, a nawet srebrnych kołysek mieszczan bytomskich i bańd o kosztownościach rozbójnika Dyngosa. Sekret tak długiej trwałości tkwi w ich niewątpliwym związku z dawno zapomnianymi faktami historycznymi. Z reguły wypreparowane nawet z rudymetów odsyłaczy do burzliwych lokalnych dziejów, stały się opowieściami mitycznymi, czyli fikcją w stanie czystym.

Mimo to informacje o nich nie przekazywane się głośno i na zwykłe zapytanie. Nawet doświadczony folklorysta zostanie wprowadzony w błąd, albo nie uzyska w tej materii odpowiedzi bez pozyskania zaufania „wtajemniczonych”. Gdy te warunki zostaną spełnione, można dokonać zaskakujących odkryć i dowiedzieć się z wiarygodnych ust o np. wciąż zdarzających się próbach „grzebania” w ruinach zamku toszeckiego, czy

pejzaz mitolo- giczny

SKARBY DO ODKRYCIA

ANTONI HALOR



w Chudowie. Jeszcze bardziej zdumiewające są do dziś ponawiane nocne wykopki na Kochłówce w Bytomiu, w miejscu w którym znajdował się 180 lat temu cmentarz z czasów wojen napoleońskich. Ludowa fama głosiła w II połowie XIX w., że zakopane są tam bogate skarby, ale w naszych czasach rzecz zdawała się być już od dawna zapomniana, zaś po cmentarzu nie pozostał na powierzchni ziemi najmniejszy nawet ślad. A jednak. Wtajemniczeni mają swoje źródła informacji.

Równie wyrazistym przykładem charakterystycznego w tej materii związku fikcji i faktu jest opowieść o skarbie pod Pszczel-

nikiem w Siemianowicach. Jak większość tego rodzaju podań, rdzeń ma najzupełniej realny. W latach 1892/1893 Siemianowice przeżyły w związku z nią prawdziwą gorączkę złota. Otóż mistrz murarski Seiffert, rozbierając stare zabudowania gospodarze w pobliżu Pszczelnika, w miejscu, do końca XIX w. zwanym „pustacją Jakubowice”, dokopał się szczątków starego muru długości 5 metrów. Znalaziono też posadzkę z płyt piaskowca, ułożoną z pięknie obrobionych kamieni, wskazującą na bardzo szacowny wiek. Mury te musiały należeć do jakiejś dawnej krypty, albo kaplicy, a może nawet kościoła. W gminie błyskawicznie rozeszła się wieść, że pod Pszczelnikiem zakopany jest skarb ogromnej wartości. Niektórzy opowiadali, że Seiffert znalazł ukryte tam złoto, inni, że zabrał tylko niewielką jego część. Liczni mieszkańcy Siemianowic próbowali więc odnaleźć skarb (czy jego resztki), ale podobno bezskutecznie. Dziś już nawet najstarsi mieszkańcy miasta nie są w stanie pokazać owego miejsca, choć jeszcze na początku naszego wieku opowiadano, że odkryte wtedy i powtórnie zasypane ruiny są pozostałościami nieistniejącej już od trzystu lat starej wsi Jakubowice, zniszczonej pod koniec XVI wieku (po bitwie pod Byczyną). No a skarb? Dotąd, jak należy przypuszczać, nie został przez nikogo odkryty. Ale może w jakąś kolejną noc sylwestrową ktoś wreszcie doń dotrze. Grunta dawniej wsi Jakubowice z pewnością kryją jeszcze niejedną tajemnicę. Trzeba tylko poszukać.

I ludzie szukają. Gdzie się da. Obecnie służą do tego celu wykrywacze i detektory do metali, zdjęcia satelitarne, do eksploracji w wodzie akwalungi. Najważniejsze jednak są stare mapy. W tym punkcie nic się nie zmieniło od czasów „Treasure Island” Stevensona. Niezwykle interesujący motyw map z miejscami ukrycia skarbow rzecz jasna nie dotyczy tylko popularnych książek o piratach i tajemniczych wyspach. W istocie jest całkowicie realnym elementem eksploracji skarbow, z reguły schowanym w mrokach niedomówień i z natury rzeczy najtrudniejszym do zbadania. Dostęp do właściwej mapy był i nadal jest warunkiem *sine qua non* skutecznego uprawiania tego procederu. Na Śląsku od średniowiecza fenomenów związanych był z działalnością tzw. Walonów. Ci tajemniczy przybysze, zwani też Italokami, albo Wenecjanami, pojawiali się w różnych niezwykle miejscach, przede wszystkim w górach. Ich wielowiekowa, historycznie poświadczona penetracja Sudetów i innych regionów bogatych w metale i kamienie szlachetne liczne podania ludowe wiązały z miejscami ukrycia skarbow. Przypisywane „Wenecjanom” mapy, a zwłaszcza tajemne znaki obok miejsc, w których mają znajdować się skarby, odnotowywano na tych terenach już w XV wieku. Podobnie jak na Podhalu równie sławne „spiski” trażzańskie.

Tak to bowiem bywa: na początku jest legenda, potem mapa, a na koniec często autentyczny skarb. Ponieważ żyjemy w czasach oświeconych, bez trudu zaobserwujemy dowodzące tego prawidłowości. Bliżej zainteresowanym polecić należałoby stosowną, obszerną (ale nie za bardzo) literaturę. Dlaczego nie za bardzo? O tym dowiaduje się opinia publiczna sporadycznie. Nie tylko z doniesień o spektakularnych sukcesach poszukiwaczy zatopionych skarbow konkwistadorów i piratów na Karaimach, czy u wybrzeży Ameryki Środkowej.

1. Czyż wyznaczenie już na samym początku felietonu – lekka przesada. Ale co zrobić z prawdą? Rzeczywiście lubię wódkę i papierosy, a skoro tak, to czyż mogłem oprzeć się lekturze najnowszego zbioru wierszy Macieja Świetlickiego? Autor dotąd przeze mnie szanowany (przez innych – wielbiony), wyznał wszak w tytule swojego tomiku, iż zawarł w nim 37 wierszy o wódce i papierosach. Więc jakżeż się oprzeć takiej lekturze? Jakżeż zbagatelizować to, co może nas, urodzonych w tym samym miesiącu i roku, jakkolwiek nie znanych sobie literatów, łączyć w pokoleniową wspólnotę? Wprawdzie może kruchą, bo cóż to za wyznacznik – wódka i papierosy, ale jednak wspólnotę...

Niestety, zawiodłem się. Kategorycznie stwierdzam, że tytuł najnowszego tomiku Świetlickiego jest kłamliwy. To nie jest zbiór wierszy o „wódce” i „papierosach”. Nie liczyłem, ile razy te słowa pojawiają się w książce, lecz zbyt rzadko, iżby uznać je za klasyczną wykładnię pokoleniowości. Więcej nawet – to nie jest zbiór 37, lecz 36 wierszy, chyba żeby za 37 uznać „spis treści”. Świetlicki zażartował sobie ze wszystkiego, co mi tak drogie: z rachunków i używek. Odciał się od, prawdopodobnie, jedynego uchwytanego wyróżnika generacyjnego, który mógłby nas do siebie zbliżyć. Rachunki zresztą bym mu już darował (rachunki krzywd), ale jedyną dionizję (rachunki użyć) tak zlekceważył?

2. Ale – poważnie. To świetny tomik. Wiersze *sensu stricto* sąsiadują tutaj z tekstami piosenek, a raczej tekstami „świetlików”, bo tak może trafniej należałoby nazwać owe konstrukcje poetyckie przeznaczone do melodeklamacji z akompaniamentem zespołu muzycznego. Zresztą, owo sąsiedztwo wierszy i „świetlików” okazuje się bardzo intrygujące, przenosi czytelnika w inną rzeczywistość odbioru. Znamienny jest pod tym względem utwór *Nieprzysiadalność*, doskonale pewnie odbierany jako „świetlik”, ale także – poprzez wciąż ponawiane repetycje: „Ja to pierdołę, dziś jestem w nastroju, nieprzysiadalnym” – interesująco zamykający się w przestrzeni tekstu lirycznego.

Może to zostać uznane przez kogoś za recenzenckie pomieszanie umysłu, a jednak teksty Świetlickiego są w ścisłym tego słowa znaczeniu liryczne. Niechaj nas nie zwiedzie potoczna, maksymalnie sprozaizowana, kolokwialna fraza poety. I cóż z tego, że odwołuje się on do codziennego języka, że nadużywa wulgaryzmów, że opisuje zdarzenia i sytuacje, którym daleko do jakiegokolwiek wykwiśnięcia. Ostatecznie – poezja dwudziestowieczna dawno już uporała się z tą kwestią, a przecież, mimo to, wciąż są w niej obecne pierwiastki liryczności. Duchy latają kędy chcą i takóž chcą, jak chcą.

3. Co mnie najbardziej uderzyło w tym zbiorze wierszy, to przede wszystkim ich generalna powściągliwość osądu, co przy nadmiernie ekspresyjnej tonacji musi zastanawiać. Świetlicki raczej unika – i czyni to konsekwentnie – wypowiedzi, które miałyby na celu stawianie diagnozy światu. I jakkolwiek o świecie, w którym żyje, nie ma on zda-

Starty i falstarty

LUBIĘ WÓDKĘ I PAPIEROSY

nia najlepszego, to przecież nie jemu stawia tutaj cenzurki. Te zarezerwowane są dla ludzi, dla siebie samego; może, przede wszystkim, dla siebie samego.

37 wierszy o wódce i papierosach to głównie tomik o człowieku zmęczonym. Zdaje się, że jest to „zmęczenie”, które przejawia się w codziennym byciu, ujawnia pod postaciami abulii, zniechęcenia, rozdrażnienia. Ustawicznie ponawiane frazy, nawracające skojarzenia, refrenicznie przywoływane pragnienie świętego spokoju – to wszystko jest zbyt czytelnym znakiem, iżby go zbagatelizować. Tak, jak gdyby poeta chciał nam wszystkim (czytelnikom, słuchaczom jego „świetlików”, sąsiadom i ludziom z boku) powiedzieć: odczepcie się, jestem już wami zmęczony. I tak, jak gdyby chciał sobie samemu oznajmić: to życie mnie już nie zadowala.

4. Ostatecznie jednak, dlaczego mamy tego słuchać? Ostatecznie, co nas to wszystko obchodzi? Każdy nosi swój krzyż i tego ciężaru wystarczy na jedno istnienie. I pewnie tak zareagowałbym na zbiór wierszy Świetlickiego, gdyby nie jego, mimo wszystko, „zaraźliwy” ton wypowiedzi. Bo u autora *Schizmy* ten kto mówi, mówi w naszym imieniu. Nie tyle w imieniu pokolenia, ile owej społeczności postsocjalistycznej, dla której wszystko jest wyprane z barw. Owo życie *nulli coloris*, przecież – płaskie, przecież – pozbawione większych radości, objawia się w wierszach Marcina Świetlickiego jako swoisty byt-ku-bezsensowi. Co nam zostało z radości? Nic. Co nam się kroi na przyszłość? Nic. Co wypełnia do cna nasz dzień codzienny? Zmęczenie.

Może dlatego tak wiele jest w tych wierszach krzyku, swoście drażniącego krzyku, będącego wyrazem bezsilności. W planie formalnym ów krzyk Świetlickiego jest prostą kontynuacją znanej już przed dwudziestu laty i później natrętnie reaktualizowanej „mowy wprost”. W planie ideowym – te wiersze mają wyraźny podtekst społeczny.

5. Ale przecież, ktoś powie, wiersze Świetlickiego stawiają w centrum człowieka, są maksymalnie upodmiotowione i wypowiedane z pozycji jednostki. Prawda. Lecz zauważmy i to, jak wiele w nich jest sygnałów odnoszących się do naszej codzienności. I jak owe sygnały bywają tutaj przetworzone. Dowodem utwory – *Wiersz bez światła*, *Prosty pozytywny*, *Opluty (44)*, czy *Pan Traktor*.

Bohaterem lirycznym Świetlickiego jest człowiek z ulicy, skamandrycki szary człowiek. Bardzo wyraźnie odbija się w tej liryce owo doświadczenie lat dwudziestych w poezji polskiej, jakkolwiek wektor zaangażowania w rzeczywistość został tutaj zwrócony w stronę przeciwną. Skamandrycy byli optymistyczni i witalistyczni, Świetlicki jest poetą zwątpienia i abulii. Gdyby sięgać bliżej, powiedzieliśmy, iż na tej poetyce odbiło się także doświadczenie liryki lat pięćdziesiątych – Białoszewskiego, Bursy. A także lat siedemdziesiątych – krakowskiego odłamu Nowej Fali i sceptycznej poetyki warszawskiego nurtu Nowej Prywatności.

6. Wiersze Świetlickiego są wyraźnie monologowe. Dziwny to wszakże monolog, kierowany on jest ku bardzo konkretnemu adresatowi, z reguły milczącemu, jakkolwiek w wielu momentach ujawniającemu swoje odmienne racje. To ponowne przywołanie reguł „poezji rozmowy” (reguł sprzed lat siedemdziesięciu co najmniej), bardzo odświeżająco wpłynęło na ton nowej poezji w naszej dekadzie. Zakorzeniło ją we wzorcach tradycji (nie tylko polskiej, także – amerykańskiej), uwyraźniło to, co w gruncie rzeczy jest niepodważalnym atutem każdej dobrej poezji – otwartość na Drugiego, ujęcie dramatu jednostki w kontekście dramatu wspólnoty. Pod tym względem poezja Marcina Świetlickiego rzeczywiście znacząco zaznacza się na mapie rozwiązań poetyckich lat ostatnich.

7. Nie przemawiają do mnie opinie krytyczne, wedle których Świetlicki miałby być autorem dla małolatów lub eksponującym ich problemy. Jesteśmy już zbyt starzy, aby grzebać w majtkach. Już doskonale wiem, że w tym życiu tak naprawdę niewiele nam się udało. I o tym pisze w wierszu *Jeszcze jeden* Marcin Świetlicki:

Ja się tylko spowiadam.
Codziennie w malignie
aż do nocy ja chodzę
do spowiedzi, którą
składam w ustronnych miejscach
i ciałach kobiecych,
i w ziemi. Krzyczy trawa. Ja nie mam
aż tyle
śmiałości, żeby prosić by mnie
rozgrzeszono,
nie mam śmiałości by komunię
połknąć.
Nie jestem naród. Tak się porobiło.
Nie chcę tego odkręcać.

MARIAN KISIEL



z MARCINEM
ŚWIETLICKIM

rozmawiają
BEATA NOWACKA
i JOANNA GÓRECKA

NIE JESTEM PROGRAMOWYM INDYWIDUALISTĄ

– Powiedział Pan kiedyś: „to może przerażające, ale ja nie mam żadnej ciekawości co do wierszy, czytam głównie prozę”. Dla kogo więc i po co Pan pisze wiersze?

– Powiedziałem to w okresie, gdy czytałem prozę. Zresztą ten okres trwa nadal. Proza fascynuje mnie bardziej.

– Jaka?

– Mająca jak najmniej wspólnego z poezją. Jak najprostsza, jak najmniej poetyckich sensów zawierająca. Czytam na przykład czarne kryminały.

– Czy ma to związek z konstrukcją „Schizmy”? Powiedział Pan kiedyś, że ten tomik jest zbudowany na kształt kryminału.

– Myślę, że on jest – w pewien sposób – kryminałem. Bo ma wyjaśnienie. Nieczęsto zdarzało mi się czytać książki z wierszami, które mają puentę. A ja lubię puenty – każda historia musi się jakoś kończyć. Natomiast ból mi sprawiają książki, które kończą się wierszem, który mógłby się znaleźć na początku. Zresztą ja nie umiem napisać prawdziwego kryminału, dlatego znajduję sobie takie zastępcze środki.

– Pisze Pan jednak – wraz z Grzegorzem Dyduchem – skandalizującą powieść „Katececi i frustraci”. Czy umiałby Pan napisać coś nieskanalizującego?

– Rzadko piszę rzeczy skandalizujące. Ale te skandalizujące są na tyle jaskrawe i na tyle widoczne, że zwracają na siebie uwagę. Niewiele ostatnio napisaliśmy. Mieliśmy apogeum dwa lata temu, napisaliśmy około pięciuset stron. Teraz nie piszemy, tylko czekamy na jakiś odpowiedni moment. To powieść o naszym życiu, więc nie jest już teraz skandalizująca.

– Cóż to takiego – Schizma?

– Wtedy gdy znalazłem to słowo, tłumaczyłem je wielorako. Że nie jestem związany z bruLionem i odcinam się od bruLionu, albo że nie jestem pojedynczy, bo jest nas dwóch. To był dobry tytuł. Napisałem kiedyś wiersz, który się nazywał „schizma”. Ale dotyczył zupełnie czegoś innego. Nie opublikuję go, bo już dawno go wyrzuciłem.

– Bronisław Maj cytując fragment Pańskiego wiersza: „Ja, ja wiem ja” komentuje – „ten wiersz zaczyna się jak Dziennik innego programowego indywidualisty”. Świetlicki Gombrowiczem, to porównanie...

– Bardzo na wyrost – bo nigdy w żaden sposób nie nawiązuję do „innego programowego indywidualisty”. Nie jestem żadnym indywidualistą programowym. Posługuję się sobą – bo jest mi do siebie najbliższe. Dlatego piszę o sobie często, ale znów nie tak często jakby się wydawało. Gombrowicz to zupełnie inny świat, zupełnie

inne historie. On był lepiej ode mnie wychowany. Pisał coś zupełnie innego. Wywodził się z zupełnie innych krajów.

– Między schizmatykami a wyznającymi ortodoksyjną wersję życia istnieje pewna zależność. Jedni potrzebują drugich...

– Tak. To prawda. Dlatego nie mogę powiedzieć, że jestem programowo niezależny – choć mogłoby się tak wydawać. Jeżeli się od czegoś odcinam, to jednocześnie podkreślam, że to istnieje. Nie muszę się karmić rzeczami na które się nie zgadzam. Wielokrotnie wydawało mi się, że się z czymś zgadzam. Potem okazywało się, że jest odwrotnie. Normalne.

– Można Pana teksty usłyszeć z muzyką rockową w tle... Krzysztof Koehler twierdzi: „Piosenki mimo że piękne językowo schlebiają tanim gustom”...

– Teksty, które wykrzykują są umieszczone w moich tomikach. Więc jest to zarzut do wierszy. Zatem – według Krzysztofa Koehlera – jestem kiepskim poetą, który schlebia tanim gustom.

– Poezja bruLionu jest pierwszą dwudziestowieczną literaturą?

– Nie pamiętam dokładnie kontekstu, w jakim użyłem tych słów. Ale chodziło pewnie o to, że lektury z literatury polskiej, z którymi wtedy się stykałem, były pisane raczej według wzorców dziewiętnastowiecznych. Dość odległe były od tego, co wówczas pisano na świecie. Wiersze, które wtedy czytałem w bruLionie były dość świeże i uwolnione od pewnych przesądów. Dlatego właśnie tak powiedziałem – nie była to oczywiście do końca prawda, ale zostało to powiedziane, by dobrze zabrzmiało. Wiele rzeczy się wypowiada po to, by dobrze zabrzmiały.

– Koehler mówi o „tekstach językowo pięknych”... Łączy się Pana nazwisko z pismem bruLion. Co – poza skandalem – ma bruLion do zaoferowania.

– W tej chwili w ogóle o tym nie myślę. W ogóle się nie znam na bruLionie. Byłem z nim związany lat temu cztery, pięć. Zresztą to był bardzo krótki okres. W bruLionie opublikowałem zaledwie kilka wierszy. Nie jest to dla mnie jakiś bardzo ważny punkt odniesienia. Od tamtego czasu zdążyłem opublikować kilka książek. To tak jakbym został zapytany o wpływ liceum na mój rozwój. Liceum ukończyłem lat temu kilkanaście – i w zasadzie nie wiem jak na mnie wpłynęło.

– BruLion to jednak nie liceum, zerwał Pan z nim, ale nie musiał Pan zrywać...

– Nie – gdyby redakcja bruLionu była nadal w Krakowie. Nie – gdyby Robert Tekieli się nie zmienił tak drastycznie.

– Drastycznie?

– Bardziej się obecnie interesuje Duchem Świętym niż literaturą. Więc gdyby to wszystko nie zaczęło się tak zmieniać raptownie – nadal byłbym z bruLionem związany.

– Która formuła bruLionu Panu odpowiadała?

– Żadna. Gdy zetknąłem się z piśmie, nie będąc jego autorem – wydawało mi się dość marginalnym zjawiskiem, bo publikowali tam ludzie, których znałem z innych pism podziemnych, obok nich publikowano teksty o kabarecie studenckim, drobne notki, które mnie średnio interesowały – niby w jakiś sposób niezależne – ale znajdujące się poza kręgiem moich zainteresowań. Później, kiedy pisałem dla tego pisma utożsamiałem się wyłącznie ze swoimi tekstami. Były tam rzeczy, które mi się podobały, ale żadna z linii bruLionu nie była moją linią. Na szczęście nie byłem tak naprawdę w redakcji żadnego pisma, nie decydowałem o żadnym piśmie. Kiedy publikowałem w bruLionie panowała tam dość przyjazna atmosfera i wytwarzały się ciekawe napięcia. Teraz czytam bruLion jako zupełnie obce pismo.

– A można w nim przeczytać teksty w których zestawia się Mao Tse Tung i Jana Pawła II...

– Mnie wszelkie zestawienia nie szokują. To typowe zachowanie dla bruLionu. To raczej zachowanie estetyczne...

– Socjolog Paweł Śpiewak pisał, że bruLion to „pastisz wymyślony przez jakiegoś dowcipnego osobnika po to, by pokazać jak nisko stoczyć się może polskie czasopiśmiennictwo”.

– On to powiedział i on to podpisał...

– I?

– Wydaje mi się, że bruLion ma pewną siłę, pewne znaczenie dla kultury. Nie muszę niczego bronić. Ale uważam, że było to w pewien sposób heroiczne i znaczące... Zresztą bruLion to nie tylko teksty prowokacyjne. To również mnóstwo tekstów, które uznano za poprawne – a które znajdują się w towarzystwie tekstów bulwersujących, zyskiwały jakieś inne, dodatkowe znaczenia. BruLion pełnił ważną rolę w okresie przełomu i nie zamierzam tego w żaden sposób podważać.

– Psioczą nie tylko socjologowie – Leszek Szaruga pisał „Infantylizm połączony z wtórnością jako program kulturalny? Dlaczego nie. Pewnie niedługo usłyszę, że żyjemy na kupie śmiecia. I to będzie kolejna

nowość. Zaś pismo nazwane będzie nie bruLion, lecz rolka. I drukowane będzie, by zadziwić i zaszokować publiczność, na papierze toaletowym. Dlaczego nie?”

– Tak, ale w tej chwili Leszek Szaruga zrobił straszną woltę i jest niesłychanie dla mnie uprzejmy... To po prostu musieli się przetrzeć. To wszystko objawy normalnego, lekkiego zdenerwowania starszych braci, którym się wydawało, że ich pozycja jest jakoś zagrożona. BruLion bulwersował głównie tych, którzy drżeli o własne stolki i dosyć nerwowo reagowali.

– Co twórcy bruLionu rozumieją z książek, których tytuły cytują. Marek Tabor przywołując tytuł eseju Leszka Kołakowskiego „Jeśli Boga nie ma” pisze – „spróbujcie mi odpowiedzieć na pytanie, w czym moja francuska przyjaciółka, młoda dziewczyna po sześciu skrobankach jest gorsza czy brzydsza od kobiety, która urodziła dziecko lub od tej, która wstąpiła do zakonu i zachowywała się tam cnotliwie, przestrzegając złożonych przez siebie ślubów”.

– To był dla człowieka, który się podpisywał tym pseudonimem, okres wstrętnego lewactwa. Dziś jest on najbardziej poprawnym i najzarliwszym pravicowcem, który tego rodzaju tekstów nie napisze. Chyba że kiedyś mu się odmieni. Przeskakiwanie z jednej skrajności w skrajność jest – jak widać – możliwe.

– Jak widzę stan, który ogarnął Tekielego jest zaraźliwy...

– Tak. Oni są odrodzeni. Wszystkie grzechy odkupili.

NIE JESTEM PROGRAMOWYM
INDYWIDUALISTĄ

– A Pan?

– Nie. Ja pozostaję na tym wstrętnym nihilistycznym poziomie na którym się znajdowałem zawsze.

– Co sądzić o pokoleniu i o piśmie, dla którego głównym czarnym tłem jest Adam Michnik? Nie każdy jak Helena Zaworska zdolny jest porównać go do Dostojewskiego...

– Zupełnie się zgadzam. Ale ja w tego rodzaju sporach nigdy nie uczestniczyłem. Były typowe dla bruLionu. Nigdy nie byłem im przeciwny, ale też się nimi nie interesowałem.

– Najlepszy – Pana zdaniem – debiut ostatnich lat...

– Musiałbym się zastanowić czy coś zrobiło na mnie tak mocne wrażenie. Chyba jednak nie. Nie ma czegoś takiego o czym mógłbym krzyczeć, że jest to znakomite. Mogę jedynie powiedzieć co mi się podoba. A to moja zupełnie prywatna sprawa.

– Grupa „Na Dziko”?

– Bardzo sympatyczni chłopcy. Piszą niezłe wiersze. Jednak na przykład książki Meleckiego nie robią na mnie takiego wrażenia jak pojedyncze wiersze. Właśnie pojedyncze wiersze wychwytyję i wydają mi się bardzo dobre, ale książki jako kulturowe wydarzenia – nie. Jeśli Melecki wyda około dwudziestu książek, to któraś z nich będzie znakomita. Bardzo świeże jest to, co się dzieje na Śląsku. Oni są strasznie ambitni. Mają dużą wyobraźnię. Bardzo zyczyliwie na nich patrzę.

– Wydał Pan ostatnio drugą część „Zimnych krajów”...

– Tak. Mówię o tym jak o oddzielnej książce, ponieważ w pewnym sensie różni się od swej pierwszej wersji. Na przykład wiersz „Dla Jana Polkowskiego” wydał mi się teraz obrzydliwy. Był pomyślany jako marginalny wierszyk, a nagle został uznany za rodzaj manifestu. Nie chciałem go umieszczać w pierwszej części, ale – o ile się nie mylę – Tekieli poprosił mnie, aby jednak był. W tym samym miejscu umieściłem teraz tekst „Nie dla Jana Polkowskiego”.

– Czy to miasto należy już do Pana?

– Nie. Napisałem właśnie niedawno, że to miasto nigdy nie będzie do mnie należeć – bo ja się właściwie tutaj nie nadaję.

– Dlaczego?

– Najczęściej gdy stwierdzam coś kategorycznie, po jakimś czasie mam duże wątpliwości i muszę to odwrócić. Niczego nie można być do końca pewnym.

– Dziękujemy za rozmowę.

★★★

Czuję się jak mysz
 Która zawiniła tym tylko
 Że żyje w sąsiedztwie
 Kotów
 Które starają się ją zjeść
 Tylko za to
 Że jest głupią naiwną
 Myszą
 Która kiedyś wierzyła
 Że ma siłę
 By zignorować granicę gatunku
 Wejść w środowisko
 Dla niej nie przeznaczone
 Dziś nie mogę się już wycofać

Mogę jedynie
 Oddać życie
 Albo stać się taką jak one

★★★

Mały ptak przycupnął
 Na żelaznej konstrukcji świata
 Potem usiadł na żelaznej konstrukcji
 Czyjegoś serca
 To straszne wykrzyknął
 Taki chłód
 Taki wiatr
 Gdzie ja jestem
 Zdawało mi się
 Że to człowiek

★★★

Posadź drzewo, drzewo,
 A za wiele lat
 W zmarszczkach kory
 Zmarszczki swoje zobaczysz.

Poznasz, że to druh najlepszy,
 Co mnożył czas,
 czekając na ciebie.

Posadź drzewo,
 co marnotrawnego
 Powita, ptaki i anioły
 Sprosi na ucztę.

Posadź drzewo, a sam
 Gościem; ptakiem
 Cieszył się będziesz,

Że ten drogę odnalazł,
 Kto pamięć potracił.



Balkany

*Niech brzęczą wam samoloty
każdej nocy
A bomby na głowy spadają
każdego dnia*

*Niech wreszcie wkroczą w to Piekło
jacyś żołnierze
I wszystkich winnych skażą
na śmierć natychmiast*

*Wystarczy nam waszej wojny
już w telewizji
Nie wiemy znów dokąd pojechać
na wczasy*

styczeń 1994 r.

Pióra

*Nie każdy Poeta
PISZE wiersze*

*Nie wszystkie wiersze
napisali Poeci*

*Poeta to strój
w domowym zaciszu*

*Wiersz jest nagim ciałem
w deszczu i na łące*

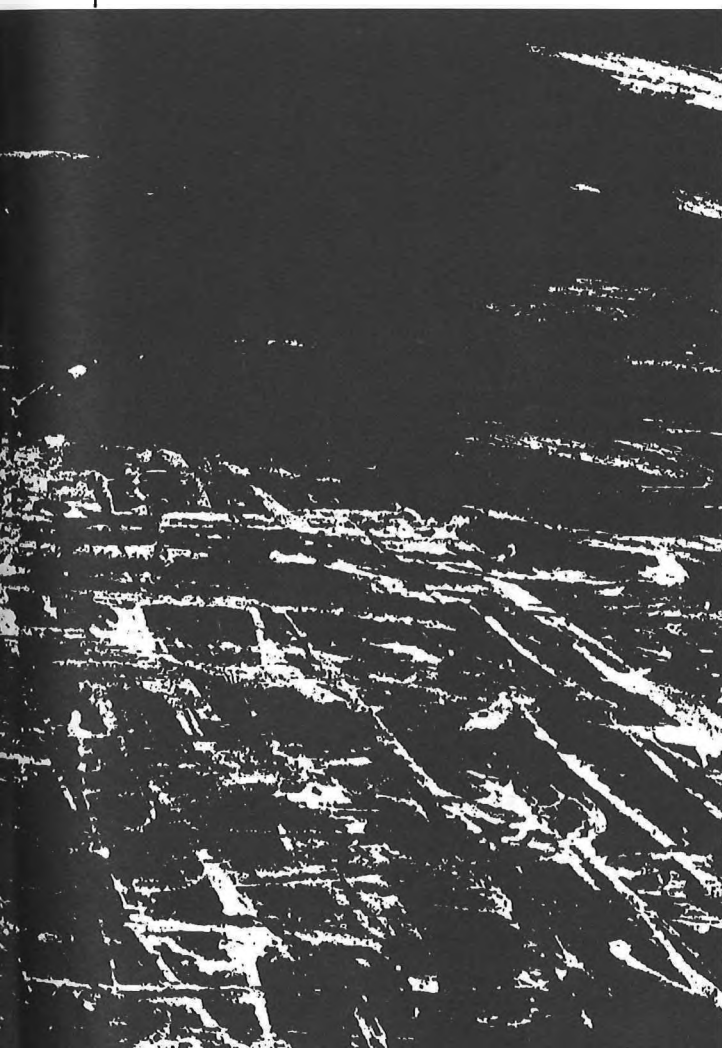
grudzień 1993 r.

Traktat o kobietach

*spięte kolana kobiet
pod kwiecistymi sukienkami
pachną dziczą
zamykaną starannie
w ryzach idei*

*kobiety w spodniach
gnane ambicją
zapominają o tym
jak soczyste są ich usta
jak można czytać skórę*
mężczyzn

*inne kobiety inne dziewczyny
na rogatkach ulic
mariackich uniwersyteckich
z placu pigal
nie spuszczają już oczu
przed nachalnymi łapami
spuszczają oczy rankiem
przed lustrem*



Dom stał przy ulicy Kopalnianej numer 1 w Bogucicach. Trudno o lepszy adres! Jak już los rzucił moją rodzinę na Górny Śląsk, to dobrze zrobił, wybierając Katowice (co prawda, wtedy nazywały się Stalinogrodem, ale nie przypominam sobie, byśmy przeprowadzali się do Stalinogrodu). Ten dom to był familok, czego nie wiedziałem. Przy tejże ulicy Kopalnianej była główna brama kopalni „Katowice”. Przez rok przekraczałem tę bramę i jeździłem windą sześćset metrów pod ziemię, na oddział III, gdzie mnie przyjął sztygar Sitek. Córka Sitka wyszła za mąż za Naleźnioka. Naleźniokowie mieszkali w familoku przy ulicy Kopalnianej 1. Gdy stanęła sprawa, że nim podejmę studia, muszę rok popracować, żeby coś odłożyć, poszedłem do sąsiada, Engelberta Naleźnioka, który nim zaczął jakakolwiek rozmowę, choćby z księdzem co przyszedł po kołędzie, sięgał po halbę. Po czym zawałił swoją żonę, Hildzie, żeby wstawiła się za mną u swojego ojca. Wspominałem Naleźnioków (oboje już nie żyją, choć byli starsi ode mnie najwyżej o dziesięć lat), bo to byli pierwsi Ślązacy, jakich w życiu poznałem. Mieszkaliśmy w tym samym domu. I okazało się, że taki dom nazywa się familok. W tym samym familoku mieszkali także Mateja z żoną i córką, rodzina Psiuków z dwoma synami-górnikami i prześliczną Psiukówną, która jeździła na łyżwach. Jak to nazwał

wał, rzecz zrozumiała, w kopalni „Katowice” od zawsze, a na świat przyszedł w tymże familoku przy ulicy Kopalnianej 1, w którym jego żona urodziła córkę, spłodzoną, o czym wiedział cały familok, za dnia, bo Mateja od pierwszego dnia w kopalni „Katowice” pracował na nocną zmianę, robił, jak to powiedział, w podsadce. Po co te śruby? — powtórzył moje pytanie Mateja i odpowiedział obrazowo, że te śruby na mocne wędzy zasupują cały dom, żeby się nie rozstał w czasie tąpnięcia. To było jeszcze jedno nowe słowo, z tych, jakie przyswoił sobie mieszkając w familoku. Tąpnięcie z półki, na której znalazło się kilka nowych śląskich słów, spadło pewnie, gdy poczułem pierwsze w moim śląskim życiu tąpnięcie. Coś w głębi ziemi zadrzało, przewalało się leniwie z boku na bok, na suficie rozkołysał się cień abażuru, na ścianie mocno przetrząsnął się obraz z Jezusem z odsłoniętym, gorejącym sercem. Osunęły się kawałki węgla w skrzynce, która zwała się kolkista. W takiej chwili żarty idą na bok. Ludzie z napiętą uwagą popatrzą sobie w oczy, czujnie wsłuchani w to podziemne drzenie, ręka nie pyta o pozwolenie kreśli znak krzyża. Ale familok się nie rozstępuje! Jest przysadzisty, silnie wbity w ziemię. Mur familoka przy ulicy Kopalnianej 1, jak mury wszystkich familoków na całym Górnym Śląsku był gruby, spięty tymi kłamrami jak wojskowym pasem na ostatnią dziurkę. Niesamowicie zawzięty dom.

gła jest szczerniała, za to ramy okienne białe jak opłatki komunijne. I kiedy wieczorem zapalał w familoku światło, białe ramy zajarzały się jak krzyże w ciemności. A wykusze okien i parapety są pomalowane na kolor czerwony, świeżo, jakby wczoraj, ale nie widziałem, by ktoś malował. Bo niby kto miałby malować? Naturalnie, że Mateja. Mateja jest malarzem i stolarzem (zbija klatki na króle, ale i szafkę na buty zbija na zamówienie), kładzie płytki i naprawia krany, a gdy trzeba wymienia rury. Ma urządzenie, które nazywa gwinciarą. Wkłada do niej koniec rury, coś tam zakręca, przykręca, a mocno aż pot mu na czoło występuje, i już rura ma gwint. Umie też naprawiać zegarki — ale tylko duże, ścienne. Mnie naprawił tłoczek w wiecznym piórze. Nie ma rzeczy, której Mateja nie umiałby zrobić. Zabija także króliki, ale zabić to jeszcze nie jeden potrafi, do obdzierania skóry trzeba jednak mieć w sobie specjalny gatunek samozaparcia. Mateja go ma. Zaraz wróć na podwórze i do okien, ale skoro zjawił się w tym miejscu Mateja, niech no jeszcze parę chwil zostanie. Powiedziałem, że był to człowiek, który zrewolucjonizował architekturę familoka. Z pokuszenia mojej mamy. Bo w familoku były ustępy, dwa, jeden na parterze, drugi między pierwszym a drugim piętrem, więc, rzecz można eksterytorialne, obciążone nie nad miarę, ale wspólne, przez co całkowicie pozbawione prywatności. Czyste, naturalnie,

BALLADA O FAMILOKU

FELIKS NETZ

Naleźniok: z figurami. Mijaliśmy się z małolatą w milczeniu. Bo co właściwie można sobie powiedzieć w tym wieku? W dodatku, kiedy pojawiła się w oknie, od razu stawał za nią któryś z dwóch braci. Żeby za długo się nie gapiła. To okno należało do jej matki. Mówiłem jej „dzień dobry”, kiedy z kubłem pełnym śmieci szedłem do murowanej przegrody, doczepionej do chlewika, która nazywała się hasiok. Wyćwiczylem pewien specjalny sposób wyrzucania śmieci do hasioka: było w nim tyleż ułańskiej fantazji, co odrazy dla niczemnego zajęcia. W każdym oknie familoka na pewno tkwiła jakaś żywa figura, i nie było mi obojętne, co sobie o mnie pomyśli. Idąc do hasioka czułem na plecach spojrzenia wielu par oczu, co pętało nogi, i trzeba było mieć sporo charakteru, żeby się nie potknąć, a nie daj Boże, wywalić mordą we własne śmieci wysypane z kubta. A co, gdyby w oknie była prześliczna Psiukówna?

I oto następował ten moment, gdy stawałem twarzą w twarz z całym familokiem. Widok na familok od strony hasioka był, rzecz można, panoramiczny. Z wierzchu była to budowla niemała: dwupiętrowa, więc nie jakaś Chatka-Puchatka, ale przysadzista, jakby trochę za mocno wbita w ziemię. W bocznych murach wyraźnie było widać żelazne śruby wkręcone między cegły, w fugi. Po co to — wyjaśnił mi Mateja, człowiek, który zrewolucjonizował architekturę familoka, na prośbę mojej mamy, o czym za chwilę. Mateja praco-

Tajemnica w ławie, na której familok stał. Wiele tam poszło kamieni, wiele worków cementu i dobrego, rzecznego piachu! Na takiej ławie familok może stać sto lat. A tam, sto. Dwieście. Ale naszemu familokowi nie dali doczekać setki.

Dobry widok rozpościera się na familok od strony hasioka. Nie trzeba się okłamywać: nie jest budowla piękna, jak trudno byłoby powiedzieć o przysadzistej kobiecie, że jest zgrabna. Ale jak przyjrzeć się temu domowi uważnie, da się w nim dostrzec przebliski piękna. Co mnie poraziło wtedy: szyby! Lśniące jak brzytwa! Jak niespotykamie czyste szyby! Wszystko dookoła jest czymś upaprane, przyprawione czymś czarnym, kleistym, co ma zapach węgla, sadzy i popiołu. Gdy powieje wiatr, gdy zakręci się w hasioku, wymiata z niego kubły popiołu, wiruje to w powietrzu, coś opada na ziemię, i na familok, coś z tego polykamy, ale coś zatrzymuje się w powietrzu, które jest gestsze niż gdzie indziej, nie wszystko przepuszcza przez siebie. A szyby lśnią jak brzytwa! Jak zobaczy Matejowa, że Psiukowa czyści szyby, już cap za szmatki i też czyści, czyli pucuje, choćby dopiero wczoraj wydołyła z nich błysk nigdy nie osiągną przez ordynansa czyszczącego do siódmych potów oficerską szablę. Cegła muru musiała być kiedyś czerwona, teraz — gdy chwilę ociągam się z powrotem do domu, po wyrzuceniu śmieci na hasiok, gdy krótko stoję patrząc niby we wszystkie okna, ale tak naprawdę w okna Psiuków — teraz ta ce-

jakżeby inaczej, ale trochę jak dworcowe, trochę koszarowe. Wspólne, czyli nicyje. Jak żony w komunizmie — zgodził się Mateja, gdy moja mama posiadała w nim ziarno szlachetnej idei wykrojona w naszej kuchni, i jego — pod nami, i Psiuków nad nami, niewielkiej przestrzeni na własny ustęp. Sprawa musiała przejść przez administrację kopalni. A to znaczyło, że trzeba było zdobyć zgodę jakiejś pani kierowniczką nazwiskiem Nielaba (Mateja mówił o niej Nielabina), co udało się przeprowadzić za uszczy jej — po cenie rażąco zaniżonej, przez moją mamę-krawcową, jesionki z samodziła. Dawne ustępy zostały przerobione na dodatkowe komórki, dodatkowe względem tych komórek, jakie były na podwórku w okolicy hasioka, w bezpośrednim sąsiedztwie chlewików. Mateja dokonał cudu: z każdej kuchni wykroił przestrzeń na ustęp i prysznic, albo, jak kto wołał, waniek do kąpeli na siedząco, którą nazywał zicbadem. Trwało to długo, bo Mateja pracował wyłącznie między szesnastą a dwudziestą. Spał bowiem od ósmej do piętnastej. Zawsze, od dorosłości do emerytury, na której od razu umarł. Nie umiał przestawić zegara biologicznego. Tłukł się przez całe noce, a w dzień i tak nie mógł zasnąć, z nerwów. Ale to już wiem z lat późniejszych, od córki Matejów, czyli Matejanki. Powiem tu tylko, że wybraliśmy prysznic, zicbad wydał się mamie po prostu fanaberią. A Psiukowie wybrali właśnie zicbad! Matejowie także. Wracam na podwórko. Jestem zno-

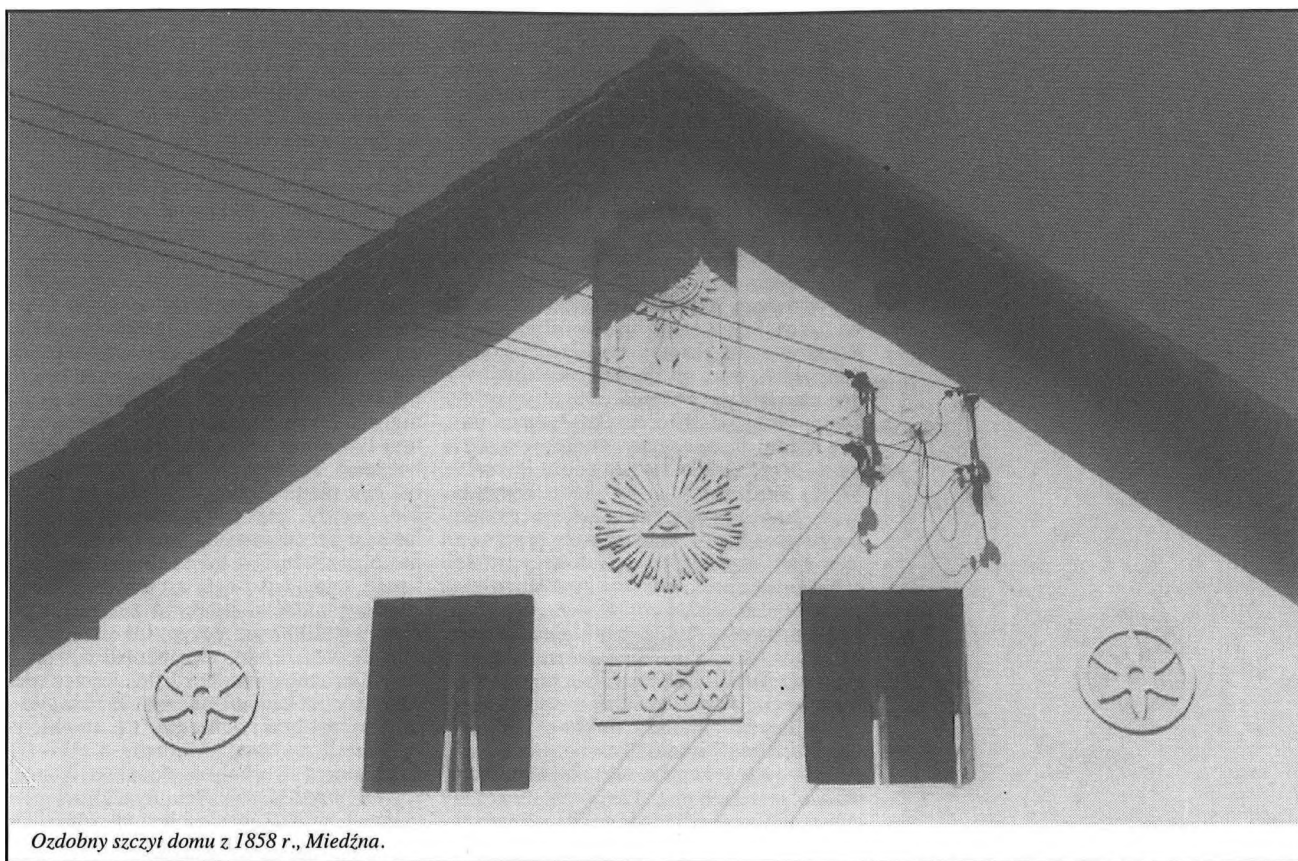
wu przy hasioku. Wyrzuciłem śmieci z kubła i powoli wracam do domu, czyli do familoka. I co widzę, zerkając w okna Psiuków, czy nie ma w którymś prześlicznej Psiukówny jeżdżącej na łyżwach z figurami? Widzę zielone liście prymulki kilkakrotnie w ciągu dnia przecierane wilgotną ściereczką, albo i tamponem z waty. Robi to Psiukowa-Matka i Matejowa, ale ten sam obyczaj kultywuje Hilda Należniokowa. Wycierają delikatnie, z czuciem, żeby nie urazić rośliny. Prymulka przemęta codziennie jak niemowlak coś tam najwyraźniej gaworzy, na co odpowiada Psiukowa, czy Matejowa — nie wiem. Ale widziałem i słyszałem jak Psiukowa przemawiała do prymulki, kiedy jej przecierała listki, niczym oczęta. A może powinienem powiedzieć: rozmawiała z, a nie: przemawiała do? Co widzę jeszcze? Widzę śnieżnobiałe firanki, które nazywają się gardiny, a są sztywne, niemal twarde jak blacha. Kiedy kobieca ręka przesuwają je w bok, aby kobiecie właściwej zrobić miejsce w oknie, gardyna przesuwają się majestatycznie jak kurtyna w teatrze. Takiej sztywności firana, czyli gardyna, nie osiąga w familoku. Niedaleko, na rogu ulicy Markiefki i Normy (idzie tu o normę wydobywania węgla, nie zaś o operę) jest specjalistyczny punkt usługowy pod nazwą Prężenie Firanek. Jest tam również magiel, ręczny, i trzeba niemałej siły, żeby obracać wielką korbą. Tam firanki osiągną niespotykaną gdzie indziej na ziemskim globie sztywność i twardość. Tam także poszwy, poszewki i prześcieradła uzyskują tę jedyną na świecie miarę jedwabistej delikatności i metalicznej spoistości. Kobieta, którą teraz widzę w oknie wie, jak się to robi. I robi to właśnie ona. Bo może się zdawać, że gdy tak wygląda przez okno, to się pospolicie leni. Jakże to fałszywy osąd! Prawda, że podłożyła sobie pod łokcie poduszeczkę, do tego właśnie służącą, poduszeczka leży na parapecie, nie da się oprzeć łokci o ceglany parapet, zważywszy, że na tych rękach przez kilka chwil spoczywać będzie ciężar ciała Psiukowej, Matejowej, czy młodszej od nich Należniokowej, córki sztygara Sitka. Przez kilka chwil, no, przez kwadrans, bo kwadrans został do przyścia z rannej szychty dwóch Psiuków-synów, jeżeli zastrzymać by oko na Psiukowej-Matce. Postawiła na płycie ziemniaki, w sam raz dojdą, zanim ci dwaj, co na nie zapracowali, zasiądą za stołem. Taka spokojna chwila wyczekiwania. Ale ucho łowi pykanie wody w garnku. Oko wypatrzy ślad po muszych nóżkach na szybie. Paznokcie zeskrobie mikroskopijną cząsteczkę węgla z cegły parapetu.

Spoglądam Psiukowej-Matce prosto w oczy. Dzień dobry, pani Psiukowa. Dzień dobry! Dlaczego tak głośno? Dla przetarcia gardła. Z nikim nie zamieniła dzisiaj słowa od rana. Tyle co z prymulką. Mieszkanie na jej głowie, sień, na zmianę z sąsiadami, żarówkę w sieni też trzeba codziennie umyć, wytrzeć na sucho. Można sprawdzić: nie ma na niej jednego czarnego punkcika. Iglę, gdyby wpadła w szparę pomiędzy deskami podłogi, byłoby widać bez schylania się, bez przyklekania, bez wytrzeszczania oczu. Tak tylko mówię, bo kto by tam z igłą latał po sieni. Rzecz w tym, że prócz takiej igły byłaby tam tylko najczystsza czystość. Psiukowa-Matka wykrzyknęła dzień dobry, dla przetarcia gardła, już się sposobi do porozmawiania z synami, gdy wejdą do mieszkania. Ciekawe, o czym z nimi rozmawia? Tego nie wiem. Bo chociaż tyle spraw

i rzeczy jest na wierzchu, chociaż moglibyśmy się rozpoznać nie tylko po śmieciach, ale i po kolorze popiołu, bo popiół z każdego paleniska jest zawsze inny, nie dużo, trochę, ale jest, to wcale nie jest tak, że życie cudze wywala się przed drzwiami drugich, na słomiankę. U Matejów jest, ma się rozumieć, cicho, bo Mateja śpi po nocnej szychcie. Ale nawet taki Należniok — maszynista w kopalnianym podziemnym pociągu, odbył kłótnię z żoną swoją, Hildzią, bez jej udziału — pozostała w mieszkaniu — zamknąwszy się w ustępie na półpiętrze (było to jeszcze przed innowacją kanalizacyjno-sanitarną Mateji) i tam się wykrzyczał, wyzłościł, a nawet posłużył się paroma w najwyższym stopniu nieprzychylnymi słowami. I przeszło mu. Był jakiś hałas, ale czyż można powiedzieć, że u Należnioków była awantura? Nic nie powiedziałem o Psiuku-Ojcu, a on wtedy, gdy wyrzucam śmieci do hasioka i patrzyłem na familok od strony hasioka właśnie, a także chlewików, żył i palił sobie fajkę nabitą tytoniem, który zwał się presówką, smród z tego duży, dlatego palił na półpiętrze. Co sień to nie mieszkanie, i trudno się gniewać o tę trochę fajczanego smrodu. Psiuk-Ojciec nie jest stary, w końcu Psiukowa jest małolatą, ale kopalnia rzuciła mu na płuć. Przeszedł na rentę. Ma czas dla króli. Tych tam w drucianych okienkach klatek zbitych przez Mateję. Ruchliwe głowy potężnych króli. Zapach ich sierści, trochę mdły, słodko-kwaśny. Psiuk-Ojciec otwiera chlewik, nabiera z worka trawy, podtyka kępkę pod pyszczki króli i cieszy się. Jedzą, mówi. Pytam, na co mu tyle tych króli? Żeby miał dla kogo rwać trawę, odpowiada Psiuk-Ojciec. Jakże rozumnie.

Wracam z pustym kubłem do domu, który jest familokiem, dobra nazwa, bo familia to przecieź rodzina. I człowiek w potrzebie idzie jak swój do swego. Pójdę do Należnioka, żeby mi zrobił dojsie do sztygara Sitka (Hildzia, chodź no tu! zawoła swoją żonę, z domu Sitek, kawaler na gwałt potrzebuje pomocy! Należniok lubi żartować), i przez Hildzię dotrę do sztygara Sitka i przez rok będę przechodził przez główną bramę kopalni „Katowice”, żeby zjechać windą sześćset metrów pod ziemię, i pojechać pociągiem prowadzonym może akurat przez maszynistę Należnioka, na oddział III, gdzieś pod stawami na Muchowcu, ze cztery kilometry od ulicy Kopalnianej. I kiedy pociąg ruszy, to w dwie, trzy minuty później minie nasz familok, stojący silnie, sześćset metrów nad nami. Ten pociąg pewnie nadal chodzi tą trasą, a może nie, nie wiem. Nie ma też familoka. Miejsce po nim wymieniono do czysta. Trochę chyba na tym rogu zawadzał. Stało się z nim, co się stało: dwupiętrowy, przysadzisty, zwarty w sobie jak krępy i mocny ciężarowiec, ogłuszony hukiem wystrzału, uniósł się metr nad ziemię i opadł, jakby nagle stracił czucie w nogach. Przez jakiś czas dawał się kurzem i pyłem. W końcu przestał oddychać. Króliki pozabijano i zjedzono.

Ale mnie już przy tym nie było. O wysadzeniu familoka i zabijaniu królików opowiedział mi młodszy brat Psiuk, spotkany przypadkiem w tramwaju. Okropnie chciałem go zapytać, a co z prześliczną Psiukówną, ale się nie odważyłem. Pamiętałem, jak jeden Psiuk albo drugi, pojawiał się za plecami siostry, gdy tylko sadowiła się w oknie. I to jak na złość wtedy, kiedy siedłem z kubłem pełnym śmieci do hasioka. ■



Ozdobny szczyt domu z 1858 r., Miedźna.

Znikający pejzaż czyli o urodzie śląskiej wsi

MARIA LIPOK-BIERWIACZONEK

Mieszkam w Tychach, w jednym z nowszych osiedli, na jedenastym piętrze tak zwanego bloku. Blok — ta niesympatyczna, źle kojarząca się nazwa, zawiądnęła tak dalece językiem polskim, że coraz trudniej znaleźć dla niej zamiennik, a przy tym wyraz równie pojemny informacyjnie. Cóż to jest blok? Budynek wielorodzinny, wielokondygnacyjny, zazwyczaj zrealizowany w którejś z nowych technologii budowlanych, najczęściej z wielkiej płyty. Poza tą suchą definicją kryje się jednak całe bogactwo znaczeń, zazwyczaj negatywnych, związanych ze społecznym doświadczeniem zamieszkiwania w bloku: szare tynki, krzywe chodniki i wydeptane trawniki przed wejściem, zniszczony domofon, brudne windy, pobazgrane ściany klatki schodowej, ciasne kuchnie i łazienki w mieszkaniach, anonimowi sąsiedzi, destruktywne huśtawki na podwórku. Blok to nie dom — dom zaczyna się dopiero za drzwiami mieszkania.

Blokowiska to połowa polskich zasobów mieszkaniowych. W blokowych realiach wyrasta kolejne pokolenie małych Polaków, ukształtowanych przez blokową estetykę — i długo tak jeszcze będzie. Pokolenie rodziców i dziadków marzyło o nowym mieszkaniu „z wygodami”, a więc na nowym osiedlu, w bloku, czekało na nie w długiej niejednokrotnie kolejce — w

latach gomułkowskich czy gierkowskich alternatywy jakby nie było. Dziś jest model alternatywny, różne firmy kuszą ofertami budowy domków jednorodzinnych w szybkich i tanich technologiach, ale taniość oferty ma bardzo względny charakter biorąc pod uwagę zasobność przeciętnej polskiej kieszeni, zwłaszcza w przypadku młodych małżeństw. Współcześni malcy w bliskiej przyszłości prawdopodobnie marzyć będą jednak odważniejsze — o domku, a nie o mieszkaniu w bloku.

Dziś jesteśmy społeczeństwem skażonym blokowiskowym doświadczeniem, o związanych z tym specyficznych fobiach i nostalgiami, jesteśmy też społeczeństwem o miejskim sposobie patrzenia, o zawężonym horyzoncie postrzegania zjawisk przestrzennych. I to ostatnie wydaje mi się szczególnie niepokojące.

Blokowiska zdominowały otaczający nas pejzaż. Poza blokami osiedli miejskich i poza zabytkowymi centrami starych miast, których przestrzeń świadomość społeczna szczęśliwie zaakceptowała jako wartościową, rozciąga się jeszcze jeden obszar — społecznie niedowartościowany.

Pejzaż z przeszłości

Forma betonowych pudeł z miejskich osiedli w stosownym pomniejszeniu przeniesiona została na wieś, w której pej-

zażu dominują dziś wzniesione w ostatnich dziesięcioleciach szaro tynkowane klocki o płaskich dachach. Taki był przez lata symbol aspiracji wsi do nowoczesności.

Tak wygląda również wieś śląska. Trzeba wykazać sporo dobrej woli — i posiadać wrażliwość estetyczną wolną od piętna estetyki blokowiskowej — aby w szaro-pudełkowatym pejzażu dostrzec perły: bryły starych domostw pod stromą czapą dachu, zarysy potężnych zagród śląskich *siodłoków*, z wielkim czworobokiem podwórza pośrodku, barokowe niemal zdobienia ściany szczytowej domu, drewnianą koronkę werandy czyli *lauby*. Te formy to charakter i część duszy śląskiej wsi. Te formy dziś giną w zastraszającym tempie — bo nie utrwaliły się w świadomości społecznej jako wartościowe, zabytkowe, zasługujące na ochronę, na pełne pietyzmu zabiegi konserwujące.

Stereotyp jest taki: zabytkowe budownictwo wiejskie to drewniane chaty i stoły kryte strzechą, dziś oglądane w skansenach. Skanseny na szczęście uratowały i przechowują skarby kultury i sztuki wiejskiej naszych przodków. Kto chce zobaczyć, jak mieszkał lud śląski przed stuleciem — niech wybierze się do Górnośląskiego Parku Etnograficznego w Chorzowie, Muzeum Wsi Opolskiej w Bierkowicach lub do Zagrody Wsi Pszczyńskiej

w Pszczynie; znajdzie tu zrębowe chaty, obory, wielkie spichlerze, pszczyńska osobliwość — monumentalne stodoły ośmioboczne, karcznię, kuźnię, młyn itd., itd.

Wielka akcja inwentaryzacji budownictwa drewnianego na Śląsku podjęta została na początku lat pięćdziesiątych — powojenne zmiany, gwałtowna industrializacja kraju i urbanizacja wsi uświadamiała etnografom, historykom sztuki, muzeologom skalę zagrożenia zabytkowych zasobów budownictwa drewnianego. Pracami inwentaryzacyjnymi na Śląsku kierował Mieczysław Gładysz, wybitny znawca kultury śląskiej, wówczas dyrektor bytomskiego muzeum, później profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik tamtejszej Katedry Etnografii Słowian (zmarły w 1984 roku). Celem tych prac było wytypowanie obiektów do przyszłego muzeum skansenowskiego, a ówczesne bogactwo budownictwa drewnianego w terenie pozwalało na wskazanie zabytków najciekawszych. Z roku na rok liczba ich jednak dramatycznie malała. W 1958 roku Gładysz pisał z niepokojem o tym procesie stwierdzając na przykład, że w 1953 roku na terenie ówczesnego powiatu pszczyńskiego wytypowano 141 obiektów drewnianego budownictwa chłopskiego do ewentualnego przeniesienia do skansenu, zaś w cztery lata później z tej liczby pozostało tylko 68 obiektów. Rok 1996 w tej dziedzinie to na wsi śląskiej stan zerowy — ale są skanseny.

Satysfakcja z uratowania obiektów drewnianych zachowanych w skansenach nie zmienia faktu, że na naszych oczach ginie niedocenione piękno dawnego chłopskiego budownictwa murowanego; piękno — ale i świadectwo wysokiej kultury technicznej miejscowych muratorów. Niepokoi to tym bardziej, że ta grupa zabytków, jakby mniej zauważana, nie została objęta gruntowną inwentaryzacją w czasie minionym, a obecnie brak na takie działania pieniędzy, bo szukać by ich trzeba w skąnym budżecie kultury.

Pod Okiem Opatrzności

Pruskie przepisy budowlane już w połowie XIX wieku ze względów przeciwpożarowych zakazywały stosowania drewna jako budulca. Toteż wcześniej zaczęto wznosić na śląskich wsiach okazałe, murowane chłopskie siedziby. Inwestorami najstarszych z nich byli zamożni gospodarze, na Śląsku zwani *siedlokami* lub *siodłokami*, a we wsiach pszczyńskich również *swojokami*. Z tego względu te właśnie najstarsze zachowane murowane domy chłopskie imponują do dziś rozmiarami, wielkością izb we wnętrzu, bogactwem zdobienia elewacji.

Ciekawe przykłady takiego budownictwa znaleźć można w niektórych wsiach ziemi pszczyńskiej, jak w Miedznej, Grzawie, Łące. Tamtejsze murowane domy z II połowy XIX wieku zachowały wykonane z cegły sklepienia izb — niemal jak w romańskich kościołach! Wznoszenie sklepień wymagało od budowniczych du-

żych umiejętności, zwłaszcza wobec dużej powierzchni izb. Przy pracy tej zatrudnionych było jednocześnie czterech *mulorzy* (murarzy), każdy z nich murował z jednego rogu izby, a kiedy na środku „spotykały się” ich części sklepienia — mistrz kończył robotę wstawiając ostatnie cegły zwornika. W niektórych starych domach w Miedznej zachowały się wzmocnienia opisanych konstrukcji stropu łukowatymi, murowanymi opaskami. Takie monumentalne wnętrza posiada na przykład pochodzący z 1858 roku dom Alojzego Sosny w Miedznej czy niewiele młodszy dom Kuczków opodal. Mury zewnętrzne tych budynków musiały być odpowiednio grube, aby wytrzymać ciężar sklepień. W izbie czy w sieni mogły być zatem formowane w murze wnęki na półki i wbudowane szafki.

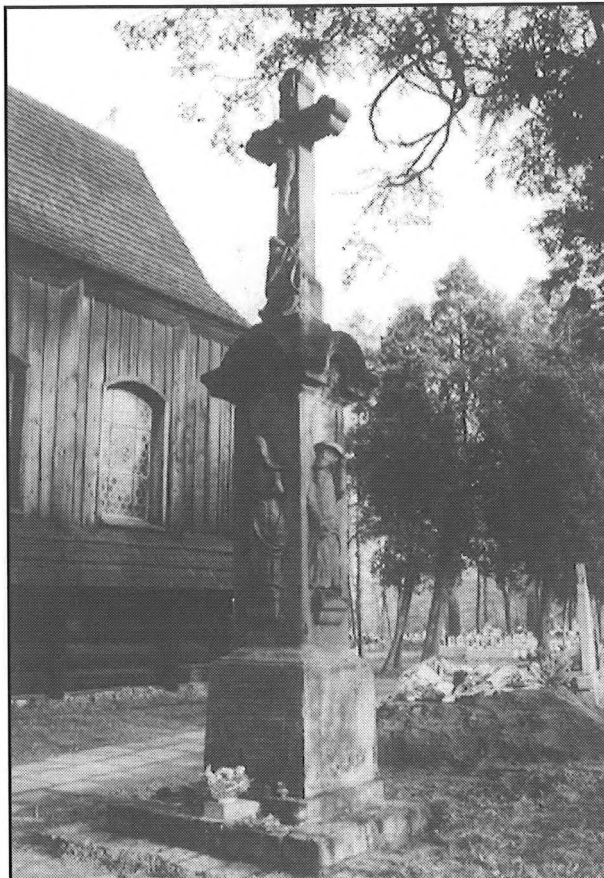
Nie tylko wnętrza tych domów posiadały specyficzny urok. Staranny był też ich wystrój zewnętrzny. Zachowane do dziś obiekty zwracają uwagę pięknymi proporcjami bryły, wnękowymi przedsiónkami z *wysiadkami* czyli kamiennymi ławeczkami, na których można przysiąść i pogwarzyć z sąsiadką, a także dekoracją elewacji. Ściany budynków zazwyczaj wieńczą gzymsy, gzymsy okalają okna, narożniki zdobione są przez pilastry. Ponieważ zaś większość budynków zwrócona jest szczytem do głównej wiejskiej drogi — najokazalsza dekoracja pokrywa ściany szczytowe. Stałym elementem kompozycji zdobniczej szczytu był trójkąt Oka Opatrzności w promienistej otoczce i umieszczona pod nim data budowy. Poniżej wyrabiano w tynku przeróżne gwiazdy, koła, półksiężycy, kielichy, węże, a nawet monstrancje — jak ta okazała na szczycie domu Alojzego Sosny z Miedznej. Zdobnictwo takie to

przenoszone na wieś wzory zaczerpnięte z fasad pałaców i kamienic miejskich, echa stylów historycznych: baroku, klasycyzmu, neogotyku. Pospolicie formowano też w elewacjach małe wnęki na figurkę świętego — patrona zamieszkującej dom rodziny.

Takim to właśnie zabytkowym budynkom grozi zupełne zniknięcie z krajobrazu śląskich wsi. Proces ich unicestwienia wynika z pędu do modernizacji, ale także z niewiedzy użytkowników, ich nieświadomości wartości estetycznych i zabytkowych domów. W czasie kolejnych remontów, tynkowań, znikają starodawne zdobiny. Mieszkańcy starych domów niejednokrotnie wstydy się ich, nie widzą w nich piękna, lecz tylko dowód zbyt małej dotąd zapobiegliwości w dążeniu do budowy nowego domu — toteż często tuż za rogiem starego powstają mury willi oznaczając, że dawna siedziba przeznaczona jest do rozbiórki. W społecznościach wiejskich z całą siłą pokutują ukształtowane w minionych dziesięcioleciach błędy w myśleniu: nowoczesność to nadal modne pudło pustakowego domu, a nie nowoczesna myśl o ochronie i wykorzystaniu zabytkowych obiektów, wyremontowanych, dostosowanych do współczesnych wymogów sanitarnych, ale z zachowaniem wszystkich wartości zabytkowych. Gminne samorządy i władze, zabiegając o wodociągi, gaz, chodniki, komunikację, nie dostrzegają problemu jałowięcego pejzażu wsi, znikających zabytków murowanego budownictwa chłopskiego. Domy te nie są wpisane do rejestru zabytków — a zatem od strony urzędowej, prawnej problem nie istnieje, zaś prywatny właściciel swój prywatny dom może wszak rozebrać. Urzędników odpowiedzialnych za budownictwo w gminach wiejskich bardziej cieszy kolejny obiekt budowany w nowym modnym stylu (spadziste dachy i daszki, łukowate wejścia, nierzadko wręcz arkady), niż martwi znikająca „starość”.

Chałpy z laubą

Nie tylko monumentalne murowane budownictwo wiejskie z II połowy XIX wieku zasługuje na zainteresowanie i ochronę. Ciekawe i urodziwe było też budownictwo z początku naszego wieku i z lat międzywojennych. Przed 1939 rokiem, mimo skromnych ówczesnych warunków życia, ruch budowlany w górnos Śląskich wsiach i miasteczkach był znaczny. Rozwijała się komunikacja pozwalająca dotrzeć do miejsc pracy, rozpowszechnił się prosty, a cudowny wynalazek — rower. Mimo kryzysów gospodarczych, bezrobocia — coraz więcej rodzin łączyło dochody z rolnictwa z pensjami synów i mężów robotników, górników, hutników, kolejarzy. *Do hut* — jak mówiono na wsi pszczyńskiej — szły też do pracy niezamężne dziewczęta z biedniejszych domów. Zarobiony, zaoszczędzony grosz przeznaczano często na budowę domu dla usamodzielniających się dzieci. W małych miasteczkach i na wsiach dążenie do wybudowania własnego, choćby skromnego domu było obowiąz-



Krzyż kamienny z początku XIX w. w sąsiedztwie kościoła drewnianego pw. św. Walentego w Bieruniu Starym.

Foto: Jerzy Bierwiazonek

jącym wzorem — nie było wszak jeszcze alternatywny blokowych osiedli.

Międzywojenny ruch budowlany dawał zatrudnienie znacznej rzeszy murarzy, choć bardziej budowali własnymi siłami. Różne to było budowanie. Zamożniejsi inwestorzy kupowali cegły w licznych wówczas cegielniach. Biedniejsi sami kopali glinę na własnym kawałku pola, bądź w dzierzawionych gliniarkach, sami tę glinę deptali, formowali cegły, budowali piece do wypału i wypalali. Bywało, że glinę kopali i wypalali cegły wynajęci przez inwestora bezrobotni, zarabiający w ten sposób na życie. Obok cegły, powszechnego budulca w tym czasie, w niektórych miejscowościach stosowano też kamień wapienny. Zastosowanie mieszanego budulca nadawało niektórym okolicom specyficzny koloryt: ceglano-wapienne wątki murów to na przykład barwa Cielmic i Świerczyńca, wsi położonych pomiędzy Tychami a Bojszowami, a także Dąbrówki Wielkiej, wsi pod Piekarami słynącej z zachowanego tam najdłużej ludowego stroju bytomskiego.

Ówczesne budownictwo robotnicze i wiejskie pod względem rozplanowania i wielkości wnętrza nie było wymyślne. Mieszkania składały się zazwyczaj z sieni, obszernej kuchni i jednej izby. Ubikacja znajdowała się na dworze. Sobotnie kąpiele w wielkiej balii odbywały się w rogu kuchni zastąpionym doraźnie kotarą z płótna. Skromna liczba pomieszczeń nie doskwierała rodzinom, o ile izby były duże. Całe życie rodziny koncentrowało się w kuchni. Wiecznie krzątająca się tu matka była stale w centrum życia rodzinnego. Brak odrębnych izb dla poszczególnych członków rodziny, koncentrowanie się wszystkich w jednym pomieszczeniu, nadawało rodzinom ściślej wspólnotowy charakter niż dziś.

Ten prosty styl życia, z sentymentem wspomniany przez jednych, innym kojarzy się jednak z biedą, niedostatkiem. Stąd też trudno niektórym dzisiejszych użytkowników tych starych domów przekonać co do ich wartości estetycznych i potrzeby zachowania tych wartości przy wszelkich pracach remontowych, zwłaszcza przy rozbudowach.

Indywidualne budownictwo międzywojenne w niektórych miejscowościach ma swój wyraźny lokalny styl i estetykę. Wspólne cechy międzywojennego budowania to przede wszystkim mistrzowskie wykorzystanie cegły jako budulca: staranna robota murarska, stosowanie klinkieru w warstwie licowej, zdobienie elewacji ceglanyymi gzymsami lub wątkami cegły barwnej, układanej niejednokrotnie w misternie wzory. W tym okresie również chętnie umieszczano w widocznym miejscu datę budowy domu, na przykład w szczycie facjaty nad frontową ścianą. Całości dopełniały strome dachy dwuspadowe, półkoliste zwieńczenia dwuskrzydłowych okien oraz — *last but not least* — weranda przed wejściem czyli *lauba*.

Lauby, niejednokrotnie mistrzowskie dzieła ciesielskie, to połowa uroku domów z tego czasu. I te bogatsze w formie, z

łukowatymi belkami konstrukcji, i te proste, z kratownicą ukośnych listew i zwykłym dwuspadowym daszkiem, miały tę samą funkcję: osłaniały wejście domu przed deszczem, chroniły przed palącymi promieniami słońca, ale również zachęcały do wypoczynku na ławeczce na czas popołudniowych pogwarek w niedzielne, letnie popołudnie, a zatem zapraszały do życia towarzyskiego.

Współczesne przebudowy zacierają zazwyczaj charakter opisanych domów. Główną *laubę*, piękne elewacje z cegieł różnobarwnych lub misternie układanych w gzymsy tynkuje się albo pokrywa nowymi okładzinami itp. Zdarzają się jednak jaskółki — oto w Bojszowach zdarzyło mi się rok temu usłyszeć i zobaczyć, że przy rozbudowie takiego właśnie przedwojennego domu o ceglanej elewacji architekt w dobudowanej części zaprojektował podobne ozdobne wątki cegieł, jakie posiadała część starsza. Upowszechnienie tego rodzaju działań pozwoliłoby na uratowanie charakterystycznego pejzażu i kolorytu śląskich małych miasteczek i wsi. Nie byłibyśmy skazani wyłącznie na przywożenie z wojaży do Niemiec, Danii czy Austrii zachwyty nad starannie zachowanym i wykorzystanym jako atrakcja turystyczna starym budownictwem wiejskim.

Miejsce dla *sacrum*

W układzie osadniczym niejednej śląskiej wsi znaleźć można wiele cech zabytkowych: zwartość zabudowy, szczytowy układ domów nadający fragmentom ulic charakterystyczny rytm, uliczki *zopłocia* z rzędami stołów pobudowanymi w pewnej odległości od domostw, ślady nawisła, na Śląsku zwanego *nowsiem*. Nawisie było wspólną, gminną przestrzenią zlokalizowaną pośrodku wsi, wykorzystywaną między innymi do wypasu gęsi. Przy nawisiu lokalizowano obiekty ważnych w

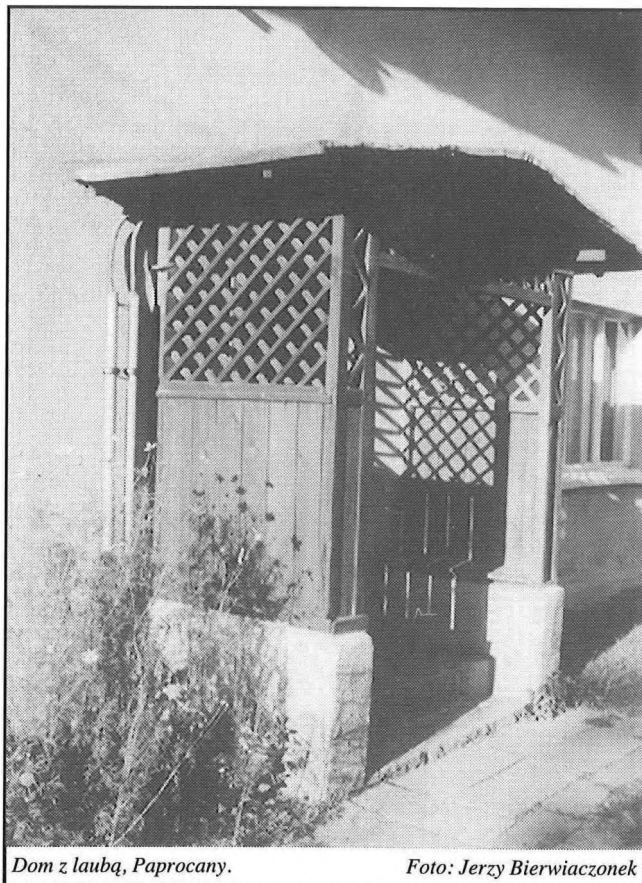
życiu społeczności instytucji: karczmę, ale przede wszystkim kościół. Zadbane, gospodarne raciborskie wsie do dziś zwracają uwagę lokalizacją kościoła na wydłużonym placu wewnątrz wsi, przy uliczkach okalających tę przestrzeń znajduje się też zazwyczaj kilka kapliczek. Przestrzeń wspólna zyskiwała w ten sposób sakralny charakter, podkreślający jej ważność. W Cielmicach, starej wsi dziś wznoszącej tyśką dzielnicę, pośrodku dawnego nawisła wznosi się kapliczka świętego Jana Nepomucena strzegąca źródła, którego wody słynęły niegdyś w okolicy jako lecznicze, zwłaszcza w chorobach oczu. Lokalizacja tej kapliczki i jej legenda — to również sakralizacja przestrzeni nawisła, ważnego, będącego w dyspozycji wspólnoty wiejskiej, obszaru centralnego wsi.

W śląskich wsiach charakterystyczne było również naznaczanie miejsca wjazdu i wyjazdu ze wsi poprzez lokalizację w tych punktach lokalnej drogi krzyży, zazwyczaj kamiennych, zwanych przez lud Bożymi Mękami. Tak oto symbolicznie zaznaczano granice przestrzeni zamkniętej, zasiedlonej, a więc ludzkiej. Boże Męki, podobnie jak kapliczki domkowe, stawiano też chętnie na skrzyżowaniach dróg, wzdłuż drogi do parafialnego kościoła, a także w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Pomnożeniu ulegała zatem symbolika miejsca świętego, najważniejszego w życiu społeczności lokalnej.

Stare kościoły na śląskich wsiach usytuowane są zawsze centralnie, zazwyczaj otacza je cmentarz. W ten sposób zmarli członkowie społeczności symbolicznie nadal zajmują ważne w niej miejsce. Świat żywych i świat zmarłych oswiają się ze sobą. Cmentarz jest oczywistą częścią przestrzeni *sacrum*.

Obiekty związane ze sferą *sacrum* — kościoły drewniane, z jakich słyną wsie pszczyńskie czy gliwickie, kapliczki, krzyże kamienne i figury świętych — ze względu na swój charakter, społeczne uznanie ich wartości bezpieczne są przed działaniami modernizującymi śląską wieś (oby tu, co drewniane, było też bezpieczne od ognia!). O ile jednak kościoły drewniane wpisane są do rejestru zabytków, a zatem chronione są z mocy prawa i wszelkie wykonywane w nich prace remontowe powinny być uzgadniane z konserwatorem wojewódzkim, o tyle gorsza jest sytuacja małych obiektów architektury sakralnej: kapliczek, figur świętych i krzyży. Zwłaszcza te dwie ostatnie kategorie obiektów w części tylko wpisane zostały do rejestru zabytków, brakuje ich pełnej dokumentacji. W tej sytuacji nie podlegają nadzorowi konserwatora, tymczasem podejmowane prace renowacyjne często bardziej szkodzą tym obiektom, niż im służą.

Wspomnianych zabytków jest na Górnym Śląsku mnóstwo. Traktowane przez przechodniów jako oczywisty element pejzażu, rzadko budzą ich żywsze zainteresowanie, choć na takie zasługują, chociażby z uwagi na walory artystyczne zdobiących je rzeźb. Poza spora



Dom z *laubą*, Paprocany.

Foto: Jerzy Bierwiaczonek

liczbą takich obiektów wykonanych według podobnego szablonu — są bowiem również takie, które zachwycają indywidualnymi rozwiązaniami, które ujawniają rękę mistrza. Najciekawszy zespół rzeźbionych krzyży kamiennych znajduje się na ziemi pszczyńskiej — od Miedznej i Łąki poprzez Międzyrzecze, Bojszowy, Bieruń po Tychy. Najstarsze z tych krzyży, pochodzące z przełomu XVIII i XIX wieku, w stylu artystycznym wykazują powinowactwo z barokiem. Cokoły ich są dość krepie, pokryte płaskorzeźbami bądź z trzech stron, bądź tylko z jednej. Z przodu cokołu umieszczony jest zazwyczaj wizerunek Matki Boskiej Bolesnej, po bokach postać Jana Ewangelisty i często — choć nie wyłącznie — rzeźba tajemniczej z wyglądu postaci męskiej w kapeluszu lub zawoju na głowie. Jest to przedstawienie setnika, zazwyczaj gestem uniesionej ręki wskazującego Chrystusa na krzyżu powyżej, poświadczającego tym jego boskość.

Wiele z opisanych zabytków „sypie się” — nawet nie w przenośni, ale dosłownie. Łuszczące się pokłady wielu warstw malatur, wietrzejąca powierzchnia piaskowca niszczonego przez chemiczne składniki farb i deszcz — taki stan wielu z tych cennych zabytków prosi się o natychmiastową akcję konserwatora. Zdarzają się też niepojęte działania wandalów, którzy zabawiają się rzucaniem kamieniami w głowy rzeźbionych na krzyżach postaci. Właścicielami i opiekunami większości krzyży są osoby prywatne. Tych nie stać na kosztowne prace konserwatorskie. Konserwator wojewódzki też takich pieniędzy nie ma, ponadto nie ma obowiązku włączać się w ochronę obiektów nie rejestrowanych. Wszystko zależy od pomysłu gmin na rozwiązanie problemu — o ile problem dostrzegą — i od ewentualnej ofiarności parafian, którym leży na sercu stan sakralnej pamiątki. Sumpcem parafii św. Marii Magdaleny w Tychach fachowo zakonserwowano na przykład krzyż wykonany z 1858 roku, stojący zresztą na gruncie gminnym. Jak spowodować, by ten przykład dobrej woli upowszechnił się?

W obronie dawnego pejzażu

Pełna jestem obaw i złych myśli co do przyszłości krajobrazu śląskiej wsi — ale nie tylko o wieś wszak chodzi. Chodzi o charakter krajobrazu regionu, o zachowanie jego cech charakterystycznych, różniących go od regionów sąsiednich, zachowanie śladów myślenia przodków o otaczającej ich przestrzeni. O rozpoznawalnym charakterze i barwie pejzażu śląskiego stanowiły do niedawna nie tylko hałdy i wieże kopalń, *familoki* o malowanych na zielono ramach okien, ale również wygląd śląskiej wsi i małych miasteczek. Nie wystarczy ochronić parę wielkomiejskich kwartałów i Nikiszowiec — tereny wiejskie oddając niekontrolowanemu żywiołowi i modernizacji. Możemy bowiem niedługo odnaleźć się w pudełkowato-betonowo-szarej krainie, z jedynymi przerwami w postaci nowych eklektycznych pałaców otoczonych arkadami, jakie dziś buduje się na wsiach śląskich.

A wtedy może lepiej nie wychodzić na spacer czy wycieczkę poza obręb oswojonego już wielkomięjskiego blokowiska — bo i po cóż? Na czym „oprzeć oko” w bezlitośnie zmodernizowanym pejzażu śląskiej wsi?

SPEŁNIONA MISJA

Urodzony w 1921 roku w Łodzi, świętował Karl Dedecius 75. rocznicę urodzin w rodzinnym mieście. Uroczystości trwały dwa dni i były przygotowane z rozmachem pod patronatem prezydenta miasta Marka Czekalskiego. Ciąg imprez i wizyt złożyły się na bogaty, intensywny program, który miał także ważne dla Jubilata wątki sentymentalne, jak wędrówka „szlakiem wspomnień” łódzkiego dzieciństwa i młodości, czy spotkanie z kolegami z Liceum im. Stefana Zeromskiego, gdzie w czerwcu 1939 r. Dedecius zdobył maturę... Nie przeczuwając, że za kilka miesięcy zwali się dotychczasowy świat a z nim humanistyczne ideały, w których wzrastał, wychowany w duchu tolerancji i szacunku dla wartości ogólnoludzkich.

Wywodzący się ze spolonizowanej rodziny niemieckiej („Byłbym niewątpliwie Polakiem, gdyby nie tamta wojna” — wyznał kiedyś w wywiadzie) Karl Dedecius zostaje wcielony do armii niemieckiej. Po powrocie z radzieckiej niewoli osiada w Niemczech. Do prób poetyckich w języku polskim już nie ma powrotu. W ogóle przez dłuższy czas nie podtrzymuje zainteresowań literackich zajęty stworzeniem egzystencji życiowej od podstaw. Nie minie jednak wiele lat i w roku 1959 ukazuje się w Monachium pierwsza książka — antologia wierszy 37 poetów polskich „Lektion der Stille”, poprzedzona prezentacją wierszy ośmiu poetów polskich poległych w latach II wojny światowej (arkusz „Leuchtende Gräber — „Świejące groby”).

Odtąd Karl Dedecius staje się człowiekiem o stale wzrastających zasługach dla znajomości literatury polskiej w Niemczech. Jego misja wykracza jednak poza systematyczną pracę tłumacza. Dedecius działa także coraz skuteczniej na rzecz polsko-niemieckiego pojednania, przekonany, że szczególnie po tak tragicznych doświadczeniach należy sięgać do tych okresów przeszłości polsko-niemieckiej, które świadczyły o dobrym zrozumieniu i współpracy „a nawet solidarności i pomocy, jak chociażby po powstaniu listopadowym, kiedy Polacy wędrujący przez ziemie niemieckie witani byli jak bohaterowie”.

Dla literatury polskiej nikt nie uczynił więcej. Wielkie dzieło Karla Dedeciusa to nie tylko ogromny dorobek translatorski, obejmujący najważniejsze nazwiska — w poezji od Reja po poetów urodzonych po wojnie. To także utworzenie w 1980 roku od podstaw, własnym trudem i niespożytą zapobiegliwością Instytutu Polsko-Niemieckiego w Darmstadt, gdzie realizuje dzieło swego życia: 100 tomową edycję Biblioteki Polskiej. To wielkie, pomnikowe przedsięwzięcie wymagało przygotowania nie tylko imponującego programu wydawniczego, ale także stworzenia od podstaw zespołu

edytorów i tłumaczy, których skupił wokół siebie.

Miałem okazję gościć w zabytkowej willi „Olbrich” w Darmstadt w 1984 roku na zaproszenie Karla Dedeciusa razem z Tadeuszem Nowakiem, Ireneuszem Iredeńskim i Marianem Grześczakiem. Był to czas ograniczonych kontaktów i rzadkich wzajemnych wizyt. W tym mrocznym czasie politycznych i duchowym następstw stanu wojennego Dedecius demonstrował trzeźwą wiarę w nastanie lepszych lat także w stosunkach polsko-niemieckich, akcentując zawsze wagę pozytywnych faktów dokonanych i działających „porozumienia poprzez zrozumienie”.

W Polsce Karl Dedecius od wielu lat jest człowiekiem wielkiego autorytetu i uznanych zasług. Laureat nagrody polskiego Pen Clubu, doktor honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Łódzkiego (14

maja 1987), następnie Uniwersytetu Łódzkiego — z rodzinnym miastem utrzymuje bliskie kontakty, zaś uroczyste obchody 75. rocznicy urodzin nadały tym związkom nowe przesłania.

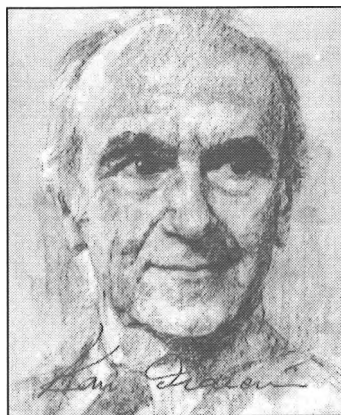
Na zakończenie dwudniowych uroczystości (20 i 21 czerwca) odbyła się „Noc Poetów z Karlem Dedeciusem”. Ogród Pałacu Poznańskich (Muzeum Miasta Łodzi). Iluminowany fronton i efektowne sekwencje muzyczne. Na rozległym taras wkracza oczekiwany Jubilat, któ-

ry — burząc scenariusz — kieruje się z ręką w rękę w stronę Wiesławy Szymborskiej. Za chwilę rześiste brawa przejdą w rześisty deszcz i impreza zostaje przeniesiona do sali zwierciadlanej, gdzie zostanie rozstrzygnięty Turniej Jednego Wiersza „O laur Karla Dedeciusa”. Wpłynęło ponad 240 tekstów. Główną nagrodę zdobył Maciej Niemiec z Paryża (niemsty nieobecny) za wiersz „Motywy z Hemingwaya”.

Jest wielu gości z całej Polski. Karl Dedecius uśmiechnięty, rozmowny, dla każdego znajduje czas, choć dawno minęła północ a o świcie czeka go droga do Warszawy i odlot do Frankfurtu. Znów jest wywoływany. Deszcz ustal i w ogrodzie wznowiono koncert poezji śpiewanej.

Łódź. Przed wielu laty Dedecius wyznał, że jego życiowe „Pryncypia uformowała łódzka młodość”. I nigdy ich nie zmienił, nawet w najcięższych czasach: „Tolerancja, wzajemny szacunek i współzycie ludzi różnych języków, wiary, przekonania, to moje niezmiennie zasady”... Nazwa Łodzi odbiła się także w obrazie przewoźnika, który krąży pomiędzy brzegami dwu wrogich narodów — bo tak rozumiał swoją misję tłumacza i człowieka pojednania w latach nie tak przecież odległej polsko-niemieckiej wrogości. Karl Dedecius podjął się tej misji w imieniu dwu kultur, które nosił w sobie od czasów łódzkiego dzieciństwa i młodości. Ten czas w te dni ożył.

TADEUSZ KIJONKA



Karl Dedecius

— *Witom cię, Florianie!*. ...Bolesław Lubosz czekał na nas na parterze, bo schody, powiada, są wredne. „*Witej, Bolku!*”, odpowiedział profesor Florian Śmieja i wyciskał przyjaciela z dubeltówki. A potem wsiadliśmy do auta i pojechali razem do Tarnowskich Gór, których profesor nie oglądał od pięćdziesięciu lat.

Już od dawna wybierali się w tę stronę — Lubosz, tarnogórzanin z urodzenia i kanadyjski profesor rodem z Kończyc, który dwa przedwojenne lata spędził w Tarnowskich Górach. A że zmawiałem się i ja z profesorem na małą wódeczkę, uradziliśmy, że najlepiej będzie zapukać we trójkę do „Sedlaczka”, przeszedłszy się przedtem przez miasto wczesnej młodości.

— *O, to tutaj, Florianie, widzisz te dwa okna?* — Lubosz pokazuje kamienicę numer 10 przy ulicy Sienkiewicza. — *Tu się urodziłem, na trzecim piętrze. I tu mieszkalem aż do 1958 roku, kiedy przeniosłem się do Bielska.*

Tutaj też zaczyna marszrutę nasz przewodnik, by wydobyć spod powiek najdawniejsze wspomnienia, jak się okaże — także wspólne, choć wtedy, przed rokiem 1939 nigdy się nie spotkali. Florian Śmieja w przedwojennych Tarnowskich Górach zdążył zaliczyć dwie pierwsze klasy Gimnazjum im. Księcia Jana Opolskiego, w roku 1940 został wywieziony na roboty do Niemiec i maturę — rocznik 1947 — zdał już w Szkocji; dwa lata później, w tymże tarnogórskim gimnazjum, do po wojennej matury pod przedwojennymi profesorami zasiadzie Bolesław Lubosz.

A więc staniemy przed domem Bronisława Hagera, na przeciw dzisiejszego Urzędu Miasta, a tam przypomni profesor, że młody Hager chodził do gimnazjum w tym samym czasie, co i on. Zajrzmy na obecną ulicę Kościuszki, gdzie stał XI Pułk Piechoty i kolumnienki przed wejściem pamiętają czasy, kiedy dochodził stąd gwar oficerskiego kasyna (Lubosz: *Pułkownik Gordon dowodził, zginął w trzydziestym dziewiątym*). Paręset metrów dalej, pod przedwojennymi koszarami III Pułku Ułanów Dzieci Warszawy, Śmieja ożywi się: *O, syn dowódcy, pułkownika Chmielewskiego był moim kolegą szkolnym, no i rywalem... Pamiętam jak wojsko wracało z manewrów, defilady, stukot taczanek... A przed Technikum Chemicznym, gdzie przed wojną mieściła się gimnazjalna ćwiczeniówka, do której uczęszczał, powie: — W tym miejscu nastąpiła zmiana pisowni mojego nazwiska z długiego „j” na krótkie „i”...”. Powoli, prowadzony przez przyjaciela, profesor otrzępuje z kurzu młodsze wspomnienia.*

— *A nasz pan Śmieja, szef komisji wyborczej w Tarnowskich Górach, to krewny pana profesora?* — pyta burmistrz Piotr Hanysek, który podjął nas na tarnogórskim ratuszu.

— *Nie, nie sądzę, choć rodzina moja jest rozległa* — odpowiada Florian Śmieja. — *Ja pochodzę z Kończyc,*

przedwojennej wioski granicznej. Ojciec dzierżawił cegielnię parową. Któregoś roku, chyba w trzydziestym piątym, przeczytałem w „Gościu Niedzielnym” artykuł na całą stronę o konwiktie biskupim w Tarnowskich Górach i o prowadzącym bursę księdzu Emilu Skudrzyku. Napisałem list do księdza, ja, synek z Kończyc, że chcę do gimnazjum. Żeby dodać sobie powagi, na list przyłożyłem pieczętkę: „Cegielnia Parowa. Piotr Śmieja”. Odpowiedź nadeszła, a jakże. Ze jestem za młody, najpierw trzeba skończyć szóstą klasę. Więc do szóstej klasy chodziłem już do ćwiczeniówki. Tam uczył Franciszek Miodek: czy to nie ojciec profesora?

— *Mieliśmy wspólnych nauczycieli* — przypomina Bolesław Lubosz. — *Mnie też uczył łaciny profesor Rój. Był profesor Huzar...*

— *Tak, ten to gwarę rugował, choć moja gwara była trochę inna, po rodzicach z Opolszczyzny... Mnie w ogóle dość wczesnie wdrożono w humanistykę, pod tym względem to było świetne gimnazjum. Jeszcze w ćwiczeniówce napisałem pracę o wakacyjnych wspomnieniach, która wylądowała na ścianie, w szkolnej gazetce. A, i powieść pisałem — śmieje się — o Indianinie, nazywała się „Długa włócznia”. Bieda była w tym naszym konwiktie, pamiętam, klasztorne panie nas dożywiały. Ale były i wycieczki — do Gdyni, Pińska, Lidy,*

no i do Wilna, gdzie oprowadzał nas nie kto inny jak Anna Bożkówna, z którą mam zdjęcie pod Ostrą Bramą.

Wojna przerwała edukację Śmieja na drugiej klasie. Z Meklemburgii przedostał się w 1944 roku przez Belgię do Anglii, gdzie wstąpił do I Korpusu. — *Dopolszczyliśmy się w tych obozach wojskowych i DIPsach, my, młodziki, którzy mieliśmy 14 lat, kiedy wojna wybuchła... Po ukończeniu polskiego liceum w Szkocji, studiował anglistykę i iberystkę na uniwersytecie w Cork, w Irlandii. W 1950 roku został asystentem w School of Slavonic and East European Studies w Londynie. Pisał pierwsze szkice krytyczne i wiersze, ale Jerzy Pietrkiewicz zawsze mu powtarzał: — Ty się trzymaj jednej specjalności. Poezji nie zaniedbując, trzymał się więc języka i literatury hiszpańskiej. Może to wpływ łaciny, zaszczepionej przez tarnogórskiego profesora Roja i starszych kolegów z konwiktów... Od 1953 roku jest Śmieja wykładowcą w prestiżowej London School of Economics, dziesięć lat później przenosi się na uniwersytet w Nottingham. Profesorem literatury hiszpańskiej został w 1969 na uniwersytecie w London, w kanadyjskim Ontario.*

— *Od pięciu lat jestem na emeryturze. Odtąd każdy letni semestr spędzam na wrocławskiej iberystyce. Rozpocząłem też w tym roku konwersatorium na Uniwersytecie Opolskim. Kto wie, może Wrocław zamienię na Opole, zawsze to bliżej rodzinnych stron...*

Przypominamy przyjaciół z grupy poetyckiej Kontynenty, pisarzy, poetów, postacie powojennej emigracji. Czy to nie w Amsterdamie ambasadoruje dziś Jerzy Sito? Nikodem Sulik, przedwojenny generał i piękny pan, to ojciec przyjaciela, Bolesława Sulika, który trafił do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Bolesław Taboriski, tak jak profesor, od lat dzieli czas między emigrację a Polskę, jakby za swoje wzięwszy przesłanie jednego z wierszy Śmieji: *Poeta nie wraca, swych sił nie roztrwoił: siejąc w języku, pozostał w ojczyźnie... Adam Czerniawski, który przed Śmieją redagował londyński miesięcznik „Kontynenty — Nowy Merkuriusz”. Bohdan Czaykowski i generał Marian Kukiel, który uczył przyszłego profesora historii, no i Jan Darowski, poeta i tłumacz pochodzący z naszego Brzezia, któremu „do Polski tęskno ale pewnie nie przyjedzie, bo ma coś z kręgosłupem”.*

Alfabet wspomnień układa się z momentów szczęśliwych i gorzkich, postaci żyjących i tych, co już odeszli, bo przecież, mówi profesor, *kto z nas ni mo tych szkieletów w szranku?*

— *Kiedy jako grupa Kontynenty zaprosiliśmy do Instytutu Sikorskiego Czesława Miłosza, Zygmunt Nowakowski napisał w „Dzienniku Polskim”: „Tę sałę po Miłoszu należy wykadzić”. Za to niezmiennie piękną postacią pozostanie dla mnie biskup Gawlina, duszpasterz emigracji. Kiedy przedstawiłem mu się na pierwszym spotkaniu, popatrzył badawczo i zapytał: „A po śląsku rządzą?”.*

Obrazki tarnogórskie

MAREK BASTER



Foto: Jarosław A. Krawczyk

POCZET TUZÓW ŚLĄSKICH

Rysuje Eugeniusz Rzeżucha

Bolesław Lubosz prowadzi na ulicę Powstańców. Tu był ów konwikt, w którym gimnazjalista Śmieja przepędził dwa przedwojenne lata. Dziś budynek zajmuje kościół Matki Boskiej Królowej Polski, najdziwniejsza chyba świątynia na Śląsku, składająca się właściwie z dwóch przestronnych kaplic przedzielonych klatką korytarza. Profesor mieszkał na pierwszym piętrze; tam, gdzie teraz budowa nowego gmachu kościoła, przed wojną były ogródki, przez które latali aż w stronę więzienia. Na drugim piętrze, zwanym w uczniowskiej gwarze „studnią”, pracowali wieczorami. Tam też była kaplica, gdzie posługiwał do mszy ministrant Śmieja. Ksiądz prefekt urzędował piętro niżej — profesor rozgląda się w mroku korytarza — i tutaj też musiały być gdzieś sypialnie młodszych i starszych roczników.

— *Ten konwikt otwarto bodaj w 1936* — opowiada Lubosz. — *To wszystko aż do roku 1950 wyglądało tak, jak tyś to widział. Pozostał tu ksiądz Cogiel i on był przez powojenne lata aktorem tego. A potem wyrzucili religię z gimnazjum. Ksiądz Cogiel żyje do dziś, ma mały domek w Kaletach...*

Liceum im. Stanisława Staszica, przed wojną i jeszcze w latach czterdziestych — imienia Księcia Jana Opolskiego. Lubosz znowu się denerwuje, tak jak u burmistrza: *Zmienili nazwę w latach pięćdziesiątych, rozumiem, ale może najwyższy czas powrócić do starego patrona? Przecież liceów w Polsce Staszic ma ze sto, a Jan Opolski ani jednego! Czy to się trzeba wstydzic, że był taki Jan II zwany Dobrym, wielki Polak, który nigdy nie nauczył się niemieckiego i na swoim dworze nie pozwalał mówić w tym języku? Który kazał drukować „Ordunek górny”, pierwsze górnicze prawo po polsku?*

— *Ale choć to już Staszic, spójrz, drzwi od frontu zamknięte, jak przed wojną za księcia Jana* — zauważa profesor.

Nazwiska wspólnych, choć ich szkolny czas przedziela wojna, profesorów: Merklinger, ks. Piasecki zwany ciepło Kufoniem, Broniec... Przedzierając się przez fałd młodzieży, stajemy naprzeciw pracowni matematycznej. Profesor rozgląda się:

— *Tu chyba była moja klasa.*

— *A tu moja* — pokazuje Lubosz. — *Nas było tylko dziewięcioro humanistów.*

Sympatyczny dyrektor tłumaczy, że archiwum szkolne częściowo zniszczone, ale — szukamy w starych dziennikach. Rocznik 1938/39... Jest! Śmieja. Hubert?... Nie, to musi być inna klasa... Czytamy nazwiska. Chmielewski: to syn pułkownika III Pułku Ułanów, kolega z klasy. Łukaszek. Musiolik. Sucharek. Śmieja. Florian.

— *Glanc..., to był syn bezrobotnego* — pamięć nad arkuszem ocen działa lepiej. — *Wspaniałe mapy rysował. Pałczyński, chyba mieszka w Gliwicach. Ochman pochodził z Miasteczka... Panie Marku — to do mnie — jest Józef Larysz z pańskich Żor, i Alfons Larysz, obaj w mojej klasie...*

U „Sedlaczka” oglądamy wyniesione od Staszica — Księcia Jana odbliski gimnazjalnych dokumentów (znalazł się i protokół komisji maturalnej z roku 1949: Bolesław Lubosz, z religii zwolniony, wynik ogólny: bardzo dobry). Od dyrekcji otrzymaliśmy też obietnicę, że gdyby co, to sztandar z wyhaftowanym dawnym patronem jest w całkiem dobrym stanie... Profesor Śmieja wpada na trop coraz nowych szczegółów sprzed pół wieku. Bolesław Lubosz sekunduje i dopowiada późniejsze losy budynków, ulic, ludzi. Już o nic nie pytam, niczego nie notuję. Siedzę i słucham, jak po kilkudziesięciu latach i tysiącach kilometrów śląskie losy zesły się znów na tarnogórskim rynku. ■



KAZIMIERZ KUTZ - WIELKI
(W STROJU LUDOWYM ZNAD BRYNICY)

Gliwicka oficyna „Wokół nas”, która podjęła się wydania słynnej tetralogii Horsta Bienka, zdołała dotąd opublikować tylko dwa tomy: „Pierwszą polkę” i „Wrześniowe światło”. Następnym — „Czas bez dzwonów” oraz „Ziemia i ogień” — jakoś nie możemy się doczekać.

Zainteresowanie twórczością niemieckiego gliwiczana nie wynika tylko z wartości literackich tych dzieł. One wypełniają lukę w naszym widzeniu historii Górnego Śląska. Wyzbyte podniet nacjonalistycznych, zastąpionych optyką sentymentalno-mitologizującą, jawią nam się jako wyraziste freski, które najstarsze pokolenie Ślązaków ciągle jeszcze nosi pod powiekami. Ich drobiazgowo, skrzętnie i zręcznie przemykana faktografia i topografia sprawiają, że chcemy traktować prozę Bienka jako obiektywny zapis czasu wojennych przesilen, pełnych dramatyzmu i okrucieństwa, mówiący nam więcej także o polsko-niemieckich stosunkach na międzywojennym Górnym Śląsku, niż niejedno opracowanie historyczno-naukowe. Obiektywny? Tak, mimo że jest to przecież proza par excellence autobiograficzna. Taki jest jednak wymiar literatury wysokich lotów, a właśnie taką, moim zdaniem, pozostawił po sobie Bienek.

Co najciekawsze, polskiemu czytelnikowi jakoś nie przeszkadza niemiecka perspektywa dziejowa, wpisana w te powieści. Ba, ona nawet sprawia, że „prostuje się” nasze widzenie śląskiej rzeczywistości. Oto bowiem, jak w modelowych sytuacjach konfliktów i rywalizacji, poznajemy argumenty „drugiej strony”, których — jak nas długo uczono — mieliśmy nie dostrzegać, w ogóle nie brać pod uwagę.

Wiarygodność obrazu tak nakreślonego staje się tym pełniejsza, gdyż mowa jest o świecie, którego już nie ma i nie będzie, a który przecież istniał i zaludniony był — teraz to widzimy nieledwie ze zdziwieniem — pełnokrwistymi ludźmi, w jakimś sensie „takimi jak my”, małymi i dużymi, szlachetnymi i podłymi, dobrymi i złymi, a także wreszcie, bo tych jest zawsze najwięcej — szarakami, pchającymi swój los jakby obok tej wielkiej historii, przez duże „H”, która niespodziewanie wtargnęła w ich życie, już na zawsze je piętnując.

Bienek jednak nie wypełnia całej naszej tęsknoty do ogarnięcia tamtej rzeczywistości, tak łatwo poddającej się publicystycznym penetracjom, a tak trudnej do artystycznego zobrazowania. Cóż tu kryć, polska literatura rzadko w te rejony docierała, a jeśli już — to jakże niewielka jej część oparła się próbie czasu. Stąd tym większa potrzeba wypełnienia tej literackiej dziury.

Tymczasem dorobek literacki Niemców jest na tym polu niebagatelny i dobrze byłoby go wreszcie poznać. Nie w całości przecież podlegał ideologii szowinizmu czy rewizjoni-

ścierki i rozdroża

Literacka dziura

zmu. Jakże niewiele o tym wiemy, zgoła nic. Każde zaś dotknięcie tej przestrzeni pachnie przygodą, mającą niekiedy posmak wędrówki po lądach zapoznanych, a przecież jakże bliskich i swojskich. I znowu — jak w przypadku Bienka — przestaje być ważne czy autor był Polakiem, czy Niemcem. To casus Horsta Eckerta z podzabrzańskiego Zaborza, znanego światu jako Janosch. Jego „Cholonek czyli dobry Pan Bóg z gliny” był także dla polskiego czytelnika odkryciem, wręcz literacką sensacją. Można zatem — przekonaliśmy się nie bez zdziwienia — wykorzystując konwencję zjadliwie groteskową, jakąś nową czy inną prawdą o Śląsku pod rządami hitlerowców wypowiedzieć. I znowu — choć Janosch był „stuprocentowym” Niemcem — polskiemu czytelnikowi nie wadziło, że zarzuty, jakie się potem pojawiły w pierwszych recenzjach, zawierające się w stwierdzeniu, że Janosch nie zauważał ostrości konfliktów narodowościowych i nie dość wyraźnie dostrzegał polskie tło, grzeszyły politycznym rezonerstwem, rodem

z „Trybuny Ludu”. Były to echa fałszywego aksjomatu, który dość powszechnie ogarniał także publiczność czytającą, że literatura błakająca się po obrzeżach narodów i epok jednocześnie, musi być zideologizowana, zaś w takich przypadkach — musi nieść jednorodnie raczej narodowe i z nich i tylko z nich czerpać wszystkie swe soki. „Cholonek...” Janoscha wyraźnie w tym kanonie się nie zmieścił, uprawiając niektórych komentatorów w stan konsternacji.

Cóż, chciałoby się jeszcze w inne Śląskie rewiry zapędzić. I niechby nas tam właśnie niemiecka literatura poprowadziła. Istnieje jednak chyba nadal pewien lęk, że jej promocja w naszym kraju mogłaby być uznana za jawne wspieranie Niemczyzny i odgrzebywanie zamaryłych kulturowych wątków, coś tam niepotrzebnie przypominających, podważających uznane linie podziałów bądź wręcz gloryfikujących niemiecką przeszłość na Górnym Śląsku. Tak się nieraz patrzy nawet na renesans popularności Josepha von Eichendorffa i utrzymujący się wśród mniejszości niemieckiej kult tego poety. A przecież Eichendorff jest dla tych ludzi dokładnie tym samym, czym dla mniejszości polskiej na Litwie pozostaje Mickiewicz. I jakoś ten drugi przypadek nam nie przeszkadza...

Wyobrażam sobie, by pozostać przy porównaniach z Litwą i naszymi kresami wschodnimi, że wolny od nacjonalistycznych lęków Litwin z Wilna też dziś nie jest w stanie zrozumieć swego statusu, jeśli zamknie się w obrębie tylko własnej kultury. Musi sobie zadać pytanie, kto był tu przed nim, kto był obok niego. I co z tego wynika dzisiaj. Bez wpisania się w ciągi poprzerrywanych z woli historii tradycji, z których przecież też jakoś może czerpać, pozostanie na szanach nacjonalizmu, których obrońcą się i tak nie da.

Na podobnych, jeśli nie identycznych przesłankach, wspiera się też nasze szukanie „obcego”, który kiedyś nim nie był, nawet gdy narody zwracały się przeciwko sobie. Czy nie chcielibyśmy zatem przekonać się, jaką wartość miałyby dla nas na przykład powieść Augusta Scholtisa „Ostwind”, która nie bardzo podobała się wkraczającym na niemiecką scenę polityczną faszystom? Chcielibyśmy też przekonać się, kim był bytomianin Max Tau, wydawca i krytyk, laureat Górnos Śląskiej Nagrody Kulturalnej. W ogóle prześledzenie wątków żydowsko-niemieckich zapewne byłoby niezwykle interesujące. Niestety, te książki nie są tłumaczone. Niewiele więc wiemy na przykład choćby o twórczości Hansa Lipinsky'ego-Gottesdorka, tak jak niewiele wiemy o literackim obliczu pogranicza morawsko-niemiecko-polskiego, przekazywanego w języku czeskim.

KRZYSZTOF KARWAT

„Francuz, Anglik jak by nie był wewnętrznie, osobiście rozdarty, od razu wchodzi w pewną formę narodową, angielską, francuską, od wieków wypracowaną, gotową¹. Tymczasem Polak, zawieszony gdzieś między Wschodem a Zachodem, cierpi na brak formy określonej, na — mówi Gombrowicz — poczucie „bezformia”. Warto może przypomnieć, że i Witkacy pisał: „Życie nasze jest bezformne”². „Poczucie bezformia dręczące Polaków, ale też wypełniające ich jakąś dziwną wolnością, było u źródła ich uwielbienia dla polskości” (s. 26). Bo przecież jakaś forma polska istniała, ale za ciasna, kusa, słaba. Forma polska, która oznacza dla Gombrowicza, styl sarmacki, szlachecki, wiejski, w znaczeniu ziemiański.

Ta opozycja, którą nasuwa wyodrębnienie formy polskiej, od razu sama się dekonstruuje. Forma w mocnym znaczeniu wyrazu, dostępną owej Europie ograniczonej do Zachodu, przeciwstawia się bezformiu, które choć brzmi groźnie i być może frapująco, okazuje się formą słabszą. Jedna ma się do drugiej, jak starszeństwo do młodości, dojrzałość do niedojrzałości. A jednak bezformie, które „dręczy”, dostarcza zarazem „dziwacznej wolności”, dla której polskość bywa „uwielbiana”, a może raczej sama się „uwielbia”³.

Tymczasem stłumienie „poczucia bezformia” jakby odbiera nam „dziwaczność wolności” i owo samo-uwielbienie, którego podłoże tkwi gdzieś, jeżeli wierzyć Gombrowiczowi, między stylem sarmackim i dramatem niewoli. Samo mówienie o wyodrębnionym doświadczeniu, które Gombrowicz nazywał polską formą, albo poczuciem bezformia, wikała Polaka w antymonię wolności i zniewolenia. „Stąd — pisze Błoński — paradoks: im wyżej wynosi swą ideę Polski — jakkolwiek by nie była — tym bardziej zaprzedał polskość w niewolę”⁴. Odczuwamy zniewolenie, kiedy musimy legitymować się własną europejskością (choć przecie nikt, poza nami samymi, do tego nie zmusza) i odnajdujemy wolność w deklarowaniu naszej odrębności. W rzeczywistości rozumowanie Gombrowicza przebiega szlakiem antynomii: wybrać bezformie polskie oznacza dla niego być podrzędnym w konfrontacji z formą Zachodu, szukać formy w naśladowaniu Zachodu oznacza wtórność, czyli także podrzędność.

I w tym zmaganiu przeciw niewolącemu poczuciu niższości, które nie spocznie, zanim nie zdobędzie się na wyzwającą apoteozę swobody, widać pewien rys charakterystyczny sarmackości Gombrowicza. Pisał o niej Jan Błoński, stawiając tezę, że Gombrowicz chce Sarmatę „ufilozoficzniczyć”⁵. Mnie tymczasem idzie o sarmackość jako pewien dyskurs niefilozoficzny, taką alternatywę wobec filozofii, jaką jest — wobec formy — bezformie. Sarmackość jako wiedzę bez wątpienia alternatywną wobec tej, która kształtowała się równoległe na zachodzie Europy od XVI do XVIII wieku. Owa, zdaniem Foucaulta, era klasyczna „od Renesansu do XIX w. rozwinęła epistemologizację w tyłu pozytywności”⁶. Choć przecie epistemologizacja nie wszędzie i nie zawsze była regułą ujmowania wiedzy. Wiedza zepistemologizowana, unaukowiona, „ufilozoficzniona” nie jest — podkreśla Foucault — jedyną postacią wiedzy. Można wyobrazić sobie, na przykład w obszarze seksualności lub polityki, inny typ wiedzy, właśnie nie poddanej epistemologizacji. Tak rozumiałbym sarmackość.

„Myśl niemiecka wsiąkała kalkiem w filozofię”⁶ — mówił Mickiewicz w *College de France*, podczas gdy „Słowianie nie zajmowali się sporami filozofów” bo „nie zdążyli w tym nie zgodnego z naturą swojego ducha” (T. VII, s. 185). Charakterystyczne, że przegląd filozofii nowożytnej kończy się u Mickiewicza na rozważaniach o rodzaju własności ziemskiej w Słowiańszczyźnie, które prowadzą do wyłożenia — pozostającej poza wszelką epistemologizacją — wiedzy alternatywnej. Jej zasadniczym punktem jest określenie wolności jako stosunku podmiotu do władzy. Losy kultury zachodniej wiążą się, według Mickiewicza, ze zdecydowaną koncentracją władzy w systemach absolutyzmu. Tym właśnie tłumaczy on silną epistemologizację wiedzy na Zachodzie. W kulturze sar-

Czytane po latach

Bezformie

mackiej skrajna dekoncentracja władzy hamuje ten proces. Bowiem „forma” — mówiąc językiem Gombrowicza — potrzebna jest tam, gdzie „piętrzą się” relacje społeczne, relacje władzy. Przeciwnie: niedostatek formy odpowiada rozluźnieniu relacji między jednostkami na równi — przynajmniej pod względem prawnym — uczestniczącymi we władzy. „Polska nadawała każdemu ze swoich obywateli prawo nieograniczone i czyniła go równym narodowi” (T. VI, s. 326); „wolno mu zawsze wyjść ze społeczeństwa: jest to wolność osobista, posunięta do najdalszego kresu” (T. VI, s. 48). Takie wnioski snuł Mickiewicz w swojej interpretacji *liberum veto*.

„Jakże ja mogłem — woła Gombrowicz — oprzeć się na Mickiewiczu, wspaniałym pocecie, ale o koncepcjach i horyzontach pobożnego dziecka, zabląkanego w kiepskie mistycyzmy? W oparciu o to miałem walczyć o siebie?” (D. de Roux, s. 26-27) Musi więc pojawić się przedźre czy później pytanie o epistemologizację, o polską filozofię. „Gdzież była polska myśl oryginalna, polska filozofia, polski udział intelektualny i duchowy w tworzeniu Europy?” (ib.) Charakterystyczne, że Gombrowicz sam sobie odpowiadając na owe, przeważnie retoryczne kwestie, idzie krok w krok za Mickiewiczem. Ten trop prowadzi go do refleksji o typie własności ziemskiej.

„Na tych więc równinach, otwartych na wszystkie wiatry, odbywała się od dawna wielka Kompromitacja Formy i jej Degradacja. Rozmazywało się to, rozlało... Tu kultura była równinna, wiejska, pozbawiona wielkich miast, silnego mieszczaństwa, gdzie życie się skupia, komplikuje, piętrzy, nabiera rozmachu, zasila tysiącem splotów międzyludzkich” (s. 26). Kultura sarmackości przeciwstawiona jest kulturze mieszczaństwa w szeregu opozycji przestrzennych. Skupienie, komplikacja, spiętrzenie, sploty międzyludzkie mają definiować bogactwo struktury społecznej, w której istnieje hierarchia, pewna wertykalność, „piętrzenie się” ku górze oraz liczne sprzężenia zwrotne. Taka jest kultura mieszczańska. A wiejska, ziemiańska, odwrotnie: zamiast skupienia określa ją rozproszczenie, w miejsce komplikacji mamy uproszczenie, zamiast spiętrzenia — płaskość, horyzontalność, „równinność”, nie ma hierarchii tylko sąsiedowanie, bycie obok. Słowem: ubóstwo struktury społecznej, atomizacja. Gombrowicz, przeciwstawiając zachodniemu „piętrzeniu się” owo sarmackie rozluźnienie, używa dla jego

określenia charakterystycznego zwrotu: „nie za bardzo”. Czyli sprzeczność: forma — bezformie, przybiera w końcu kształt opozycji: forma/nie-za-bardzo-forma. Mówi Gombrowicz: „Rzeczywistość nie jest czymś, co dałoby się bez reszty zamknąć w formie”. Są więc w nas dwa dążenia: do „formy, kształtu, definicji” i drugie, które „broni się przed kształtem, nie chce formy”, skoro „żadna myśl ani forma w ogóle nie zdola objąć bytu” (s. 122). Sarmackie „nie za bardzo” nie oznacza więc odrzucenia formy, nie oznacza powrotu do prymitywu, dzikości, niewiedzy, ciemności, ale coś trzeciego: dystans, rozluźnienie, „niedokształt”. Wymknijcie się sprzeczności logicznej, wymknijcie się opozycji. „Przeciwnikiem Sartre’a nie jest książd. Jest nim mleczarz, aptekarz, dziecko aptekarza i żona stolarza, są nim obywatele sfery pośredniej, sfery niedokształtu i niedowartości, będącej zawsze czymś nieprzewidywalnym, niespodzianką” (s. 122). Oto, co Roland Barthes nazywa subwencją subtelną, „taką, co nie interesuje się wprost destrukcją, wymyka się z paradygmatu i szuka innego terminu: trzeciego terminu, nie będącego jednak terminem syntezy, ale terminem ekscentrycznym, niesłychanym. Na przykład? (...) Bataille nie przeciwstawia wystydowi — swobody seksualnej, ale... śmiech”⁷.

To przeciwstawienie formy niedoformie nakłada się u Gombrowicza na opozycję produkcja/konsumpcja. Oto on — sarmata — wędruje po świecie, jak po sadzie, „próbując tego lub innego wyrobu (jak gruszkę lub śliwkę)” (s. 121). Jest konsumentem wśród producentów. Dla nich „produkt staje się ważniejszy od nich samych” (s. 122). On „proklamuje zasadę, że człowiek jest wyższy od swoich wytworów” (s. 123). I powiada o sobie: „dostarczam swobody”. Broni się przed formą, bo wie, że ona „nie zdola objąć bytu”. Stoi po stronie rzeczywistości, bytu właśnie.

Obrona przed niewolą jakiejś formy, w poszukiwaniu wolności, prowadzi do wojny z formą w ogóle: z formą polską, formą własnego ja. Prowadzi do zdefiniowania człowieka jako sztuczności. Dopiero z tej pozycji, z pozycji „niedoskonałości” czyli „tajemnego spoufalenia z bezformiem”, można podjąć „rewizję formy europejskiej”. Kluczowe dla Gombrowicza, powtarzane za *Dziennikiem* w rozmowie z Dominikiem de Roux, formuły to: rozluźnienie przeciwstawione natężeniu, niby aspiryna, co „usuwa nadmierny skurcz” (s. 121). Mówi Gombrowicz: „jeśli mój dziennik może przydać się na co, to głównie jako przeciwstawienie wiejskiego rozluźnienia tym wszystkim natężeniom, piętrzącym się bez wyczerpania w łonie milionowych stolic” (D. de Roux, s. 91). Zatem kolo się zamyka: zarzut bezformia obraca się w strategię niedoformy, ofensywną, ale powiada Gombrowicz, niedo-ofensywną, bo inaczej popełniałbym ten błąd, który zarzucam kulturze Zachodu: zaciekłość. „I nie widzę, dlaczego szlachcic nie miałby być najnowocześniejszym człowiekiem świata... jeśli potraktuje siebie w sposób naprawdę nowoczesny” (ib., s. 92). Dyskurs sarmacki stoi tu na antypodach „filozofii”: nie docieka prawdy, ale prawa, bez reszty zajęty obroną wolności, czyli prawa, które tę wolność zapewnia, przeciw niewoli, jaką niesie rzeczywistość polityczna, historyczna, społeczna. I dopiero wówczas gra pojęć prawa i prawdy ulega dialektycznemu odwróceniu. „Jak obywatel polski — głosił Mickiewicz — opierając się tylko na własnym uczuciu, mógł odepchnąć prawa, oparte na potrzebach politycznych, na opiniach, teoriach — tak kiedyś każdy człowiek będzie mocen bronić prawdy przeciw całemu społeczeństwu” (T. VI, s. 326-327).

KRZYSZTOF KŁOŚIŃSKI

¹ D. de Roux, *Rozmowy z Gombrowiczem*. Europa. 1979, s. 25. Stąd dalsze cytaty.

² S. I. Witkiewicz, *Narkotyki — niemyte dusze*. Opr. A. Mićńska. Warszawa 1975, s. 282.

³ J. Błoński, *Gombrowicz a ethos szlachecki*. „Teksty” 1974, nr 4, s. 128.

⁴ Ibid., s. 129.

⁵ M. Foucault, *L'archeologie du savoir*. Paris 1969, s. 255.

⁶ A. Mickiewicz, *Dziela wszystkie*. T. VII. Literatura słowiańska III. Lwów 1911-1913, s. 179. Stąd dalsze cytaty.

⁷ W. Gombrowicz, *Dziennik (1953-1956)*. Paryż 1971, s. 122. Stąd dalsze cytaty.

⁸ R. Barthes, *Le plaisir du texte*. Paris 1973, s. 87.



Tadeusz Peiper

Zapomniany wywiad Tadeusza Peipera

Tekst Tadeusza Peipera, zatytułowany *Regionalizm a Zagłębie*, może być dzisiejszemu czytelnikowi znany chyba jedynie z brulionowego spisu zawartości projektowanej przez niego książki, przedrukowanego przez wydawców dzieł tego pisarza — Stanisława Jaworskiego i Teresę Podolską, ogłaszanych przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie. W *Nocie edytorskiej*, zamieszczonej w tomie pt. *O wszystkim i jeszcze o czymś*, opatrzonej kryptonimami S.J. i T.P., pisali oni:

„Nie wiadomo, do czego odnosi się tytuł *Regionalizm a Zagłębie* — czy chodzi tutaj tylko o nowy pomysł, czy też o jakąś pozycję istniejącą rzeczywistość w rękopisie lub nawet drukowaną, lecz do której nie udało się dotrzeć (może o jakąś wypowiedź na temat książki Bandrowskiego *Czarne skrzydła?*)”.

Drugi z tych domysłów prowadził we właściwym kierunku, gdyż zawarty w konspiece Peipera tytuł odpowiada niemal w pełni tytułowi wywiadu, jakiego udzielił on w 1933 r. Lechowi Piwowarowi. Wycinek z tekstem owego wywiadu znajduje się w jednej z teczek z materiałami pochodzącymi z archiwum tego pisarza, a przechowywanych obecnie w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Zawartość tej teczki (Przyb. 32/72) podana została wprawdzie przez wydawców, ale przeoczyli oni wycinek z tekstem zatytułowanym *Regionalizm i Zagłębie. Rozmowa z Tadeuszem Peiperem*; pod tekstem znajduje się nazwisko Lecha Piwowara. Peiper dopisał własnoręcznie na tym wycinku informację o miejscu i czasie druku rozmowy (»Expres Zagłębia« 18 sierpnia 1933”) oraz poprawił dwa błędy zecerskie. Poprawki te zdają się świadczyć, iż Peiper wprowadził je z myślą o włączeniu tekstu swej rozmowy z Piwowarem do projektowanego tomu artykułów literackich. A jeśli tak, to widocznie przywiązywał do niej pewną wagę.

Sądzę więc, że tekst tej rozmowy zasługuje na przypomnienie, zarówno ze względu na obu jej uczestników, jak i na jej przedmiot. Tadeusz Peiper (1891—1969), poeta, prozaik, teoretyk poezji i nowej sztuki, twórca Awangardy Krakowskiej, był żarliwym zwolennikiem nowej rzeczywistości cywilizacyjnej oraz odpowiadającej jej nowatorskiej i odkrywczej sztuki. Swoją punkt widzenia najwyraźniej przedstawił w głośnym artykule programowym *Miasto. Masa. Maszyna* („Zwrotnica” 1922), gdzie formułował postulaty rygoru, ładu, organizacji i funkcjonalizmu, krótko mówiąc — domagał się „inżynierskiego” i racjonalistycznego kształtowania wszystkich sfer rzeczywistości, z poetycką włącznie. W innym artykule pisał Peiper o epoce „uścisku z terażniejszością” oraz o pragnieniu wszyścia we współczesnego człowieka „nerwu terażniejszości”.

W imię takich założeń atakował stale Peiper poezję „passeistyczną” opartą na bezpośrednim wyrazie uczucia i posługującą się odziedziczonym po przeszłości zasobem technik poetyckich, odrzucał romantyczne koncepcje „natchnienia” oraz spontaniczności wypowiedzi, wyrażającej się w improwizacji wiersza. Przeciwstawiał się również Peiper możliwości sięgania poezji współczesnej do źródeł ludowych, uważając, iż ta droga nie prowadzi ku nowym formom w sztuce. Jeszcze ostrzej swój stosunek do regionalizmu, także literackiego, wyrazili w tym czasie Czesław Miłosz oraz „Linia” Jalu Kurka i te trzy głosy układają się w małą kampanię awangardy przeciw temu zjawisku kulturowemu.

W innym ujęciu sprawy te powracają w rozmowie Piwowara z Peiperem, gdyż zagadnienia ludowości stanowiły jeden z ważnych składników tzw. regionalizmu, propagowanego m.in. przez Stefana Żeromskiego (jego literackim wyrazem była komedia *Uciekla mi przepióreczka*) i Aleksandra

Patkowskiego (redaktor książki *Ruch regionalistyczny w Europie*, t. I—II). W latach międzywojennych tendencja ta zaznaczyła się w programie i praktykach poetyckich grupy poetów beskidzkich Czartak. Peiper łączył przyszłość poezji i jej form z nowoczesną cywilizacją — miastem, przemysłem oraz z całą związaną z nimi sferą rzeczywistości materialnej i społecznej, stąd jego fascynacja Górnym Śląskiem, wyrażająca się zarówno w jego poezji, jak i w wypowiedziach dziennikarskich czy publicystycznych. Ta fascynacja przenosiła się do pewnego stopnia i na Zagłębie Dąbrowskie, które m.in. dzięki powieściom Juliusza Kadena-Bandrowskiego zaznaczyło w ówczesnej literaturze swoją obecność.

Prowadzący rozmowę Lech Piwowar (1909—1940), poeta i publicysta, uchodził za najwierniejszego ucznia Peipera, gorliwego wyznawcę poglądów oraz naśladowcę jego sztuki poetyckiej. Urodzony w Krakowie, ale przez rodzinę związany z Ząbkowicami Śląskimi, starał się wyrażać w języku awangardy rzeczywistość cywilizacyjną i społeczną Zagłębia. Nie wydał wprawdzie zapowiadanego w 1934 r. poematu pt. *Dąbrowa Górnicza*, ale ogłosił wiele wierszy, które bezpośrednio lub pośrednio dawały obraz pejzażu przemysłowego, ujmowanego w duchu poetyki Tadeusza Peipera. Zarówno więc wybór rozmówcy, jak i przedmiot rozmowy stają się w świetle powyższych informacji w pełni zrozumiałe.

Za przypomnieniem tekstu tej rozmowy przemawia jeszcze dodatkowy argument, gdyż stanowi ona nie tylko pewien fakt z przeszłości literackiej, ale jej zawartość może mieć również odniesienia aktualne, znajdujące się w niej pytania i odpowiedzi korespondują bowiem ze współczesnymi rozważaniami nad historyczną, kulturową i literacką tożsamością takich regionów jak Śląsk czy Zagłębie.

TADEUSZ KŁAK

Czy rola regionalizmu, jako zasady pracy literackiej, jest ciągle ta sama i jak ją ująć, aby regionalizm mógł ruszyć wzdluz pulsu wspolczesnych idei poetyckich? — pytanie to pchnelo mnie po odpowiedz do pisarza, który terazniejszosci umial nadać kształt hasła i narzędzia poetyckiego, do autora potężnej książki pt. *Tędy*, będącej żelaznym fundamentem podstawowych zagadnień nowoczesnej poetyki, Tadeusza Peipera, od którego zaczyna się nowa poezja polska, nowa, twórcza, niepodobna do niczego, co było dotąd.

Więc w krakowskiej „Esplanadzie”, znad szarych płaszczyzn gazet, mnąc czarny wąs smagłym dymem papierosa, odpowiadał na moje pytania autor poematu *Z Górnego Śląska*.

— **Co Pan myśli o regionalizmie w literaturze, a w szczególności w poezji?**

— Przede wszystkim to, że jest kierunkiem konserwatywnym. Weźmy go w znaczeniu najbardziej powszechnym. Chodziłoby w tym wypadku o wprowadzenie do literatury różnych ziem Polski z ich odrębnościami krajobrazu, strojów, obyczajów, przy czym niedopowiedzianym jest tu uczuciowe ograniczenie zakresu regionalizmu do wiejskiej ludności poszczególnych ziem. Chodziłoby o to, aby literatura zajęła się np. ziemią krakowską — więc jej chłopami barwnymi w błękitnych kabatach, w pasach wybitych brzękadłami, więc jej tańcami i piosenkami zanadto dobrze znanymi pod nazwą krakowiaków. A innym razem chcieliby regionaliści mieć ziemię łowicką z jej odrębnościami pejzażowo — kostiumowo — etnicznymi. Nie ulega wątpliwości, że życzenie ujrzenia tego świata w literaturze jest marzeniem spetryfikowania tego świata

w słowie i że łączy się niemal z reguły z biadaniem nad zanikaniem tego świata w rzeczywistości. Ci sami, którzy boleją nad tym, że przebiegi nowoczesnego życia zmieniają do niepoznania wygląd naszej wsi i którzy pragnęliby to działanie powstrzymać, ci sami są równocześnie najgorliwszymi rzecznikami regionalizmu artystycznego. Są to z reguły duchy konserwatywne. My, którzy przyjmujemy nowoczesność, którzy przyjmujemy ją nie tylko jako zło konieczne, ale jako drogę nowych, doskonalszych, szczęśliwszych sposobów życia, nie mamy potrzeby biadać nad tym, co zanika pod stopami czasu, który biegnie, i dlatego jesteśmy wolni od żądź konserwowania czy w życiu, czy w sztuce tego, co zanika.

Weźmy regionalizm w znaczeniu pogłębionym, w takim, jakie nadaje mu np. grupa poetów „Czartaka” z E. Zegadłowiczem na czele. U nich jest on dążeniem do najbardziej konkretnego kontaktu z ziemią, a prowadzić ma poprzez

ziemię — do zespolenia się z kosmosem. Jak z tego widać, kierunek ten ma w sobie składniki mistyczne i religijne. Kult ziemi i człowieka ziemi, choćby w swych wypowiedziach nie kładli na to nacisku, z kultem rasy. Nic więc dziwnego, że wódz grupy, Zegadłowicz, w swym ostatnim jubileuszowym orędziu, występuje z wróżbiarskimi zapowiedziami powszechnego powrotu do



LECH PIWOWAR autor wywiadu

jeszcze odrębności nader wyraziste. Dzieje polityczne różnych naszych ziem, różne pochodzenie kapitału fabrycznego, różny poziom techniki produkcyjnej, różny sposób kształtowania się osad przemysłowych, różny stopień oświaty robotników, różny stopień ich uświadomienia klasowego — wszystko to sprawiło, że Dąbrowa Górnicza różni się tak bardzo do Borysławia, a Łódź od Królewskiej Huty (tj. Chorzowa). Wynikałoby stąd, że pisarze, którzy czują w sobie pęd do przechodzenia w literaturze wyglądu kraju w każdej z jego epok, powinni zwrócić się ku różnym ośrodkom przemysłowym, rzucić się łapczywie, chciwie, namiętnie na odrębności, które jeszcze są, a których dzieci ich już może nie zastaną. Któż może zaręczyć, że wygląd Zagłębia Dąbrowskiego nie zmieni się do nie poznania w ciągu dwudziestolecia? Dlaczego więc ci, którzy marzą o literaturze opiewającej ziemię nasze, nie jadą w te niezwykle strony, aby stworzyć ich wizerunek w czasach, które, jak nasze, są epoką wielkich przemian?

— **Jak więc zaznaczyć w poezji odrębności takiego ośrodka jak Zagłębie?**

— Wprowadzenie do literatury takich ziem, jak Zagłębie Dąbrowskie, dałoby poezji cenne i ciekawe korzyści. Mogłaby ona wzbogacić tu same środki twórczenia. Już choćby słownictwo. Bo mogłaby czerpać zarówno z gwary pierwotnej, jak i ze świeżo wytworzonej gwary technicznej.

Ja sam, który mam słabość do Górnego Śląska, w pierwszym moim tomiku poezji zamieściłem kilka słów z narzecza górnośląskiego, słów, których nie ma w żadnym słowniku polskim. Mimo że większość czytelników słów tych nie rozumie, nie cofnąłem się przed wprowadzeniem

ich, uwiedziony ślicznym ich brzmieniem i wspaniałą wyrazistością. Dzięki nowym słowom można by odświeżyć nasze rymy. Już choćby z nazw pól kopalnych można by czerpać obficie. Weźmy nazwę rudy: Galena! Ileż nieocenionych usług może ona oddać przy rymowaniu. Tak — że nowoczesna metafora mogłaby znaleźć w takich ośrodkach jak Zagłębie niewyczerpane bogactwo sposobów. Odrębna plastyka środowiska, odrębne sposoby pracy nasuwałyby poecie nowe kreacje metaforyzacyjne — i w ten sposób powstałaby poezja naprawdę świeża, co — wobec fali epigonizmu zalewającej nas z różnych stron wodą, wodą, wodą — powitalibyśmy jako ulgę.

— **Więc w Zagłębiu? Ze zmienionym znaczeniem regionalizmu?**

— A jeszcze lepiej w ogóle bez tego słowa. Po co obciążać się balastem złych słów?

Kraków, sierpień 1933 r.

Regionalizm i Zagłębie

(Wywiad własny „*Expressu Zagłębia*”)

Rozmowa z TADEUSZEM PEIPEREM

Z ARCHIWUM

ziemi, z zapowiedziami jakiejś powszechnej reagraryzacji, przy czym projekty reform hitlerowskich zdają się być dla niego mocnym potwierdzeniem jego marzeń.

— **A czy można by dzisiaj myśleć o jakimś nowym ruchu regionalistycznym, mającym wyraz bardziej postępowy?**

— Pierwszym upostępowieniem regionalizmu, jakie się nasuwa, byłoby silne zaakcentowanie regionalnych praw ośrodków przemysłowych. Chodziłoby o to, aby, skoro mowa o odrębnościach różnych ziem Polski, rozjeździć się także za odrębnościami ziem przemysłowych. Lecz tutaj wyłania się zaraz kwestia: czy przemysł, który na ogół działa uniformizująco, ujednostajniająco, wykazuje jakiegokolwiek odrębności w swych różnych ośrodkach? Otóż jedno nie ulega wątpliwości: faza uprzemysłowienia, w jakiej znajduje się nasz kraj, jest tego rodzaju, że różne ośrodki przemysłowe posiadają



Grafika: Wojtek Luka.

**BARTOSZ M.
WRONA**

KRÓTKO Pierwszy tydzień

Najpierw przyszedłem się przedstawić. Powiedziałem dzień dobry, nazywam się, jestem stażystą i inne tam takie. Duperele. Ordynator Starzycki poczochrał się trochę, z trzy razy zapytał o to samo, przydzielili mi szafkę. Poznałem też dwoje innych lekarzy, chwilę posiedziałem i poszedłem do domu.

Obok, w przyszpitalnej kaplicy, był pogrzeb. Grała kopalniana orkiestra. Tak, że tło muzyczne bez zastrzeżeń. Do tego chorzy, w smętnych piżamach, wyglądający przez okna za konduktem.

Pierwszy dzień w pracy. Zaczął się o ósmej, skończył o jedenastej piętnaście. Nie zrobiłem nic. Czyli zapoznawałem się

z topografią oddziału. Niedośli pacjenci oddychali tego dnia z wyraźną ulgą.

Drugi dzień w pracy. Salowa odchodzi na emeryturę. Przyszedłem o ósmej, o wpół do dwunastej byłem w domu. Oddech pacjentów nadal nie budzi zastrzeżeń. Moja praca koncentruje się wokół znoszenia do dyżurki lekarskiej krzesel z całego oddziału, konsumpcji frankfuretek, sałatek, ciast, wypiciu drinka i szpitalno-biesiadnej konwersacji.

Jedna pielęgniarka niezła. Rude włosy, lakierowane paznokcie, obcisła, wełniana sukienka podkreślająca apetyczność sterującego biustu i okrągłutkiej pupy. Nie ma więcej niż dwadzieścia dwa, trzy lata

i oczy kocicy, która wie, że patrząc na nią faceci myślą tylko o jednym. Nie zaprzeczam, też tylko o tym myślałem.

Trzeci dzień w pracy. Pierwszy trup. Facet wyniszczony, niepełnosprawny, gruźlica, sepsa, przewieziony z podejrzeniem zawału. Zatrzymał się w trakcie EKG. Trochę biegania, typowej w takich chwilach krzątanimy, niesprawny aparat do kardiowersji. Trzaskowa ugniatająca delikwenta na sprężynowym łóżku. Na monitorze płaska linia.

Patrzę sobie na śmierć.

Na łóżku obok facet. Patrzy sobie. Jego też przywieziono z zawałem. Malik kopie prądem tamtego biedaka (w międzyczasie

wymieniono aparat na dobry). Wszyscy są zupełnie spokojni, opanowani, właściwie naturalni. Starzycki pali papierosa.

– Ma pan na odwrót elektrody – zwraca uwagę Malikowi. Malik nie zwracając uwagi na to co mówi ordynator:

– Strzał!

Oczywiście reanimowany ani drgnie.

– Ma pan na odwrót elektrody! – gdzieś w głosie Starzyckiego czają się jednak niemal niedostrzegalne nutki zdenerwowania. Malik przekłada uchwyt z jednej ręki do drugiej.

– Strzał!

Nic.

– Co jest?!

– Bardziej pod kątem – swoim trochę płacziwym głosem mówi Trzoskowa. Wreszcie zatrzęsło facetem. Na monitorze trochę artefaktów. Izo.

– Jeszcze raz. Strzał.

Patrzę na śmierć. Jeszcze jedna próba i bez słów wszyscy nagle zwieszają bezwiednie ręce. Malik z elektrodami, Trzoskowa puste, Starzycki z dymiącym papierosem.

Wychodzimy na korytarz.

– Nie było sensu dalej – mówi jakoś dziwnie serdecznie ordynator. Każdy gdzieś idzie, skądś wraca. Któryś z lekarzy mówi na co chorował tamten. Ktoś prosi mnie jeszcze:

– Idź no sprawdź mu pan jeszcze oczy.

Podchodzę i się nachylam. Nieogolona od kilku dni, błada twarz. Szerokie zreni-

ce. Dotykam powiek i delikatnym ruchem nasuwam je na gałki.

Koniec.

Pielęgniarki zawijają zwłoki w białe prześcieradła. Pomagam przenieść go na wózek. Wyjeżdża z sali. Tak, pierwsze są blade wielkie stopy powykręcanych nóg. Nogami do przodu. Do nieba. Do Europy. Koniec. To nie robi specjalnego wrażenia. Może już na studiach zdążyłem się przyzwyczaić? Bardziej się boję jak się czuje ten drugi z zawałem. Podchodzę do niego. Każde słowo jest tu do dupy. Przez chwilę nie mówimy nic. Milczenie też jest do dupy.

Coś mówię, on coś mówi. Górnik.

– A ile razy było tak, że już się dokopało do kolegi. Normalnie się z nim rozmawiało. Jeszcze tylko do pasa był przywalony... i nagle się okazuje, że trzeba uciekać, bo jest drugi zawał. I nic się nie da zrobić. A ilu młodych się wywoziło spod ziemi?!

Zawał. Takie słowo. Nie wiem czy...

Jeszcze chwilę rozmawiamy. W końcu wychodzę, facet jest spokojny. Ostatecznie, co tak naprawdę, mogę dla niego zrobić?! Czuję się dobrze, na drugi dzień też, na trzeci – pogorszenie. Nieśmiało sugeruję, że to może z powodu tamtej śmierci.

– Nie – mówią mądrzejsi ode mnie.

Tak minął pierwszy tydzień.

(...)

Potem zostałem lekarzem i przestałem pisać. ■

Kierowca nawet nie usiłował gonić uciekających. Wsiadł i odjechał rozmyślając nad dziwną konsekwencją świata i o tym, że złość szkodzi jego urodzie, a zacietrzewienie nie prowadzi do niczego dobrego.

– A przecież gdybym wtedy nie zahamował... tamten by po prostu nie żył, albo bym mu skosił nogi i byłby kaleką.

– Ale rzucił ten drugi – powiedziała Kasia i poradziła mi, żebym zrobił z tego opowiadanie.

Do czegoż innego nadaje się bowiem rzeczywistość? ■

ANTYOKO

1. Przekładałam niewielkie pliki kartek. Ze stolika na podłogę, na fotel, na łóżko. Podnoszę, czytam kilka zdań, odkładam. Nie ma. A przecież było. Właściwie nieważne, przypadkowo zapisane zdanie: „Wyjadam w skupieniu, niczym jakieś zwierzątko, włoskie orzechy, które przyniosła tu Grodecka”. Brzmiało podobnie, ale jakoś nie tak. Nie potrafię odtworzyć nawet tych kilku słów. A przecież nie chodzi o słowa, a o nastrój, wymowę tamtej samotnej, smutnej chwili, kiedy jadłem orzechy uprzednio z głośnym chrzęstem zginiatając ich twarde skorupy. Zamiast pisać.

2. Zwierzę, którym chciałem być – wiewiórka. Albo żółw. Jedno niezależne, hermetyczne, tajemnicze... Drugie ładne, sprawne miękko futre. Kochane. I długo-, długo-, długo-... Wieczne!

Czyżby Absolut był przyjemnym w dotyku futerkowcem, który jest zawsze u siebie w domu?

Ponoć wiewiórki przenoszą wściekliwość. Nie wiem co żółwie.

3. Zgrabna, młodziutka Nadia, która potrafi nagle przerwać pieszczoty i skulona, rękami obejmując zgrabne, długie nogi spogląda przed siebie wzrokiem, w którym czai się strach.

Powinna mieć kogoś kto by ją kochał. Nie mnie.

Jej efektownie ostrzyżona, pochylona, dziewczęca główka, figura modelki, śliczny biust, zaliczony drugi rok medycyny... i strach. Jej trudno jest uwierzyć, że cokolwiek może się udać. Matka dewotka. Ojciec alkoholik, odszedł po trzecim dziecku. Siostrze wypisują leki na uspokojenie. Nie dziwię się Nadii. Tylko się nią męczę. Powinna mieć kogoś, kto by ją kochał.

Każdy powinien mieć.

4. „Jezus kocha ciebie?” I dobre i śmieszne ale akurat nie jego miałem tu na myśli.

5. Bardzo często mam sen, że nie potrafię komuś podać ręki. Wykręcam dłoń, ramię. Ustawiam się bokiem. Zamieram w bezruchu. Itd. Wstydzę się takich snów. Na jawie nie mam takich problemów. By skłamać.

6. Dużo czytam. Ten sam pokój, w którym jadłem orzechy przyniesione przez Ewę wprost zawałony jest książkami.

Nieprawdziwy świat. Tak, ale czy ten, na który ja patrzę też nie jest zmyślony? Błękit nieba, biel chmur, zieleń liścia, nie mówiąc o kolorze lakieru samochodu

ZAHAMOWANIE

Wielkie piszczenie świata. I oddechy cisza. Przerazenie. Dosłowny wręcz zapach dartej o asfalt gumi. A wszystko to najpierw. Przed. Zanim. Zanim nie nastąpi potem, bo przedmiotem opowiadania nie jest samo zdarzenie lecz bezpośrednie jego następstwa, a więc – Potem, po chwili, razem z głośnym, dramatycznie drżącym głosem kierowcy pełnym przekleństw i wyzwisk, brzmiałych tym gorzej, że wrzeszczanych publicznie, na środku dużego skrzyżowania, pełnego przechodniów i wstrzymanych przed chwilą gwałtownym hamowaniem samochodów.

Te przekleństwa, poważne, dosadne, wulgarnie i obrzydliwe dosięgały i tak ledwo żywego z przestachu chłopaczka, który wbiegłszy na jezdnię stał się przyczyną całego zamieszania. Z czerwoną twarzą, zgarbiony, z opuszczonymi bezwładnie ramionami, całą swoją postacią zdawał się przepraszać, choć z całą pewnością nie czynił tego świadomie, a raczej wstyd przed kolegami kazał mu starać się przynajmniej nadać twarzy możliwie jak najbardziej nonszalancki wyraz, co z kolei tym bardziej rozwścieczało tego O, który kierował samochodem. Więc tamten stał, zagubiony i na siłę walczący z tym zagubieniem i wykrzywiający nieapetycznie usta w dziwnym uśmiechu lekceważenia, kilkanaście centymetrów od wehikułu, który przed chwilą niczym palenie tytoniu mógł pozbawić go życia lub zdrowia.

Tłum gęstniał jak zawsze w takich wypadkach ciekawy, złąkniony sensacji, niecodzienności, krwi. Kierowca był teraz bardziej czerwony niż ów chłopaczek, który pobladł z kolei całkiem adekwatnie to znaczy śmiertelnie i bezwiednie szurał nogami, postępując za ciągnącym go kolegą. Przekleństwa leciały coraz wymyślniejsze, rozbudowując się coraz kunsztowniej, potoczyściej i ubogi skądinąd materiał trzech, czterech wulgaryzmów był jedną pożywką bujnej wyobraźni i wściekłości zmotoryzowanego.

I nagle na tym wrzaskliwym, czarnozimno-szarym, skrzyżowaniu jednego aktora, którego publiczność słuchała z coraz wątpliwszą zarliwością i w jakby nieco słabnącym hipnotycznym zaurczeniu pojawił się niespodziewany, jasny punkt zaskoczenia. Naprędce ubita koleżeńskimi dłońmi śniegową piguła, z ciężkich, brudnych, ulicznych roztopów ku prawdziwej rozkoszy tłumy (który ze swej definicji wysoce sobie ceni mało rafinowane rozkosze) trafiła bluzgającego w sam środek czoła.

Śmiech był ogromny, niepohamowany, plebejski. W jednej sekundzie wzniosł się do niego i opadł, a potem rozchodził się miejskimi ulicami wraz z rozepchniętą nim falą ludzi i wybuchając wciąż na nowo, zataczał coraz szersze kręgi, aż wreszcie rozpląnął się, znikł, wyparował jak resztki brudnej mazi odgarnięte z ostudzonego raptem czoła.

na ulicy to wszystko zaczyna się dopiero w moim oku. Kolor oczu dziewczyny, którą kocham (obecnie: tu słowa nieczytelne, kilka skreśleń) polega na odbiciu fali świetlnej, którą mój mózg rozpoznaje jako taką, a nie inną barwę. I nadaje jej nazwę.

Gdybym był daltonistą byłabyś dla mnie inną kobietą, (tu kilka przekreślonych imion) Aglajo.

Kiedy zamykam oczy ten świat staje się innym światem. A czasem nie staje się, bo go nie ma. Kto pomyśleć. Kto pomyśleć go nie ma.

7. Natura stworzyła oko, człowiek symbol.

Czy język jest symbolem świata? Mówię „pies”, ty myślisz „pies”. Mówię „niebo”, „krew”, „milczenie”. Patrzymy na coś. I nawet jeśli nie widzimy tego samego to potrafimy przecież o tym opowiedzieć. To znaczy opowiedzieć o tym, o czym nie potrafimy opo-

wiedzieć. Nie wiem czy się rozumiemy. Wiem, że zawsze będziemy próbować.

8. Siedziałem w knajpie, piłem piwo i czytałem książkę. Nad barem grał telewizor. Nie było jeszcze południa, za oknami świeciło słońce. Z drugiego końca świata, przez satelitę zawieszoną w zimnej pustce Kosmosu, głupawy prezenter (czy prezenterka też głupawa) przerywał swoim pseudoradosnym bełkotem migające teledyski. Przez chwilę zastanawiałem się o co w nich chodzi. Głośny rytm, ruchome obrazy. To takie wulgarne, prymitywne, uproszczone lektury, o życiu zewnętrznym historii. Dla analfabetów. Książki, których nie trzeba rozumieć. Wystarczy patrzeć. Mantry dla prostej duszy. Dla idioty, żeby się czymś zajął.

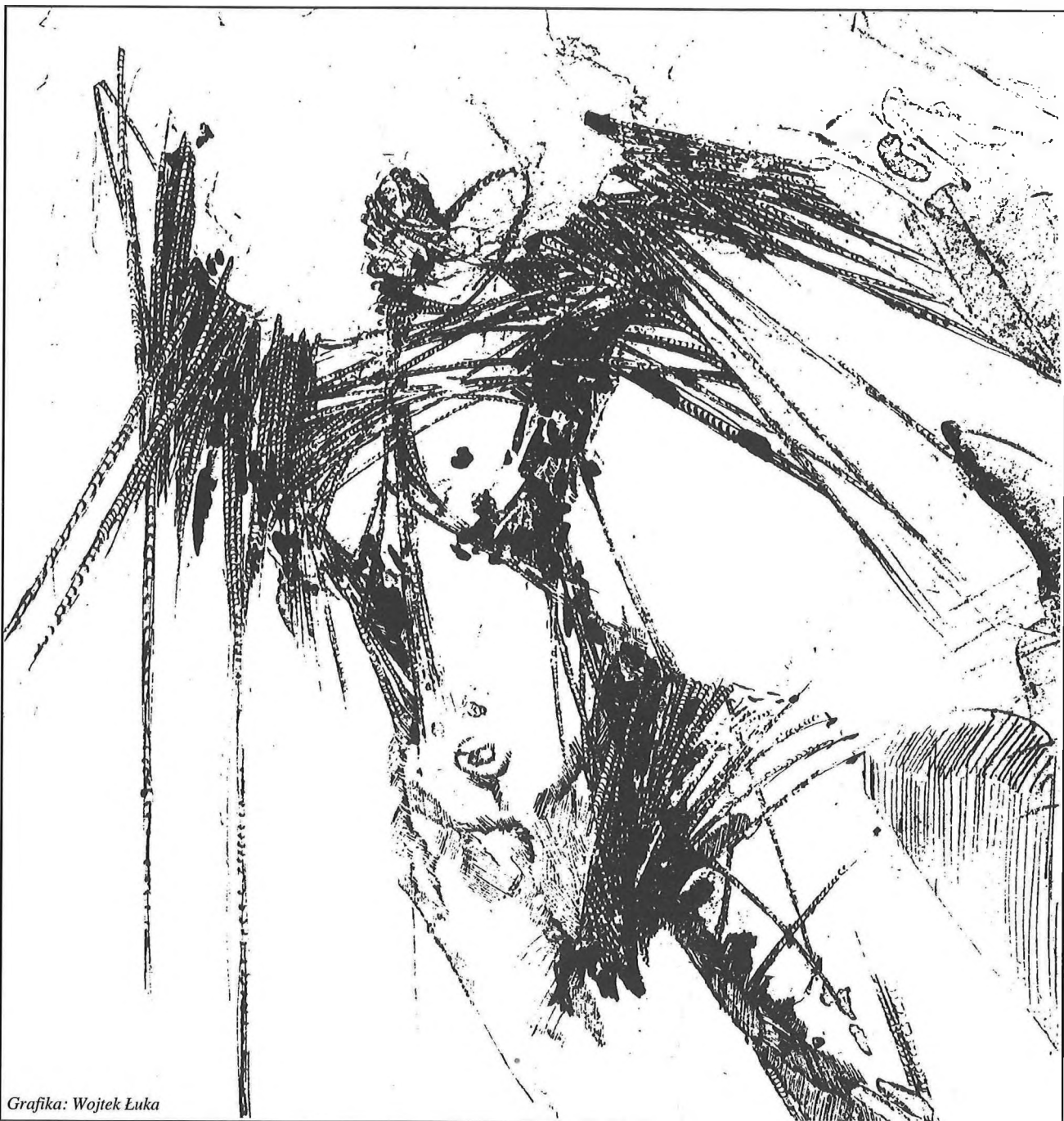
9. Pociągnąłem spory łyk przyjemnie chłodnego piwa i powróciłem do własnego czytania.

10. Świat, w którym żyjemy jest bardzo cudzym światem. Mieszkamy w miastach, domach, pokojach, które wymyślił inny człowiek. Czytamy książki, gazety, które ktoś inny napisał. Oglądamy telewizję. A czasem nawet słuchamy kogoś, choć zawsze krótko i nieuważnie. Nie nadajemy nazw. Inni zrobili to przed nami. Inni zrobią to za nas. Nie musimy nic robić. Musimy tylko żyć, bo życie człowieka jest najwyższym dobrem.

11. Miałem sen. Śnił mi się człowiek, który patrzył do wewnątrz. Pod powiekami przeświecały mu silnie napięte, czerwone pasemka mięśni. Zrenice miał z drugiej strony. Trochę wstydził się tego. Ale widział dobrze i to co w środku i to co wokół niego.

12. Mam kolorowe sny. Błękit — to także tylko słowo. Otwieram oczy, patrzę, milczę. Czuję na ustach jej smak, jej dotyk. Czyż samotność może nie być kobietą?

Zamykam oczy. Patrzę. Taka zabawa. ■



Grafika: Wojtek Luka

Spotkanie Kutza z Ogórkim zamknęło emisję cyklu „Wesoło czyli smutno”, który przez niespełna dwa lata wprowadzał sprawy górnośląskie w Polskę. Było to przedsięwzięcie niezwykle. A tym bardziej, że zrealizowane nie przez katowicką telewizję, lecz „Antenę Górnośląską” Wojciecha Sarnowicza i Michała Smolorza.

Seria biesiadna z Kutzem w roli gospodarza pojawiła się w Dwójce jesienią 1994 roku. Jako pierwszy przybył do niewielkiej salki teatru „Ate-neum” w Katowicach, gdzie programy uprzednio nagrywano, Andrzej Szczypiorski. Po nim Dorota Simonides, Jan Miodek, biskup Alfons Nossol, Stanisław Bieniasz i kolejni goście. W sumie siedemnastu. Z czasem te nagrania, gromadzące życzliwą Kutzowi publiczność, stały się same w sobie ewenementem życia kulturalnego, przynajmniej w Katowicach. Bo te programy, pomyślane jako swoisty talk-show, ale na poważnie, chociaż zawsze z solidną porcją górnośląskiego humoru, stwarzały wiele sposobności poważnej dyskusji o Górnym Śląsku i jego kulturowej tożsamości.

Trudno mi ocenić, na ile biesiady z Kutzem wpłynęły na myślenie o Górnym Śląsku w Warszawie, Poznaniu czy Łodzi, lecz zdaje się, że cieszyły się uznaniem, skoro serię — przewidzianą początkowo na osiem odcinków — przedłużono aż do siedemnastu. Produkcję zakończono tylko dlatego, że Kutza pochłonęły zdjęcia do serialowej „Sławy i chwały” wedle Iwazskiewicza. Natomiast pewne, że na Śląsku miały powodzenie ogromne. I prowokowały do przemyślenia na nowo wielu problemów, które obrosły stereotypami.

Zdarzały się, oczywiście, spektakle lepsze i gorsze, jak to zwykle bywa w podobnych przypadkach. Do najciekawszych zaliczam spotkania Kutza z Dorotą Simonides, biskupem Nossolem, Gerhardem Bartodziejem, także z Feliksem Netzem i Henrykiem Mikołajem Góreckim. Jednak najbardziej niezwykłą była debata z Adamem Michnikiem, który opowiadał o swoim poznawaniu Śląska podczas posłowania z Bytomia po 1989 roku. Na sali zapadła zupełna cisza, gdy Michnik powiedział, iż to Polska powinna prowadzić taką politykę, żeby Górny Śląsk chciał być w Polsce, bo przecież nic nie jest dane raz na zawsze (cytuje z pamięci). Nawet dla zagorzałych Górnoślązaków biesiady Kutzone bywały odkrywczymi. A sala reagowała przeważnie z wyczczeniem, gdy padały kwestie, które nieraz po raz pierwszy na forum publicznym wypowiediano.

Jest to zasługą, rzecz jasna Kutza i jego gości, lecz tak samo założycieli „Anteny Górnośląskiej”, Sarnowicza i Smolorza, którzy owe biesiady z Kut-

wędrówki po kinie

Tandem z „Anteny”

zem produkowali. I dzięki temu uczynili „Antenę Górnośląską” firmą znaną już nie tylko na Górnym Śląsku.

Nie sposób tu bowiem pominąć faktu, że założone przez nich Studio Programów i Filmów Telewizyjnych „Antena Górnośląska” (to pełna nazwa firmy) stało się największym i najpoważniejszym prywatnym producentem telewizyjno-filmowym w regionie. Inna sprawa, że firm tego rodzaju istnieje na Śląsku niewiele. Przynajmniej tych znacznie większych, produkujących na poważniejszą skalę, to znaczy także dla telewizji krajowej. Dzisiaj „Antena” Sarnowicza i Smolorza może stać się przykładem dla innych, że warto może spróbować na górnośląskim klepisku. Jest przecież rzeczą pewną, że coraz to nowe stacje potrzebować będą coraz większej ilości programów.

Obaj członkowie tego tandemu mają spore doświadczenia telewizyjne. Tak więc Sarnowicz związany był z katowicką telewizją gdzieś od połowy lat sześćdziesiątych. Kręcił reportaże dokumentalne, szczególnie podejmujące sprawy górnośląskiej tradycji, a potem kierował redakcją, której specjalnością stały się refleksyjne dokumenty o dawnym Górnym Śląsku ginącym bezpowrotnie, co w tamtych czasach pomijano w oficjalnym portrecie przemysłowego regionu. W latach osiemdziesiątych, po przy-

musowym rozstaniu się z telewizją, kręcił filmy religijne i krajoznawcze dla firmy ITI założonej właśnie wtedy przez Mariusza Waltera. Z kolei Smolorz jest więcej dziennikarzem i publicystą z wyraźnym zacięciem polemicznym, wdającym się chętnie w spory wokół zagadnień górnośląskich. W telewizji przedsierniowej pracował krótko, a potem — jako wyrzucony w stanie wojennym — znalazł się na jakiś czas w redakcji „Katolika” w Katowicach. Dzisiaj prowadzi „Wędrówki po Górnym Śląsku” na łamach „Dziennika Zachodniego”, a w samej „Antenie” ciągnie więcej sprawy produkcyjne. Obaj współpracują ze sobą ściśle od czasu, gdy przez dwa lata kierowali katowicką telewizją po przełomie 1989 roku.

Nie wycofali się z branży, gdy rozstali się po raz drugi z katowicką telewizją, chociaż wydawało się to trudne. Założyli wtedy „Antenę Górnośląską” (w 1991 roku), pewnie i dlatego, by podkreślić, że pozostają na placu. No, i udało się.

Z biegiem czasu wprowadzili do Dwójki kilka cyklicznych programów, w tym „Wesoło czyli smutno” z Kutzem, a także regionalno-rozrywkowe „Opowieści Erwina Respondka”, przerobione ostatnio na musical w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Do tego jeszcze sporo filmów dokumentalnych z cyklu „Małe ojczyzny”, nie licząc już filmów oświatowych, reklamowych i pozostałej drobniicy.

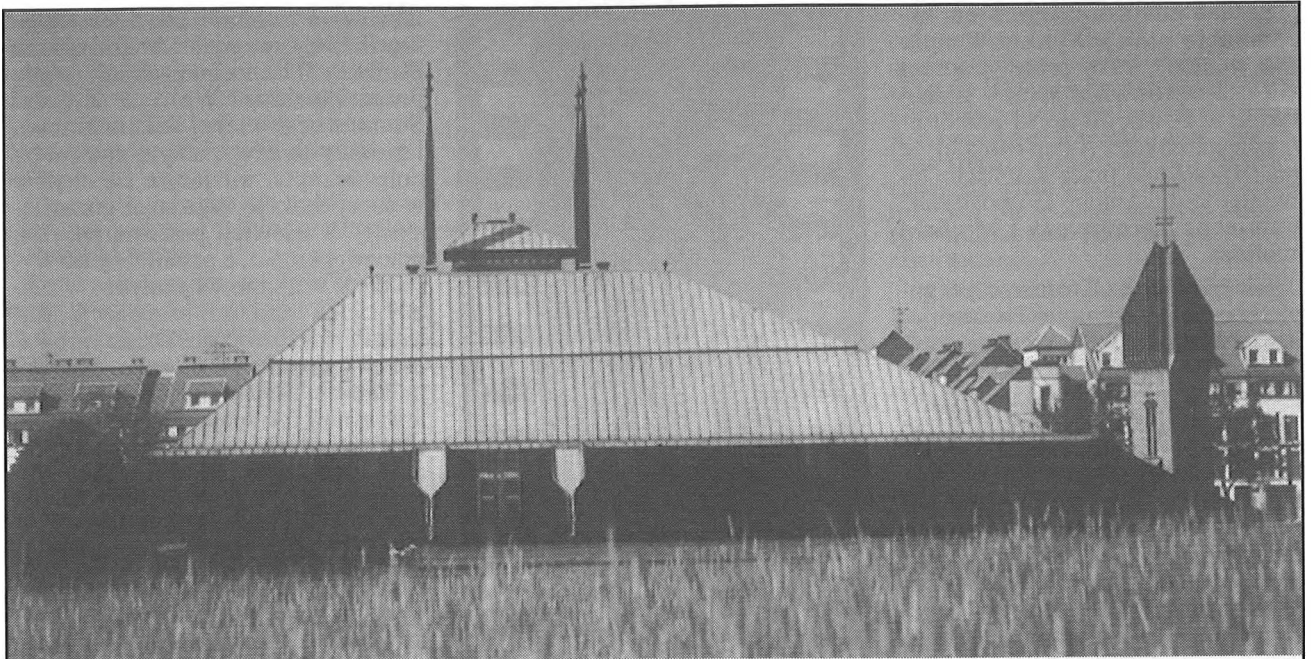
Z produkcji dokumentalnej ostatniego okresu najbardziej cenię „Stani-ka Cyronia drogę do nieba” w reżyserii Sarnowicza, w którym to filmie Michał Smolorz opowiada o swoich dziadkach w taki sposób, że wylaniają się z tej jego opowieści frapujące dzieje górnośląskiego pogranicza kulturowego polsko-niemieckiego w naszym stuleciu.

W nazwie firmy jej szefowie zaznaczyli wyraźnie swoją opcję górnośląską. I zgodnie z nią, tworzą programy sięgające do regionalnej tradycji. Ale — dodajmy na wszelki wypadek — nie traktują jej przecież zaściankowo. Potwierdzają to filmy z cyklu „Małe ojczyzny”, a także i nagrania z Kutzem.

Szkoda, oczywiście, że znany w środowisku konflikt między tandemem Sarnowicz — Smolorz a szefem katowickiej telewizji, Rafałem Szymońskim, uniemożliwia jakkolwiek współpracę (chyba obu stronom, jeśli się nie mylę?). Nie wchodzę w to zadanione starcie, bo to i nie moja sprawa. W efekcie „Antena” produkuje ciekawe programy o Górnym Śląsku, lecz nie dla katowickiej telewizji. Ale na to nikt już nie poradzi.

Chyba, że Sarnowicz ze Smolorzem stworzą własną, regionalną telewizję.

JAN F. LEWANDOWSKI



Kościół Ducha Świętego w Tychach.

Foto:Tomasz Jodłowski

Kościół wpisany w krajobraz

Rozmowa z architektem STANISŁAWEM NIEMCZYKIEM

27. czerwca 1976 roku wydano zgodę na budowę nowego kościoła w Tychach. Miał stać w centrum miasta. Ostatecznie zmieniono tę lokalizację, przenosząc ją na peryferia, w okolicie nie istniejącego jeszcze osiedla „Stella”, kilkaset metrów od najbliższych bloków. Mało kto wówczas przypuszczał, że powstanie świątynia, która wzbudzi tyle kontrowersji. Jej projektantem był Stanisław Niemczyk, absolwent Wydziału Architektury w Krakowie w 1968 roku, w latach siedemdziesiątych pracujący w tyskim „Miastoprojekcie”.

— Jak to się stało, że jego zaprojektowanie zlecono panu?

— Ksiądz Franciszek Resiak (proboszcz parafii paprociańskiej, reprezentujący wówczas inwestora budowy, czyli Kurię Katowicką — dopisek BP) zwrócił się do „Miastoprojektu”, ale dyrekcja nie przyjęła tematu, proponując, ewentualnie, żeby porozmawiać ze mną. Być może wynikało to z tego, że w tej całej machinie, która produkowała dokumentację, moje myślenie się nie mieściło. Byłem w konflikcie z biurem, z tym; co tam się robiło.

— Jakie były założenia projektu kościoła pod wezwaniem Ducha Świętego?

— Wizja była taka, że jest to kościół nawiązujący charakterem do architektury historycznej, ale przetworzonej, nie wprost. Byliśmy już po soborze, pojawiły się nowe wskazówki, jak obiekty sakralne powinny wyglądać. Były to przyczynki pewnej otwartości, której nam brakowało na co dzień. Ten kościół miał być wpisany w krajobraz, nie miał być kanciastą bryłą. Miał być przyswajalny przez ludzi i otoczenie, wtapiający się w otoczenie.

— Mówi pan o otwartości obiektu jako świątyni, a nie miejsca, do którego ludzie przychodzą jedynie na mszę. Kościół miał spajać społeczność, czyli zamiar był chwalebny. Ale przecież działająca przy Kurii komisja odrzuciła projekt twierdząc, że „nie nadaje się do realizacji”. Czyżby uznano, że jest pan zbyt nowatorski?

— W komisji znajdują się księża, ale także świeccy fachowcy. Oni opiniują według swojego stanu wiedzy, umiejętności, subiektywnego spojrzenia na architekturę i sztukę. Powiadano, że jest to obiekt za duży.

— Biskup Bednorz zgodę na realizację jednak wydał. Budowany trzy lata kościół poświęcono w roku 1982. Oddano ludziom — użyję metafory — pana „dziecko”, ale różniące się znacznie od innych. Kościoły z reguły bywają strzeliste, idą w pion. Pana dzieło odwrotnie — dominuje poziom.

— W zasadzie nie wiadomo, czy poziom, czy pion. Jest to forma ostrosłupa, który ma swoje zakończenie niedopowiedziane, jakimś „szpicem” na środku, bo jest ścięty. Jeżeli prezbiterium znajduje się w kościele nie tradycyjnie — w głębi, lecz w części centralnej kościoła, światło musi dojść do tego miejsca w środku, czyli z góry. Stąd zawsze były kopuły, latarnie. Tutaj to miejsce jest tylko wypunktowane zadaszeniem świetlika oraz podkreślone czterema krzyżami na narożach. Tutaj miejsce kopuły zajmuje świetlik, który jest o wiele skromniejszy, a spełnia tę funkcję, że wpuszcza światło tam, gdzie powinno paść.

— Dach to najbardziej charakterystyczny element kościoła. Podobno jest on nawiąza-

niem do tradycji starych kościołów drewnianych.

— Ja lansuję zdecydowanie skromne budownictwo sakralne. Ono zawiera pewne minimum użycia środków, ale powinno mieć rzecz najważniejszą — sacrum. Ten kościół zbudowano ze środków społeczności i przez samych ludzi. Dach jest zrobiony z drewna, lekki. Nikt ode mnie tego nie wymagał. Była to decyzja wynikająca z takiego pojmowania budownictwa.

— Moda na spadziste dachy nastąpiła dopiero kilka lat później. Podobnie jak moda na cegłę...

— W każdym razie ja z cegły budowałem już wcześniej. Wtedy nie było propagowania architektury robionej tak zwaną metodą rzemieślniczą. Nam, w Polsce, przyświecały wtedy hasła: dużo, szybko, przemysłowo i nowoczesnie. A moje budowanie było takie, że wolałem cegłę. Poszukiwałem wtedy tego materiału, jego nie było pod ręką. Po cegłę jeździło się w Zielonogórskie. A przecież właśnie cegła zawsze była w Polsce naturalnym materiałem. Dlatego to, że kościół budowany był z cegły, nie było niczym nowym. Do tego dochodziła moja sympatia do tego materiału, będącego niezwykle przyjaznym człowiekowi. Myślę o cegle robionej ręcznie, nawet czasami wyrzuszanej, z odbiciami palców, a nie błyszczącej się, dokładnie wypolerowanej. Cegła zawsze kojarzy mi się z chlebem, który przecież jest nieprzemijającym pokarmem. Nie znam oprócz drewna materiału, który byłby tak bliski człowiekowi, jak cegła.

— Mówiliśmy o pewnej modzie, o nowych trendach czy normach... Proszę pana, gdy święcono kościół, był on jedynym w Tychach obiektem, w którym pomyślano o podjeździe dla wózka inwalidzkiego.

— Ja absolutnie do wszystkich rzeczy nie mogę się przyznawać. Sprawa podjazdów wynika chyba z bezpośrednich uwag księdza. Tam były schody, cały fronton był przebudowany w sensie myślowym kilkakrotnie, a ten, jaki jest, jest ostatecznym zmateriałowaniem tych wizji. Te schody były na całym frontonie. Później doszły wybrzuszenia, które podzieliły wejście główne na osiowe i boczne, co pozwoliło na część pochyłości. Monumentalny fragment moich schodów został podzielony, pocięty. W związku z tym wykształciło się miejsce, które mogło służyć wygodnemu wchodzeniu, ewentualnie wózkowi. Wtedy na wózkach bardzo mało osób jeździło. Niepełnosprawni nie pojawiali się na ulicach.

— To fakt, ale jeżeli nawet wykonanie podjazdów jest efektem zbiegu okoliczności, to okazuje się, że przypadek czasem urządza rzeczy doskonale.

— W przypadku trzeba wierzyć, to dotyczy zarówno ludzi, których się spotyka, jak i tego, co nam się zdarza i wpływa na nasze życie.

— Tutaj wpłynął na funkcjonalność kościoła. Kolejną rzeczą potwierdzającą taką opinię byłby sposób wykończenia dachu, który wychodzi daleko poza mury kościoła, tworząc zadaszenie przed jego wejściem. W przypadku deszczu czy śniegu schronienie znajdują nie tylko przebywającą w świątyni, ale także stojący przed nią. Czy to rozwiązanie wynikało z takiego myślenia?

— To nie jest tak całkiem wprost. W moim rozumieniu nie powinno być tak, że prosto z osiedla wchodzi się w kościół. Zaprzeczałoby to sakralności. Dojście i przestrzeń zostały zestopniowane w sensie nastroju, odczucia, a fizycznie jest to przetworzone w obejście kościoła. On wyprzedzał realizację całego otoczenia, tego tworu urbanistycznego wokół. Opuszczenie dachu i niewypunktowanie żadnego głównego wejścia — bo go nie ma, nawet to główne, osiowe, jest przytkane murem z tym krzyżem, czyli nie wychodzi się wprost, bo weszłoby się w żyto — oznacza, że najpierw ludzie zbierają się, wchodzą pod dach i tam szukają wejścia.

— Cały kościół jest nietynkowany, otacza go ceglany mur, przypominający, czy ja wiem — warowne mury. To wrażenie

potęguje stojąca obok kościoła dzwonnica, przypominająca basztę zamkową. Czy o taką stylizację chodziło?

— Nie było inspiracji, aby to określać jako uformowanie zamkowe. Miałem świadomość, że przestrzeń poza dachem też musi uzyskać swój charakter. Jednocześnie było oczywiste, że trzeba uniknąć pewnych przypadkowych styków, ot, na przykład, że tuż przed kościołem staje samochód, że na ulicy, czyli w otoczeniu, na które się nie ma wpływu, ktoś postawi domek jednorodzinny z psią budą. W przypadku takiego obiektu, kościoła, musi być eliminowana przypadkowość sąsiedztwa. Ona zawsze powinna być eliminowana bo to świadczy o złym rozwiązywaniu przestrzeni, jeżeli styki są przypadkowe, jeżeli nie współgrają. Stąd mur wokół. A wieża? Chodziło o usytuowanie dzwonnicy, ona nie miała dominować w krajobrazie. Wysokość jest poddyktowana tym, żeby słyszalność była odpowiednia. Mogła być wyższa, ale możliwe, że pozwolenie byłoby wówczas trzy lata później, bo nagle okazało się, że samoloty tak nisko latały, że trzeba było wszystko uzgadniać w zakresie bezpieczeństwa przelotu samolotów!

— Pierwsze wrażenie to olbrzymia, otwarta przestrzeń, ale przecież kościół ma prawie 1500 metrów kwadratowych powierzchni. W Polsce dominuje w kościołach bogactwo formy, obrazy, rzeźby, złoto. Tutaj tego nie ma. Ołtarz jest prosty, wysunięty na środek.

— Pamięta pan pewnie, że pod koniec lat siedemdziesiątych nastąpiło „sprzątanie” kościołów. Zmieniono tradycyjne drogi krzyżowe na nowoczesne, z metaloplastyki. Żyrandole pozdejmowano i wieszano kinkiety. Budowano nowe ołtarze, nowe pulpity, przedłużano całe prezbiterium do przodu, zniknęły ambony, mnóstwo rzeczy się zmieniło. Ja odwołuję się zawsze do sztuki średniowiecznej, bo była to sztuka ducha, syntetyczna, nie polegająca na materii. Jeżeli myślę o czymś w trakcie projektowania, odwołuję się do tamtych kanonów. Ja w bogatym w formę baroku nie znajduję tylu wartości. Na mnie nie działa mocno figura w obiekcie sakralnym, bo to jest jedynie odczucie materii. Tak jak mówiłem o cegle, że jest dla mnie przyjazna, bo ma swojego ducha przez to, że jest przetworzona przez człowieka, tak samo traktuję malarstwo i rzeźbę — jako bardziej lub mniej adekwatną do otoczenia.

— No właśnie — w kościele nie ma obrazów, lecz wykonane przez Jerzego Nowosielskiego malunki na ścianie utrzyma-

ne w konwencji ikon. Czyżby już wtedy pojawił się u pana duch ekumenizmu?

— W moim wyobrażeniu kościół nie mógł pozostać z gołymi drewnianymi ścianami, a jednocześnie tutaj nie mogło wchodzić w grę powieszenie obrazów, co wiąże się z pewną trudnością ze względu na utrzymanie w skosie ściany. A ikony? Ikona należy do obszaru malarstwa bizantyjskiego, czyli pierwocin chrześcijaństwa. Najpiękniejsze obrazy kultur, Madonn z dzieciątkiem, w najstarszych kościołach, są malowane jako ikony. Spotykałem się już z wątpliwościami — skąd się wzięły tutaj cechy prawosławia, bo pierwsze wrażenie każdego człowieka jest właśnie takie. Ale proszę mi pokazać malarstwo sakralne adekwatne do tego wnętrza.

— Podobnie zresztą wygląda sprawa z oświetleniem. Tradycyjne żyrandole rzeczywiście nie harmonizowałyby z wnętrzem. Pojawiły się zwisające nisko z sufitu dwa rzędy lamp, z których każda przypomina odwróconą menorę, czyli siedmioramienny liturgiczny świecznik żydowski. To był świadomy zamysł?

— Przed wszystkim trzeba było oświetlić wnętrze. Później — jak to zrobić na kolebkowym sklepieniu — wtedy świeci nad środkiem, ale nie nad ławkami. Zatem pojawia się sprawa oświetlenia bocznego. Ja nie chciałem zająć osi oświetleniem. Poza tym jedną lampą się nie da oświetlić, zatem konieczny stał się zespół lamp. Stąd taki rezultat.

— Świątynie kojarzą się głównie z mrokiem, nadającym atmosferę, tajemniczość. W tym celu w oknach pojawiły się witraże. W pana kościele ich nie ma, są zwykłe szyby, poza tym świetlik z dachu.

— Świetlik oświetla tylko centrum, poza tym kościół tonie w mroku, co w takich miejscach daje wrażenie nie kończącej się przestrzeni. Boczne okna miały dwojaki charakter. Z jednej strony chodziło o to, by nie nastąpiło przegrodzenie przestrzeni, dzięki temu kościół się kończy dopiero na widocznym ze środka zakończeniu dachu wychodzącego poza mury. Witraż byłby takim przegrodzeniem jak ściana. Poza tym — witraże umieszczano w oknach, które znajdowały się na wysokości kilku metrów. Gdyby nie było w nich witraży, wiernych porażałoby światło z zewnątrz, poza tym całe tło prezbiterium musiało pozostać spójne. Jeżeli w dole było ciemno, nie mogło nastąpić przecięcie tego światłem. A tak w ogóle trzeba przypomnieć, że światło jest w obiekcie sakralnym elementem podstawowym. Poza rolę funkcjonalną, mieści się w kategoriach symbolu. W mówieniu o sacrum, o Ewangelii określa się, że ktoś jest oświecony, że doświadczył Ducha Świętego. Tak więc to, że światło w kościele Ducha Świętego spada z góry, ma dodatkowe znaczenie.

— Ten kościół, który w trakcie budowy i po jej zakończeniu spotykał się z kontrowersyjnym odbiorem, doczekał się nagród, sporej ilości artykułów w prasie fachowej i popularnej, przyjeżdżają wycieczki, aby go zobaczyć. Czy mimo to dzisiaj zbudowałby go pan ponownie takim, jakim jest?

— Każda architektura jest przypisana do danego czasu, tak jak my. Po latach zmienia się nasze podejście, to jest kwestia kolejnych doświadczeń, więc trudno byłoby mi oceniać, ale myślę że w tym obiekcie jest zasadniczo mało błędów. Dzisiaj nie emocjonuję się już tym, że jest to kościół, który projektowałem. To jest coś, co żyje już własnym życiem.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał BOGDAN PREJS

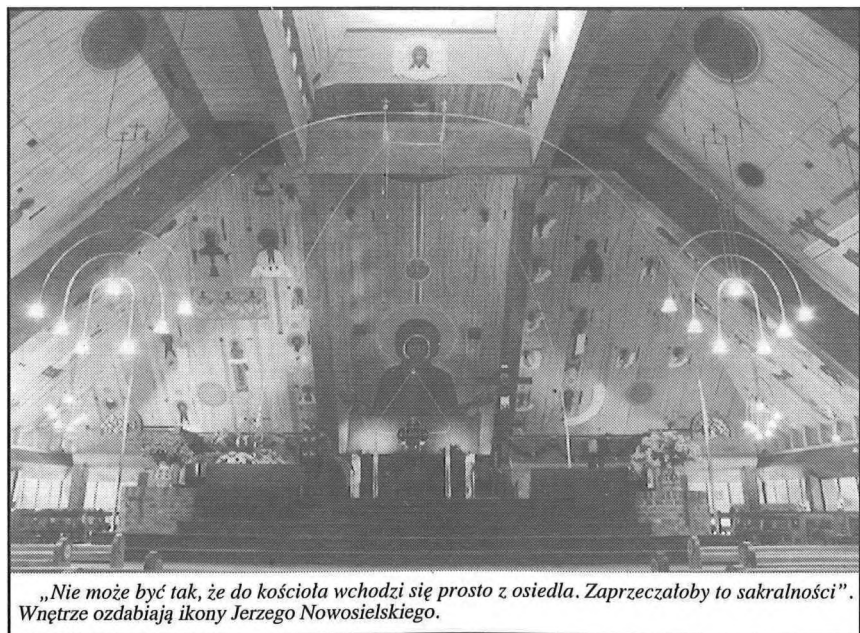


Foto: Tomasz Jodłowski

„Nie może być tak, że do kościoła wchodzi się prosto z osiedla. Zaprzeczałoby to sakralności”. Wnętrze ozdabiają ikony Jerzego Nowosielskiego.

1. Paradoksalnie, dane mi było zobaczyć tę osławioną postbeardysleyowską kobietę Przybyły wpierną jako księgę. Jest to unikat istniejący w jednym egzemplarzu, pokryty gęstym niezrozumiałym pismem. W istocie przemawia ono do Nieświadomości znajdując w jej tłustych zło-gach intymny kontakt z erami, jakich już nie ma. Litera wystylizowane rozmaicie, w tym i na kliny z Mezopotamii, i na tamtejsze wieże, będące w rzeczy samej świątyniami — często Księżyca. Karty księgi są czarne; litera białe i złote.

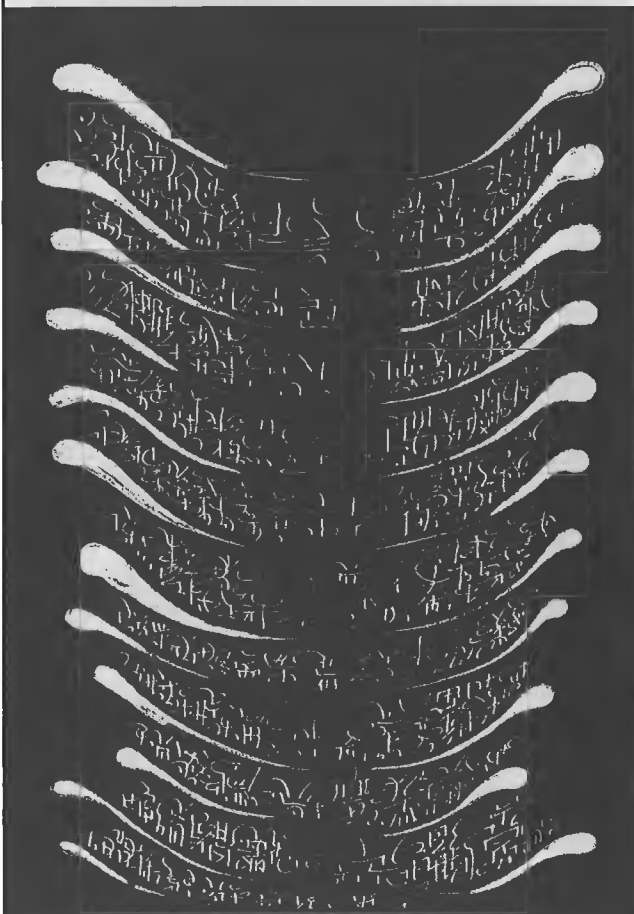
Być może żaden ze znaków Księgi Czerni (tym jest dla mnie), nie przypomina miękkich linii kobiecości. Widać za to planety i galaktyki. Pachnie szlamem Tygrysu — naturalnie, staje wtedy przed oczyma drobna główka królowej Szub-ad, z jej uśmiechem trochę bolesnym, z jej olbrzymim złotym diademem misternie splecionym z metalicznych listków, z wyrafinowanym makijażem jaki mogły nosić świątynne kurtyzany, cesarszowe i muzy zamieszkujące wyobraźnię. Coś z jej wzroku przenika ciemne karty, porusza i wznieca chłodną nieuniknioną ciążą na niebie, oraz fakt, że ich spotkania są wybuchem i unicestwieniem, a zarazem wszak i doskonałym zespoleniem jestestw, dadzą się więc odczuwać w aspekcie miłosnej zraty. Planety się stykają — zlewają w jedną masę — i to ich kres. Wiruje tylko pył, tylko okaleczone bryły odłamów. Legendy babilońskie powiadały od zawsze o Demonicznej Pani rozerwanej (niekiedy pociętej) przez Marduka: Mardukowi i Jej poświęcano liturgię i poezję, hermetyczne nauki i nie mniej tajemnicze budowle. Legendy jednak mówią zarazem, że Tiamat i Marduk to planety: że przybyły z głębi Kosmosu obcy Marduk rozsadzwszy Tiamat krąży po dziś dzień na samym obrzeżu naszego Słonecznego Układu, hen za Plutonem, zbliżając się tylko raz na kilka tysięcy lat (mowa od trzech do dwunastu) powodując na Ziemi dziwne zmiany.

Z Tiamat został nasz Księżyca — mówią tedy. Przyłączył się do Ziemi, w jakimś sensie ją zapłodnił. Stworzył mianowicie niepowtarzalny układ magnetyczny, na jakim zasa-dza się biosfera pojmowana jako interakcja energii fizycznych. Układ życia na Ziemi, sam w sobie, ukazuje się w takiej perspektywie jako stosunek erotyczny par excellence, jakkolwiek dokonywałby się w ramach jednej płci. Obu ciałom

Mujer de Magia Negra

O grafikach
Marka Przybyły
URSZULA M. BENKA

Marek Przybyły urodził się w 1952 r. w Katowicach, mieszka w Sosnowcu. Uprawia grafikę i malarstwo. Od roku 1976 miał wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. udział w Międzynarodowym Konkursie Rysunku o Nagrodę Jóana Miró — Barcelona, Vence 1985 i 1986.



przypisano płęć żeńską. Niewątpliwie, płęć ta ma cechy oksymoronu, pozwała się doznawać jako boska, co oznacza zgoła nową teozofię: drapiezną i profanatorską. Lecz jeśli źródłostów profanum powiada raczej o wstępie czy też przedsiönku do właściwej świątyni inicjowanych, byłoby ono warunkiem sakralności.

2. Sam fakt obsesyjnego powtarzania prastarej duszy pisma przemawiającego wprost do trzewi, nie tylko intelektu i dwóch zmysłów, jest nie mniej prowokujący niż owa tytułowa Mujer de Magia Negra z wcześniejszych grafik. Prastara dusza pisma wynosi nas w epokę sprzed powstania współczesnych norm oraz tabu. A owa Mujer? Perwersyjne połączenie hiszpańskości (kojarzącej się z wiekami Inkwizycji) z Czarną Magią (obsesją Inkwizycji) nawiązuje do innego języka czarownictwa. Ta Kobieta jest Czarownicą, twierdzi autor. I dodaje, że czarownica to jedyny wręc słowo przychodzące mu tutaj na myśl.

Kim jednak jest w istocie Czarownica? Z pewnością nie ofiarą jak przywykliśmy sądzić tym samym skupiając uwagę nie na winie, czyli odmienności wprawiającej w popłoch i wściekłość całe pokolenia w Europie, w czasie formowania się kultury nowożytnej. Skupiając się bowiem na

cierpieniu i na gniewie mimo wszystko przestajemy zauważać, że istniało jednak to coś, co było wyzaniem rzuconym innej duchowej formacji. Formacji nauko-wo-logicznej, traktującej wszelką paranormalność jako objaw choroby lub zbrodni. Formacji pragnącej wyrokować co do norm i zarazem dezawuuującej naturalne prawa w imię ich sublimacji.

Poetyckie egzegezy grafik i malarstwa Przybyły uporczywie zahaczały o ten temat, choć w jego chyba najtrywialniejszym aspekcie niebezpieczeństwa ześlizgu w pornografię. Erotyzm albowiem nie przestaje być wciąż terytorium wieczystego zagubienia. Lecz dlatego też pociąga i wciąga. W wypadku Marka Przybyły magiczna Kobieta nie uprawia jednak „zwykłych czarów”. Jest Księgą Czerni. Jako zespół procesów biochemicznych, jako zespół energii, jako Wielka Dawczyni Życia, jako Śmierć, jako Łono. Ale także jako obecna w mężczyźnie Anima, by użyć tego terminu w sensualnym i nieakademickim znaczeniu, gdyż nie chodzi o powtarzanie zmodyfikowanej teorii libido, lecz o doświadczenie nieodstępne każdej transgresji. Rysowane tempera

„Ohydek, bohater epopei o tułaczce gwiazdokrażców, nie jest herosem ani z Samosierry, ani tym bardziej spod Cheroniei. Rozhulał się jakby po instruktażu, którego mu po wielokroć udzielali nie zidentyfikowani instruktorzy zwani z angielska chuliganami. Ostro kuty, rześki i hoży mimo alkoholicznej melancholii o kulturze zachodniorodzinnomorskiej zgola nie poinformowany, ale wie, że odległość Ziemi od Słońca wynosi 150 mln km, a więc 400 razy więcej niż jej odległość od Księżyca”. To trzy pierwsze zdania dyktanda zatytułowanego



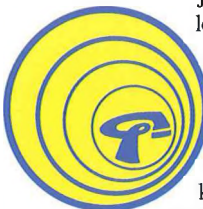
„Ohydek kontrdżentelmen, czyli nieprzeżeganie savoir-vivre'u”, jakiemu całkowicie dobrowolnie poddali się uczestnicy jednego z Wielkich Konkursów Ortograficznych, organizowanych od ośmiu lat przez Radio Katowice i radiową Trójkę. Już nawet nie próbuję przytaczać kolejnych zadań dyktanda, jako że samo tylko ich przepisywanie nastęrcza mi niejaki trudności. Wedle regulaminu, dyktando może pisać każdy, kto ukończył 15 lat i nie jest absolwentem filologii polskiej. Na szczęście, jestem absolwentem filologii polskiej, nie będę więc musiał (bo nie mogę!) poddawać się tej próbie ognia, ale każdego, kto przejdzie do finału ja pierwszy będę sławił i podziwiał. Każdy z nas wie, że polska ortografia jest trudna; że zasady pisowni i interpunkcji gwałcone są nagninnie, i to przez ludzi z wyższym wykształceniem, nie wyłączając absolwentów filologii polskiej. Postawiłem w zdaniu poprzednim przecinek przed „i”, zrobiłem to mechanicznie, ale czy nie popełniłem wykroczenia przeciw zasadom interpunkcji? Ten, kto zdecyduje się w tym roku wziąć udział w Wielkim Konkursie Ortograficznym Radia Katowice i radiowej Trójki, zechce ten problem rozstrzygnąć niejako za mnie. Bezbłędne pisanie pod dyktando wydaje się nam zgola niemożliwe, a przecież są tacy, którzy tę umiejętność posiadli. Czy to jakiś specjalny dar, jak słuch muzyczny? Czy pamięć fotograficzna? Czy zdolność błyskawicznego – jak w szachach – przeprowadzania złożonych analiz słotwórczych, kojarzenia etc., czy po prostu jest to kwestia żmudnych i cierpliwych ćwiczeń?

Dyktando! Zapowiedź, że jutro będzie dyktando, spędzała nam w latach szkolnych sen z oczu. Więc pomysł katowickiego radia był także próbą rozładowania tkwiącego w nas wszystkich ortograficznego stresu. Pomysł – nikt tego nie ukrywa – zapożyczony od Bernarda Pivot: dyktando z języka francuskiego dawno przekroczyło granice Francji; dyktando z języka polskiego, póki co, odbywa się w Polsce, ale znając dynamikę i rozmach pary organizatorów – Krystyny Bochenek i Piotra Karmańskiego, nie zdziwiłbym się, gdyby ortograficzną znajomość z „Ohydkiem kontrdżentelmenem” zawarli Polonusi na obu półkulach.

Tymczasem w walce o tytuł Mistrza Polskiej Ortografii wzięło udział ponad 20000 osób z całego kraju. Laureatami byli m.in. matematyk, studentki filologii polskiej (teraz już by nie mogły) i angielskiej, dziennikarz, nauczycielka i informatyk. Przed dwoma laty wygrał pan Dariusz Godoś z Krakowa – tłumacz, który w nagrodę odjechał z Katowic złotym Fiatem-Punto. Ma też Dyktando swoich wielkich pechowców: pan Krzysztof Szymczyk z Opola (z wykształcenia technik), siedmiokrotnie zakwalifikował się do ścisłego finału, i nigdy nie wygrał.

Jak rzekłem, trzeba mieć ukończonych 15 lat, lecz górnej granicy nie ma. Stąd też w dyktandzie uczestniczyli uczniowie szkół podstawowych i... osiemdziesięciolatowie.

Tytuł Mistrza Polskiej Ortografii przynajmniej od początku, od pierwszej edycji Dyktanda, luminarze polskiej nauki, najwyższe autorytety spośród rodzimych językoznawców. To oni każdego roku opracowują teksty dyktanda, a przewodniczy im niezmiennie prof. Walery Bajerow. Wśród jurorów byli już prof. Irena Klemensiewicz-Bajerowa, Danuta Jodłowska-Wesołowska, Andrzej Markowski, Edward Polański, Jerzy Bralczyk. Impreza od lat cieszy się poparciem i życzliwością Komitetu Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk.



Pora na następną porcję ortograficznych delikcji! „Toteż nie dziw, że na co dzień ludzie mają cowieczorne trudności z powrotem do domu, kiedy indziej zaś lękowe skurcze trzewi. I to nie tylko pierzchliwe czy trzędne osiemdziesięciokilkuletnie starszuszki na rozchybotanych nóżkach, ale i niejedyn struchlały, nieopatrznie wracający z wychodźstwa adiunkt, objuczony diariuszami, komentarnem Descartes'a ma nieprzełiczone szanse kontaktu z odrażającym ladaco, który cychając w alei w struzkach dżdżu i mżawki, zmienacka może wychynąć za węglą”.

Mał nadzieję, że nie przedawkowałem, bo to mieszanca, zaiste, piorunująca... Przytaczam fragmenty jednego z dyktand, by dać Państwu wyobrażenie o stopniu trudności, lecz także po to, by poczuli Państwo smak owej ortograficznej zabawy. Ten tekst jest naprawdę zabawny! Nie są to oderwane, suche zdania naszpikowane ortograficznymi pułapkami. Bo to radiowe dyktando nie jest przecież egzaminem akademickim. Jeśli się zdaży, że tekst dyktanda układa jeden, czy grom profesorów, można zaryzykować tezę, iż profesor-piła to już zamierzczyła przeszłość. Opowieści „ortograficznej” o „Ohydku kontrdżentelmenie” nie umiałby wymyślić akademicki ponurak... Ja w tym tekście znalazłem słowo, jedyne, w którym popełniłem błąd, pisząc dyktando pod wystykowidzącym okiem prof. Ireny Klemensiewicz-Bajerowej przed laty trzydziestu z okładem. Tylko jedna studentka wykonała dyktando bezbłędnie. Ja byłem drugi – z tym błędem. O reszcie – zmilczę. A byliśmy studentami kończącymi czwarty rok polonistyki! Wniosek stąd taki, że pisownia polska jest piekielnie trudna, i bezustannie musimy się jej uczyć, aby nie wstydić się przed samymi sobą, przede wszystkim...

Tysiące ludzi zgłaszających się do tego osobliwego turnieju – to coś naprawdę krzepiącego. Przyglądałem się tym tłumom przed laty: atmosfera jak na studenckiej giełdzie egzaminacyjnej. Ten sam rodzaj podenerwowania, to samo rozpaczliwe wtłaczanie „wyjątków do wyjątków” do głowy tak nafaszerowane zasadami i regulami, że niczego już nie jest w stanie przyjąć... Wiem, że stawką, prócz tytułu Mistrza Polskiej Ortografii była wtedy Skoda Forman w turkusowym kolorze – ufundowana przez firmę LATOWSKI-

SZPAK, ale jestem pewien, że na kwadrans przed napisaniem pierwszego zdania i w trakcie dyktanda nikt nie myślał o samochodzie, bo musiał myśleć wyłącznie o ortografii polskiej.

Ale, co ja tam robiłem? Dyktando pisała moja żona! Bowiem organizatorzy tej językowej zabawy wpadli na pomysł, by równocześnie z tysiącami uczestników, dyktando pisali naczelnicy redaktorzy popularnych polskich gazet. Wielu przyjęło wyzwanie, inni wyręczyli się swoimi zastępcami, sekretarzami, ale walka była ostra i miano „Bezbłędnej Gazety” dla swojego tytułu wywalczył red. Andrzej Buła z Wrocławia. Moja żona spisała się również pięknie. Ja, pisząc w domu to samo dyktando, już pod jej okiem, wypadłem nieporównanie gorzej... Dobrze, że nie byłem w tym czasie naczelnym redaktorem, ani żadną rzeczą, która jego jest.

Przed dwoma laty kilkudziesięciu polskich polityków stanęło dzielnie do walki o tytuł „Bezbłędny Polityka” i „Złoty Stolek” (antyk!) na dożywocie. Zasiadł na nim pan Marek Borowski, który swój sukces wytłumaczył uważnym i sumiennym studiowaniem wypowiedzi i pism ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy!!!

W tym roku animatorzy polskiego Dyktanda – Krystyna Bochenek i Piotr Karmański zaprosili do „klasówki” popularnych, znanych i lubianych prezenterów radia i telewizji z całego kraju. Najlepszy(a) zdobędzie tytuł „Bezbłędny Prezentera” dyplomem na czerpanym papierze oraz zabytkowy patefon, stare radio i telewizor, które już zdoła Jerzy Duda-Grac. Natomiast nagrodą dla Mistrza Polskiej Ortografii będzie w tym roku 30 tysięcy nowych (rzecz jasna!) złotych. Trochę mi żal, że nie będąc prezenterem, nie mam szans wygrania... zabytkowego patefonu. . .

W każdym razie: wszystkim sponsorom – dawnym, tegorocznym i przyszłorocznym – tej pięknej i pożytecznej zabawy, sława i chwała!

FELIKS NETZ



Foto Wł. Morawski





MAREK PRZYBYŁA

sylwetki kobiet wiodą więc mężczyzną w krainę Cienia, która nie jest przecież Doliną, lecz płaskim bezkresnym pustkowiem z zarysami ujawnionych nad nim planet — przez tę jawność zupełnie obcych. W górze Trójkąt — męski, spuszczone podstawą do dołu — wysuwa wylakierowane szpony kobiecych wypięłgnowanych palców. Księżycy na niebie jak draśnięcia, jak drobne pręgi — być może owe palce rozrywały coś w namiętym odruchu wdarcia się w jądro sensu, w jakieś jądro ciemności. Tym niemniej na pustkowiu wszelkie wieczne zmagania i morderstwa porywane w życie czy też w śmierć pozostają z astralnym dystansem. Kobieta prowadzi bez przeszkód swoją zdobycz, odwróconą tyłem do światła, czarno-białą. Pozostaje sama świetlista, bezdyskusyjna, piękna.

Jej płeć na innej z grafik to jakby jakiś zakręt przestrzeni Gaussowskiej. Wygląda jak kwiat lotosu sprowadzony do czegoś, co łączy lotos, światłość, niebo, czarną dziurę i cel ataku, z dołu bowiem w jej otwór kierują się wydłużone serca, strzały, przedstawienia mężczyzny i błyskawic. Z ekstatycznie odrzuconą w tył głową Ona być może ich właśnie rodzi — a może tylko przepelnia ruchem i tragiczną agresją. Nie jest to erotyka pojmowana jedynie cielesnie i mitycznie. Jest to raczej przyptyw filozofii formułującej się bez słów, swobodnymi przepływami obrazów i symboli — filozofia, jaka zawiera się już implicite w podjętym temacie, o którym Przybyła utrzymuje, że dopadł go, że nie jest wymyślony.

Płeć Kobiety z tych grafik bywa wielką rozchyloną muszlą z kotyszącym się ciałkiem mięczaka; bywa kwiatem zachłannego storczyka lub zdumiewającą inną jeszcze naroślą kulminującą fallicznie jakby z każdym ruchem artysty wyłaniała się jakaś dopiero poznawana faza jej prawdziwej istoty. Stąd właśnie padające nieraz natrącenia o pornografię — haśło to zresztą momentalnie bywało wycofywane w dowód estymy dla dzieła. Nic dziwnego, pornografia stanowiąc niejako synonim artystycznej porażki jest pojęciem mówiącym w rzeczy samej tylko o tym, że artyście grozi ześlizgnięcie się w wulgarną gorszącą płyciznę — ale grozi ono bez względu na temat, także kiedy chodzi o sztukę patriotyczną, religijną, polityczną, kiedy chodzi o naukę i sztukę jako taką, artysta może przestać być Mistrzem i razić grubiaństwami swojej techny. Wówczas pada tylko konstatacja, że dzieło nie dorosło do intencji — ale jakby nieświadomie się zakłada idealną czystość zamysłu.

3. Erotyka wymknęła się bowiem nie tylko z naszej sakralności, z oficjalnego Sacrum, ale także ze spontanicznego poczucia sensu, ponieważ w zetknięciu z erotyką odkładamy logikę, przestajemy być konsekwentni i skłonni jesteśmy mówić

o niej, jak gdyby przybywała z obszarów mogących tylko wzniecać szal albo grozę. Być może taką ona jest. I wtedy jest tym bardziej sakralna — kosmiczna i elementarna. Gdy pojawia się Sfinga owinięta na czarnej hermie z męską główką zamiast żółędzi. Na pewnych grafikach Przybyły skrzydła Sfingi i włosy Wiecznej Kobiety są jednym. „Dowodem” bywa pozycja głowy: stopień ekstazy. Głowa głęboko odrzucona tworzy skrzydła. Stopa Sfingi, tak jak stopa kobiety, to płomień. Po beardleyowsku miękkie, pieszczotliwie gnie się jak pnące wstępujące na zmurszałe postumenty. I faktycznie, Marka Przybyłą intryguje związek dokonujący się pomiędzy rośliną i murem, stellą i girlandami. „Nagie ciało posągu ugodzone pociskami wiatru, cyklicznie obsypuje się kwiatami”, pisał w „Kwintnym posągu”, jednej ze swych miniaturowych próz poetyckich. Pokrewną wymowę ma rysunek „Zarastająca świątynia”, gdzie twarz starca wydaje się techną z samych takich roślin. Jako iż są to zarazem ślady nakłuc, litery a także kłębiące się ciała i węże oraz włócznie chwiejące się jeszcze od impetu ciosu, powstające Image okazuje się Doświadczeniem — bolesną Intuicją.

4. Wracamy więc do pisma jako pewnej wyjściowej koncepcji, bliskiej dociekaniom Borgesa, dla którego wszystko w rzeczy samej jest znakiem ezoterycznego poematu. Wracamy też do Księgi, chronologicznie ostatniego prawie dzieła Przybyły w grafice. Skoro Księgi nie da się opowiedzieć ani streścić, warto przynajmniej pamiętać, że jeśli jest ona Kobieta, to w najmroczniejszej swojej fazie, o której pisze z przejęciem jedna z apostołek New Age w Ameryce, Demetra George, w „Misteriach Mrocznego Księżyca”. Pisze oto: „Faza Mrocznego Księżyca jest czasem tajemniczy, mądrości i mocy (...) Wtedy Księżyc objawia swą obecność poprzez nieobecność światła. W tym mrocznym, najbardziej tajemniczym czasie Bogini Księżycza wzywa nas, abyśmy poprzez czarne przejście zbliżyli się do jej wewnętrznej tronu”. Faza ta, wraz z uosabiającą ją Staruchą — Wiedzmą dla naszej dzisiejszej świadomości jest zrośnięta ze złem, przerażeniem, mordem i śmiercią, śmiercią otwierającą inwazję spotworniałych demonów i wiecznych tortur a zarazem wstrętnej nicości.

Jest to jednak sprawa percepcji oraz przyjętych założeń filozoficznych, wynikających znów z psychologicznej ogólniejszej postawy, rzadko kiedy uświadomianej sobie albo nawet możliwej do poznania. Dyskurs filozoficzny i duchowy u Przybyły zaznacza się z pewnością wprowadzeniem do Księgi Mroku srebrzystej Mapy Filozofii, na której litery wyraźniej a słowa zamieniają się w kontury łądów, w linie rzek, w wybrzeża. Z tej perspektywy patrząc na wznoszące się pochyło mu-

ry utkanych z liter zikkuratów, zarysy przejrzystych embriónów z misternym żyłkowaniem tak jak w listkach, na promienne phallosy i phallosy ukoronowane kulami, na obrazy kryształów i piramid, chińskich pagód i papilarnych linii, widzi się raczej w przeraźliwie intymnym zbliżeniu Jej mądre zmarszczki. Skoro zaś wspomniałam o zbliżeniu i zupełnej w nim zmianie opcji, można sobie tutaj uprzytomnić, że właśnie na poziomie mikrocząstek każdy z nas jest tylko chmurą i mgławicą, i porusza się z prędkością światła nawet kiedy siedzi nieruchomo jak posąg.

Jej kolorem jest czerń. Jej mową ciemną. Księga zresztą posiada puste karty i takąż się kończy. Nie od rzeczy tu wspomnieć, że kiedy Henryk Waniek wziął tę książkę do ręki, nie krył zdumienia. Waniek bowiem odkrył inną księgę, wcale nie mniej enigmatyczną, też złożoną z rysunków, poświęconą kobiecie, bez tytułu. Z całkiem innej epoki; jedynym, co łączyło te dwie książki, była jakaś ekstatyczna alchemia.

Ta zawarta w Księdze Starucha jest oczywiście brudą, poprzez którą ukazuje się znacznie lepiej znana — także w twórczości Przybyły — demonicznie piękna Kochanka, syrenim ogonem przechodząca w mężczyznę — czarnego anioła. To również ta z teki „Vita”, o trzech profilach, zapatrzona w muszle, z wyrastającym z jej włosów i grzbietu oceanem pełnym robactwa albo węży. Nie chodzi tu bowiem o substancję lecz esencję. Urokliwość erotyzmu, chce się rzec, to tylko jeden z wielu aspektów — zresztą na swój sposób niebezpieczny, gdyż potrafi przestąpić powab Staruchy. Odrzuciwszy go, potpiwszy, pozbawia się Mrok i Kobieta — w konsekwencji zaś siebie samego — psychicznej tożsamości, na miejsce kuli-stych związków wprowadzając już tylko wykluczanie się ostrych alternatyw. I kobiecość może już być tylko święta albo przeklęta, tylko słodka albo pełna goryczy, tylko cicha albo hałaśliwa jak piekło. A jednak w kuli-stym świecie księżycowych przyptyków i odpływów jest inaczej. W miniaturce „Groza lotniczych wypadków” Przybyły ów kobiecy metasens jest „aniołem morza”: „Podparta jedną ręką, z drugą wyciągniętą pochyła się nade mną leżącym, nad moim ciałem (...) Na moim torsie krzepnąca krew. W jej oczach nikiący kontynent Australii, zielono-niebieskie antypody”.

Nikiące kontynenty, matowe ciepło fal o zachodzie słońca, gmatwanina znaków o dawno zapomnianych rodowodach, w połączeniu z perfekcją rysunku, z wysmakowaniem każdego szczegółu — oto jeszcze finalne odczucie po spotkaniu z tą imaginacją.

■
Czarna Księga była prezentowana na „Wystawie Książki Artystycznej i Awangardowej 1919 — 1992”, Warszawa 1992, Centrum Sztuki Współczesnej.

Festiwal „á part” ma już wielu swoich serdecznych zwolenników, choć nie ma jeszcze takiej popularności, jak poznańska Malta, która jest po prostu świętem miasta. Na Malte przychodzą także ci, którym na co dzień teatr alternatywny życia nie wypełnia, jeśli jednak katowicki przegląd zdoła się utrzymać na powierzchni kulturalnych zdarzeń, to z pewnością jego publiczność będzie rosła w siłę z roku na rok. Dziś jest to właściwie jedyna okazja do spotkania się mieszkańców stolicy województwa z odmiennym wyrazem teatralnej rzeczywistości, upadły bowiem Spotkania Teatrów Wizji i Plastyki, zaś Gliwickie Spotkania Teatralne dzieją się w odległości prawie godzinnej jazdy pociągiem, co zniechęca wielu wytrwałych teatromanów.

Organizatorem festiwalu „á part” jest Górnośląskie Centrum Kultury, któremu w tym roku dzielnie pomagał Teatr Cogitatur. Gospodarze województwa wsparli wysiłki Marcina Hericha, oddanego sprawie szefa przeglądu, kwotą 100 mln zł. Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej dała aż pół miliarda, ale z przeznaczeniem celowym, jakim było sfinansowanie dwóch teatrów niemieckich, drobne sumki dali inni sponsorzy. Miasto Katowice złożyło natomiast deklarację, że... festiwal go nie interesuje i nie dorzuciło do składki ani grosza, choć wszystkie przedstawienia odbywały się na jego terenie i dla jego mieszkańców stanowiły atrakcję. Dziwiono się tej postawie powszechnie, ale to nie pierwsza decyzja katowickich władz, której nijk nie da się logicznie uzasadnić...

„A part” znaczy „obok” i jest to nazwa ze wszech miar do tych prezentacji przystająca. W ciągu czterech dni (21-24 czerwca) obejrzelśmy kilkanaście diametralnie różnych spektakli, ani jeden z nich nie mieścił się jednak w konwencji teatru akademickiego. Teatr alternatywny to termin tak pojemny, jak postmodernizm, ale dzięki szerokiej formule, publiczność mogła spotkać się z tym, co na obrzeżach teatru oficjalnego czy instytucjonalnego, najlepsze i najbardziej godne dyskusji.

III Międzynarodowy Festiwal Teatrów „á part” był naprawdę udany i właściwie nie było na nim przedstawień jałowych, choć zdarzały się bardziej i mniej odkrywcze. W nieoficjalnym rankingu zwyciężyła bezapelacyjnie francuska Compagnie Cacahuete z Bollene, grupa przyjaciół, artystów różnych profesji, którzy zbierają się razem każdego lata i krążą po Europie

szokując niekonwencjonalną formą i mądrą pogardą dla schematycznych zachowań społecznych. Zespół przywiózł do Polski trzy propozycje: towarzyski happening „Uczta Kanibalów” (goluśki aktor w charakterze talerza, na którym podano wędlinę oraz Bachus, z kranikiem wina pod brzuchem), czystą zabawę pt. „Kochane dzieciaki” oraz wstrząsający, groteskowo-tragiczny „Pogrzeb Mamy”, w którym garstka francuskich aktorów wciągnęła w parateatralne działania ponad 600 przechodniów, sparaliżowała ruch na głównych ulicach miasta, napędziła

nią prawdą. Na przeciwnym biegunie poetyki scenicznej usytuował się Theaterlabor z Niemiec, który swojemu „Barokowi” nadał formę wielkiego widowiska plebejskiego, wychodząc z powolnej, przerysowanej konwencji jarmarcznej improwizacji, a kończąc całość brawurową zabawą wszystkich obecnych. Młodzi aktorzy z Bielefeld, wkładając maskę wędrownych kuglarzy, imponowali przede wszystkim rozległością warsztatu, bogactwem pomysłów i wspaniałym, spontanicznym stosunkiem do własnej sztuki.

Drugi gość z Niemiec – Theaterwerkstatt pokazał spektakl pt. „Umschlagplatz, Laufschritt...”, poświęcony zagładzie warszawskiego getta. Dokumentalno-poetycka opowieść, mimo kilku przejmujących pięknych i oryginalnych scen, nie wprawiła widowni w euforię. Być może dla Niemców widowisko to miało specjalne, psychologiczne znaczenie, nam jednak nie odkryło żadnej nowej prawdy i nie powiedziało niczego o osobistym stosunku realizatorów do świata, który budowali w zamkniętym prostokącie sceny. Podobnie nie znaleźliśmy specjalnego sensu w rockowej wersji Szekspirowskiego „Hamleta”, jaką przywiózł ze Słowenii Teatr „Gledaliscze Glej”, choć cieszyła oko świetna choreografia i znakomite przygotowanie ruchowe (oraz kondycja!) wykonawców.

Foto: Arkadiusz Lawrywianiec

Obok – nie znaczy na marginesie



„Pogrzeb Mamy” francuskiej Compagnie Cacahuete. Scena z katowickiego Rynku.

strachu policji i służbom miejskim, a w konsekwencji – obnażyła wszystkie bezsensowne i schematyczne czynności, jakim poddajemy się (często wbrew własnej woli i rozsądkowi), uczestnicząc w ceremoniałach okolo-pogrzebowych. Spektakl – oparty na wspaniałej kontrolowanej improwizacji i scenariuszu, pisany przez okoliczności i zachowania widzów – był fingowanym pogrzebem, w którym dziwaczni żałobnicy próbowali wejść z trumną do tramwaju, do baru McDonalda etc. Nieodparcie śmieszny, nie był w żadnym razie parodią pogrzebu czy kpina z bolesnych uczuć, a tylko brutalnie szczerą demaskacją konwensu.

Szczerłość to także największa zaleta „Spowiedzi w drewnie” Jana Wilkowskiego, którą przedstawił Teatr 44 z Szamocina – rzadki już w Polsce przykład sceny najprawdziwiej amatorskiej, która nie sili się na kulawy profesjonalizm i dzięki temu może zachwycać autentyzmem i psychologicz-

i katowicki Cogitatur. Gospodarze pokazali „Cztery sny Hoelderlina”, króciutką etiudę, pełną ładnych skojarzeń i pomysłów realizacyjnych, którym wąska i duszna przestrzeń siedziby Teatru Cogitatur wyraźnie sprzyjała. Teatr Snów realizuje natomiast swoje impresyjne opowieści w wolnej przestrzeni plenerowej, którą, za pomocą symbolicznych znaków plastycznych (żagle niesione przez płynących na szczydlach aktorów), pięknej muzyki i uduchowionego (w najlepszym tego słowa znaczeniu) aktorstwa, zmienia w wymaginowaną „Republikę marzeń” czy „Ogród”. Gdańskie spektakle pełne są harmonii i poetyckiej aury, którym nie zaszkodziła nawet parszczywa pogoda, jakiej doświadczyli goście z Wybrzeża w Katowicach. Niestety, strugi ulewnej deszczu uniemożliwiły występ słynnego Teatro Nucleo z Włoch, choć aktorzy i widzowie zaklinali niebo, by choć na chwilę rozciągnęło nad nimi parasol...

HENRYKA WACH-MALICKA

Przed 30 laty Jerzy Zitzman zapragnął pokazać, swój wówczas, Państwowy Teatr Lalek „Banialuka” lalkarzem z innych krajów. Początkowo zorganizował Bielskie Rendez-Vous tylko dla teatrów przygranicznych. Dziś spotkania scen lalkowych gromadzą po kilkadziesiąt zespołów z kraju i zagranicy. Podczas tegorocznego XVII Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Lalek w Bielsku-Białej zobaczyliśmy 30 spektakli z 10 krajów europejskich. Więcej nie można było zaprosić z powodu coraz bardziej ograniczonego budżetu. Finansowe niedostatki sprawiły, iż nie przybył zapowiadany wcześniej japoński teatr z Hongo. Mimo to festiwal AD 1996 był na pewno bardziej udany aniżeli poprzedni, na którym goszczono zespoły nawet z Afryki i Ameryki. Zabrakło widowisk, których nie dało się oglądać, tak jak spektaklu jednego z teatrów tunezyjskich przed dwoma laty. Wiele przedstawień było znakomitych.

Należał do nich na pewno spektakl Jerzego Wyszehłida z teatru „Drak” z miejscowości Hradec Kralowe, zatytułowany „Przygotuj sobie widelec”. Czeski artysta wystąpił w tym przedstawieniu wraz z Jolaną Branną i Pawłem Czernikiem. Aktorzy spod Pragi dotarli do źródła muzyki. Udowodnili, że można wydobyć ją z niemal wszystkich dźwięków (na przykład odgłosów małżeńskiej sprzeczki), a potem powiedli w wędrowkę po wielu różnych epokach, stylach, gatunkach i formach muzycznych.

Mimo istotnego podobieństwa do wcześniejszych przedstawień Josefa Krofity podobał się inny występ teatru „Drak” pt. „Don Kichot”, w którym artyści i lalki wymieniali się funkcjami tak nieoczekiwanie, iż nie było czasem wiadomo, na jakim planie dzieje się akcja.

Na wyśmienity pomysł zainscenizowania piosenek pedagogicznych sprzed stulecia wpadli Katarzyna Grajewska i Tadeusz Pajdała, których widowisko „Ribidi rabidi knoll” zrealizował Janusz Ryl-Krystianowski z artystami Teatru Animacji. Karykatura procesu wychowawczego i wielu różnych konwencji i stereotypów pedagogicznych mogła rozśmieszyć każdą publiczność. Musiała jednocześnie wzbudzać refleksję nad skutecznością i celem wychowania. Widowisko znakomite dla kuratorów i ministra edukacji.

W konwencji kabaretu - tym razem ludowego - utrzymane było najlepsze chyba ostatnie widowisko „Banialuki” efektownie rozśpiewanej na góralską nutę. „Zbójnicka opowieść” Aleksandra Antończaka w muzycznym opracowaniu Krystyny Fuczik kon-



„Krzysztof Kolumb”. Spektakl plenerowy Teatru Lalek z Ostrawy na Placu Chrobrego w Bielsku-Białej.

Foto: Jan Picheta

sownego małżeństwa nie usprawiedliwiało nawet szczytne przesłanie moralne.

Łączenie wielu sztuk powiodło się za to kilku innym twórcom. Luc Amoros i Michele Augustin z francuskiej miejscowości Reiperswiller zblżyli teatr cieni do filmu z początku epoki kina. Trudno było uwierzyć, że to artyści za parawanem w pocie czoła nadają życie postaciom i przedmiotom. Wydawało się, że obraz jest przenoszony na ekran przy pomocy co najmniej kilkudziesięcioletniego projektora.

Wspaniałe było momentami połączenie teatru z plastyką, w czym gustuje Zygmunt Smadzik. Inszenizacja naszych marzeń w „Orfeuszu” Smadzika i artystów stołecznej „Lalki” działała niezwykle kojąco na widownię.

Na tereny zastrzeżone dotąd dla Dawida Copperfielda wkroczył ze swymi uroczymi marionetkami Stephen Mottram z Oxfordu. Ten niezwykle sprawny prestidigitator ożywił lalki nawet wówczas, gdy nie trzymał ich w dłoniach.

Festiwalowi artyści pokazali, że lalki można stworzyć z zupełnie „nieoczekiwanych” przedmiotów. Charles Feuerberg z Miejskiego Teatru Lalek w Kijowie uczynił to z chusteczek i ołówków, a Natalia Kotlarowa z moskiewskiego „Ogniwa” z kosmetycznych flakoników. Pierwszy zmieścił scenę w walizce, a druga w damskiej toaletce.

W wieloznacznym spektaklu pt. „Martwe słowa” Francois Lazaro połączonych sił „Banialuki” i Compagnie Francois Lazare z Paryża widzieliśmy lalki wykonane z protez dla kalek. Przygotowywane przez rok widowisko o niemożliwości zrozumienia drugiego człowieka, manipulacji i demystyfikacji sztuki wymaga jednak osobnego omówienia.

Jeśli dodamy do tej prezentacji kilka spektakli zrobionych „po bożemu”, choć w różnych konwencjach (np. niemiecki Figurentheater Gingganz z Meensen, Naivni Divadlo z Liberca czy Divadlo Loutek z Ostrawy) oraz mniej lub bardziej udane przedstawienie silnej grupy podlasko-suwalskiej (Towarzystwo Wierszalin, Teatr 3/4 - Zuzno, Białoostocki Teatr Lalek), będziemy musieli stwierdzić, iż siedemnaste bielskie spotkania były niezwykle bogate i stały na dobrym, a nawet bardzo dobrym poziomie.

Festiwal ujawnił, że lalki czują się świetnie nie tylko za parawanem. Potrafią znaleźć się znakomicie w każdych scenicznych warunkach, przybrawszy zupełnie nieoczekiwaną dla widza postać.

JAN PICHETA

Lalki czują się świetnie

frontowała współczesność z wartościami uosabianymi przez góralskich świętych.

O ile „Banialuka”, korzystając z pomocy animowanych przydrożnych świątków, odważnie wkroczyła na teren kultury ludowej - o tyle portugalscy twórcy z Porto połączyli teatr lalek z baletem. Joao Paulo Cardoso z Teatro de Marionetas do Porto oraz Isabel Barros z Ballet Teatre uzyskali jednak stosowny rezultat estetyczny tylko w jednym tańcu baleriny z kukłką. Była to raczej ciekawa próba niż artystyczne spełnienie.

Jeszcze mniej udany eksperyment zaprezentowali twórcy „Fausta” z Babkovego Divadla ze słowackiej Nitry, którzy próbowali pożenić opowieść o Fauście z teatrem lalek i muzyką dyskotekową, wykonywaną na żywo przez zespół rockowy. Niesto-

Tegoroczny sezon koncertowy Śląska Orkiestra Kameralna zakończyła uroczystym koncertem upamiętniającym piętnastolecie swego istnienia. Zespół, występujący na początku pod nazwą Orkiestry Kameralnej Filharmonii Śląskiej założył na początku 1981 roku Aureli Błaszczok, wybitny skrzypek młodego pokolenia, późniejszy laureat Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu. Orkiestra narodziła się nie tylko z potrzeby, ale i z bogactwa chwili. Znaleźli w niej zajęcie szczególnie uzdolnieni studenci i absolwenci wydziału instrumentalnego katowickiej Akademii Muzycznej. Po kilku miesiącach opiekę nad młodym zespołem przejął Jan Wincenty Hawel, ówczesny rektor uczelni. Łącząc w sobie talent dyrygenta, pedagoga i organizatora rektor Hawel doprowadził orkiestrę do wysokiego poziomu artystycznego, który w dziedzinie kameralistyki oznacza przede wszystkim wypracowanie odrębnego, charakterystycznego brzmienia i stylu gry zespołowej.

Jan Wincenty Hawel występował ze swoją orkiestrą dziesiątki razy, grając we własnej siedzibie oraz w salach koncertowych całego kraju. Szczególnie silnie zaznaczyli śląscy kameraliści swoją obecność na festiwalach muzycznych, poczynając od imprez poświęconych muzyce dawnej (szczególnie barokowej) do festiwalu muzyki współczesnej, takich, jak „Poznańska Wiosna Muzyczna”, „Musica Polonica Nova” we Wrocławiu czy „Ślą-

Piętnastka

MUZYKA

skie Dni Muzyki Współczesnej” w Katowicach. Wszechstronna obecność w polskim życiu muzycznym zawdzięcza Śląska Orkiestra Kameralna różnorodności repertuaru. W odróżnieniu od orkiestr specjalizujących się w określonym rodzaju muzyki, śląscy kameraliści starają się łączyć w swojej ofercie propozycje wybrane niemal z wszystkich epok muzycznych: grają barok, klasycyzm, szeroki przekrój stylów romantycznych (od wczesnego Mendelssohna do „późno urodzonych” neoromantyków w rodzaju Edwarda Elgara, wykonują też muzykę nową.

Orkiestra dokonała wielu prawykonań utworów kompozytorów śląskich. Z nich sporą grupę stanowią premiery dzieł Jana Wincentego Hawela, który znalazł w swych podopiecznych gorliwych interpretatorów swoich ekspresyjnych, pełnych życia kompozycji. Dalej idą wykonania utworów Henryka Mikołaja Góreckiego, Wojciecha Kilara, Józefa Świdra, Aleksandra Lasonia, Eugeniusza Knapika, Edwarda Bogusławskiego, Aleksandra Glinkowskiego, Andrzeja Krzanowskiego, Witolda Szalonka – czołówki aktywnych twórców naszego regionu.

Śląska Orkiestra Kameralna wielokrotnie pełniła funkcję ambasadora polskiej

kultury muzycznej występując z granicą, m. in. w Niemczech, Austrii, Czechach, Słowacji, Francji i Szwajcarii. W archiwum zespołu znajduje się sporo recenzji z wyrazami uznania, a nawet entuzjazmu dla talentu sprawności katowiczian.

Zagraniczni krytycy często podkreślają „słowiański temperament”, ekspresyjność gry i zdyscyplinowanie muzyków orkiestry. W ciągu piętnastu lat istnienia wystąpiło z nimi wielu znakomitych solistów polskich i zagranicznych. Orkiestra grała także pod batutą obcych dyrygentów tej miary, co Sir Yehudi Menuhin, Justus Franz, Jan Krenz.

Codzienną działalność koncertową łączy zespół z pracą dokumentacyjną. Wraz ze swoim szefem dokonał wielu nagrań archiwalnych dla Polskiego Radia, utrwalił ponadto część produkcji na płycie kompaktowej. Rozwijając się w trudnych warunkach przemian społeczno-gospodarczych orkiestra udowodniła swoim nieustannie podnoszonym poziomem nie tylko sens swojego istnienia, ale i ogromną pożyteczność środowiskowej roli. W ostatnich latach Śląska Orkiestra Kameralna – do niedawna jedyna tego typu placówka na Śląsku – zyskała konkurencję w postaci małych orkiestr miejskich. Oznacza to, że rodzaj upowszechnianej przez nią muzyki cieszy się coraz większym zainteresowaniem. Będzie więc dla kogo grać przynajmniej przez kolejne piętnastolecie.

MAGDALENA DZIADEK

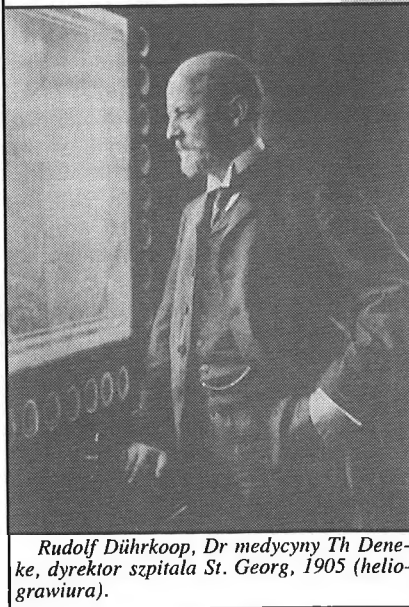
Kupiec Rudolf Dührkoop (1848–1918) fotografią zajął się jako amator. Miał 34 lata, gdy postawił jednak na zakład fotograficzny w Hamburgu; drugi w centrum Berlina otworzył w roku 1902. Własną drogą doszedł do mistrzostwa w fotografii portretowej. Swych modeli – elitę Berlina i Hamburga – wprowadził z atelier; utrwalił ich w mieszkaniach, w plenerze, w swobodnych pozach i gestach. Sugestywne portrety jego autorstwa stały się szczególnym wkładem w dzieje fotografii. Do najwybitniejszych na świecie portrecistów i pionierów secesyjnej fotografii piktorialnej zaliczany jest z kolei drezdeńczyk Hugo Erfurth (1874–1948), u którego nauki pobierał wielki polski fotografik, Jan Bułhak. Imponujący artystyczny warsztat i pedagogiczne osiągnięcia każą zaliczyć do najwybitniejszych fotografików XIX wieku innego drezdeńczyka, urodzonego we Wrocławiu Hermanna Krone'a (1827–1916). Autor interesujących portretów, także aktów, fotografii pejzażowej i naukowej (od astronomii po kryminalistykę!) dał jednocześnie świadectwo rozwoju techniki fotografowania od dagerotypii (tą techniką robił zarówno zdjęcia mikroskopowe, jak i fotografie gwiazd!) i kalotypii, po suche płyty żelatynowe. Jego eksperymentalne prace, realizowane na usługi radiologii są jednymi z cenniejszych w fotograficznej kolekcji wrocławskiego Muzeum Narodowego.

To elita światowej fotografii. A jeszcze byli, m. in.: monachijski litograf a potem fotograf-portrecista bawarskich osobistości – Franz Hanfstaengl, ujmujący udanymi próbami nasycenia portretu psychologią (np. w srebrożelatynowym „Portrecie chłopca” z 1892 r.) – Wilhelm Weimer z Darmstadt, czy Emilie Bieber – pionierka, założycielka (1852) jednej z pierw-

szych niemieckich pracowni fotograficznych (pierwsze atelier otworzył Johann B. Isenring w lipcu 1841 w Monachium). Ich prace mogliśmy w lipcu oglądać w galerii „Pustej” Górnośląskiego Centrum Kultury w Katowicach.

Niemcy na dagerotypach

FOTOGRAFIA



Rudolf Dührkoop, Dr medycyny Th Denke, dyrektor szpitala St. Georg, 1905 (helio-grawiura).

Przygotową przez stuttgartarki Institut für Auslandbeziehungen, ekspozycję „Fotografia portretowa w Niemczech 1850–1918”, prezentującą osiemdziesiąt zdjęć, udostępnił nam – a wcześniej Muzeum Sztuki w Łodzi i w sierpniu krakowskemu Muzeum Historii Fotografii – Instytut Goethego w Warszawie.

Pierwsze zdjęcie za pomocą aparatu, heliofotografię zrobił Nicéphore Nieépce w 1826 r. Dziewięć lat później pierwszy negatyw sporządził (techniką najbliższą fotografii współczesnej) Anglik William Talbot. Swą metodę kalotypii opatentował a tym samym... schował przed światem. Inaczej postąpił Francuz Louis J. M. Daguerre. Ogłoszenie 19 sierpnia 1939 r. jego metody, nazwanej potem dagerotypią, uznano więc za początek fotografii. Od razu stała się niezmiernie popularną. Może dlatego, że jakby dla portretu nowa technika się pojawiła. Choć... na przykład Baudelaire twierdził, że portret to najgorsze, a dokumentacja architektoniczna i geograficzna to najlepsze przeznaczenie nowego wynalazku. Okazało się, że jego zastosowanie może być daleko szersze. Oto teraz możemy przyjrzeć się losom społeczeństwa między Stuttgartem a Wrocławiem, które na zdjęciach z lat 1850–1918 utrwaliło swe sukcesy, prestiż, zainteresowania, rodzinne i towarzyskie obyczaje. Jedni w pracowniach mistrzów zaliczanych już wtedy, a teraz i przez historię, do największych artystów fotografii, inni – u anonimowych dziś właścicieli wielu rozmaitych zakładów fotografii portretowej. Dzieło czy tylko dokument, dla nas okazują się jednakowo interesujące i cenne.

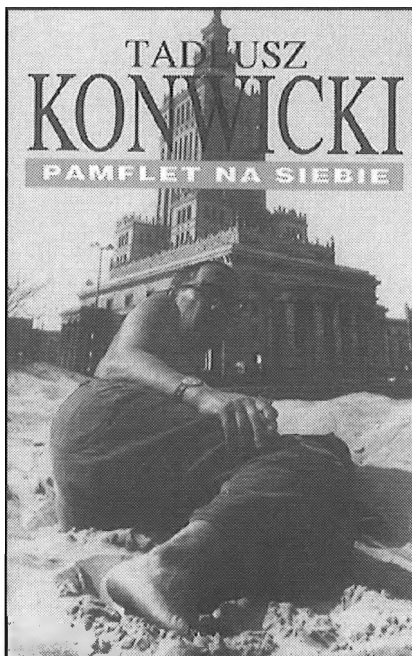
Foto: ARC

MAREK SKOCZA

Ostatnia książka Konwickiego, kolejna po *Czytadle*, to przejmujący zapis myśli człowieka, który przekroczył smugę cienia. Na szczęście nie ma w tym przesłaniu narzucającego się patosu, strogiej powagi, mentorskiej zgryźliwości. Otrzymujemy dokument pełen przekornego wdzięku i humoru, *Pamflet na siebie* — spodziewany u Konwickiego, który swobodnie miesza wątki autobiograficzne i fikcyjne. Uzupełnia go seria krytycznych wypadów na pozycje współczesnej historii, nauki, literatury i kultury. Powszechnie odczuwany kryzys znajduje swoje odbicie także w wynaturzeniach obyczajowości. *Pamfletowi na siebie* — otoczonemu coraz bardziej obcą rzeczywistością — towarzyszy „pamflet” na formułę ludzkiej egzystencji, której różnych faz autor doświadczył, rozpoznał je i opisał ku pożytkowi własnemu i innych.

Zresztą — gatunkowy gorset pamfletu niezbyt ciasno opina amorficzną, rozpełzającą w różnych kierunkach treść książki. Trudowi czytelnika sekunduje czujnie jego sprawca, natrząsający się z pośpiesznych, a nietrafnych rozpoznań kreowanego tu, literackiego „gatunku”: „Gdyby ktoś powziął podejrzenie, że komponuję aforyzmy, to oświadczam publicznie: macie do czynienia z gęstym strumieniem świadomości, zresztą świadomości, której kłania się zacny doktor Alzheimer.” A w innym miejscu szyderstwo łączy się z celnym spostrzeżeniem na temat „technik” wytworzenia tekstu: „Strumień świadomości. Raczej kapanie świadomości.” W istocie utwór rozpada się na wiele mniejszych i większych „kropel”. Najkrótsze zamykają się w dwóch wierszach druku, najobszerniejsze obejmują kilkanaście wierszy. Wyznania i wspomnienia, nieliczne anegdoty o współczesnych, aforyzmy i dowcipne maksymy życiowe oddzielone są od siebie zmieniającymi się ikonkami — serduszkami, telefonikami, samolocikami.

Z materii osobistych legend oraz z rozważań autora na aktualne tematy wynikają — lub stają się do nich pretekstem — zdania o randze prawd i praw egzystencjalnych. Dla wiernego czytelnika Konwickiego — a takim właśnie czytelnikiem jest autorka tych słów — „dyslokacja” owych prawd nie stanowi zaskoczenia. Dotyczą one bowiem „dołu” i „góry”, sfery niejako animalnej w człowieku z jednej strony oraz przestrzeni, którą graniczy on z transcendencją — z drugiej. Jednostkowe doświadczenie elementarnych ludzkich przypadków, takich jak tajemnica witalności i zawodności ciała «choroba, rekonwalescencja, śmierć» i spleciony z nimi lęk o podłożu organicznym czy społecznym, mają — jak się okazuje — zastanawiające „wypustki” metafizyczne: „Strach idzie przed nami i za nami przez całe życie. Miejmy nadzieję, że nie dalej”. Lakoniczność zawartej w tym zdaniu supozycji nie osłabia bijącej z niej grozy. Ale jest to groza spętana, zakneblowana, obezwładniona specyficznym dowcipem Konwickiego, który godzi przede wszystkim w osobę autora. Uderzające, jak niewiele w tych notatkach konkretnych odniesień do społecznego kontekstu, oczekiwanych w książce autobiograficznej opowieści o znajomych, przyjaciółach i wrogach: „Odegrać się na równieśnikach. Zemścić się na rywalach. Ale co to da.” Zamiast przeciwstawić światu „swoją” prawdę «równie zawodną jak wszelkie prawdy konkurencyjne». Konwicki koncentruje się na relacji „ja-Bóg-wszechświat”,



Tadeusz Konwicki; *Pamflet na siebie*. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1995, str. 150, 2 nrb.

Książka o umieraniu

usiłuje związać odchylające się od siebie poziomy profanum i sacrum.

Kreuje w tym celu podmiot literacki bardzo typowy dla swych książek. Kondycję rzeczywistości określa samopoczucie bohatera i sprawy zapisków. Podobnie jak on sam, świat znalazł się w stadium schyłku, blisko granicznego przejścia na „tamtą stronę”. Wątek pesymistycznej konfesji starego pisarza, któremu najwyraźniej świat przestał się podobać, kulminuje w prowokacyjnym stwierdzeniu, iż samotność jest naturalnym stanem egzystencji, o którym nie wypada mówić. Równie błyskotliwie usprawiedliwia się on z prezentowanego tu i ówdzie malkontentstwa: „Mój dar przewidywania bierze się z pesymizmu. «...» Bo pesymizm jest bardziej profetyczny od optymizmu”.

Obok niechętnych uwag o wpływie kultury masowej na „średnią smaku” przeciętne go odbiorcy, o niedobrych zmianach w obyczajowości współczesnej, pojawiają się fragmenty rehabilitujące banał, ten „uniwersalny alfabet”, „esperanto” nieodzowne w międzynarodowej komunikacji. Nie ma rady na Konwickiego! Czytelnik znajduje np. wyświechtaną metaforę: „ja wyższy — ptak”, „ja niższy — płaz” i krzywi się z niesmakiem. No proszę — triumfuje — a jednak przyłapałem mistrza! — Nic z tego. Autor właśnie z niewinna miną wygłasza przewrotną pochwałę frazesu. Zatem miejmy się na baczności. To nie jest gawęda emeryta, utyskującego na słabnącą pamięć. To zaprogramowana z góry, podstępna gra z czytelnikiem, którego usypia się biadoleniem i rzekomą bezbronnością, by go następnie ocucić i zmusić do koncentracji... wstrząsem elektrycznym. Ten dyskurs składa się z samozaprzeczeń, jest zapisem myśli, która

wytwale poszukuje, nie zadowolając się tym, co już znalezione. Dlatego tak ekscytująca to lektura. Zarazem cieszy i drażni. Podobnie jak sam Konwicki, który tak się zwierza: „Kiedyś mi się wydawało, że jestem lubiany. Ale z czasem sprawa zaczęła się wyjaśniać. «...» Nawet święci irytują, a cóż dopiero ja”.

Mamy więc do czynienia z twórcą świadomym cech swojego warsztatu, z autorem, który stworzył sobie tylko właściwy typ wypowiedzi fikcyjno-dokumentalnej. Porównuje go do „pokracznego, nieudalego” gmachu, który stał się groteskowym symbolem prawie pięćdziesięciu lat Polski powojennej: „I ja wnoszę swój pałac kultury z moich książek. Budowałem go z różnych elementów powtarzających się w innych wariantach, lepłem go z własnego budulca, zniesionego z kraju dzieciństwa i z miast, w których się potem tułałem. «...» ze środka tego skromnego drapacza chmur, przez przezroczyste szyby mojej ekoplazmy widać współczesność mego świata: kobiety, które kochałem albo chciałem kochać, mężczyzn, z którymi rywalizowałem, zwierzęta towarzyszące mi w drodze i wielką dekorację tandetnej historii, przewracającą się od burz, huraganów i tchnień zziębniętych tłumów”.

Krytyczny dystans do własnego dorobku, demonstracja obłudnej skromności chytrego Litwina, «szczególnie uroczy element wyposażenia tego i wcześniejszych mediów autora» oraz uzasadniona duma wybitnego twórcy, patronują w tej książce nurtowi rozważań autotematycznych. Snuje te rozmyślenia autor oryginalny i zarazem poczytny — co zwykle nieczęsto chodzi w parze, pisarz, który oparł się pokucie jałowego eksperymentowania, ponieważ — przynajmniej autoironicznie: „chciał pogadać, aby pogadać”. Kontakt z czytelnikiem, komfort niezakłóconego porozumienia z publicznością wart jest dla niego więcej niż etykieta nowatora. Owo ciekawe „exegi monumentum” zamyka jakże trafna, syntetyczna oraz przemiewcza formuła własnego dorobku «czy ostrożnie — ważnej grupy tekstów Konwickiego.» „Rozpaczliwy autodokumentaryzm z liryczną eschatologią w tle”.

Brakuje tutaj miejsca, by oddać sprawiedliwość wszystkim tematom, po których przeslizguje się docieklive pióro „pamfletysty”. Kultura przeciwstawiona naturze podwileńskiego Edenu... i przenikliwiej mądrości kota Iwana. Polityka jako azył dla „niewydarzonych”, usuniętych z lepszych miejsc rzeczywistości. Męskość i kobiecość dawniej i dziś. Świadomość jako uciążliwy prezent nieprzeniknionego Boga i różne rodzaje ambicji w charakterze antidotum na świadomość, w tym ambicje erotyczne i literackie. Dolegliwość życia w epoce kryzysu i przelomu w historii, nauce, sztuce moralności. Nostalgia miesza się w tych słusznych rozpoznaniach z dotkliwą kpina.

Jest to książka o umieraniu: jednostki, epoki, natury w niepewnym uniwersum, gdzie Bóg oznacza metaforę Wielkiej Niepoznawalnej Tajemnicy. «Zauważyły: poznanie Boga - *quam ignotum* jest dla mistyków najwyższą formą wiedzy o nim.» Przesłanie Konwickiego omija szczęśliwie Scyllę zgorzknienia i Charybde gawędziarskiej zdawkowości. «Poczucie humoru — pierwszy semestr szkoły filozofów» oraz «jak zwykle» ważność i aktualność spraw, o których mówi, czynią jego książkę — poważną przecież — zabawną i atrakcyjną.

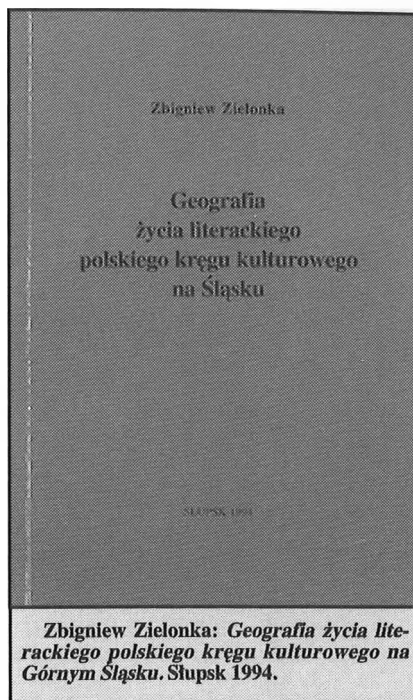
KRYSTYNA
KRAŁKOWSKA-GĄTKOWSKA

Książki

Nieczęsto do rąk czytelników docierają książki, wzbogacające wiedzę o życiu literackim i kulturze Śląska, tak ważne jak wydana — rzecz pozornie zaskakująca — w Śląsku *Geografia życia literackiego polskiego kręgu kulturowego na Górnym Śląsku*. Jej autor — znany pisarz i badacz dziejów śląskiej kultury Zbigniew Zielonka jest bowiem pracownikiem naukowym śląskiej WSP, która rzecz tę wydała. Inna rzecz, że przykład tej książki, praktycznie nieosiągalny tam, gdzie wzbudzić powinna największe zainteresowanie, stanowić może przyczynek do dyskusji nad swoistą niewydolnością dzisiejszego systemu dystrybucji wydawnictw naukowych, ginących w zalewie literatury popularnej. A pozycja ta, licząca niemal 400 stron druku, spełniająca wszystkie rygory dzieła naukowego, trafić powinna nie tylko do badaczy, zainteresowanych przeszłością Śląska, kulturą i literaturą tego regionu, ale zasługuje z pewnością na uwagę znacznie szerszego grona odbiorców, dla których stanowić może prawdziwą kopalnię faktów i informacji, ujętych w postaci haseł słownikowych, o poszczególnych miejscowościach oraz o związanych z nimi ludźmi kulturę tę tworzących od czasów najdawniejszych do współczesności. Do tej pierwszej grupy potencjalnych odbiorców książki adresowane są rozdziały początkowe, analizujące teoretyczne aspekty pojęcia „geografii życia literackiego” i historii jego kształtowania się, poczynając od romantycznego przełomu, każącego poprzez uwzględnienie „kolorytu lokalnego” dostrzegać związki pomiędzy środowiskiem geograficznym, przyrodniczym i kulturowym a człowiekiem — także, a może nawet przede wszystkim, artystą czy pisarzem. Druga połowa wieku XIX, idąc śladem myśli Hipolita Taine'a zjawiska te określała już nie w kategoriach wpływu, a determinizmu, przypisującemu dziełu literackiemu daleko posuniętą zależność od czynników zewnętrznych.

Najważniejsza jednak część książki Zbigniewa Zielonki to słownik miejscowości Śląska w jego historycznych granicach. Każde z haseł obejmuje informację o faktach i zjawiskach literackich, dotyczących danej miejscowości, o związanych z nimi środowiskach twórczych, instytucjach kulturalnych, organizacjach, prasie itp. Oczywiście, jak pisze we wstępie sam autor, niemożliwe było ujęcie w tej postaci wszystkich faktów, trudno np. byłoby uwzględnić w każdym z haseł miejscowych działalność różnorodnych polskich organizacji, rozciągającą się w XIX wieku na znaczne obszary Śląska. Niemal w każdej miejscowości spotkać się można było wówczas z różnorodnymi inicjatywami oświatowymi, samokształceniowymi, rozwojem bibliotek i propagowaniem czytelnictwa. Mimo to lektura kolejnych haseł geograficznych fascynuje odkrywaniem wyłaniającego się z nich obrazu podskórnego nurtu polskiej kultury na Śląsku, tętniącego życiem przez wieki.

Integralną częścią tych haseł są także biogramy pisarzy i innych osób współtworzących życie kulturalne tego regionu, urodzonych w danej miejscowości. Szukając interesujących nas nazwisk — a zrobić to można bez trudu posługując się indeksem — docieramy jednocześnie



Literacka mapa Śląska

do historycznej geografii Śląska. Chociaż wiele z posiadających tu własne hasła miejscowości zostało dziś zdegradowanych do roli dzielnic wielkich miast, to przecież np. Norberta Bonczyka szukać musimy w Miechowicach (dziś to już dzielnica Bytomia), a Wojciecha Korfantego — w Sadowicach, będących od dawna częścią Siemianowic.

Oczywiście — rzecz to nieunikniona przy tak obszernym materiale faktograficznym — zawsze dyskusyjna będzie sprawa obecności lub nieobecności konkretnych nazwisk, zwłaszcza gdy pominięcie kogoś sprawia wrażenie niekonsekwencji, choć autor zastrzega, że fakty i biogramy dotyczące okresu po roku 1939 nie tworzą kompletnego obrazu. Dla przykładu jednak — znajdując biogramy kilku wybitnych śląskich biskupów na próżno szukalibyśmy kardynała Augusta Hlonda, urodzonego w Brzęczkowicach koło Mysłowic. Problem owej niekonsekwencji — choć podkreśliłmy raz jeszcze, że przy tej skali obszerności materiału to rzecz w istocie marginalna — staje się wyraźniejszy zwłaszcza tam, gdzie mamy do czynienia z „pogranicznymi” tematami. Jednym z nich jest kwestia pisarzy niemieckich. Książka — jak podkreśla to wyraźnie jej tytuł — dotyczy polskiego kręgu kulturowego, uwzględnia jednak tych pisarzy niemieckich, którzy w jakiś sposób z kręgiem tym byli poprzez swoją twórczość związani, tym bardziej, że — jak podkreśla autor — w sytuacji kulturowej Śląska kręgi polski, niemiecki i czeski wzajemnie się przenikały. Znajdziemy więc np. urodzonego w Łubowicach romantycz-

nego poetę Josepha von Eichendorffa, próżno jednak szukać urodzonego w Gliwicach Horsta Bienka czy pochodzącego z Zaborza Janoscha (Horsta Eckerta) — pisarzy, których powieści są tak mocno osadzone w realiach śląskich. Inne „pogranicze” to obecność twórców związanych z innymi niż literatura dziełami sztuki, jak film, teatr, muzyka. Nie dziwi np. obecność Kazimierza Kutza, który dał się poznać także jako pisarz, czego nie można powiedzieć o wszystkich nazwiskach z tego kręgu, choć przecież do ich wykreślenia trudno byłoby namawiać. Tu jednak owa niekonsekwencja wydaje się być wyraźna. Jeszcze inne pogranicze to kontakty pisarzy polskich ze Śląskiem. Choć znajdziemy np. informację o pobycie Ludwiga van Beethovena w Głogówku (lecz już nic o podróży po Dolnym Śląsku Johanna Wolfganga Goethego), to próżno szukać wiadomości o pobycie Cypriana Kamila Norwida w Mikołowie, podróży Zygmunta Bogusza Stępczyńskiego, autora poematu „Śląsk” czy o kuracji księżny Izabeli Czartoryskiej w Cieplicach, opisanej w jej diariuszu podróży. Oczywiście znaleźć można tu też nieuniknione drobne potknięcia, jak np. błędny rok urodzenia Augustyna Świdra czy wpisanie na listę działającego w latach 1836—1886 przy Uniwersytecie Wrocławskim Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego niektórych nazwisk (Stabik, Szafrank, Korfanty) osób, które swe studia odbyły w okresie wcześniejszym bądź późniejszym. Wszystko to w gruncie rzeczy jednak drobiazgi w porównaniu z ogromem pracy, o której sam autor pisze, iż jest ona „zadaniem dla grup, zespołów, instytutów naukowych”, zastrzegając — chyba niepotrzebnie — że będąc dziełem jednego autora może ona „prezentować się jako nie dopełniona próba”.

Książka Zielonki, będąc w istocie dziełem skończonym, może stać się jednak materiałem dla dalszych prac. Z jednej strony część słownikowa zasługiwałaby na oddzielne, popularne wydanie, adresowane do szerokiej rzeszy czytelników. Równocześnie to kapitalny materiał dla kontynuacji badań, których perspektywę kreśli autor w rozdziale ostatnim, wskazując szereg problemów zaskakujących na szczególną uwagę, a związanych m.in. z przenikaniem się polskiego i niemieckiego kręgu kulturowego, śledzeniem dróg wykształcenia Ślązaków, migracji mieszkańców tego regionu, relacji pomiędzy literaturą polską na Śląsku a literaturą ogólnonarodową. Powiedzmy także, że jest to droga do stworzenia bazy faktów obejmującej zagadnienia życia literackiego — a może i najszerzej pojętego życia kulturalnego? — na Śląsku we wszystkich jego aspektach narodowych, polskim, niemieckim, czeskim, żydowskim. Zakończmy refleksją Zbigniewa Zielonki, wyrażającą nadzieję, że jeśli ta praca „okaże się tylko szczeblem ułatwiającym innym dalsze wspinanie się po drabinie wiedzy socjokulturowej tak, by idący wyżej objęli z czasem cały krajobraz geograficzny naszej literatury, to już spełni swoje zadanie. Autor ma przy tym jedną przynajmniej satysfakcję: że znów pierwszym tego rodzaju krajobrazem w literaturze polskiej będzie Śląsk.”

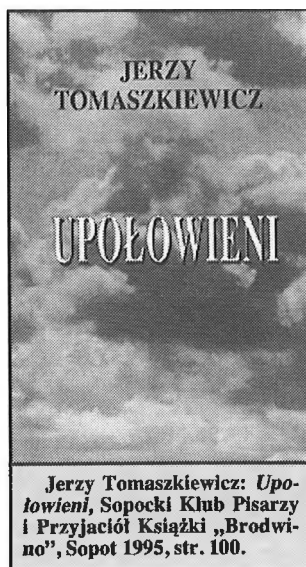
JACEK LYSZCZYNA

W gorzkim obłoku

Pod względem artystycznym pozycja Jerzego Tomaszkiwicza broni się znakomicie. A jednak nie sposób o niej mówić w oderwaniu od kontekstu politycznego. Bo i sam autor od zawsze w taki kontekst świadomie się wpisywał. W manifestcie *Romantyzm — szansa pokolenia* (1971) dowodził: „największa polska poezja była zawsze „*tym co oscala*”, pełniła funkcję *nepodległej książki, prasy*.” Jest autorem bodaj pierwszego przemyczonego przez sito PRL-owskiej cenzury wiersza o Katoryniu („*nad ich czolem/nie przyjął się las/ a przecież /przedej wrośli w milczeniu/ niż sprasowany ołów/w tył głowy*”). Był założycielem grupy poetyckiej „*Stajnia*” (wędruje wciąż po literackich turniejach na Śląsku jeden z dawnych „stajniowców”, Zbigniew Dymecki w zielonej marynarce z kościanymi guzikami) i Konfederacji Nowego Romantyzmu. Poeta pokolenia 1968 roku książkowo debiutuje *Gorzkim obłokiem* wydanym przez PAX dopiero w 1978. Wówczas JAN MARX zauważa zgryźliwie, że Tomaszkiwicz więcej zapowiadał niż spełnił w późnym debiucie. Tymczasem w czasie, gdy poezje Tomaszkiwicza nie mogły ukazać się w druku zwartym — tzw. Nowa Fala drobila się kombatantkiej legendy. Ale to inna historia. Dalej — przywracał do obiegu wartości kulturalnych Tomaszkiwicz twórców „*Sztuki i Narodu*” (edytor *Pożegnania z mistrzem* Wacława Bojarskiego, redaktor i główny autor „*Portretów twórców Sztuki i Narodu*”). Był wreszcie autorem jednych z najpopularniejszych, krążących w odpisach wierszy stanu wojennego: *Napis i Na progu* (znany również pod tytułem *Matka Boska Strajkująca*).

Cała ta wyliczanka świadczy o barwnym życiu, ale może zniechęcić nieco do lektury poezji jako takiej. Tymczasem — jak rzekłem — wiersze Tomaszkiwicza znakomicie bronią się pod względem artystycznym. Jego twórczość wpisuje się w tradycję polskiej poezji retorycznej, narodowej, romantycznej, zachowując równocześnie liryczny, chociaż paradoksalnie nieraz wybijający marszowym rytmem, ton. Jednocześnie odnajduje się jako autor erotyków, co potwierdza raz jeszcze, iż romantyzm do życia oprócz reżutu Ordonów potrzebna jest także największa ludzka miłość.

Zbiór poezji Tomaszkiwicza *Upołowieni* jest takim właściwie wyborem wierszy. Wyborem równie spóźnionym jak spóźnionym debiutem był ów *Gorzki obłok* sprzed lat osiemnastu. Znajdziemy tutaj najświeższe utwory Tomaszkiwicza, które niegdyś urosły do rangi poetyckich manifestów, o wiele zresztą dobitniejszych niż ów teoretyczny manifest *Romantyzm — szansa pokolenia*, w którym autor dowodził, iż „*pisanie o sprawach błahych, ograniczanie się ewokowania chwilowych wypaczeń języka wyrzuca poezję poza nawias potrzebnej narodowi literatury*”. Ale wróćmy do poezji: „*taki zbrojny jestem/głodem*



codziennym /wilkiem żyję/ w polskiej kniei”. Tomaszkiwicz jako poeta jest zwierzęciem politycznym. Identyfikując się z pokoleniem „skarconych przez historię” widzi poezję także jako narzędzie odkłamywania historii, upominania się o prawdziwy obraz dziejów. Nie bez przyczyny w kilku utworach pojawi się ostry atak na wszelkiego rodzaju estetyzm: „*o tym nie można dłużej/wierszem białym /gładkim/ bez bólu*” albo: „*fakże poeta śpiewać ci piękniej(...)* tutaj nieraz trzeba jeszczel w piersi pchnąć wierszem/ jak nożem”.

Jerzy Tomaszkiwicz wie co to rytm wiersza, nieobcy jest mu także, często niedokładny, delikatnie zarysowany, rytm. Niektóre utwory wręcz stylizowane są na piosenkę (*Chłopcy z pchłami*). Potrafi wykorzystać całą paletę środków poetyckiego wyrazu — od wiersza retorycznego, wręcz agitującego, do delikatnej, bliskiej impresji metafory. Jak chociażby w *Pożegnaniu Champs Elysées*: „*ściekały drzewa/ w szpalerach szkownych/w brzę i cynober/(...) karoserie fok śliskich/w tęczowych spalinach/szeptaty na asfalcie*”. Słowem — twórca wszechstronny, zaskakujący, wielobarwny. I raz jeszcze powróćmy do leitmotiwu tych rozważań: poeta, który artystycznie wciąż nie jest doceniony poprzez uwikłanie w kontekst polityczny. Z tego powodu skazany na literackie outsiderstwo.

„*Jaki czas o nas się dopomni/ nie wywołanych z klisz historii?!(...) młodość nas mija — gorzki obłok*” — pisał Tomaszkiwicz ponad ćwierć wieku temu. Młodość minęła, a jego poezja — chociaż już jakby bardziej wyważona, a może tylko zmęczona, stateczna, dojrzała, wyuczona i prywatna — wciąż pozostała w gorzkim obłoku młodzieńczych fascynacji oraz idei. bo przecież wierność jest powołaniem poety. Szkoda, że *Upołowieni* to zapewne zbyt mało, aby przywrócić Tomaszkiwiczowi należne miejsce w literackich rankingach. Jest poetą pokolenia 68, chociaż nie Nowej Fali, a między tymi dwoma pojęciami zaczęto stawiać znak równości (choć za sprawą antologii *Powiedz prawdę* Dariusza Pawelca). Chyba nie do końca słusznie.

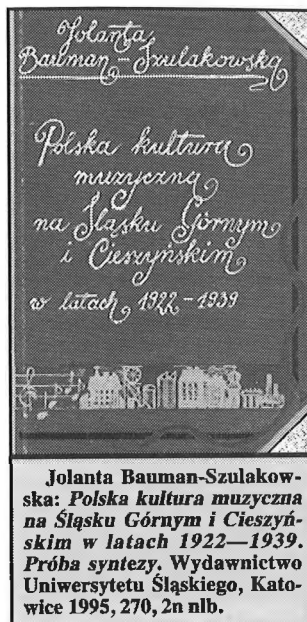
MARCIN HAŁAŚ

W poszukiwaniu korzeni muzyki śląskiej

W sondażu podsumowującym osiągnięcia śląskiej kultury w roku 1995, który wydrukowano w styczniowym numerze „*Śląska*” napisało, że w tutejszym środowisku muzykologicznym niewiele się ostatnio dzieje. Pozwolę sobie wyrazić sugestię, że autor wypowiedzi we wzmiankowanym sondażu, p. Marek Skocza, ma solidne zaległości w lekturze. Nie zarejestrował bowiem pojawienia się na rynku księgarskim w ostatnich latach zbioru pieśni śląskich wydanego przez Adolfa Dygacza, nestora naszych etnomuzykologów, pominał powszechnie cenione prace Jadwigi Bobrowskiej o staropolskich źródłach literackich do dziejów muzyki ludowej oraz produkcję młodszego pokolenia. Wzbogaca się ona z roku na rok, chociaż trzeba zauważyć, że nie rysuje się czytelnie jako dorobek „środoniowy”, z tej prostej przyczyny, że młodzi muzykolodzy liczą głównie na fachowych czytelników spoza Śląska. Wyłom w tej sytuacji czyni nowa, wydana w 1995 roku książka Jolanty Bauman-Szulakowskiej pt. *Polska kultura muzyczna na Śląsku Górnym i Cieszyńskim w latach 1922—1939*.

Praca, opublikowana w Wydawnictwie Uniwersytetu Śląskiego adresowana jest głównie do czytelników miejscowych. Traktuje o kulturze muzycznej poszczególnych ośrodków miejskich Górnego Śląska (z pominięciem Bytomia, jako ośrodka, który zasługuje na osobną monografię) i ziem cieszyńskiej. Autorka dokumentuje dorobek ruchu amatorskiego, życie koncertowe, szkolnictwo, ruch wydawniczy oraz twórczość kręgu profesjonalnego. Reprezentują ją głównie kompozytorzy związani z założonym w Katowicach w roku 1922 konserwatorium muzycznym. Jolanta Bauman-Szulakowska pieczołowicie otwiera dorobek katowickiej grupy kompozytorskiej międzywojnia. Dzieli go w myśli tradycyjnej XIX-wiecznej metody dyskursu o kompozycji muzycznej na działy odpowiadające gatunkom muzycznym: osobno omawia twórczość symfoniczną, osobno kameralną i solową, osobno wokalną. Ma to tę zaletę, że otwiera pole do rozmaitych porównań i syntez.

W ujęciu Jolanty Bauman-Szulakowskiej muzyka śląskich kompozytorów epoki międzywojennej staje się organiczną częścią polskiej kultury muzycznej tego okresu. Podkreślone zostają tendencje neoklasyczne w estetyce i stylu Ślązaków. Bauman-Szulakowska operuje pojęciem neoklasycyzmu jako synonimem nowoczesności, przeciwnostawiając mu postromantyczny eklektyzm (postrzegany głównie u artystów sympatyzujących z kulturą niemiecką). Oprócz „antynieckiego” (bo wywodzącego się z Paryża) neoklasycyzmu docenia pisarza u śląskich kompozytorów tendencje folklorystyczne, kojarzące, jak należy, z postawą patriotyczną. Należałoby się zastanowić czy ostre dzielenie dorobku śląskiej



kultury muzycznej na część „polską” i „niemiecką” nie jest zabiegiem sztucznym, inspirowanym przez nieświadomą być może potrzebę „publicystyczenia” dyskursu o dziejach? Polscy twórcy kształcili się tak samo, jak wszyscy inni muzycy na Bachu i Beethovenie. Polskie chóry nie ważyły się śpiewać, obok nieśmiertelnych przebojów takich, jak *Za Niemen, Kalina czy Patrz, Kościuszko na nas z nieba* również popularnych dzieł Josepha Schnabla, czy przerobionych na chór fragmentów z Wagnera.

Prawdę o przeszłości kultury muzycznej Śląska poznamy najprędzej oświetlając problem z dwóch stron naraz. Wymaga to jednak zupełnego przeorganizowania badań, jak i poszerzenia bazy źródłowej. Oczywiście opracowanie syntezy polskiej części zagadnienia jest samo w sobie doniosłym faktem. Książka Jolanty Bauman-Szulakowskiej jest pierwszą monografią skupiającą dostępną wiedzę na temat pierwocin profesjonalnej kultury muzycznej na Śląsku. Zawiera mnóstwo cennych informacji, podanych w wziętym, niemal encyklopedycznym stylu. Autorka wykorzystała sporą ilość nie publikowanych dotąd dokumentów, wydobyla na światło dzienne przechowywane w bibliotekach manuskrypty i pierwodruki utworów. Wielką zaletą pracy jest powiązanie dyskursu o twórczości z przeglądem przejawów „codziennej” kultury muzycznej. Czasem działa to otrzeźwiająco. Przerzuciwszy książkę pobieżnie gotowi jesteśmy twierdzić, że Śląsk międzywojenny był typowym muzycznym zaściankiem. Powróćmy do dokładniejszej lektury zmieniając zdanie: ówczesny Śląsk był zaściankiem nietypowym, chociażby dlatego, że jako pierwszy polski ośrodek stanął przed ostro postawionym problemem muzyki dla mas.

Nielatwo jest szkicować dzieje zaścianków. Jolanta Bauman-Szulakowska wywiązała się jednak ze swego zadania w sposób zadawalający, wychodząc obronną ręką z większości pułapek czyhających na badacza pod postacią pytań „po co” i „co z tego wynikło”.

MAGDALENA DZIADEK

Władysław Sosna: *Przez góry i przełęcz Beskidu Śląskiego*. Centrum Turystyki — PTTK, Oddział Katowice, 1996, s. 251, 9 nbl.

Autor jest nie tylko wytrawnym turystą, który spenetrował Beskidy wzdłuż i wszerz oraz doświadczonym przewodnikiem, ale także znawcą historii, kultury i społeczności tego obszaru, znanym z cenniejszych publikacji w pismach i wydawnictwach krajoznawczych. Jego przewodnik — zgodnie z tytułem — obejmuje obszar określony jako Beskid Śląski, stanowiący zachodni człon Beskidów Zachodnich. Wydawnictwo to stanowi drugą, choć niezależną część wcześniejszej publikacji *Dokoła Beskidu Śląskiego* (1992), przewodnika poświęconego miejscowościom w obrębie i na obrzeżach tego obszaru przeznaczonych dla turystów poruszających się środkami lokomocji. Ten jest zaadresowany dla udających się w góry i przynosi czytelny opis 32 szczytów i przełęczy oraz 89 tras wycieczkowych, z podstawowymi informacjami wspartymi szkicami i profilogramami. Liczne dygresje poszerzają także wiedzę ogólną o tym obszarze zawartą w części pierwszej (geologia, klimat, przyroda, kultura, ludność). Autor unika rozbudowanych, subiektywnych opisów krajobrazu, co także stanowi zaletę przewodnika. (k)

Robert Schneider: *Brat snu*. Przekład: Gizela Kurpanik-Malinowska, Feliks Netz, „Videograf”, Katowice 1996, s. 157, 3 nbl.

Inicjująca nową serię wydawniczą „Videografu” powieść znakomitego, młodszego przedstawiciela literatury austriackiej. *Brat snu*, zanim dotarł do czytelnika polskiego został przetłumaczony na 25 języków światowych, zdobywając zasłużenie wysoką markę w opiniach krytycznych „z podziwem i radością”, a Gérard Meudal nazwał ją „niezapomnianą książką”. Z pewną nieśmiałością przypominam, iż fragment debiutu Schneidera miesięcznik „Śląsk” drukował jeszcze przed publikacją książkową. Jest to niewątpliwie proza w każdym calu wybitna, momentami okrutna i szokująca. Opowieść o dwudziestodwuletnim muzyku u progu kariery, który miast poświęcić się zdobywaniu laurów, wybiera — poprzez odrzucenie snu — śmierć, iżby zgłębić tajemnicę młodości i miłości absolutnej, powinna zainteresować każdego czytelnika. Być może w karierze pisarza znacząco odbije się fakt, iż jego utwór został już zekranizowany i — jak donosi wydawca — walczy o „Oskara”. Dla czytelnika to nie jest wszakże ważne. W świecie literatury liczą się tylko słowa. Te — tutaj — zostały dobrane z prawdziwym mistrzostwem. (m)

Literatura v českém a polském Slezsku - Literatura na Śląsku czeskim i polskim. Red. Jiří Urbanec, Edmund Rosner. Uniwersytet Śląski - Filia w Cieszynie, Cieszyn 1996, s. 150, 2 nbl.

Bardzo ciekawy zbiór prac, będący pokłosiem konferencji literaturoznawczej, jaką zorganizowały dwa uniwersytety — Slezska univerzita w Opawie oraz Uniwersytet Śląski — Filia w Cieszynie. Obecność w tomie pisarzy oraz naukowców polskich i czeskich sprawiła, iż w książce znalazły się rozważania na różne tematy, głównie jednak dotyczące tzw. „literatury śląskiej” z dawnego obszaru Śląska austriackiego. Spośród wielu interesujących głosów, jeden z nich warto szczególnie uwyraźnić. Otóż František Všeticka w scholium *O zaolzańské kultuře* zaproponował, iżby patrzeć na kulturę Zaolzia jako na obszar kresowy i według kategorii kresowości ją oceniać (powołuje się tutaj autor na prace Edwarda Czaplejewicza). Wydaje się to bardzo interesująca perspektywa poznawcza, tym bardziej, iż pozostali autorzy głosów zgromadzonych w tomie częstokroć powołują się na akomodację polskiej i czeskiej (a także niemieckiej) kultury w przeszłości. Z polskich artykułów szczególnie polecam rozważania Edmunda Rosnera o Henryku Jasiczku, Aleksandry Humel o Wilhelmie Przechku oraz Joanny Jurgaly-Jureczki o Zofii Kossak. Nie polecam artykułu Edyty Korpety o Zbigniewie Macheju. (m)

Margaret Atwood: *Kobieta do zjedzenia*. Przel.: Małgorzata Golewska-Stafiej. Videograf II, Katowice 1996, s. 288, 8 nbl.

Zbigniew Chojnowski: *Cztery strony domu*. Wydawnictwo Decora, Olsztyn 1996, s. 38, 2 nbl.

Iłja Erenburg: *Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwańca*. Przel.: Maria Popowska. Posłowie: Piotr Fast. Videograf II, Katowice 1996, s. 249, 7 nbl.

Romain Gary (Émile Ajar): *Życie przed sobą*. Przel.: Maria Braustein, Agnieszka Daniłowicz-Grudzińska. Videograf, Katowice 1996, s. 174, 2 nbl.

Andrzej Gruszka: *Nad pieśniami*. P.W. „Tolek”, Mikołów 1996, s. 56.

Stanisław Krawczyk: *Błądzą*. „Ego”, Katowice 1996, s. 59, 5 nbl.

Wojciech Kuczok: *Opowieści samowite*. „FA-art”, Bytom 1996, s. 55, 1 nbl. (Seria poetycka Kwartalnika Literackiego „FA-art”, tom 1).

Irena Zabłocka-Bączkowska: *Krajobrazy i ludzie. Opowiadania norfoldzkie*. Słowo wstępne: Stanisław Sławomir Nicieja. Wybór: Halina Nicieja. Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego, Opole 1995, s. 327, 1 nbl.

Kto był raz w hrabstwie Norfolk, ten mógł się w nim zakochać. Przestrzenie typowo polskie, jak gdyby Mazowsze i równiną Małopolską przeniesiono tu jakimś dziwnym zrządzeniem losu. Norfolk witał Polaków, których przewozono statkami na angielską ziemię z obcych krajów w 1946-1947 roku. Nie dziwię się, że nawet ci, wychowani na Ukrainie, odnajdywali tutaj własny pejzaż. Tak było w przypadku Ireny Zabłockiej-Bączkowskiej, z tą tylko różnicą, iż do Norfolk trafiła ona ze Szkocji. Pisarka o zupełnie nieliterackim wykształceniu — w cyklu nowel ukraińskich, drukowanych na łamach prasy londyńskiej, wskrzesza dawny świat swojej młodości. Jak pisze w noweli *Polska*, należała ona do pierwszego pokolenia kobiet samodzielnich, tworzących nowe stulecie. Powracając pamięcią w przeszłość, przywołuje nie tylko ludzi już nam nie znanych z imienia i nazwiska, nie tylko dawne obyczaje i pieśni, przede wszystkim restytuuje świat, o którym możemy się dowiedzieć z suchych opracowań historycznych. Znakomita polszczyzna, świetne wycucie narracji, rzadki dar gawędy — wszystko to sprawia, że doskonale w wyrazie opowieści Ireny Zabłockiej-Bączkowskiej czyta się nie tylko z zainteresowaniem, ale także z niejaką nutą zazdrości. Bo to był świat rzeczywisty, chociaż momentami wygląda jak idealizowana saga z fantastycznych krain. Powiemy, parafrazując Norwida: tak, ale to przecież wciąż dziś, tylko cokolwiek dalej. Państwu Niciejom, za przekazanie krajowemu czytelnikowi nowel pisarki — edytorskie, złote VSOP. (m)

Maciej M. Szczawiński: *Rafał Wojaczek, który był*. Wyd. 2, poszerzone. Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 1996, s. 162, 2 nbl.

Tę książkę wydało po raz pierwszy Towarzystwo Zachęty Kultury w Katowicach, lecz informacji o poprzedniej edycji trudno uświadczyc, choćby na stronie redakcyjnej. Rzecz niewielka, lecz znacząca. Oto bowiem jedna i ta sama publikacja została przypisana dwóm wydawcom. Ten drugi — jest szczęśliwszy, gdyż ma wydanie poszerzone o niepełne 2 arkusze wydawnicze, ten pierwszy — odszedł w niebyt. Ale ja nie o tym. Książka Szczawińskiego jest lekturą bardzo zajmującą i właściwie adresowaną dla każdego typu czytelnika. Kto interesuje się literaturą i Wojaczkiem — znajdzie w niej kopalnię wiadomości o życiu spoza legendy pisarskiej; ten, kto lubi biograficzne smakołyki — posili się nadzwyczaj obficie, śledząc Wojaczkowe losy na tle jego rodziny, jego przyjaciół i znajomych. Szczawiński ma dar opowiadania. Pod jego piórem ożywa postać poety, jakiego właściwie nie znamy. Autor *Rafała Wojaczka*, który był mógłby z powodzeniem napisać książkę krytycznoliteracką, lecz przed tym się broni. Esej biograficzny, który mu poświęcił wydatnie poszerza — choćby dzięki prezentacji obfitej korespondencji oraz rozmów z tymi, którzy Wojaczka znali — naszą wiedzę o legendarnym autorze *Sezonu*. Już dzisiaj wiadomo, że dla każdego, kto sięgnie kiedykolwiek po wiersze poety — będzie to lektura kanoniczna. (m)

Nasza mała ojczyzna. Kronika gminy Smolna (od 1907 roku dzielnicy Rybnik). Oprac. Longin Musiolik. (Brak wydawcy), Rybnik 1995, s. 128, 12 nbl.

Włodzimierz Paźniewski: *Światło mijania*. Towarzystwo Zachęty Kultury, Katowice 1994-1996, s. 98, 2 nbl.

Robert Schneider: *Brat snu*. Przel.: Gizela Kurpanik-Malinowska, Feliks Netz. Videograf, Katowice 1996, s. 157, 3 nbl.

Maciej Michał Szczawiński: *Rafał Wojaczek, który był*. Wyd. 2, poszerzone. Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 1996, s. 162, 2 nbl.

Douglas Thompson: *Sharon Stone*. Przel.: Barbara Korzon. Videograf II, Katowice 1996, s. 186, 2 nbl.

Alexander Walker: *Audrey Hepburn*. Przel.: Feliks Netz. Videograf II, Katowice 1996 s. 303, 1 nbl.

Irena Zabłocka-Bączkowska: *Krajobrazy i ludzie. Opowiadania norfoldzkie*. Słowo wstępne: Stanisław Sławomir Nicieja. Wybór: Halina Nicieja. Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego, Opole 1995, s. 327, 1 nbl.

Zbigniew Kuchowicz zapewnia, że Polacy i w dawnych wiekach kochać umieli. Ale czy wygrzebany dziś spod sterty papierów odpis jest prawdziwy? Oto roku pańskiego 1651 pisze Jan Sapieha, tytułując do „Jaśnie Oświeconego Księcia Pawła Sapiehy, familianta i kompaniona”. Adresat to pewnie Paweł Jan, wojewoda witebski i hetman wielki litewski, który w czasie najazdu szwedzkiego jako jeden z nielicznych magnatów stanął po stronie Jana Kazimierza. Wódz i żołnierz znakomity, choć tutaj akurat nie o robienie szabli idzie... Pisze Jan: „Jakom już sześciokroć diabłu zaprzysięgał iż więcej dryjakwią ze wina, piwa i gorzałki wnętrzów swoich contentował nie będę, tak ad presentis temporis po siedmiokroć zaprzysięgę uczynić wypada, co jako czynić muszę, tedy mój stary przyczynę odgadniesz po naszym ostatnim balu, kiedyśmy duplex rzygali na lono hr. Bauvois, która mimo iż świadoma francuskich obyczajów non contentis była, co nie wiem czy się prawdą okaże, bo sama pijana ab universo była”. Pojono dryjakwią („sok przyprawy przeciw truciźnie”, tłumaczy Linde), wspomina dalej autor, jak to pospołu z wojewodą trockim „ujędzali” J.O. imć panny Potocką; skutki zabawy okazały się jednak fatalne: „Zabawa ut temporis veneris przednia fuit, jeno kompensacja jej złe jako że na samym końcu pęta mojego zęby imć panny Potockiej odcisnęte mam, albolit też hr. Bauvois, która w tej zabawie uczestniczyła, która, tuszę, francuskim modłom upust dawała, samym tylko językiem robiła, chyba że później pijaną będąc kutasa mi pogryzła, którego teraz ten gagatek medyk Dopuł do porządku dryjakwiami kuruje, a imć panna Helena Bęcka delikatnym masażem, co nie wiem czy się skutecznym sposobem okaże, gdyż jako roku łońskiego J.O.X. Wiśniowiecka hr. Ostrogskiemu tak kutasa zniszczyła samemni tylko Rękami, że hrabia przez dekady trzy w esencji moczyć go musiał co jako tuszę mię ominie. Piszę się etc. tusząc, że W.X.M. zdrów razem z kutasem swoim łaskaw mnie będziesz i personaliter stawisz się na balu w zamku moim diebus decembris anni presentis”, kończy Jan Sapieha, erotyczny długiostansowiec, naprzeciw którego Jan III, by w ramach stulecia pozostać, wydaje się pocziwym safandulą. Nie pamiętam, skąd się wziął u mnie ten odpis: ktoś mi podarował, to pewne, ale z której biblioteki wyniósł, z czego skopiował? Nie chciałbym wierzyć, że to tylko prosty apokryf: w końcu komu by się dzisiaj chciało tworzyć XVII-wieczne okłady i ekshumować tę nieszcześną „dryjakiew”?

Prawdziwego geniusza można niezawodnie poznać po tym, że wszyscy durnie przeciw niemu knują”. Takim cytatem z Jonathana Swifta rozpoczął George Orwell artykuł w „Tribune”, datowanej 4 czerwca 1943, zatytułowany „Literatura a lewica”. Rzecz o polowaniu na pisarza — z punktu widzenia zwierzyny. Sezon trwał wtedy przez cały rok: w nagonce biegali komunizujący od lat trzydziestych wykwińtynie i, całkiem świeżej daty, przyjaciele sojuszniczego ZSRR. Szykanowany od powrotu z Hiszpanii, Orwell potrafił jednak precyzyjnie rozgraniczyć przedmiot sporu: „Co innego jest nie lubić poglądów politycznych jakiegoś pisarza, a co innego nie lubić go za to, że zmusza czytelnika do myślenia, choć jedno nie wyklucza

Rys. Eugeniusz Rzeźucha



drugiego”. I dalej: „Stwierdzenie: „X jest uzdolnionym pisarzem, ale jest moim wrogiem politycznym i zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby go uciszyć”, jest stonkowo nieszkodliwe. Nawet jeżeli w końcu ucisza się go za pomocą karabinu maszynowego, to w gruncie rzeczy nie grzeszy się przeciwko intelektowi. Śmiertelnym grzechem jest natomiast twierdzenie: „X jest moim wrogiem politycznym, dlatego też jest złym pisarzem”. Jeszcze przez trzy lata Orwell czuć będzie na karku ciężar podobnego rozumowania. „1984” powstawał już po przemówieniu Churchilla w Fulton, nie było więc kłopotów ze znalezieniem wydawcy. Ale „Folwarkowi zwierzęcemu” towarzyszyło jeszcze wycie z seansów nienawiści. Był luty 1944, kiedy Orwell pisał do znajomego profesora slawistyki: „Szykuję małą satyrę, która ubawi pana, gdy się ukaże, choć z politycznego punktu widzenia nie jest ona na tyle O.K., bym miał już z góry cieszyć się myślą, że ktoś ją wyda”. Mimo wojny, oficjalnej cenzury wówczas nie było. Wielka Brytania tkwiła tymczasem w sojuszniczym uścisku z ZSRR, więc Victor Gollancz, wydawca Orwella, odrzucił książkę jako „zupełnie nie do przyjęcia z politycznego punktu widzenia (jest antystalinowska)”. Kolejny edytor, do którego pisarz się zwrócił, Jonathan Cape, pobiegł z „Folwarkiem” do Ministerstwa Informacji (sic),

po czym odpisał, że nie wydaje, bo przecież „żeby przedstawić bolszewików, można było znaleźć inne zwierzęta niż świnię” (Orwell w liście do T.S. Eliota). Sam T.S. Eliot, przyjaciel i bohater pozytywny artykułu „Literatura a lewica”, pracował wtedy w wydawnictwie Fabera. Najpierw obsypał książkę komplementami i postawił ją obok dzieła Swifta. Na koniec napisał uprzejmie Orwellowi, że nie czas na jej wydawanie.

Do radiowej „trójki” dzwonią obywatele i spierają się z Bardzo Ważnymi Osobami. Co który minister, prezes albo przewodniczący wydali z siebie przy byle okazji, dziennikarze przekazują co do przecinka: strach przed podejrzeniem o stronniczość czy skłonność do komentatorstwa są silniejsze od zdolności logicznego myślenia. A obywatele najzwyczajniej biorą na świadka zdrowy rozsądek, obśmiewając intelektualną mierzwę i napsuszony słowotok. Gdyby tak trójkowym słuchaczom, nie dziennikarzom, dać choć na jeden dzień do ręki kamerę albo mikrofon, nie do pomyslenia byłoby wywiady z pozał się Boże politykami, w stylu mniej więcej takim:

PYTANIE: — Panie przewodniczący, mówi pan: społeczeństwo domaga się..., w imieniu społeczeństwa oświadczam..., a społeczeństwo chyba nie darzy was zaufaniem, skoro nie ma was w parlamencie...

ODPOWIEDZ: — To prawda, że od ostatnich wyborów straciliśmy sto procent miejsc w parlamencie. Ale proszę zauważyć, jaki to wielki sukces: przed nami nikomu jeszcze się to nie udało!

Albo takim:

PYTANIE: — Panie ministrze, czy zwolnienia na czołowych stanowiskach w Urzędzie Ochrony Państwa to już koniec zmian kadrowych?

ODPOWIEDZ: — Tak, z tego miejsca chciałbym zapewnić, że póki ja będę ministrem, nie będzie w UOP-ie polowań na czarownice. Są wprawdzie funkcjonariusze, którzy nie potrafia pogodzić się z faktem, że już dwa lata temu lewica objęła władzę, ale wybór należy do nich.

Albo takim:

PYTANIE: — Panie prezydencie, w kampanii do wyborów samorządowych obiecywaliście, że Katowicom przybędzie terenów zielonych. I co?

ODPOWIEDZ: — Jak to: i co? Przecież nie zlikwidowaliśmy parku Kościuszki ani skweru przy pomniku trzech skrzydeł. Poza tym, w związku z remontem sygnalizacji świetlnej, przybyło w naszym mieście zieleni. Na skrzyżowaniach.

Albo jeszcze takim:

PYTANIE: — Panie ministrze, podczas inauguracji Dni Lasu, powiedział pan, że nie da się rozwiązywać problemów Polski bez rozwiązywania problemów Śląska. Jakie działania miał pan konkretnie na myśli?

ODPOWIEDZ: — Tak, pani redaktor, chciałem zapewnić, że myślimy w ministerstwie ochrony środowiska o problemach Śląska. Jeszcze w tym miesiącu przedstawimy program podwyższenia kominów we wszystkich elektrowniach i hutach na Śląsku. Chodzi o to, żeby przerzucić cały ten smród do Afryki. Tam przecież ludzie i tak są czarni.

Dzwoncie dalej, obywatele. Pilnujcie tych, co myślą w zadufaniu, że władza wyszła z ludu — i już nie wróciła.

MAREK BASTER

Kultura na urlopie

Naturalną koleją rzeczy stało się, że jeżeli w miesiącach letnich chce się coś ciekawego zobaczyć lub posłuchać dobrej — niekoniernie tzw. poważnej muzyki — to trzeba wyjechać z dużych miast. W tym czasie bowiem wszystko co z kulturą związane rządzi się swoimi prawami — kultura (ta wielkomięjska) pakuje walizki i wyjeżdża na urlop. Pomyliłby się ktoś, kto sądzi, że na odpoczynek. W czasie urlopu kultura ciężko pracuje. Głównie w miejscowościach, do których przybywa największe turyści — najlepiej tych z wypchanymi portfelami i z zagranicy. Sprawa jest prosta: ci co nie mają pieniędzy siedzą w domu — im wystarczy video i jakieś „ogórkowe” kawałki w kinie (jeśli coś poważniejszego, to tylko na bardzo krótko, bo „kto to będzie oglądał”). Ci co pieniądze mają wyjeżdżają i chcą się zabawić. Korzystają na tym organizatorzy imprez — bo i wtedy o sponsora łatwiej (czy swoim piwem nie zechce pochwalić się np. miejscowy browar, nie mający większych szans na krajowym rynku, albo producent tego lub owego), a i do miejskiej kiesy wpadnie nieco grosza. Cieszą się miejscowi handlowcy, hotelarze i sklepikarze. Estrady zapełniają się różnymi wykonawcami, a wokół rozkładają swe stragany handlarze. Brownicy zapraszają pod różnokolorowe parasole.

Ale można spotkać w tym czasie także wiele wspaniałych imprez — chociażby w Olsztynie czy Mrągowie, albo w Wiśle czy Żywcu. Tam na plakatach pojawiają się najlepsze nazwiska polskiej estrady, występują znakomite zespoły teatralne, regionalne i folklorystyczne, a galerie swoimi pracami zapełniają świetni artyści-plastycy. Zawsze też ich prace mogą zostać w każdej chwili zakupione — bowiem coraz więcej zagranicznych turystów, którzy co prawda jeszcze odwiedzają sklepy z wyrobami ludowymi i rękodziełem artystycznym, znacznie częściej wstępują do sklepików z galanterią i wyrobami plastycznymi, odwiedzają galerie w poszukiwaniu niedrogich — jak na ich kieszeń — dzieł sztuki.

Aż żal, że turyści nie zostawiają swych pieniędzy chociażby w Katowicach. Ale cóż! Lipiec upłynął, sierpień lada dzień. A w Śląskim skansenie podczas trwającej przez trzy niedziele imprezy folklorystycznej nie można było usłyszeć ani jednego drewnianego świątka czy wydzierzanej serweiki. Widownię stanowili uczestnicy i przypadkowi spacerowicze. Przykład znakomity jest niedaleko, bo w Wiśle i innych pobliskich miejscowościach. Może trzeba by przypomnieć sobie tę samą imprezę sprzed lat organizowaną w Pszczynie. A od twórców ludowych i rozmaitych artystów aż się roło.

WIESŁAWA
KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Biografie gwiazd

Audrey Hepburn i Sharon Stone — dwie gwiazdy Hollywood różnych czasów — są bohaterkami najnowszych propozycji wydawniczych katowickiego Videografu II. 27 czerwca w klubie „Marcholt” odbyło się spotkanie promocyjne z okazji wydania tych dwóch książek. Uczestniczyli w nim — prócz przedstawicieli Wydawnictwa — tłumacze Feliks Netz i Barbara Korzon, Biografia Audrey Hepburn autorstwa Alexandra Walkera (tł. F. Netz) otwiera nową serię Videografu II zatytułowaną „Nieśmiertelni”. Wkrótce kolejną pozycją będzie biografia Humpreya Bogarta napisana przez jego syna Stevena Bogarta. Z kolei książka Douglasa Thompsona „Sharon Stone” (tł. Barbara Korzon) jest nie tylko opowieścią o współczesnej aktorce, która za sprawą właściwie jednego filmu („Nagi instykt”) zyskała niebywałą popularność i status gwiazdy, ale jest również szerszym spojrzeniem na Hollywood końca XX wieku.

Dotychczas w filmowej serii Wydawnictwa Videograf II ukazało się kilka cennych pozycji. Są to „Historia kina” Davida Shipmana, „Asa nisi masa” Lecha Majewskiego, „100 filmów...” Jana F. Lewandowskiego i Jana Słodowskiego oraz „Scenariusze śląskie” Kazimierza Kutza. Zapewne wielu czytelników znajdzie zapowiadana autobiografia Miłocha Formana (ukaze się w sierpniu br.) i „Stuletnia kronika kina” będąca zapisem dysput Tadeusza Miczki, Beaty Kasztelaniec i Jana F. Lewandowskiego w Radiu Katowice. W najbliższych planach znalazło się miejsce również i dla bohaterów komedii — w książce Ireneusza Siwińskiego, Wydawca zapowiada także prace Rona Base opisującego amerykański system gwiazd, jednotomową historię filmu polskiego spisana przez Tadeusza Lubelskiego.



Barbara Korzon i Feliks Netz ze „swoimi” gwiazdami.

Foto. Józef Makal

JEDNYM ZDANIEM

■ W Muzeum Śląskim prezentowano dwie wystawy: prace Genowefy Targosz i Juliusza Tokarskiego — artystów związanych z Katowicami oraz rysunki Krzysztofa Glassa „Stowarzyszenie z ograniczoną odpowiedzialnością” — polsko-austriackiego malarza i grafika zamieszkałego w Wiedniu.

■ E. Sycha wystawiła swoje malarstwo w Galerii ZPAP Art-Nova 2 pod redakcją Marii Fiderkiewicz.

■ „Sztuka — nie sztuka?” to tytuł książki na którą złożyły się materiały z konferencji naukowej zorganizowanej przez Galerię Sztuki „Na Pograniczu” działającą przy Ośrodku Edukacji Kulturalnej Miejskiego Centrum Kultury w Mysłowicach, której promocja odbyła się w dniu 12 czerwca w MCK.

■ Na zaproszenie Miejskiego Ośrodka Kultury „Centrum” w Zawierciu prof. Jacek Trznadel, autor „Hańby domowej” i „Polskiego Hamleta” był

Mikołowskie święto muzyki

Już po raz szósty Mikołów przez trzy tygodnie czerwca rozbrzmiewał muzyką. „Mikołowskie Dni Muzyki” w ciągu tych lat zyskały nie tylko popularność wśród melomanów, ale — dzięki aspiracjom organizatorów — stały się znaczącą imprezą w naszym regionie. Wśród wykonawców i zaproszonych gości ze świata muzycznego znajdowały się najznakomitsze nazwiska: Wiesław Ochman, Stefania Woytowicz, Marek Andrysek, Henryka Januszewska, Adam Klocek i wielu innych. Towarzyszyły im zespoły Państwowej Filharmonii Śląskiej, zabrańskiej Filharmonii, Śląska Orkiestra Kameralna. Właściwie każdy dzień odznaczał się czymś wyjątkowym. I tak w koncercie „Wiesław Ochman i jego goście” wystąpiła prócz znakomitego artysty śpiewaczka amerykańska — Leslie Tennent i Zofia Kilianowicz, zaś śląskie gawędy i pieśni prezentowali Adolf Dygacz i Zesół Pieśni i Tańca „Śląsk” pod dyktando prof. Stanisława Hadyny. Swoje miejsce znalazła również muzyka najnowsza, którą prezentował Ryszard Gabryś podczas Śląskiej Trybuny Kompozytorów (Kilar, Laśoń i Szalonek). Po raz pierwszy w Mikołowie wystąpił Praski Kwartet Gitarowy. Specjalny klimat miały występy Orkiestry Kameralnej ze Lwowa pd. Sergieja Burko.

Tradycją „Mikołowskich Dni Muzyki” są koncerty organowe i oratoryjne, odbywające się w miejscowych kościołach. Dwa największe odbyły się 21 i 23 czerwca. Pierwszy w kościele M.B. Zbawiciela, podczas którego wykonana została Msza Asdura G. Pucciniego z udziałem Jacka Sowiżrała (tenor), Benona Maliszewskiego (baryton), Orkiestry Filharmonii w Zabrze pd. Sławomira Chrzanowskiego oraz chór Rezonans con tutti pd. Marii Kroczek. Drugi był koncertem kończącym muzyczne spotkanie, a wypełniło go dzieło F. Haendla — Oratorium „Mesjasz”. Solistami byli Jarosław Walczak-Prus, Piotr Kusiewicz, Piotr Łykowski, Mieczysław Milun, Śląska Orkiestra Kameralna pd. Jana Wincentego Hawela i Cantores Minores Vratislaviensis pd. Piotra Karpety.

Znakomitym uzupełnieniem Dni Muzyki była wystawa dzieł malarskich i graficznych Jana Nowaka, związanych tematycznie z Mikołowem, które prezentowane były w Galerii Miejskiego Ośrodka Kultury.

Organizatorami „Mikołowskich Dni Muzyki” był Urząd Miasta Mikołów, a patronat nad nimi przyjął Przewodniczący Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego Janusz Frąckowiak i ks. biskup Gerard Bernacki.

gościem spotkania z młodzieżą klas licealnych, podczas którego mówił o swoich książkach powstałych w ostatnich latach.

■ Andrzej Galkowski został laureatem pierwszej nagrody w konkursie na architektoniczną wizję katowickiego Rynku, rozwiązującą dotychczasowe problemy miasta.

■ W Rudzie Śląskiej, 15 czerwca, odbyło się doroczne strzelanie o tytuł Króla Kurkowego, Bractwa Kurkowego Miasta Ruda Śląska — członkiem honorowym została minister Barbara Błida, obecna na tej niezwykłej imprezie.

■ W Muzeum Archidiecezjalnym otwarto wystawę fotografii Radosława Kojas z tytułowaną „Arbor vitae” (Drzewo życia), którą stanowiło kilkanaście barwnych fotografów z wizerunkami drzew, którym tradycja chrześcijańska nadała nowe znaczenia (drzewka majowe, bożonarodzeniowe, wianki cielskie).

Nad całością prac czuwał Gerard Piszczek, kierownictwo muzyczne sprawował Władysław Szymański, a koncerty prowadzili Danuta Węgrzyk, Ryszard Gabrys i Władysław Szymański.

Dzień Szwedzki w Katowicach

Katowicki Oddział Towarzystwa Polsko-Szwedzkiego był organizatorem „Dnia Szwedzkiego”, który odbywał się 15 czerwca br.

Tego dnia przed południem w Oddziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Śląskiej zorganizowano sesję popularno-naukową poświęconą literaturze szwedzkiej. Jej pre-

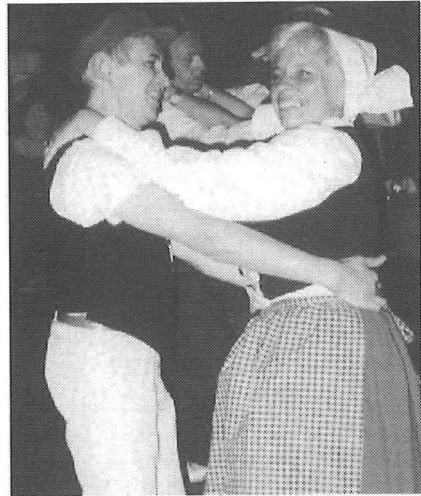


Foto: ARC

Śpiewogra Bellmana to nie tylko zbiór świetnych tekstów i piosenek ale i sporo skocznej muzyki.

legentami byli znakomici znawcy tematu: słaWiści prof. Leonard Neuger z Uniwersytetu w Sztokholmie (przed kilkunastoma laty związany z Uniwersytetem Śląskim), który swe wystąpienie poświęcił C.M. Bellmanowi — wybitnemu poecie szwedzkiemu, żyjącemu w latach 1740-1784 i prof. Andrzej Uggla z Uniwersytetu w Uppsali, który mówił o Stanisławie Przybyszewskim i Augustie Strindbergu — przyjaciółach i antagonistach oraz prof. Grażyna Szewczyk z Uniwersytetu Śląskiego, która omawiała literaturę kobiet w Szwecji przełomu XIX i XX w.

Kolejnym punktem obchodów było otwarcie wystawy „Szwecja z przełomu XIX i XX w. (Kultura, tradycje, życie codzienne)”, która prezentowana była również w Oddziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Śląskiej.

Po południu w Miejskim Domu Kultury w Szopienicach wszyscy uczestnicy „Dnia Szwedzkiego” świetnie bawili się oglądając

śpiewogrę „Den Gyldene Freden” w oparciu o teksty C.M. Bellmana w tłumaczeniu L. Neugera, w wykonaniu członków Towarzystwa Polsko-Szwedzkiego Oddział w Katowicach, Śląskiego Stowarzyszenia Miłośników Folkloru, Tradycji i Zwyczajów Regionalnych oraz Zespołu Pieśni i Tańca „Szopienice”.

Okazji do obchodów „Dnia Szwedzkiego” było kilka: 50. urodziny króla szwedzkiego Karola XVI Gustawa, 7. rocznica utworzenia w Katowicach Oddziału TP-Sz, 6 czerwca Szwedzi obchodzą swoje największe narodowe święto „Flagi Szwedzkiej” (w Polsce przesunięto uroczystości na dzień 15 czerwca ze względu na Boże Ciało) oraz 70-lecia istnienia w Polsce Towarzystwa Polsko-Szwedzkiego. Uroczystości centralne odbywały się 22 czerwca w Sobocie pod Wrocławiem.

Wakacje w skansenie

Od kilku już lat chorzowski skansen jest organizatorem wielu interesujących imprez dla dzieci, które nie miały możliwości spędzić całych wakacji poza miejscem zamieszkania. Mogły one w towarzystwie rodziców i opiekunów uczestniczyć w zabawach i konkursach, które rozgrywane były w scenarii wsi górnośląskiej i zagłębiowskiej sprzed 150 lat.

Szczególnie cenną inicjatywą była prezentacja spektakli teatralnych przeznaczonych dla najmłodszych. W tym roku, w lipcu, Andrzej Pisarek proponował „Jasia i Małgosię” i „Czerwonego Kapturka”, Teatr Małych Form „POKO”, „Pchłę szachrajkę” i „Kopciuszką”. Było trochę najprawdziwszych cudów, czyli iluzji w wykonaniu Duo Cornelius. Dla nieco starszych i dorosłych skansen przygotował odbywające się od 30 czerwca do połowy lipca Wici Folklorystyczne (o nich szerzej w kolejnym numerze „Śląska”), czyli spotkania zespołów regionalnych, folklorystycznych, kapel i śpiewaków ludowych, szereg wystaw m.in. rzeźby w węglu i malarstwa Aleksandra Filipka, malarstwa Janiny Motyki, występy zespołów pieśni i tańca, nie tylko naszych rodzimych ale także z Węgier, również czeskiego chóru podczas chorzowskiego „Trojoka” i orkiestr dętych chorzowskich zakładów. Inną atrakcją były występy zespołu country „Texas Band” i koncert przebojów czyli „Od operetki do piosenki”.

Atrakcyjnie zapowiada się również program wrześniowy, w którym znajdują się zapowiedzi dorocznego Pikniku Country, dożynek i wielkiego festynu z okazji 80. lecia Zakładów Azotowych w Chorzowie, a od połowy września czynna będzie wystawa śląskich strojów ludowych z przełomu XIX i XX wieku.

od 17 do 19 czerwca w Będzinie odbywały się I Wojewódzkie Prezentacje Teatrów Lalek, których organizatorem było Stowarzyszenie Artystyczne im. Jana Dormaniana.

Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia wyjechała na swoje 110. tournée do Niemiec, gdzie koncertowała m.in. we Frankfurcie nad Menem i podczas Festiwalu Muzycznego w Bad Hersfeld, prezentując (pod dyktando Antoniego Wita, Siegfrieda Heinricha i Takao Ukigaya) utwory Brahmsa, Brucknera, Mozarta, Schuberta oraz oratorium „Eliasz” Mendelssohna.

Tradycyjnie w ostatni weekend czerwca odbywał się w Panewnikach festiwal piosenki ekologicznej EKOSONÓW 96, który organizowany jest przez francuskanów z kalwarii panewnickiej.

■ Członkowie Towarzystwa Przyjaciół Grodzka gromadzą materiały do wydania „Małej Encyklopedii Grodzka”.

Lalki świata



Foto: Roman Koszowski

W ten sposób barwne miniaturowe postaci z całego świata oglądały nie tylko najmłodsze gości wernisażu.

Niezwykłą wystawę otwarto w dniu 12 czerwca w Muzeum Historii Katowic. „Lalki świata” to tytuł ekspozycji, a przygotowana została nie tylko z myślą o najmłodszych. Ekspozycja, na której prezentowana jest imponująca kolekcja ponad dwustu lalek, doskonale odzwierciedla

wszystkie podobieństwa i różnice jakie znajdująemy w narodach całego świata. Znakomicie odbijają kulturę kraju z którego pochodzą wynikając z jego tradycji, obyczajów. Jak mówiła komisarz wystawy —



Lalka z Południowej Afryki

Ewa Liszka z Muzeum Historii Katowic — kolekcja ta jest tylko niewielką częścią zbioru zgromadzonego przez angielską podróżniczkę, którą fascynowało zbieranie wiadomości o obyczajach i kulturze obcych narodów. Z odwiedzanym krajom przywoziła na pamiątkę lalki w strojach charakteryzujących dany region świata.

Wystawa została uzupełniona ekspozycjami wypożyczonymi ze Spółdzielni Pracy, Rękodzieła Ludowego i Artystycznego im. St. Wyspiańskiego w Krakowie.

■ Kolejny wieczór jazzowy z udziałem grupy „Mazzoli and Ahythmic perfection” zorganizował katowicki klub „Marchol!”.

■ Odżyła idea budowy pomnika ku czci największego sosnowiczana — Jana Kieprzy, któremu już kilka lat temu postawiono pomnik, (ogłoszono nawet konkurs), ale tym razem trzeba szukać sponsorów, bo z kasy miejskiej na ten cel nie będzie żadnych pieniędzy.

■ W Czeladzi czerwcową sesja Rady Miejskiej poświęcona była w głównej mierze sprawom Kultury czyli m.in. utworzeniu Miejskiego Ośrodka Kultury oraz przywróceniu Miejskiej Biblioteki Publicznej (zamkniętej jakiś czas temu w Centrum Oświatowo-Kulturalne), a także innym działaniom kulturalnym w mieście.

■ 30 czerwca w Będzinie „Teatr Treści Przenośnych” z Ośrodka Kultury Teatralnej prezentował spektakl „Fatalia Bałańskie”.

■ Pod patronatem Urzędu Wojewódzkiego i Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego

■ W Młodzieżowym Domu Kultury w Bytomiu otwarto galerię, w której prezentują swe prace uczestnicy Warsztatów Terapii Zajęciowej — ma ona być zaczątkiem Centrum Integracji Twórczej.

■ Kolejną wystawą w Muzeum Archidiecejalnym była prezentacja malarstwa na szkle Zofii i Magdaleny Forteckich z Zakopanego, której towarzyszyła recytacja wierszy podhalańskich poetów i góralska muzyka.

■ W kościele św. św. Piotra i Pawła w Tarnowskich Górach koncertował chór chłopięcy „Rodnik” z Kerczu (Ukraina), wykonując utwory Mozarta, Schuberta i pieśni religijne.

■ We wszystkie niedziele lipca odbywały się w Pałacu w Rybnej koncerty w ramach „IV Muzycznego Lata w Rybnej”, na program których złożyły się dzieła dawnych mistrzów.

■ 6 lipca chór „Jutrzenka” z Nakła obchodził jubileusz 85. lecia działalności.

Młodzi regionaliści

Od 25 lat Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe przy współpracy kuratorium i towarzystw regionalnych organizuje Turnieje Wiedzy o Śląsku Opolskim dla uczniów szkół podstawowych, zawodowych i średnich. Turniej przechodził różne przeobrażenia merytoryczne i organizacyjne. Pozostał niezmiennie główny cel: rozbudzić zainteresowanie uczniów historią i dniem dzisiejszym Śląska, wypełnić wiedzą lukę programową.

Turniej nie ma charakteru obligatoryjnego. Jego masowość i ideowe powodzenie zależy od bezinteresownej pracy nauczycieli. W tym miejscu należy podkreślić wyjątkową regionalną pasję opolskich nauczycieli. Do nich należy m. in. Zenobia Majchrzak, nauczycielka historii z Zasadniczej Szkoły Kolejowej w Kędzierzynie-Koźlu (uczy również historii w Zespole Szkół Żegluga Śródlądowej w tym mieście), która wraz ze swoimi uczniami uczestniczy w turnieju od samego początku. Jej uczniowie zdobywają główne laury, mimo iż jest to szkoła typu zawodowego, w której programach główny akcent nie kładzie się na naukę historii. Przykład Pani Zenobii jest przykładem pozytywnym, godnym naśladowania. Oby więcej takich nauczycieli potrafiących zainteresować młodych ich małą Ojczyzną. Do takich nauczycieli należy również Zygmunt Jagodziński z wiejskiej szkoły w Dąbrowie Namysłowskiej, czy Czesław Dumkiewicz z Moszczanki i Władysław Sochor z Prusinowic. Lista nauczycieli z regionalną pasją jest długa. I to cieszy. Laureaci turniejów, po skończeniu szkół, zasilają szeregi działaczy społecznego ruchu kulturalnego.

Dodajmy. 26 Turniej Wiedzy o Śląsku Opolskim (od trzech lat odbywający się jako Regionalny Turniej Historyczny) odbył się w Głubczycach. Był imprezą dwudniową o dużych walorach dydaktyczno-wychowawczych. Prezentowano program artystyczny głubczyckich szkół. Zwiedzano miasto i czeski Krnov. Jury podkreśliło wysoki poziom turnieju. Laureaci otrzymali cenne nagrody rzeczowe od sponsorów. Wszyscy uczestnicy wyjechali usatysfakcjonowani.

TADEUSZ
SOROCZYŃSKI

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Dni i święta

W kulturalny kalendarz województwa opolskiego coraz częściej (i gęściej) wpisują się dni i święta poszczególnych miast opolszczyzny. Te nowe święta lokalnych społeczności (po dożynkach) są doskonałą okazją do kulturalnej prezentacji miejscowych zespołów artystycznych działających przy samorządowych instytucjach kultury, szkołach, parafiach, kołach mniejszości narodowych.

Szczegółne nasilenie tych imprez widoczne jest w maju, czerwcu i lipcu. Mają one różne formy i różne nazwy. W Otmuchowie — na przykład — swoje święto nazwano Latem Kwiatów, w Głogówku — Jarmarkiem św. Jerzego, w Namysłowie — Dniami Kultury, w Grodkowie — Dniami Elsnera, w Kędzierzynie-Koźlu — Urodzinami Miasta. Najwięcej jest jednak DNI. Dni Opola, Gogolina, Strzelec Opolskich, Prudnika, Nysy Białej, Leśnicy, Kluczborka, Ujazdu, Dobrzecia itp.

Wszędzie odbywają się z dużym rozmachem organizacyjnym (w razie niepogody — pod dużymi namiotami) z udziałem delegacji i zespołów artystycznych z zaprzyjanych miast. Bogaty wachlarz kulturalny propozycji jest dopełniany różnymi stoiskami gastronomicznymi i imprezami o charakterze sportowo-rekreacyjnym.

Język porozumienia

Dzięki organizacyjnym i artystycznym talentom Janusza Telejko i Mirosława Gąsienica przed ośmiu laty w Brzegu powołano Majowy Festiwal Muzyczny. Festiwal z każdym rokiem poszerzał się o nowe nazwiska, koncerty i solistów a także o nowe miasta, w których odbywały się koncerty.

Rzeczy animatorzy tej imprezy z biegiem czasu nadali jej międzynarodowy charakter. Zaprosili do udziału słynnego dyrygenta Kurta Masura, urodzonego w Brzegu, mieszkająca Niemiec. Zapraszano również renomowane zagraniczne orkiestry i solistów.

Od dwóch lat festiwal w Brzegu odbywa się jako Międzynarodowy Śląski Festiwal Muzyczny „Porozumienie”. Nazwa czytelna. Muzyka w tym festiwalu jest językiem porozumienia, zbliżającym narody, z głównym akcentem na polsko-niemieckie zbliżenia.

Tegoroczny festiwal odbywał się w dniach od 15 do 23 czerwca we Wrocławiu, Opolu, Żarach, Brzegu i Żaganii. A finałowy koncert w kościele św. Mikołaja w Brzegu był artystycznym wydarzeniem. Tak twierdzą znawcy tematu. Słynną Das Leipziger Gewandhausorchester dyrygował sam Kurt Masur, któremu władze miasta nadały tytuł Honorowego Obywatela Brzegu.

JEDNYM ZDANIEM

■ Z tegorocznego Ogólnopolskiego Dziecięcego Festiwalu Piosenki i Tańca w Koninie Zespół Artystyczny „PECH” z opolskiego Młodzieżowego Domu Kultury wrócił ze Srebrnym i Brązowym Aplauzem.

■ Ponad 100 młodych redaktorów i opiekunów, wydających 49 szkolnych gazetek i czasopism w 15 szkołach podstawowych i średnich województwa opolskiego spotkało się 19 czerwca w Opolu na V Uczniowskich Warsztatach Dziennikarskich.

■ W Bibliotece Austriackiej w Opolu otwarto wystawę dziecięcej i młodzieżowej literatury austriackiej pt. „Skrzydła ma mój koń bujany”.

■ W Kamieniu Śląskim odbyło się I Walne Zebranie Niemieckiego Towarzystwa Oświatowego, podczas którego wybrano 7-osobowy zarząd i komisję rewizyjną.

■ Miejska Biblioteka Publiczna w Koźlu po raz czwarty zorganizowała Dni Literatury dla dzieci i młodzieży.

Opolski festiwal piosenki

Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu miał być przeglądem dorobku polskiej piosenki i estrady. Marzył o tym w 1963 roku „Papa” Musioł, główny inicjator i animator tej imprezy, długoletni prezes Towarzystwa Przyjaciół Opola.

Wydawało się, że tak jest faktycznie. Opole okrzyknięto nawet stolicą polskiej piosenki. Spragnieni sukcesu artyści a także ci, którzy mieli zostać artystami, zjeżdżali do Opola utwierdzać blask swojej gwiazdy. Młodzi po nominację do sławy. Tak było przez kilka lat.

Stan wojenny naruszył, wydawało się, stabilne fundamenty tej ogólnopolskiej imprezy. Niektóre gwiazdy zaczęły ją bojkotować. Fe-

Edyta Górniak swoją olimpijską interpretacją piosenki o Atlantycie miała być gwiazdą tegorocznego festiwalu w Opolu, mocnym akordem jego finału. Stało się inaczej.

Foto: Jerzy Stemplewski



stiwali tracił na popularności. Zaczęły dominować na estradzie (wiadomo dlaczego) zespoły młodzieżowe o rockowym rodowodzie. Festiwalowi wrożono źle.

A jednak nie umarł. Pełną władzę wzięta w swoje ręce Polska Telewizja. Nowi organizatorzy mówili, że będzie inaczej. I było. W tegorocznym festiwalu, po personalnych i organizacyjnych zmianach, było i inaczej, i lepiej. Amfiteatr znowu ożył.

Grand Prix 33 Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu wyśpiewał Grzegorz Turnaś z Krakowa.

Nowe książki

Oficyna Literacka „WERS”, działająca przy opolskim Oddziale Związku Literatów Polskich pod merytorycznym (i redakcyjnym) nadzorem Harry'ego Dudy, prezesa Oddziału, dobrze służy miejscowemu środowisku literackiemu. W oficynie ukazały się już 42 tytuły, głównie młodych autorów.

W czerwcu ukazał się tomik pt. „W cień oliwnego drzewa” Janusza Wójcika. Jest to, po „Opisaniu świata”, druga poetyczna książka młodego poety z Brzegu, dyrektora Brzeskiego Centrum Kultury, głównego animatora Najazdów Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu, założyciela i opiekuna grupy poetyckiej Stowarzyszenia Żywych Poetów.

Wydano również tomik pt. „Nieobecność to kamień” z wierszami Edmunda Borzemskiego z Łambinowic. Jest to już trzeci tomik poety, członka ZLP, historyka z zawodu, muzealnika z zamiłowania, popularyzatora poezji wśród młodzieży szkolnej.

■ Ukazały się drukiem „Szkice z dziejów Paczkowa” autorstwa Kazimierza Dąbrowskiego.

■ W Domu Kultury w Koźlu czynna była wystawa malarstwa „Odwrot” piętnastu studentów II i III roku wychowania plastycznego Wydziału Pedagogicznego i Artystycznego filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie.

■ 28 czerwca w Miejskim Ośrodku Kultury w Kędzierzynie-Koźlu z dyrektorem Centrum Animacji Kultury w Warszawie, Stanisławem Kolbuszem, spotkali się dyrektorzy samorządowych instytucji kultury Opolszczyzny.

■ 12 artystów-plastyków z miast zaprzyjanych w Opolem uczestniczyło w drugim międzynarodowym plenerze malarskim pt. „Opolskie Krajobrazy 96”.

■ Od końca czerwca do pierwszego września na placu obok Opolskiej Filharmonii odbywają się tzw. koncerty promenadowe, cieszące się uznaniem melomanów.

Pomyłki Bułki

Władysław Bułka jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Gazeta Żywiecka”, członkiem Związku Literatów Polskich. Parę lat temu zdobył sławę tym, iż nie potrafił odmienić przez przypadki własnego nazwiska. „Słowa podziękii składam (...) Annie Bułka, Annie Plaskonka (...), Wawrzyńcowi Hubce (...), Józefie Stoklosa (...)” – pisał we wstępie do jednego ze swych wyborów sprośnych dowcipów góralskich. Ostatnio dał dowód, że są mu obce nie tylko zasady fleksji polskiej, lecz także najnowsza historia Polski.

W Korbielowie przez około 30 lat stał obelisk z napisem, który m. in. określał żołnierzy NSZ mianem reakcyjnej bandy. W maju br. tablicę uroczystie wymieniono na inną, poświęconą wszystkim walczącym o wolność ziemi żywieckiej, w tym także żołnierzom NSZ. Tymczasem w lipcowym numerze „Gazety Żywieckiej” Bułka pozwolił na opublikowanie listu, którego autor ponownie szkaluje tragicznych bojowców z Narodowych Sił Zbrojnych: „(...) wyrażam swoje oburzenie nad tym, że można postawić obelisk NZS za „walkę o wolność tej ziemi”. Jestem urodzony w 1950 roku i jak pamiętam, uczono mnie w szkole na lekcjach historii, że NSZ walczyły z ludźmi, którzy umacniali władzę ludową i budowali naszą Polskę. NSZ mordowały takich ludzi i ich rodziny. (...) Jeżeli tak będziemy postępować, to może postawimy pomnik samemu Hitlerowi” – powiada niejaki Mirosław Witosłowski w piśmie opublikowanym przez Władysława Bułkę w „Gazecie Żywieckiej”.

Złożenie na tej samej szali Hitlera oraz żołnierzy walczących o niepodległość Polski to przerażający dowód bezczelności, bezzmyślności i politycznej sklerozy. Bułka najwyraźniej nie pamięta, że mamy już za sobą rok 1989. Uważa, że nadal można bezkarnie szkalować ludzi, którzy mieli inną wizję Polski niż jego towarzysze z b. PZPR.

Żywiecki dziennikarz zezwala więc nie tylko na posługiwanie się na swych łamach łamaną polszczyzną, ale nadal dopuszcza do głosu fałszerzy historii. Jest to tym bardziej zdumiewające, że Bułka zasiada w ławach poselskich. Członkostwo w ZLP powinno zobowiązywać do pisania poprawną polszczyzną; pełnienie poselskiej posługi do znajomości przynajmniej elementarnych faktów z najnowszej historii Polski. W przypadku Bułki... widzcie, że żądam na wiele.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Zrezygnowany Antończak

W poprzednim numerze pisałem, iż dyrektor „Baniałuki” Aleksander Antończak zrezygnował z usług pracującego w tym teatrze od 42 lat (z przerwami) scenografa i reżysera Andrzeja Łabińca. Dyrektor bielskiej sceny rozwiązał także umowę o pracę z kierownikiem administracyjnym Henrykiem Karwikiem. Zarówno Łabinię, jak i Karwik poczuli się dotknięci postępowaniem Antończaka i przedstawili prezydentowi Bielska-Białej wiele zarzutów wobec dyrektora „Baniałuki”. Zbigniew Leraczyk powołał komisję, która badała skargę przez trzy tygodnie. Gdy komisja skończyła przesłuchania, Aleksander Antończak podał się do dymisji. Komisja co prawda nie opublikowała wniosków, ale Antończak poczuł się zaszczytowany artykułami w prasie regionalnej, na temat jego domniemanej czy rzekomej niegospodarności. Prezydent Leraczyk przyjął dymisję i polecił pełnić dyrektorskie obowiązki dotychczasowemu zastępcy Antończaka Janowi Chrzęszczowi. Na odchodnym Antończak realizuje w „Baniałuce” spektakl pt. „Paluszek”, którego premierę przewidziano na 27 lipca.

Wszystko dla Barwickiej

Niespotykanego wyczynu dokonała choreografka Elżbieta Barwicka. Podczas XXI Wojewódzkiego Przeglądu Szkolnych Zespołów Artystycznych Dzieci i Młodzieży w Bielsku-Białej absolwentka Uniwersytetu Śląskiego i bytomskiej szkoły baletowej zdobyła aż trzy wyróżnienia kategorii S. Kierowane przez nią zespoły Art Dance, Art 2 oraz Art 3 z Wojewódzkiego Centrum Wychowania Estetycznego Dzieci i Młodzieży były zdecydowanie najlepsze wśród zespołów tanecznych.

Nigdy w dotychczasowej dwudziestoletniej historii przeglądów nie zdarzyło się, aby jeden instruktor otrzymał aż trzy najwyższe wyróżnienia podczas jednej imprezy. W ciągu 10 lat pracy z młodzieżą Elżbieta Barwicka otrzymała już 11 wyróżnień kategorii S za upowszechnianie autentycznej kultury tanecznej i muzycznej.

W tym roku podobny laur przyznano oprócz Elżbiety Barwickiej Krzysztofowi Wójtowiczowi — dyrektorowi chóru miesz-

nego z SP w Strumieniu, Halinie Król — kierownicze zespołu wokально-instrumentalnego z Młodzieżowego Domu Kultury nr 1 w Bielsku-Białej, a także dwóm instruktorom teatralnym — Krystynie Małeckiej z Domu Kultury w Hałcnowie i Aleksandrze Kluz z SP nr 36 w Bielsku-Białej.

Fałatówka dla gości

Miłośnicy talentu Juliana Fałata będą mogli ponownie podziwiać jego dzieła w Fałatówce. Z początkiem wakacji otwarto po rocznym remoncie bystrzańskie muzeum jednego z najwybitniejszych polskich malarzy, nieodświeżonego akwarelisty. Remont pochłonął ponad 100 tys. zł. Wymieniono przede wszystkim więźbę dachową. Muzeum wzbogaciło się o brązowe popiersie artysty autorstwa bielskiego rzeźbiarza Bronisława Krzysztofa. Podczas uroczystego otwarcia placówki rodzinny dom odwiedziła wnuczka Juliana Fałata, rektor Akademii Ekonomicznej w Katowicach, prof. Lucyna Frąckiewicz (na zdjęciu od prawej).



Foto: J. Picheta

Bez głównej nagrody

Ponad stu autorów z całej Polski nadesłało swoje prace na trzecią edycję Konkursu Wzornictwa Przemysłowego „Projekt Arting '96” w Bielsku-Białej. Na wystawę pokonkursową, którą można było oglądać w Galerii Bielskiej BWA w lipcu, zakwalifikowano projekty 26 autorów. Jurorzy nie przyznali pierwszej nagrody. Dwie drugie w wysokości 5000 zł podzielono pomiędzy Grzegorza Dzierżę z Wodzisławia Śląskiego za projekt szachów oraz Czesławę Frejlich i Krzysztofa Hamigę z Krakowa za projekt zabawki drewnianej. Trzecią nagrodę i 3000 zł przyznano Marcie Mulawie-Kilarskiej za projekt butelek na dwa różne rodzaje wódek. Znalazły się także pieniądze na pięć wyróżnień po 1000 zł każde. Wśród wyróżnionych był Jarosław Kałuski z Tychów.

JEDNYM ZDANIEM

■ Jeden z zespołów „Baniałuki” udał się do Awinionu, gdzie wraz z kolegami z francuskiej trupy Francois Lazare wystawi „Martwe słowa” podczas festiwalu, który co roku odbywa się w grodzie nad Rodanem.

■ Z wakacyjnych występów w Toskanii i Szwajcarii, gdzie wydał płytę kompaktową, powrócił bielski chór „Echo” śpiewający pod patronatem Domu Kultury Włókniarzy.

■ W okolicach Frankfurtu oraz w Wiedniu koncertował chór młodzieżowy „Ave Sol” z Bielska-Białej.

■ Od 10 do 14 lipca trwał I Ogólnopolski Festiwal Piosenki Religijnej „Rychwałd '96”.

■ W pierwszej dekadzie lipca odbył się w Ustroniu VII Ogólnopolski Festiwal Twórczości Religijnej „Gaude Fest '96”.

■ 20 lipca podczas XV Dni Jeleśni otwarto wystawę malarstwa Jerzego Pazdanowskiego ze zbiorów bielskiego kolekcjonera Władysława Banacha.

■ 21 lipca Zembrzyce były świadkiem Pikniku Galijskiego, który zorganizowano tam po raz pierwszy.

■ Pod hasłem „Twórczość inspirowana folklorem” 22 lipca w Wiśle rozpoczął się IV Ogólnopolski Plener Plastyczny dla Osób Niepełnosprawnych.

■ W USA przebywał reprezentacyjny zespół folklorystyczny z królewskiego miasta nad Solą „Ziemia Żywiecka”.

■ Wystawę dzieł plastycznych Aleksandra Markowskiego można było oglądać w Galerii Bielskiej BWA.

■ „Spacerem po dawnym Cieszynie” to tytuł wystawy w Galerii Muzeum w Cieszynie przy ul. Srebrnej.

■ Podczas październikowego I Festiwalu Kompozytorów Polskich w Bielsku-Białej, który będzie poświęcony muzyce Henryka Mikołaja Góreckiego, Bielskie Centrum Kultury otrzyma imię tego wybitnego katowickiego kompozytora.

Jaja dla Kolumbów

Dziesięciu jubilatów, którzy urodzili się w roku kończącym się cyfrą 6, skorzystało z zaproszenia do wzięcia udziału w pierwszej benefisowej imprezie na Zaolziu, czyli w kolejnym spotkaniu w poetyckiej „Kawiarni Avion, której nie ma...”. Odbędzie się ono pn. „Kolumbowie rocznik... 6” w klubie Teatru Cieszyńskiego w piątek 7 czerwca.

„Tytuł imprezy zaczerpnięty został oczywiście z powieści Romana Bratnego „Kolumbowie rocznik 20” (...). Pomysł zrodził się w głowie autorki scenariusza, która zdolna jest do wszystkiego, a jako że często ulega magii liczb i symboli, ciekawym jej wydał się fakt, że właśnie sześciu zaolziańskich pisarzy ma na końcu urodzenia piszeczki: Berger, Przeczek, Kaszper, Horzyk, Jedzok, Putzlacher” — można było przeczytać w wydanym z okazji spotkania w „Avionie” programie autorstwa jednej z „Kolumbów” (czy raczej „Kolumbicy”, gdyż tym słowem często posługiwali się konferansjerzy benefisu), Renaty Putzlacher, która była również autorką scenariusza imprezy.

Z zaproszenia skorzystali nie tylko wymienieni już literaci (z powodów zdrowotnych nie mógł się niestety zjawić Wilhelm Przeczek), ale również zaolziańscy plastycy i fotograficy — Monika Milerska i Franciszek Balon, starosta Gminy Artystycznej im. mjr. Szmauz (przeznaczono list kolejnego nieobecnego w „Avionie” Kolumba, mieszkającego obecnie w Polsce Jana Rusnoka-juniora), aktorka Sceny Czeskiej, Hana Vonzin, oraz córka W.A. Bergera Ewa — tłumaczka i poetka. Gościem kawiarneki był też urodzony co prawda w roku kończący się trójką, za to obchodzący urodziny właśnie 7 czerwca czeskosłowacki bard, Jaromir Nohavica, który zaśpiewał dwa utwory z przygotowywanej właśnie płyty.

Podczas wieczoru każdy z obecnych na sali Kolumbów otrzymał specjalne przygotowane „Jajo Kolumba”, a ze sceny zabrzmiły wiersze, piosenki i opowiadania jubilatów w wykonaniu aktorów Sceny Polskiej i Czeskiej Teatru Cieszyńskiego, raczono się smakowitymi „kulkami mięsnymi” przygotowanymi przez Kolumba Balona... Na fortepianie przygrywał przez cały czas jak zawsze niezawodny Bronisław Liberda, całość zaś prowadzili Renata Putzlacher i Karol Suszka.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Dni Kultury Polskiej

W historycznym ratuszu Kromierzyża (Morawy środkowe) zainaugurowano w piątek 7 czerwca, w obecności wiceministra kultury i sztuki RP, Michała Jagielly, ambasadora RP w Pradze, Marka Pernala i konsula generalnego RP w Ostrawie, Bernarda Błaszczyka, „Dni Kultury Polskiej”. Imprezę tę, będącą częścią szeroko pojętych Dni Polskich w Kromierzyżu, zorganizowały władze miasta wspólnie z Instytutem Polskim w Pradze, Ministerstwem Kultury RC oraz Konsulatem Generalnym w Ostrawie.

Podczas Dni Kultury Polskiej przedstawiły się morawskiej publiczności m.in. kwartet smyczkowy DAFO z Krakowa, PZKO-wski zespół OLZA oraz rockowa formacja „Dżem” z piosenkarką Martyną Jakubowicz. W sali Zamku Arcybiskupiego można też było obejrzeć wystawę polskiego plakatu.

Jubileusz W.A. Bergera

Fundacja Czesko-Polskie Centrum Kultury i Nauki oraz Dom Polski w Ostrawie zorganizowały w sobotę 8 czerwca spotkanie pisarzy z katowickim studium TVP z okazji 70-lecia urodzin pisarza Wiesława Adama Bergera (ur. 6 czerwca 1926).

Jubilatowi serdeczne życzenia, kwiaty i podarunki złożyli m.in. przedstawiciel Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, Krzysztof Szewczyk, członkowie katowickiego oddziału SPP, Stanisław Piskor i Stanisław Krawczyk, prezes katowickiego oddziału PEN Klubu Andrzej Szuba, członek morawsko-śląskiego oddziału Gminy Pisarzy Czeskich w Ostrawie, Miroslav Stoniš, przyjaciele, znajomi... Wraz z życzeniami wyrażono słowa uznania dla dorobku W.A. Bergera. M.in. Władysław Sikora zapoznał licznie zebranych ze swymi refleksjami na temat ostatniej książki Bergera „Marienbad”.

W związku z uroczystością żona pisarza, Helga Bergerowa, wystawiła we foyer Teatru A. Dvořaka w Ostrawie 50 rysunków zainspirowanych ubiegłorocznym wspólnym pobylem w Hiszpanii, w Domu Polskim zaś zainstalowano małą wystawę dorobku pisarskiego Bergera.

Zmarł Józef Rozbrój

W niedzielę 9 czerwca po długiej i ciężkiej chorobie zmarł, przeżywszy 45 lat, scenograf i plastyk zaolziański, Józef Rozbrój.

Rozbrój urodził się w Hawierzowie-Żywocicach, a po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych

w Krakowie został scenografem Teatru Cieszyńskiego (1980-1982). O tym, że był on niezwykle cenionym scenografem, świadczy fakt, iż po przeprowadzce do Polski, do Kluczborka, nadal gościł na scenach czeskich w Czeskim Cieszynie, Ostrawie i Opawie. Był twórcą ponad 50 projektów scenografii i kostiumów; jego ostatnimi projektami w Teatrze Cieszyńskim był „Dekameron” w Scenie Polskiej i niezwykle barwny „eksportowy” spektakl Sceny Czeskiej — „Ferda Mravenec”.

Oprócz działalności teatralnej uprawiał też grafikę, zajmował się także architekturą wnętrz, jego prace wystawiano w Krakowie, Warszawie, Toronto, w Niemczech i oczywiście na rodzinnym Zaolziu...

Kamień czy słowo

Taki tytuł nosiła kolejna polsko-czeska impreza poetycka, która odbyła się w dniach 7 i 8 czerwca w Cieszynie oraz na zamku arcybiskupów olomunieckich w Hukwaldach. W mini-festiwalu poetyckim wzięło udział 13 poetów z Zaolzia, Polski, Czech i Moraw.

Wszyscy biorący udział w imprezie poeci znani są czytelnikowi zaolziańskiemu z pism literackich „Modrý květ” i „Weles” — aż z północnych Czech przyjechali Milan Džžinsky i Radek Fridrich, z Brna — Vit Sliva, Robert Fajkus i Petr Hrbáč. Polskę reprezentowali: iracki poeta zamieszkały w Warszawie, Hatif al-Janabi, oraz Wojciech Bonowicz z Krakowa, Śląsk Cieszyński zaś Renata Putzlacher, Kazimierz Kaszper, Vojta Kučera, Bogdan Trojak, Ivan Motyl i Jacek Sikora.

Swoje wiersze poeci przedstawili w piątek w romańskiej rotundzie p.w. Św. Mikołaja na Wzgórzu Zamkowym w Cieszynie, w sobotę zaś wyjechano na Morawy, by mini-festiwal zakończyć na zamku Hukwaldzkim. Warto dodać, że polskich i czeskich wierszy recytowanych na różnych miejscach drugiego zamkowego nadwora wysłuchali również powracający z „Dni Polskich” w Kromierzyżu przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, konsul generalny Bernard Błaszczyk oraz konsul Piotr Szwarc.

Jeden z organizatorów, I. Motyl, powiedział nam po imprezie, że co prawda słowo znowu nie zwyciężyło nad wiekowym kamieniem, ale poetyckie zmagania warto kontynuować również w latach następnych.

Laury dla Wilhelma Przeczka

W Filharmonii Opolskiej wręczono 20 czerwca „Artystyczne Nagrody Wojewody Opolskiego” za rok 1995. Jedną z nagród przypadła za własne dokonania poetyckie pisarzowi i poecie Wilhelmowi Przeczkowi.

Wilhelm Przeczek jest pierwszym Polakiem mieszkającym poza Macierzą, któremu przyznana została ta prestiżowa nagroda. Jej przyznanie zbiegło się też z terminem ukazania się w opawskim wydawnictwie „Optyś” książki Przeczka „Hudba z nebe” w przekładzie Heleny Stachowej i Erika Sojki.

JEDNYM ZDANIEM

■ W dniach 5-8 czerwca w pawilonie wystawowym na ostrawskiej Czarniej Łące odbyły się II Międzynarodowe Targi Wymiany Gospodarczej „Silesia '96”, w których udział wzięło około 90 polskich firm, m.in. „Stalexport” i „Weglozbyt”.

■ Miejscowe Koło PZKO w Orłowej-Mieście zorganizowało wystawę prac długoletniej członkini Koła, plastyczki Alicji Bartulcowej.

■ Uczniowie Polskiej Szkoły Podstawowej w Jabłonkowie wystawili w Domu PZKO w Nawsiu sztukę Marty Berowskiej „Tajemnica Ślęży” w reżyserii Jana Pyszko.

■ 4 czerwca zakończył się w Ostrawie XXI Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Maj Janaczka” z udziałem orkiestry kameralnej „Amadeus”, której dyrygentem jest Agnieszka Duczmal.

■ Uczeń Gimnazjum Polskiego w Karwinie, Stawomir Wykręt, zajął trzecie miejsce w olimpiadzie kulturalno-naukowej „Poloniada '96”, zorganizowanej już po raz trzeci przez Fundację Młodej Polonii.

■ W dniach 14-16 czerwca odbyła się w Cieszynie i Czeskim Cieszynie piąta edycja Święta Trzech Bra-

ci, w trakcie której burmistrzowie Jan Olbrycht i Bohumil Muroň podpisali umowę o współpracy obu miast.

■ Renata Putzlacher otrzymała Nagrodę Główną w konkursie literackim I edycji Ogólnopolskiego Konkursu Plastycznego i Literackiego „Cztery Pory Roku — Wiosna” w Koszalinie.

■ Zaolziańskie teatryki dziecięce „TK5” z Trzyńca oraz „Drops” z Olbrachcic znalazły się wśród laureatów Międzynarodowego Polonijnego Turnieju Teatrów Dziecięcych „O Puchar Uśmiechu”, który odbył się w dniach 14-16 czerwca w Krośnie.

■ Polski Chór Mieszany „Collegium Cantorum” nagrał na początku lipca materiał na płytę kompaktową, która pojawić się powinna w sprzedaży jeszcze przed końcem roku bieżącego.

■ W dniach 28-29 czerwca na stadionie piłkarskim w Trzyńcu-Borku odbyła się trzecia edycja największego w Republice Czeskiej festiwalu Rockowego „Noc Pełna Gwiazd” z udziałem około 40 zespołów (w tym również „Oddział Zabłąkany” z Polski).

Z dziejów pewnego pomnika

Wydało się zrazu, że ta rocznica pozwoli skwitować się krótką notką. Wszelako w miarę gromadzenia dokumentacji odsłaniały się tak interesujące fakty dotyczące historii tego obelisku, że godzi się poświęcić jej trochę miejsca i uwagi. Jest w niej dramatyczne napięcie, zwroty sytuacji i są przemilczenia, z których niektóre dają się uzasadnić, a inne do dziś pozostają zagadką.

„Komitet Wykonawczy uczczenia pamięci Józefa Lompy” zawiązał się 2 września 1928 roku. Na czele honorowego Prezydium stanął ksiądz prałat, zarazem senator i czołowy działacz Chrześcijańskiej Demokracji — Paweł Brandys. Prezesem komitetu wykonawczego był Paweł Hetmańczyk z Piasku. Głównym celem Komitetu było zgromadzenie środków na pomnik Lompy, który zamierzano postawić na rynku w Woźniakach, w którym to miasteczku pisarz spędził ostatnie kilkanaście lat życia, a także rekonstrukcję Jego grobu przy woźnickim kościele. W prasie śląskiej ogłoszono publiczną zbiórkę pieniędzy. Szła jednak niezbyt szparko, gdyż do końca roku 1930 zebrano zaledwie połowę wymaganej kwoty. W roku następnym sprawy ruszyły jednak zdecydowanie i już od lipca „Polonia” — organ Korfantego — zapowiadała uroczystość odsłonięcia pomnika... w Lubszy. Kto zasilił kasę Komitetu? Kto zdecydował o zmianie poprzedniej lokalizacji? Po prawdzie niewielka Lubsza miała jakby większe „prawa” do Lompy choćby z tej racji, że tenże spędził w niej 30 lat życia, ucząc w miejscowej szkółce i pełniąc funkcję organisty.

Dla zrozumienia dalszych wywodów konieczne jest w tym miejscu przypomnienie, że był to czas dramatycznego rozdarcia w ruchu narodowym w województwie śląskim; podziału inspirowanego i realizowanego przez wojewodę Michała Grażyńskiego i jego funkcjonariuszy oraz dobrowolnych zwolenników chcących też ogrzać się cokolwiek przy ciepłej władzy. Na przeciwnym biegunie stał Wojciech Korfanty — nie do strawienia przez wojewodę z powodu zyciorysu, zasług, charyzmy i niepokornego charakteru. Korfanty — zadzierzasty polemista — nie mógł przepuścić tak nośnej propagandowo okazji, by nie wykorzystać jej do pogębienia politycznych przeciwników.

Uroczystość

Nadszedł więc dzień 2 sierpnia 1931 roku. W trakcie podniosłej uroczystości, obelisk wzniesiony tuż obok budynku szkoły w Lubszy odsłonił były dyktator III powstania. W krótkiej oracji powiedział między innymi: „Co prawda w tej uroczystości poświęcenia pomnika Patriarchy odrodzenia narodowego na Śląsku nie brali udziału różni polityczni koncesjonariusze, karierowicze sanacyjni, nie było nawet przedstawicieli władz rządowych (jeden z nich uważał nawet za



Glossy górnos Śląskie

potrzebne wyprzeć się przynależności do komitetu, względnie prezydium honorowego obchodu. Był to naczelnik Wydziału Oświecenia Publicznego p. Ręgorowicz), ale za to (był) lud śląski, ten lud, który czerpał z niewyczerpanej krynicy oświaty, jaką przeszło 100 lat temu tworzył na Śląsku Józef Lompa”.

Znamiennym objawem zacietrzewienia „sanatorów” było skwitowanie faktu uczczenia pamięci człowieka tak zasłużonego dla Śląska ośmiowierszową notką złożoną petitem na ostaniej stronie „Polski Zachodniej”. Oczywiście, nazwiska Korfantego w niej nie było! To można by jeszcze zrozumieć, ale dlaczego również skąpo napisano w kwartalniku kulturalnym (!) „Zaranie Śląskie”? Odpowiedź: wszystko, czemu patronował Korfanty, było tabu! I takiej fobii podporządkowano nadrzędne interesy narodowe na Górnym Śląsku, odzyskanym przecież zaledwie przed 9 laty.

Świadectwem literackim

Ciekawym, charakterystycznym dla epoki, lecz również mało rozgłoszonym jest wiersz Jana Smotryckiego (Jotesa) — dziennikarza „Polonii” i dziarskiego rymopisa. Znajdujemy go w tomie „Marginesy”, wydanym w Katowicach w tymże 1931 roku. Z utworu, liczącego 8 strof, podajemy obszerny fragment.

Przy pomniku s.p. Józefa Lompy nauczyciela ludu śląskiego

Przed wiekiem, kiedy w lud śląski
znękanym,
zawsząd nieszczęścia i pioruny były,
gdy co dzień niemal wróg zadawał rany,
gwałtem polskości uszczuplając siły,
był mąż, co wrogom rzucił w twarz
te słowa:

— „Polski jest lud nasz i Ziemia
Piaستوا!”

To Józef Lompa uczył swe rodaki
i budził ze snu polskie serca, dusze,
a choć wróg gnębił go w sposób

wszelaki,
ciału i duszy zadając katusze,
Lompa, nim spoczął pod mogiłą grudą,
Nauczycielem był swojego ludu.

O Polsce pisał... Uczył starszych, dzieci,
jak służyć Bogu i swemu krajowi
i był jak światło, co nad morzem świeci,
aby wskazywać drogę żeglarzowi —
wierzył i wiarę tę krzewił śród ludu,
że Śląsk dożyje zmartwychwstania cudu.

(...)

A kiedy odszedł, po Nauczycielu
poszli uczniowie liczni w Jego ślady:
Miarka i Stalmach i wielu i wielu...
aż do owego dnia historycznego,
kiedy lud śląski z Korfantym na czele
o prawa swoje upomniał się śmieje.

Przed tym pomnikiem lud śląski

dziś stoi,
aby hołd złożyć Temu, czyjej pracy
to zawdzięczamy, żeśmy wszyscy swoi,
wszyscy — w rodzinie i wszyscy Polacy
byli, gdy przyszła ta chwila dziejowa,
kiedy ku Polsce szła Ziemia Piaستوا.

(...)

Powalenie

Widoczne Fatum zawisło nad tym prostym obeliskiem. Postał 8 lat. „Kiedy 1 września 1939 pod wieczór pokazali się we wsi Niemcy, kiedy „niewdzięczna Lubsza” albo wieszala u okien nowe chorągwie, albo przez wzgórze i laski uciekała w głąb Polski, zamykał się tragiczny krąg pamięci Lompy. Następnego dnia przyszli tu pod eskortą Lubszanie-Polacy, kilofami i łopatami zrabowali pamiątkę kamienną. Tak mścił się Niemcy na Lompie. Rechotali: Niech burza ci, co stawiali. Bolesne złupane szczątki kamienia — wszak i kamień czuje ból, gdy okaleczy się jego ciało ukształtowane ręką artysty — leżały na miejscu zbrodni przez całą wojnę i leżą dziś jeszcze, nieme wołanie o pieniądze, pomoc, o ochotę dłoń artysty, który ułoży je według pierwotnie pomyślanego porządku lub ustawi pomnik nowy, wspanialszy” — pisał w roku 1947 Wilhelm Szewczyk w szkicu „Odwiedziny u Lompy”, pomieszczonym w numerze „Zarania Śląskiego” wydanym na 150. rocznicę urodzin Wielkiego Ślązaka. Była w tym tekście też iskra optymizmu, zawarta w słowach: „Metalową tablicę z pomnika przechował ten, któremu żandarm niemiecki nakazał dzieło zniszczenia”.

Potem upłynęło 25 lat. W roku 1972 nakładem Śląskiego Instytutu Naukowego w serii monografii miast i powiatów ukazała się praca „Lubliniec. Zarys rozwoju powiatu”. Nie było w niej znów ani słowa o wielkich uroczystościach Lompowskich w 1931 roku, żadnej też wzmianki o pomniku. Przypadek, zła wola, a może tylko (!) to okropne Śląskie Fatum, ciężące od wieków nad naszymi sprawami?

WOJCIECH JANOTA



Listy spod kapelusza

Droga moja,
czas na głębszy oddech. Chyba zasłużyłam. Przynajmniej nie wspomnę o tym liście ani razu o Katowicach i o tym, jak deszczowo w nich było, gdy wyjeżdżałam. Nie bój się na zapas, bo nie piszę do ciebie z Avignon, więc nie grozi Ci, że zacznę przeżywać spektakle teatralne. W drodze do Barcelony przejeżdżałam wprawdzie przez to miasto, które, jak wiesz, maksymalnie w sobie zmitologizowałam. I aż mnie ścisnęło, gdy pomyślałam, że mogłabym tyknąć choć trochę festiwalowego szaleństwa, ale zdrowy rozsądek kazał mi zrezygnować z nagłych chciejstw.

Siedzę na La Ramblí w Barcelonie i popijam sangrię z lodem. Przede mną pomnik Krzysztofa Kolumba. Wokół kilku artystów, próbujących zainteresować swoimi umiejętnościami przechodzących. Lalkarz o twarzy starego mima animuje marionetki sycylijskie, przedstawiające postaci muzyków — skrzypka i pianisty. Robi to perfekcyjnie. Zaprasza do zabawy dzieci, uczy je animacji i oklaskuje głośno ich każdy, nawet nieudany ruch. Obok uduchowiona, marmurkowo-biała święta, zastępną w powykrecanej pozie, imitującej rzeźbę z zamkniętymi powiekami. Gdy usłyszy dźwięk wrzucanych do błazanego naczynia monet, ożywia się na sekundę, nieznacznie zmieniając pozę i na powrót zastygając w następnej. Widziałam niedawno cyrkowego błazna na rynku w Katowicach (miało nie być o Katowicach!), który próbował zmąlpować z miernym skutkiem ten sam pomysł.

Siedzę więc i trwam pogodnie, leniwie. Era jest kenozoiczna, to wiem, epoka holocen, rok 1996, sezon wakacyjny, miesiąc lipcowy, dzień (może środa albo czwartek, zresztą to teraz nieważne), a chwila w sam raz na łądy z owocami.

Nie ma we mnie żadnego wiersza,
żadnych sensów ani metafor
codziennosc rozgościła się na dobre
rozpostarła się tak szeroko
kamiennie i chropowato jak
plaża w Port St. Louis.

Wiatr głaszcze moje ciało
i myśli które czasem wlatują
by zatrzymać się na kiści
winogron lub oszronionym
dzbaniu z sangrią.

To wszystko.

I nie wpadam w przerażenie.

I nie czuję się nieszczęśliwa
ani gorsza.

Za chwilę zjem tortillę w którejś z małych knajpek w bocznej uliczce i pokulam się do hoteliku na Placu Garibaldi. Będę leżała do góry dnem, a jak tylko zdarzy mi się pomyśleć o tym, co powinnam po powrocie, to zacznę liczyć metodą Silvy od stu do jednego albo powtarzać jakąś zaprzyjaźnioną mantrę. Jednym słowem: dolce vita po polsku. Śmieję się, jeżeli masz ochotę. Tęsknię za Twoim śmiechem i zjadliwymi uwagami.

I pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu nie widziałam potrzeby wyrabiania paszportu, bo nie wierzyłam w żadne praktyczne możliwości korzystania z niego. Kiedy jako nastolatka czytałam „Dzieje grzechu”, traktowałam jako absolutnie fantastyczną tę część powieści, w której główna bohaterka, tak po prostu wyjeżdża sobie do „zakazanych” krajów, a nie tę, w której Bodzanta przeprowadza swój dziwny eksperyment socjologiczny.

Najważniejsze! Jestem znów zakochana. A wydawało mi się, że nie ma już na świecie mężczyzny, który mógłby zaważać moim sercem. Zrobił to Amics de Gaudi swoimi pomysłami architektonicznymi, projektami mebli i rzeźbami, których mogłam dotykać w Park Guell. Siedziałam na mozaikowych ławeczkach Gaudiego i co najmniej dziesięć zdjęć kazałam sobie pstryknąć na *Bridge of in love ones*. Już dokładniej Ci nie opiszę moich szaleństw na huśtawkach w tymże parku, na placu dziecięcych zabaw oczywiście. I to się nazywa wyfrunąć z własnej głowy albo wziąć sobie urlop od siebie. Czyżby od siebie?

Pozdrawiam Cię słonecznie, platanowo i palmowo

Twoja Marta Fox

w lipcu 1996 roku, w Barcelonie (jeszcze trochę)

W działalności ekspozycyjnej Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach od kilku lat wyraziście rysuje się linia prezentacji sztuki współczesnej, powstającej z głębokich inspiracji bądź poszukiwań duchowych, związanych z Kościołem Katolickim. Przeważnie jest to twórczość artystów niemieckich. Dużą rolę odgrywa w tym słynny na Zachodzie — nie tylko w Europie — jezuita O. Friedhelm Mennekes. Jest on znawcą i propagatorem sztuki współczesnej w Kościele, zwracających szczególną uwagę na jej wymiar religijny, transcendentny.

Prezentowane w tym nurcie obrazy, rzeźby i obiekty trafiają u nas jakby w pewną próżnię. Publiczność nie jest do takiej sztuki przygotowana, zaś brak

jest żywy stosunek do tradycji i chęć wprowadzenia jej w szych immanentnych przesłaniach duchowych — do współczesności. O sztuce Manfreda Luxa tak się wyraził Herbert Fendrich, historyk sztuki i konserwator diecezjalny w Essen: „Siłą tej sztuki jest świadoma prostota, ograniczanie się do pewnych struktur obrazowych, nieliczne kontrasty: pionów i poziomów, zamkniętych i otwartych form, koła, kwadratu, trójkąta, światło i cień, linia i barwa. Szczególnie w jego pracach cyklicznych staje się widoczne, że te proste środki wyrazu otwierają możliwie nieskończone pole dla wariacji, modulowań i najróżniejszych rodzajów wypowiedzi. Ostatnie spostrzeżenie: upraszczanie, stosowanie podstawowych

Obrazy i obiekty Manfreda Luxa

większego zainteresowania ze strony lokalnej krytyki artystycznej, nie służy jej przybliżeniu.

Wystawa obrazów i obiektów Manfreda Luxa w Muzeum Archidiecezjalnym i jego instalacji w Kościele Podwyższenia Krzyża Świętego i świętego Herberta na Osiedlu Witosy w Katowicach, jest efektem partnerskiej współpracy diecezji Essen i archidiecezji w Katowicach.

Artysta studiował na uniwersytecie w Essen malarstwo i grafikę, a także przez kilka semestrów teologię i pedagogikę. Jest przede wszystkim malarzem, próbującym za pomocą formalnych środków ekspresji sztuki współczesnej uzmysłwiać podstawowe struktury i elementarne pytania związane z człowieczą egzystencją. Akcentuje przy tym zawsze wyraźnie, że jest chrześcijaninem i do chrześcijańskiej tradycji w sztuce swojej nawiązuje. Właściwie należałoby powiedzieć, że ona z niej wyrasta.

Podjmując tematy biblijne i do biblijnej tradycji nawiązując — stara się Lux w swoich dziełach odświeżać archetypiczne symbole i ich wymowę, wpisywać je na nowo we współczesność.

Nie mamy w tym przypadku do czynienia z jakąkolwiek próbą uniwersalizowania. Są to wypowiedzi subiektywne, nacechowane wątpliwościami, w których wyraźną dominantą

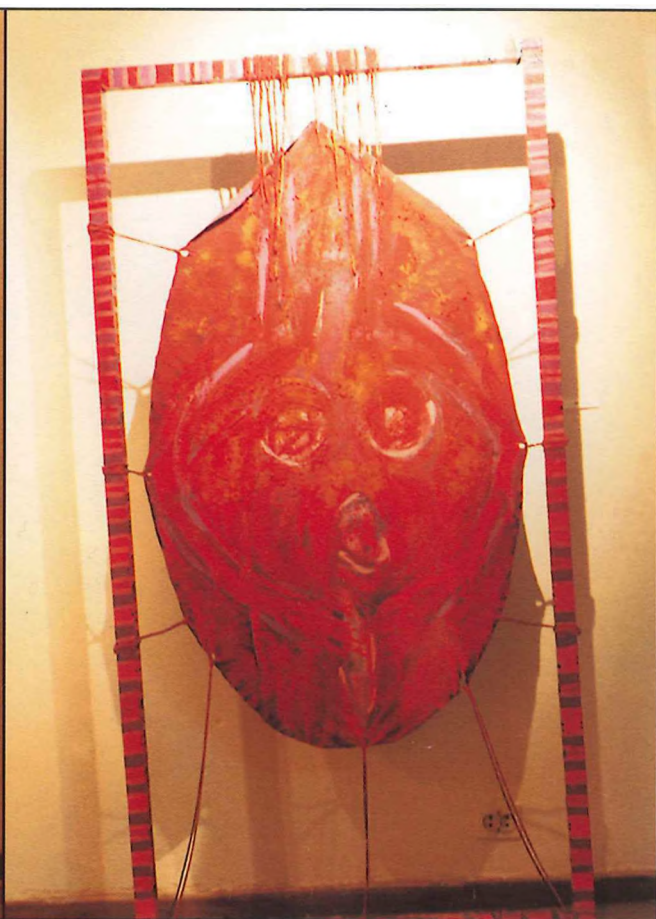
środków wyrazu prowadzi do tego, że wiele jego nowatorskich dzieł malarskich oddziałuje — dla przekory — wręcz archaicznie. Objasniają one widać, że chodzi tu o podstawowe ludzkie pytania, o tęsknoty i nadzieje, o to, co ukryte jest w wielkich ludzkich systemach — nie tylko chrześcijańskich”.

Wernisaż w Muzeum Archidiecezjalnym uświetniony został przez koncert w wykonaniu duetu: Grzegorz Mieczysław Olkiewicz — flet i Andrzej Jungiewicz — fortepian. Grano utwory Witolda Lutosławskiego, Krzysztofa Pendereckiego, Clauda Debussy'ego, Ryszarda Gabryśia, Henryka Mikołaja Góreckiego i in. w ramach 73. Śląskiej Trybuny Kompozytorów.

Instalacji w Kościele Podwyższenia Krzyża Świętego i świętego Herberta, której tematyka wiodącą osnuta została na: „Wszystko ma swój czas” — Księga Koheleta 3,1—8; „Droga życia” — Ewangelia świętego Łukasza 13, 10—17, towarzyszyło słowo poetyckie. Recytowali aktorzy Teatru Śląskiego w Katowicach Maria Stokowska i Krzysztof Misiurkiewicz. Kompozycje Ireneusza Wypicha, we własnym wykonaniu, dopełniały całości.

SEWERYN A. WISŁOCKI

Muzeum Archidiecezjalne
w Katowicach.



MANFRED LUX

od góry:

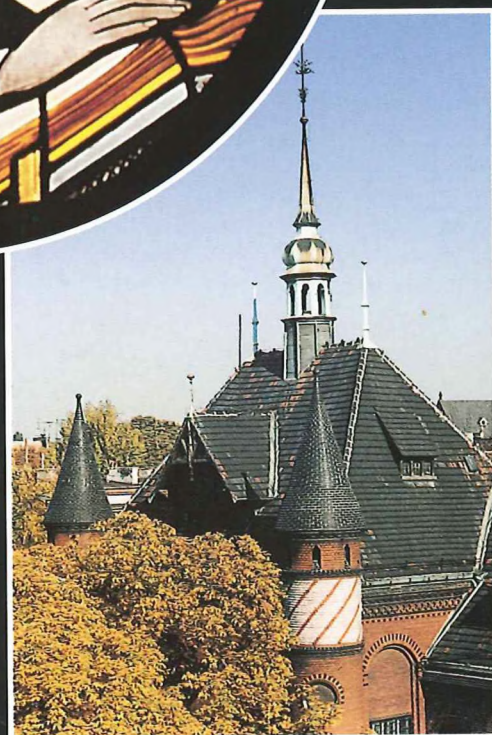
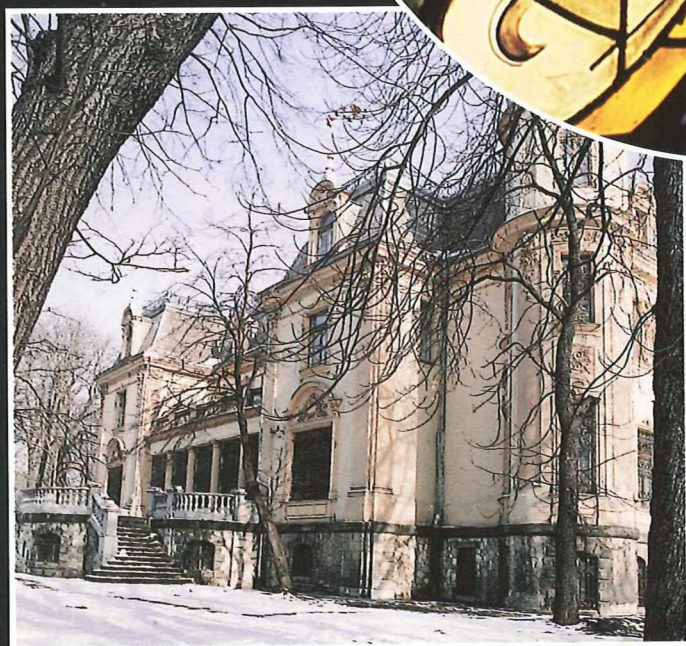
- ▲ „Madonna”
- ▲ „Madonna”
- ◀ „Chrystus”
- ▼ „Madonna”

Reprod. Marcin Kaniak





Z teki zabytków regionu



Na zdjęciach: witraż w kościele pw. Chrystusa Króla w Gliwicach (w środku), detal z Kamienicy przy Placu Inwalidów - Gliwice, detal z łazienki w Pałacu Dietla w Sosnowcu, maskaron - kamienica w Gliwicach (u góry od lewej), Pałac Schoena w Sosnowcu, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu (u dołu od lewej).

Zdjęcia: Andrzej John, Maciej Kaliszan, Jarosław Krawczyk, ARC



NAPÓJ BEZALKOHOLOWY

Tajemnica Przyjaźni



stalexport S.A.

Siedziba Spółki:
stalexport S.A.
 40-085 Katowice
 ul. Mickiewicza 29
 Tel.: (48-32) 512-211+19
 513-221+24
 Tlx. 0315751 stex pl
 Fax: (48-32) 511-264, 511-941

Delegatura:
stalexport S.A.
 00-060 Warszawa
 ul. Królewska 27
 Tel.: (48-22) 271-566
 277-835
 Fax: (48-22) 277-835

**-wśród pięciu
 największych przedsiębiorstw
 handlu zagranicznego w kraju
 -od października 1994 roku
 akcje stalexportu S.A. notowane
 na Warszawskiej Giełdzie
 Papierów Wartościowych**



PARA - design95



**Eksport
 Import
 Inwestycje
 kapitałowe
 Składy hutnicze
 Budowa autostrad
 Leasing
 Joint-ventures**

Składy hutnicze w kraju:

Stalexport Serwis-Centrum Sp. z o.o.
 ul. Rożdżeńskiego 95, Katowice
 tel./fax: (032) 580 871, (032) 152 10 62

Stalexport Serwis-Centrum Sp. z o.o.
 ul. Odrzańska 12, 45-643 Opole
 tel./fax: (077) 530 113

P.H.U. Stalexport-Zaptor S.A.
 ul. Lubelska 32, 10-959 Olsztyn
 tel.: (089) 336 140, fax: (089) 336 563

P. O. W. H. Centrostal S.A.
 ul. Wylotowa 10, 20-917 Lublin
 tel.: (081) 44 401, fax: (081) 45 692

Stalexport Wielkopolska Sp. z o.o.
 ul. Portowa 4, 64-950 Krzyż Wielkopolski
 tel.: (067) 555 111 w. 156, fax: (067) 239 772

Stalexport Serwis-Centrum Poznań Sp. z o.o.
 ul. Zakładowa 1, Komorniki
 tel.: (061) 130 927, fax: (061) 130 943

P. O. W. H. Centrostal S.A.
 ul. Budowlanych 42, 80-298 Gdańsk
 tel./fax: (058) 419 220

Stalexport Serwis-Centrum Warszawa S.A.
 ul. Nowogrodzka 22, 00-511 Warszawa
 tel.: (022) 628 19 54, fax: (022) 628 62 40

Centrum hotelowo - konferencyjne:

HOTEL STOK
 ul. Kiczorowska 1, 43-460 Wisła-Jawornik
 tel.: (48-3355) 2407, fax: (48-3355) 2404
 telex: 38566 stok

Pensjonat Wypoczynkowy "STALEXPORT"
 ul. Willowa 16, 43-460 Wisła
 tel.: (48-3355) 2439, 2449, 2453
 fax: (48-3355) 2440.